

Sabina Kruszyńska

Czas umierać. Mielno 82

Gdańsk, 2023

Przedślowie

Miejsca geograficzne nasączone są swoją indywidualną, osobną i niepowtarzalną historią. Historia kumuluje się w nich wraz z upływem czasu, narasta i pęcznieje. Staje się ogromna, ale pozostaje niewidzialna. Aby można było ją dostrzec, musi zostać wydobyta ze swego pozornego niebytu przez opowieść. Opowiedzieć natomiast wydobywa jedynie wrywki z tej nieskończone bogatej całości. Nie można opowiedzieć całej historii żadnego miejsca, bo składają się na nią życia wszystkich kiedyś obecnych w tych miejscach osób, wszystkich wspólnot, które te miejsca zagospodarowywały i wszystkich przedmiotów, które kiedykolwiek w nich się pojawiły.

Mała, kiedyś prawie nieznana, nadmorska miejscowość nosząca po II wojnie światowej nazwę Mielno, także ma swoją historię, która wciąż się rozrasta. Zmienia się wygląd zewnętrzny miejscowości i jej okolic, nowe zdarzenia odsyłają w niepamięć zdarzenia z przeszłości, nowi ludzie zastępują tych, którzy odeszli a nowe przedmioty zajmują miejsca przedmiotów wyrzuconych na śmietnik. Dzisiejsze miejsca nazywane Mielnem, Mielenkiem, Unieściem, Strzeżenicami, Sianowem, Dobrym czy Będzinem nie przypominają już miejsc noszących tę samą nazwę siedemdziesiąt, pięćdziesiąt czy czterdzieści lat temu. Zmienia się także Koszalin, miasto, które jak magnes przyciąga ku sobie otaczające je miasteczka, wsie i osady, czyniąc z regionu swoistą i dynamiczną strukturę.

Moje trzy opowieści kryminalne wydobywają z nieogarnionej całości, jaką tworzą historie wymienionych wyżej miejsc, kilka zdarzeń i kilka wpisanych w te zdarzenia ludzkich losów. Wszystko co opisuję, wydarzyło się naprawdę, a przynajmniej mogło się wydarzyć w tamtych latach, w tamtych okolicznościach i pośród tamtych ludzi. Fikcyjne są natomiast wątki kryminalne. Wątki kryminalne snują się w moich opowieściach jak przyciągająca uwagę ozdobna nić, która tworzy wymyślony, a zarazem wymyślny, wzór na realnej podstawie wykonanej z mocnych nici rzeczywistych wydarzeń.

Pierwsza książka zatytułowana jest „Znikanie. Mielno 52”. Opowiadam w niej o powikłanych i dramatycznych losach kilku zaginionych osób, które w latach 1947–1952 przybywają do Koszalina, trafiają do Mielna i znikają. Osoby te nie istniały naprawdę, ale realne są miejsca, zdarzenia i okoliczności, w których rozgrywają się ich przypadki, ich osobiste dramaty oraz dramaty ich rodzin i znajomych. Miejscem wydarzeń jest przede wszystkim Mielno z jego ówczesnym specyficznym klimatem tworzonym przez dynamiczną mieszkankę ludzi, którzy

napłynęli do tej nadmorskiej miejscowości, będącej zaledwie kilka lat wcześniej niemieckim kurortem, z różnych części przedwojennej Polski. Miejscem nie mniej ważnym jest także miasto Koszalin, centrum polityczne i kulturowe tamtych czasów. Umieszczam Czytelnika w konkretnych i nadal rozpoznawalnych sytuacjach powojennego życia w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Przedstawiam całą plejadę barwnych postaci, z których każda ma za sobą trudną wojenną i powojenną przeszłość i usiłuje ją pokonać, zaczynając nowe życie, odbudowując je w nowych warunkach i w nowym nieznanym miejscu. Wysiłki moich bohaterów są zakłócanie nie tylko przez dotyczące wszystkich ludzi decyzje polityczne, ale także przez niewytłumaczalne osobowe zło, które uderza w nich mocno i niespodziewanie. Z osobowym złem będą musieli zmierzyć się sami, aby nie zawierać kompromisów z nieakceptowaną przez nich władzą polityczną.

Kryminalna akcja drugiej książki zatytułowanej „Plaża martwych panien. Mielno 68-69” toczy się początkowo w roku 1968-mym, kiedy to latem Mielno stało się miejscem pierwszego zlotu polskich hipisów. Fikcyjny wątek kryminalny i tym razem rozgrywa się pośród wydarzeń, które, w różnych konfiguracjach i według innej nieco chronologii, wydarzyły się naprawdę. Mielno końca lat sześćdziesiątych jest miejscem odmiennym od tego, którym było we wczesnych latach pięćdziesiątych. Podczas letniego sezonu prężnie działają nowe ośrodki wypoczynkowe Funduszu Wczasów Pracowniczych, mnożą się pola kampingowe i namiotowe a plaża zapelnia się beztruskimi opalonymi wczasowiczami z całej Polski. Bananowa młodzież szokuje dorosłych swobodnym zachowaniem i niekonwencjonalnym strojem. Jest to nadal czas polskiej socjalistycznej biedy, ale też czas większej beztruski, jako że dojrzało pokolenie nie znające wojennych koszmarów. I właśnie w samym środku słonecznego mieleńskiego lata, w beztruskiej atmosferze plażowania, morskich kąpiei, kolorowych seksownych strojów bikini oraz rozgrzanych opalonych ciał zło znów atakuje i zmusza bohaterów mojej drugiej opowieści do niekonwencjonalnych i ryzykownych działań.

Trzecia książka, ta, którą Czytelniku trzymasz teraz w ręku, nosi tytuł „Czas umierać. Mielno 82”. Jej akcja także toczy się w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Od 13-tego grudnia 1981-ego roku trwa w Polsce stan wojenny, który nagle, w brutalny sposób, zakończył „karnawał Solidarności”. Dla osób zaangażowanych w odzyskiwanie obywatelskich wolności wprowadzenie stanu wojennego stało się wielką życiową katastrofą. Fikcyjny wątek kryminalny rozgrywa się właśnie w tych ponurych czasach, kiedy ponownie, i zarazem drastycznie, zaostwiają się podziały pomiędzy zwolennikami socjalistycznego spokoju oraz przedstawicielami państwowych struktur bezpieczeństwa a dynamicznymi kreatorami rodzącej

się wolności. W atmosferze wzajemnej nienawiści i w poczuciu doznanych krzywd, rozjątrzają się dawne rany. Bohaterowie opowieści stają przed trudnymi wyborami natury politycznej i osobistej a podejmowane przez nich wybory zdecydują nie tylko o tym, jak dalej potoczy się ich życie, ale także o tym, czy w ogóle będą dalej żyć. Czas politycznych niepokojów i dramatycznych wyborów osobistych staje się czasem, w którym trzeba umierać śmiercią chcianą i niechcianą. W tej opowieści zło nie ma wyraźniej twarzy, lecz podstępnie i niedostrzegalnie wkrada się do ludzkich dusz i umysłów. Poza opustoszałym jesiennym i zimowym Mielnem oraz Koszalinem, który w latach siedemdziesiątych przeszedł wielką metamorfozę związaną z organizacją centralnych dożynek, pojawiają się w tej opowieści także inne, mniej znane miejsca, takie jak Mścice, Dobre czy Strzeżenice.

Na zakończenie muszę podziękować wszystkim tym, którzy, czytając trzy omówione wyżej opowieści, rozpoznają w przypadkach moich bohaterów własne przeżycia. Wykorzystałam bowiem w opowieściach nie tylko własne wspomnienia, ale także wspomnienia dawnych mieszkańców miejsc, w których rozgrywają się kolejne zdarzenia. Dużo informacji zawdzięczam wspomnieniom mieszkańców Koszalina, Będzina, Sianowa, Mielna czy Mścic opublikowanych w formie elektronicznej lub drukowanej, z których wiele powstało dzięki działalności Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina.

Rozdział pierwszy. Przypadki



1. Teraz. 1982



Siedziała przy oknie od kilku godzin. Właściwie mogłaby siedzieć gdziekolwiek, bo nie patrzyła ani na widok za oknem, ani na przechodzących ulicą ludzi. Za oknem panował już

jesienny wilgotny mrok. Przechodnie kulili się w sobie, chroniąc się przed zimnymi podmuchami wiatru, które atakowały ich, gdy tylko wchodzili na odsłoniętą przestrzeń szeroko otwartą na ciemną płaszczyznę jeziora Jamno. Trzciny zarastające brzeg jeziora gięły się pod naporem wiatru i szeleściły puchatymi wyschniętymi pióropuszcami. Nie widziała ani przechodzących ludzi, ani wzburzonego jeziora. Zapadła się w głąb siebie i wewnętrznym okiem obserwowała przepływające w niej obrazy, do których niekiedy dołączały się poszarpane, bezładne myśli. Te jednak szybko ulatywały, nie zostawiając po sobie żadnego śladu w pamięci. Obrazy natomiast zmieniały się jak w kalejdoskopie, wracały jeden po drugim, a pojawiając się kolejny, drugi, trzeci, czwarty raz olbrzymiały, wyostrzały się i wypełniały nowymi szczegółami. Z tych samych elementów stałego zestawu powstawały wciąż nowe sekwencje, kolorowe, hipnotyzujące i niepokojące. Potrzasała głową, aby je odrzucić, ale one nie ustępowały i dalej cierpliwie się w niej wyświetlały. Wiedziała, że żyją tylko w niej i dzięki niej, ale najwyraźniej uzyskały już pełną niezależność i nie mogła nad nimi panować. Przeciwnie, to one zyskały pełną nad nią władzę, od której nie mogła się uwolnić.

Miejsce przy oknie zajęła z przyzwyczajenia. Siadywała przy nim zawsze, gdy chciała spokojnie przemyśleć to, co się ostatnio wydarzyło, zaplanować najbliższe dni, albo po prostu popatrzeć na jezioro i odpocząć. Lubiła roztaczający się z okna widok. Łączył w sobie dynamikę miejsc zamieszkałych z dynamiką natury. Widziała główną i najbardziej ruchliwą ulicę Mielna, po której przejeżdżały samochody, autobusy komunikacji miejskiej, rowery i wszystkie inne pojazdy poruszające się po Mielnie i Unieściu, a którą musieli także przejść mieszkańcy oraz przyjezdni, aby dotrzeć do najważniejszych punktów obu miejscowości. Za ulicą natomiast połyskiwały płaskie lub falujące wody jeziora, które czasami - w zamglonym powietrzu lub pod nisko ciągnącymi ciemnymi chmurami - zdawało się bezbrzeżne jak morze. Z przybrzeżnych trzin podrywało się z przenikliwym wrzaskiem wodne ptactwo, a stałym akompaniamentem wydawanych przez nie głosów był krzyk mew, które chmarami lub pojedynczo patrolowały wodny teren. Kiedy zatapiała wzrok w bezkresie wody i nieba jej myślenie wyostrzało się, a umysł ogarniała przynosząca ulgę i spokój ducha pewność. Siedząc przy oknie podejmowała najważniejsze decyzje, przeżywała najśłodsze chwile wytchnienia i przywoływała najlepsze wspomnienia, bo takie także miała.

Zaraz po wprowadzeniu się do małego mieszkania położonego na pierwszym piętrze poniemieckiej kamienicy ustawiła przy oknie stary wytarty fotel i przykryła go wełnianą narzutką zakupioną dużo wcześniej w koszalińskiej Cepelii. Narzutka w kolorze dojrzałych

wieśni przez kilka dobrych lat leżała na najniższej półce szafy, która stanowiła część stałego wyposażenia ciasnych służbowych pokoiów przydzielanych przez mieleńską dyrekcję Funduszu Wczasów Pracowniczych stałym pracownikom. Ona także dostała swój osobny pokój po dwóch latach gnieźdzenia się w pokoju wieloosobowym, a następnie, w 1968-mym, Gromadzka Rada Narodowa w Mielnie przydzieliła jej małe mieszkanie - pokój z kuchnią – w którym nadal mieszkała. W roku 68-mym miała już trzydzieści osiem lat, ale, wbrew wszystkiemu, co ją wcześniej spotkało, czuła się młoda. Zawsze była szczupła, silna i wytrzymała. Nawet teraz, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, z łatwością dotrzymywała w pracy kroku młodym kobietom. Była, jak mówiła jej matka, od małego nauczona ciężkiej fizycznej pracy.

Dwa lata po otrzymaniu mieszkania odeszła z FWP, bo znalazła pracę w sanatorium „Rusalka”. Budynki sanatorium były nowoczesne, sprzęt rehabilitacyjny także, a basen z morską wodą stał się na krótki czas mieleńską sensacją. Dyrektorka sanatorium, Alicja Bundzyńska, kobieta partyjnie ustosunkowana, trzymała rygor, a nawet można powiedzieć, że terroryzowała pracowników, ale za to zarabiano się więcej niż w ośrodkach FWP i na dużo korzystniejszych warunkach.

Czas wówczas nie był najlepszy. Po tragicznych grudniowych wydarzeniach na Wybrzeżu w 1970-tym roku, po których nastąpiła wymiana władz partyjnych i zapanowała atmosfera otwierania się na „zgniły zachód”, nastroje w społeczeństwie były pesymistyczne. Niby miało iść ku lepszemu, ale o śmiertelnych niewinnych ofiarach z Gdyni, Gdańska i Szczecina, czy o ukaraniu winnych ich śmierci, nie można było nawet wspomnieć. A ona miała szczególną przypadłość, której, jak zauważyła, nie posiadali inni, albo też posiadało niewielu. Angażowała się emocjonalnie w sytuację polityczną. Przygrybiały ją wszystkie bez wyjątku wydarzenia, które, według jej skromnego rozeznania, miały przynosić pożytek zwykłym obywatelom, przyzwyczajają ich do marności codziennego schizofrenicznego życia, w którym to, co cenili najbardziej przykrywali maską politycznej poprawności.

Teraz jednak nie odczuwała żadnych emocji. To wszystko, co wydarzyło się w jej życiu, przybrało postać kilku krążących bez końca w jej głowie, hipnotyzujących i natrętnych obrazów. Nie respektowały one żadnego porządku. Nie liczyły się ani z chronologią, ani z logiką wydarzeń. Scena z dawno minionej młodości następowała po scenie z jej dorosłego życia. Obraz tego, co wydarzyło się przed wielu laty łączył się z przedstawieniem niedawnego wydarzenia. Była tylko jedna zasada wywlekająca z jej pamięci natrętne obrazy, zasada dominacji zła nad dobrem, niesprawiedliwości nad sprawiedliwością, brzydoty nad pięknem i

obludy nad szczerością. Dawno już zauważyła, że właśnie ta zasada rządzi światem i przyjęła do wiadomości tę smutną wiedzę. Wiedza jednakże nie wyeliminowała uczuć. Wydarzenia z lata roku 80-mego, wbrew wcześniejszym doświadczeniom, wydobyły z niej tę pierwotną, dawno stłumioną naiwność, której nigdy nie udało się jej pozbyć. Dała się ponieść upojnym porywom wolności, entuzjazmowi narodowej solidarności.

Dynamika masowego ruchu Wolnych Związków Zawodowych po raz pierwszy od trzydziestu kilku lat rozsadziła zwarty system komunistycznej Polski. Rzuciła na kolana partyjnych bonzów i osłabiła esbeckie psy prowadzone na krótkiej smyczy przez władców z KGB. W kobiecym środowisku sanatorium „Rusałka”, pod okiem zblatowanej z władzą partyjnej dyrektorki, niewiele się wtedy działo, bo dziać się nie mogło. Pracownice niższego szczebla, do których i ona należała - bały się utraty pracy i nie podzielały jej entuzjazmu i nadziei na zbudowanie nowej politycznej rzeczywistości. Niepewne rozwoju wydarzeń, wymęczone psychicznie i fizycznie troską o zabezpieczenie rodzinie najbardziej podstawowych życiowych potrzeb, myślały głównie o zrealizowaniu kartek żywnościowych i o korzystnej ich wymianie. Na kartki kupowało się już prawie wszystko. Do wprowadzonych najpierw kartek na cukier, a następnie na mięso, doszły te, na których poza mięsem i cukrem widniało masło, mąka, ryż, kasze. Od września zeszłego roku dołożono mydło i proszek do prania, a teraz papierosy, czekoladę i alkohol. Z kartek na reglamentowane produkty można było uzyskiwać wiele kombinacji. Można było wymieniać kartki na alkohol na kartki na słodycze, kartki na cukier na kartki na papierosy i tak dalej i tak dalej. Było zatem czym się zajmować i o czym myśleć. Sztuka stania w kolejkach, zdobywania produktów „spod lady”, załatwiania zakupów „od zaplecza”, pokątnego handlu oraz nielegalnej prywatnej produkcji, rozwinęła się do granic doskonałości. Ileż satysfakcji sprawiało kupno jakiegokolwiek mebla, sprzętu AGD, dywanu, ubrania czy butów.

Ona rozumiała potrzeby koleżanek i ich troskę o tak proste, ale przecież niezbędne do życia, przedmioty. Nie miała im za złe braku zainteresowania polityką oraz graniczącej z tchórzostwem powściągliwości w angażowaniu się w sprawy ważne dla ogółu. Wiedziała bowiem, że tylko ona ma to nieszczęśliwe szczęście odpowiadania jedynie za siebie i nie troszczenia się o bliskich. A sama nie potrzebowała wiele i o niewiele się troszczyła. Próbowала zatem jedynie dodawać koleżankom z pracy odwagi i, pomimo ścisłego zakazu wszczynania jakichkolwiek burd – tak dyrektorka nazywała wszelkie próby dołączenia się pracowników sanatorium do ogólnopolskiego ruchu związkowego – informowała je o aktualnych wydarzeniach, prostowała kłamliwe informacje podawane przez rządową prasę,

radio i telewizję., a od czasu do czasu przywoziła z Koszalina kolejne numery związkowego czasopisma „Solidarność”.

Teraz z rozsadzającym serce żalem i gorzkim niedowierzaniem patrzyła w sobie na obraz przedstawiający spotkanie członków Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych „Solidarność”. Była wśród nich, radosnych i zapalonych do działania, pełnych entuzjazmu i wiary w to, że nikt z nich nie jest zdolny do zdrady, że każdy podziela wspólną ufność w trudne ale niewątpliwe zwycięstwo wolności. Choć jako nieistotny bierny świadek – była na spotkaniu przypadkiem, bo zabrał ją na nie dawny znajomy Adam Janusz, inicjator założenia Komitetu w Koszalinie – triumfowała razem z nimi. Także nie wierzyła wtedy w to, że są wśród nich ci, którzy, udając entuzjazm i spontaniczną szczerą solidarność, zaraz po spotkaniu napiszą raport dla swojego opiekuna z SB i zgarną zań swoje trzydzieści srebrników. Teraz patrzyła inaczej na wyraźnie widoczne na obrazie twarze – znała je wszystkie, bo jeździła do siedziby MKZ-tu w każdej wolnej chwili i pomagała jak mogła – i śledziła mimikę, błyski ironii w oczach, cyniczne wykrzywienie ust w udawanym uśmiechu.

Obok obrazu, na którym widzi spotkanie działaczy MKZ-tu, pojawia się inny obraz. Jest na nim bardzo młoda. Ma niespełna dwadzieścia lat. Myje drewnianą podłogę w kuchni nie swojego mieszkania. Klęczy na mokrych deskach, w ręku ma ryżową szczotkę, którą szoruje deski a potem zanurza w wodzie z mydlinami. Woda chlupoce w emaliowanym niebieskim wiadrze z metalowym pałakiem i drewnianym uchwytem. Następnie, kawałek po kawałku, wyciera podłogę szarą szmatą. Umyte kawałki są białe. Nieumyte bure. Jej spódnica wisi na krześle stojącym przy niewielkim kuchennym stole pomalowanym białą farbą olejną. Ona ma na sobie stary roboczy fartuch, ten który zawsze nosiła z sobą, kiedy szła z Mścic do Koszalina – niekiedy ktoś ją po drodze zabierał wozem albo wioził na ramie roweru - aby sprzątać cudze mieszkania. Drży ze strachu i niecierpliwości. Śpieszy się i jednocześnie chce być dokładna. Jest sama, ale gdzieś poza obrazem obecni są niewidzialni i groźni lokatorzy, jej pracodawcy, wysoki, pewny siebie funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa oraz jego wymuskana, pełna poczucia wyższości żona. Na stole, tuż na krawędzi, leży jej zapłata. Każdy dzwonek do drzwi sprawia, że drży na całym ciele i modli się w duchu, aby nie stał za drzwiami młody kolega pracodawcy, człowiek bezwzględny i niewyżyty, który, jak mówi gospodarz mieszkania, z zapalaniem poluje na młode dziewczęta.

Kiedy wizja zebrania MKZ-tu zderza się z przedstawieniem mycia podłogi w mieszkaniu funkcjonariusza UB, wstyd, ból i rozgoryczenie narastają. Jak mogła dać się ponieść

dziecięcej naiwności, porywowi wiary w sprawczość solidarnych ze sobą ludzi, w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości? Przecież od dzieciństwa po wiek dojrzały dostawała kolejne życiowe lekcje, poznawała siłę i przebiegłość zła w jego przeróżnych przebraniach. Dlaczego dała się oszukać? Dlaczego porzuciła trzeźwe myślenie i dała się porwać złudzeniom? Znała przecież ubecko-esbeckie nastawienie do zwykłych ludzi i sposoby działania. Ludzie bez wyjątku byli tylko przedmiotem manipulacji, szantażu, brutalności, a przynajmniej skrupulatnej obserwacji i analizy. Pozwalano im żyć i działać tak długo, jak długo trzymali się niepisanej, ale dla wszystkich jasnej zasady, która w skrócie mówiła „nie podskakuj”. Inwigilacja środowiska działaczy związkowych musiała być i była priorytetem władzy, a ilość esbeckich wtyk musiała rosnąć w miarę wzmacniania się wolnościowego ruchu.

Uwydatnił się teraz obraz, na którym jej rodzice stoją przed skromnym domem w Mścicach. Wyraźnie widzi ich bezradność i przygnębienie. Dopiero dwa lata temu, po przesiedleńczej włóczędze, osiedlili się w Mścicach. Po Niemcach dostali dom z zabudowaniami gospodarczymi, trochę sprzętu, osiem hektarów ziemi i dzikiego konia „amerykana” z unry, czyli międzynarodowej organizacji pomagającej krajom wyniszczonym przez wojnę. Rodzice i ona, jedyne ich dziecko, które przeżyło okupację niemiecką, bardzo cieszyli się, że wreszcie nadchodzą dla nich, ubogich ludzi, lepsze czasy. Ziemia była zaorana przez wojsko, ozimina posiana. Należało wziąć się do roboty, aby latem i jesienią zebrać plony. Ludzie w tamtych powojennych czasach pomagali sobie jak mogli i, pomimo codziennej harówki, potrafili i chcieli cieszyć się życiem i wspólnie bawić. Wiele rodzin, podobnie jak oni, przyjechało z kieleckiego, gdzie bieda aż pisała. Byli wreszcie na swoim i z odzyskanym wraz z końcem wojny optymizmem patrzyli w przyszłość, choć przecież trzecia wojna wisiała wtedy w powietrzu.

Ale to nie zagrożenie kolejną straszną wojną sprawiło, że rodzice stali przed domem w Mścicach z opuszczonymi rękami i ze smutkiem na postarzałych nagle twarzach. Stali tak, bo już wiedzieli, że zły los znów ich wkrótce pokona. Nie mieli syna, który mógłby ich wspomóc w fizycznej pracy. Zginął gdzieś pod Berlinem i nie wiedzieli nawet, gdzie jest jego grób. Ona, czyli ich córka, starała się jak mogła, żeby ich wspierać, ale musiała sprzątać u obcych ludzi, aby podreperować domowy budżet. Zresztą praca na ziemi i ze zwierzętami nigdy jej nie odpowiadała. Od najwcześniejszych świadomych lat czuła się na wsi nieswojo, jak wyrodek. Chciała uciec stamtąd jak najszybciej. Z trudem utrzymywane przez rodziców gospodarstwo zaczęło podupadać, gdy partia i rząd zażądały od rolników obowiązkowych dostaw zboża, mięsa i ziemniaków. Ostatecznie wykończyły ich psychicznie nieustające

naciski, aby przystąpili do spółdzielni produkcyjnej. Wreszcie, czego nie widać na obrazie, na który teraz patrzy, nieznanym sprawcą podpalił ich zabudowania gospodarcze. Na obrazie rodzice są zgnębieni, bo zdają sobie sprawę z tego, że już wkrótce będą musieli się poddać, że będą musieli zrezygnować z marzeń, w których stawali się bogatymi gospodarzami i wstąpić do kołchozu, jak powszechnie nazywano spółdzielnie produkcyjne. Nie wiedzą jeszcze natomiast, że przez wiele lat, aż do ciężko wypracowanej emerytury, będą etatowymi pracownikami Gospodarstwa Rolnego w Mścicach należącego do Zespołu Gospodarstw Rolnych „Mścice” i podporządkowanego Okręgowi Państwowych Gospodarstw Rolnych w Koszalinie. Na obrazie cały czas stoją z bezradnie opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i zgnębieni patrzą przed siebie pustym wzrokiem. Ich skromne plany leżą przed nimi na ziemi jak zmięta i przydeptana przez but historii kartka papieru. Ich serca jeszcze nie przyjęły do wiadomości, że nigdy nie staną się panami własnego życia, bo ich życie całkowicie powinno należeć do socjalistycznej ojczyzny, do partii i jej wielkich planów.

Kalejdoskop w jej głowie obraca się i ukazuje nowy układ obrazów. Człowiek w nieokreślonym wieku, pochylony, ubrany w roboczy drelch i gumowce, ma na głowie przekrzywiony beret. Jego ubranie i on sam tworzą kolorystyczną nijaką jedność w różnych odcieniach szarości. Zna go. To najbardziej małowówny pracownik PGR-u w Mścicach. Wszyscy go znają, ale nikt dokładnie nie wie, skąd pochodzi, z kim i dlaczego przyjechał na Ziemię Zachodnią, ile ma lat i kim był w przeszłości. Jeszcze przed kilku laty opowiadało się o nim różne historie, ale teraz wtopił się już w pegeerowską społeczność i jego dawne życie nikogo nie interesuje. Mówi się na niego Edek, albo pan Edek, w zależności od stopnia zażyłości, który jednak nigdy nie osiąga poziomu zażyłości pomiędzy pozostałymi pracownikami gospodarstwa. Mieszka sam. Alkoholu nie pije, nie ma bliskich znajomych także poza pegeerem, bo przecież nikt go nigdy nie odwiedza i on do nikogo nie wyjeżdża.

Na obrazie Edek zamiata, jak co dzień, plac manewrowy, chodniki i drogę prowadzącą do głównego budynku pegeeru zwanego pałacem. W pałacu mieszczą się biura dyrekcji, księgowość, przedszkole, stołówka i mieszkania pracowników. Jest lato. Pora żniw. Przez główną bramę prowadzącą na teren gospodarstwa wjeżdżają dwa gaziki. Jeden z nich jest pomalowany na niebiesko i ma duży napis „milicja” na przednich drzwiach z obu stron. Na dachu sterczy kogut oraz dwa małe megafony. Drugi samochód jest zgniłozielony i nieoznakowany. Pan Edek odrywa się od pracy, prostuje plecy, odwraca w stronę samochodów i nieruchomieje. Pasażerowie gazików wysiadają. Mundurowi zabezpieczają

drogi ucieczki, a dwaj cywile chwytają pana Edka pod pachy i ładują na tylne siedzenie nieoznakowanego gazika.

Piękne, ale wczesne lato jest także na obrazie, na którym ona stoi wśród licznie zgromadzonych na mieleńskiej plaży ludzi. Obok niej stoi Janek i trzyma na ramionach ich trzyletniego synka Jaśka. Janek unosi Jaśka wysoko, trzymając go rękami pod pachy, aby malec mógł zobaczyć wysiadającego z motorówki kapitana chłodnicowca MS „Koszalin” oraz towarzyszącą kapitanowi załogę. Statek stoi hen na horyzoncie, daleko od brzegu, ale sama jego tam obecność rozpala wyobraźnię. Zaraz rozpoczyna się uroczystości Dni Morza: akademia, występy, konkursy i regaty żeglarskie. Ona i Jan spoglądają na siebie rozbawieni śmiesznymi komentarzami i pytaniami synka, ale sami też są radośni i podnieceni tak, jak on. Fascynuje ich zapełniona ludźmi plaża, czerwcowe słońce, które mocno nagrzewa głowy i plecy - wszyscy zwróceni są ku północy, ku morzu - warkot przybijających do brzegu motorówek, eleganckie granatowo-białe mundury marynarzy. Cieszą się także na resztę dnia i zrobienie tego, co zaplanowali. Po obejrzeniu wydarzeń dziejących się na plaży, kupią sobie lody u sprzedawcy obsługującego przewoźną lodziarnię – mały dostanie suchy wafelek, bo często ma anginę - i zjedzą je podczas spaceru, idąc pod rękę główną ulicą Mielna. Dotrą nią do łąk nad jeziorem Jamno, gdzie ustawiono drewniany podest, i obejrzą pokaz tańców ludowych, które sami chętnie by zatańczyli. Zamiast obiadu zjedzą na kocu rozłożonym na trawie przygotowane w domu kanapki i jaja na twardo. Jan popije posiłek kuflem piwa, a ona i Jaś oranżadą. Na zakończenie wycieczki do Mielna zafundują sobie wszyscy jazdę na karuzeli łańcuchowej.

Ubrali się odświętnie i podobają się sobie bardziej niż zwykle. Ona patrzy na męża zalotnie, a on to widzi i uśmiecha się obiecująco.

Obraz nie przedstawia reszty dnia. Zrobili wszystko, co zaplanowali. Byli radośni, szczęśliwi i cieszyli się spędzanym razem wolnym czasem. Ale obietnica przekazana w uśmiechu męża nie mogła się już spełnić, bo wtedy widziała męża i synka po raz ostatni żywych. Tego, co zdarzyło się wieczorem, gdy szli skrajem szosy z przystanku pekaesu w Mścicach do domu, nie chciała oglądać, więc potrząsnęła gwałtownie głową, aby pojawił się jakiś inny obraz.

I znów słoneczny dzień. Tym razem nie czerwcowy, lecz majowy. Widzi w głównym holu sanatorium „Rusałka” głośno rozmawiających kuracjuszy. Krzyczą coś, wymachują rękami. Niektóre starsze kobiety zaczynają płakać. Ona zastyga na chwilę myśląc, że nastąpiła

inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Polskę. Od dawna nabrzmiewała atmosfera zagrożenia ze strony tak zwanych sojuszników. Społeczeństwo było zmęczone i podzielone. W strukturach związkowych też powstawały coraz wyraźniejsze podziały. W zakładach pracy proklamowano strajki a permanentne braki w zaopatrzeniu i gigantyczne kolejki po wszystko, co było potrzebne do skromnego życia, skłaniały większość ludzi do troszczenia się przede wszystkim o własne przetrwanie. Z wiadrem w jednej ręce i szmatą w drugiej – właśnie sprzątała korytarze na parterze – podchodzi do grupki kuracjuszy i słyszy słowa „zabili papieża”, „zabili papieża”. Czuje się ogłuszona. Ma w głowie zupełną pustkę i dziwi się sama sobie. Od śmierci męża i synka nie chodzi do kościoła i nie modli się. Bóg przestał dla niej istnieć, skoro wtedy ona przestała istnieć dla Boga.

Układanka zmienia się i w jej centrum jest teraz inny obraz. On także przedstawia zdarzenie z 13-tego dnia miesiąca. Nie jest to jednak środa 13-tego maja 1981-szego roku z obrazu, na który patrzyła przed chwilą i w którego tle widniała informacja, że Jan Paweł II przeżył zamach, lecz niedziela 13-tego grudnia tegoż samego roku. Dzień jest mroźny. Ona, w różowej nocnej koszuli, niebieskim pikowanym szlafroku, na który zarzuciła sweter z szarej owczej wełny, stoi w oknie i patrzy na pokrytą dziewiczym śniegiem płaską połąć zamarznętego jeziora. Za jej plecami w żelaznym piecyku płonie ogień a przenikliwy chłód, panujący przez noc w pokoju, zaczyna się zmieniać się w przyjemne ciepło. Ona jednak trzęsie się nadal. W nocy obudził ją ryk silników. Nie wstała z łóżka, aby sprawdzić, co się dzieje. Wolała pomyśleć, pomimo złych przeczuć, że wojsko z Unieścia wyrusza na kolejny poligon. Radio milczy. W pokoju panuje martwa cisza. Koleiny pozostawione w nocy przez wojskową kolumnę zasypał śnieg. Żaden człowiek, żaden pojazd nie pojawił się od godziny na głównej ulicy Mielna. Na tym obrazie nieruchomość białej, pokrytej śniegiem bezkresnej przestrzeni jeziora, współgra z bezruchem panującym na ulicy. Wszystko zamarło i stoi jakby porażone wiadomością, z którą ona do teraz nie może się pogodzić.

Teraz za oknem zapadł późnojesienny wieczór. Kończył się listopad, a wkrótce skończyć się miał także pierwszy rok stanu wojennego. Ogień w piecyku wygasł, bo przepalała skromnie i tylko drewnem. Przenikliwie zimno wybudziło ją z długiego letargu i nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie może i nie chce już żyć. Zbyt wiele złego się wydarzyło: procesy działaczy podziemnej Solidarności, wysokie wyroki wydawane na cywilów przez zmilitaryzowane sądy i wojskowych prokuratorów, maskowanie grozy stanu wojennego i ogólnej nędzy przez pozorne ruchy porządkujące wojskowych komisarzy nadzorujących wszystkie obszary życia, cyniczne i pełne pogardy dla zwykłych ludzi cotygodniowe,

transmitowane jak serial w telewizji, konferencje prasowe rzecznika rządu Jerzego Urbana, sprowadzenie codziennego życia do walki o chleb, mięso i wódkę, i jeszcze niepotrzebna śmierć robotników z kopalni „Wujek”, która nigdy nie zostanie ukarana i ta wczorajsza, bezsensowna, spowodowana wybuchem pyłu węglowego w kopalni „Dymitrow”.

Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. W niej nadzieja umarła już dawno, a kiedy umarła, przy życiu utrzymywało ją tylko działanie. Teraz imperatyw działania zgasł jak drwa w piecyku i wewnętrznie zimno usztywniło jej ciało, rozum, wolę i duszę, o ile takową jeszcze posiadała.

2. 10 lat wcześniej. 1972



Kierownik Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Dobrym Wirgiliusz Paszko stał przed budynkiem dawnego dworku, który teraz nazywano pałacem, i rozmyślał nad losem ludzi, którymi zarządzał. Był wysokim przystojnym mężczyzną w średnim wieku dbającym o kondycję i wygląd. Gimnastykował się rano, w wolnym czasie jeździł konno, a w pracy poruszał się pieszo nawet wtedy, gdy musiał pokonać dłuższe dystanse. Samochodu marki Syrena używał głównie do dalszych wypraw.

- Moi pracownicy – myślał - w większości nie mają własnych samochodów, ale z zadziwiającą pogodą ducha pokonują codzienne trudności z dojazdem do sklepów, szkół, kościoła i w ogóle do tak zwanej cywilizacji.

Starał się robić co leżało w jego mocy, aby ułatwiać życie pracownikom kierowanego przez siebie Ośrodka. Udostępniał im na żądanie telefon, który znajdował się w biurze POHZ-etu, żeby mogli komunikować się z rodzinami, albo wzywać pogotowie ratunkowe. Starał się jak najczęściej udostępniać im tak zwaną „bonanzę”, czyli krytą przyczepę przystosowaną do

przewozu osób, którą podczepiano do ciągnika. Załatwiał też możliwie często autobus, którym dysponowało gospodarstwo w Mścicach.

Szanował swoich pracowników. Podziwiał szczególnie tych starszych, mniej pijących, którzy pamiętali początki Ośrodka, żyli na ogół w zgodzie i byli wyjątkowo aktywni. Dawni pracownicy POHZ-tu dostosowali się do stylu życia miejscowych indywidualnych rolników i nie popadli w letarg, stan, który często ogarniał młodych etatowych pracowników pogardliwie nazywanych teraz pegeerowcami. Niesprawiedliwa skądinąd pogarda otoczenia brała się stąd, że tak zwani robotnicy rolni, czyli właśnie pracownicy pegeerów, dawali typowy negatywny przykład postaw roszczeniowych. Odwalali swoją ciężką robotę, walczyli o wynagrodzenia i deputaty, a wszelkie kłopoty i troski związane z uprawą roli i hodowlą zwierząt pozostawiali rządzącym.

W Dobrym jednakże pozostali jeszcze ludzie, którym zależało na organizowaniu wspólnego życia. Niektóre kobiety dołączały do prężnie działającego Koła Gospodyń Wiejskich, któremu POHZ użyczał świetlicy na spotkania, kursy i pogadanki. Niektórzy mężczyźni zaangażowali się w budowę w czynie społecznym jedyne go we wsi sklepu spożywczo-przemysłowego. Wszyscy natomiast dbali o szkołę i malejącą stopniowo kadrę nauczycielską. Wspólnie organizowano Dzień Dziecka, Dzień Kobiet i choinkę, na której bawiła się cała wioska.

- Być może starych mieszkańców Dobrego, niezależnie od pochodzenia i miejsca pracy, zjednoczyły wcześniejsze doświadczenia – myślał Paszko, zapalając papierosa i rozglądając się dokoła. – Przecież założona na początku lat 50-tych, pod przymusem władz, spółdzielnia produkcyjna w Dobrym radziła sobie bardzo dobrze. Oprócz otrzymanych od państwa kredytów ludzie zainwestowali w nią własne pieniądze. Kupili wysokomleczne krowy, wyremontowali oborę, chlewnię, wybudowali magazyn i nowoczesny kurnik. Gdzie indziej się to prawie nie zdarzało! Gdyby nie ubeckie interwencje, oskarżanie najlepszych i najbogatszych gospodarzy o działania dywersyjne i wyrzucanie ich ze spółdzielni, spółdzielnia mogłaby przetrwać. Ale rozpadła się już po kilku latach. Zmarnowane pieniądze i zmarnowana energia wielu ludzi.

- Dawne czasy - powiedział sam do siebie i zaciągnął się głęboko papierosowym dymem. – Szkoda, że szkołę zlikwidowano – pomyślał wypuszczając kłęb dymu. - Nawet małe dzieciaki trzeba teraz wozić „bonanzą” do Mścic, a jak kończą lekcje wcześniej, to wracają ponad trzy kilometry piechotą niezależnie od pogody.

- Panie kierowniku! – usłyszał za sobą głos brygadzysty Henia Jóźwiaka.

Odwrócił się i spojrzał na zbliżającego się szybkim ale ciężkim krokiem mężczyznę w kufajce, walonkach i czapce uszatce. Było zimno, choć dopiero niedawno skończył się październik. Nie związane pod brodą brygadzisty końce czapki rozchylały się na boki zgodnie z rytmem jego kroków.

- Co tam Jóźwiak? – zawołał w jego stronę, zanim mężczyzna zdążył przed nim stanąć.

- Ludzie mówią – odezwał się Jóźwiak dopiero, gdy podszedł blisko – że ten Porębowski czy Poręba nie żyje. Ktoś go wykończył.

Kierownik nie od razu zrozumiał przekazaną wiadomość, ponieważ najpierw bardzo zdziwiło go to, że została przekazana prawie szeptem wprost do jego ucha. Nie był przyzwyczajony do podobnego komunikowania się z pracownikami, a już na pewno nie z Jóźwiakiem, który krzyczał nawet wtedy, gdy nie było to potrzebne. Ot, zawodowe przyzwyczajenie. Pilnujący roboty brygadzista nie mógł cackać się z podległymi mu robotnikami, do których docierały komunikaty wygłoszone w odpowiednio mocnej formie i okraszone przekleństwami.

- Jaki Porębowski? – zapytał poirytowany.

Dziwił go nie tylko konspiracyjny szept brygadzisty, ale także niejasny powód informowania go o tragicznej, jak się domyślał, śmierci nieznanego mu człowieka.

– Jaki Poręba? Nie znam nikogo takiego – stwierdził po chwili zastanowienia.

– No przecież pan kierownik dobrze go znał. Bywał tu jeszcze, jak pan nastał. Wszyscy go tu pamiętają. Nawet dzieci słyszały o tym skur...synu! - wrzasnął Jóźwiak swoim normalnym głosem. - To ten, przez którego zabili Miskiewicz, pana poprzednika – brygadzista znów przeszedł do szeptu.

- Mówisz o Porębkiewicz? Władysławie Porębkiewicz? – olśniło wreszcie kierownika.

- A no tak – Jóźwiak podrapał się w głowę i poprawił beret. - Ta gnida nazywała się Porębkiewicz. Młody wtedy byłem, ale dobrze pamiętam drania. Wszyscy go tu pamiętają skur...syna.

- Skąd wiadomo, że ktoś go wykończył?- zaniepokoił się. – Ktoś od nas?

- Chyba nie od nas, choć bym się nie dziwił – stwierdził Jóźwiak i wyjaśnił:

– Malinowska przyniosła nowiny. Była w Strzeżenicach u znajomych, a oni tam teraz wszyscy gadają o tym, co się stało w Mielnie, że ktoś zabił emerytowanego ubeka. Normalnie ktoś mu

po cichu rozwaliał łeb. Myślał drań, że sobie spokojnie pożyje na emeryturze, ale dopadła go sprawiedliwość. Znajomi Malinowskiej myśla, że ktoś, kogo drań skrzywdził, rozpoznał go i załatwił.

Brygadzysta zamilkł i patrzył na kierownika z niepewnym uśmiechem na ustach, w których tlił się wypalony do połowy papieros marki sport. Paszko zamyślił się i także milczał. Stał ze spuszczoną głową i nerwowo palił swojego papierosa marki carmen, dużo mniej cuchnącego od sporta.

- Dobra – oświadczył zniecierpliwiony i rozczarowany ciszą Józwiak, który oczekiwał innej reakcji na przyniesioną przez niego sensacyjną wiadomość. - Idę do roboty. Ludzi trzeba w oborze przypilnować. Pana żona szczepi cielaki.

Odwrócił głowę i z wprawą wypuł na imponującą odległość wypalonego sporta. Potem raz jeszcze spojrzął na kierownika, pokręcił głową i odszedł.

Paszko nie zareagował. Wyrzucił swojego peta, przydeptał i poszedł w stronę dworku. Wszedł po kilku niskich stopniach na ganek, otworzył solidne drzwi wejściowe i przeszedł korytarzem do schodów prowadzących na piętro. Biura mieszczące się na parterze były już zamknięte. Wszedł na piętro i otworzył drzwi do mieszkania.

- Tato! Tato, to ty! – usłyszał głos Marysi.

Dobiegał z kuchni.

- Tak. To ja – odpowiedział córce i, zdejmując zabłocone buty, zwołał w stronę kuchni:

- Marcin też już wrócił ze szkoły?

- Tak, ale poszedł na chwilę do Marka. Powiedział, że zaraz wróci. Jestem głodna. Robię kanapki. Zrobić ci też. A gdzie mama?

- Mama jest w cielętniku. Szczepi cielaki. Za kanapki dziękuję. Zjem coś później.

Cieszył się z zaradności swej piętnastoletniej córki. Choć zewnętrznie wdała się w jego rodzinę, to charakter miała Krystyny, obowiązkowa, konkretna i zorganizowana.

- Cała mamuska – uśmiechnął się w duchu. – Ciekawe czy po maturze pójdzie w jej ślady i będzie zdawała na zootechnikę. Prawdopodobnie do Szczecina, bo to bliżej domu niż Olsztyn. Studiowałaby na Akademii – przypomniał sobie, że przed rokiem zmieniono nazwę uczelni z Wyższej Szkoły Rolniczej na Akademię Rolniczą.

- Położę się na chwilę. Jestem zmęczony – powiedział, zaglądając do kuchni przez kuchenne drzwi.

Marysia skinęła ze zrozumieniem głową i wyciągnęła w jego stronę dłoń z kanapką.

- Może jednak? – zapytała z pełnymi ustami.

Pokręcił przecząco głową, uśmiechnął się do niej, poszedł do dużego pokoju i położył na wersalce. Za oknem szybko zapadał jesienny zmrok. Mokry i zimny. Poczul to zimno w sobie. Nie zapalił światła. Po omacku poszukał koca i wrócił z nim na wersalkę. Okrył się szczelnie i zamknął oczy.

Wiadomość przyniesiona przez Jóźwiaka przypomniała mu dzień, w którym przyjechał do Dobrego. Nie miał jeszcze rodziny. Był młody. Zmiany w jego życiu osobistym – ślub, dzieci, stabilizacja – oraz w sytuacji politycznej w kraju miały dopiero nadejść.

- Dobrze, że byłem wtedy kawalerem – przyszło mu do głowy. - Dobrze, że Krystyna nie musiała przeżywać tego, co ja wtedy. Było, minęło. Lepiej zapomnieć i myśleć o teraźniejszości i przyszłości – myślał, przewracając się z boku na bok.

Zmęczenie narastało, ale sen nie przychodził. Wspomnienia z przeszłości wracały, a on, szczerze mówiąc, nie chciał się ich pozbyć. Przeciwnie, przywoływał je i układał w głowie jedno po drugim zgodnie z chronologią wydarzeń.

Przyjechał do Dobrego w 1953-cim roku i, zgodnie z poleceniem dyrektora Zarządu Okręgowego w Koszalinie, objął stanowisko zastępcy kierownika Państwowego Gospodarstwa Rolnego, które później dopiero stało się Państwowym Ośrodkiem Hodowli Zarodowej, czyli POHZ-etem. Poprzedni zastępca kierownika zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. O zaginięciu ludzie z pegeeru mówili dużo, ale tylko po cichu i między sobą.. Na początku nikt o losie poprzednika z nim nie rozmawiał. Z czasem, gdy pracownicy przekonali się do niego i zdobył ich zaufanie, zaczęli i jemu trochę opowiadać, ale zawsze dyskretnie, zawsze posługując się aluzjami i niedopowiedzeniami. Najwięcej dowiedział się od starszych wiekiem brygadzystów, którzy z przyzwyczajenia nazywali go rządcą, albo panem administratorem. Wiedzieli, że należy do partii, czyli do PZPR-u, ale nie bali się go, bo zachowywał się przyzwoicie i nie przemawiał do nich językiem partyjnego aktywisty.

Starsi pracownicy majątku dobrze pamiętali wydarzenia sprzed kilku lat, z końca lat czterdziestych, kiedy partia i rząd, po zlikwidowaniu aktywnej opozycji, zajęły się czyszczeniem tych obszarów życia społecznego, w których schronili się reakcyoniści, jak

nazywano przedwojennych przedsiębiorców, właścicieli majątków ziemskich i wszelkiej maści inteligentów dawnej daty. Wrogów nowego ustroju, wrogów ludu, należało odsunąć od wszelkich urzędów, aby uniemożliwić im sabotaż i żerowanie na państwowej własności. Wpływy w środowisku chłopów i robotników rolnych, poprzedniczka PZPR-u, Polska Partia Robotnicza uzyskała przez zdemaskowanie wrogiej działalności Polskiego Stronnictwa Ludowego i jego przywódcy, powojennego ministra rolnictwa, Stanisława Mikołajczyka. Zabrano się także za porządki w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich, które zaraz po wojnie objęły we władanie nierozparcelowane polskie i niemieckie wielkie majątki ziemskie.

- Panie rządco – mówili pracownicy majątku w Dobrym, którzy pracowali w nim jeszcze „za Niemca”, zawsze sprawdzając uprzednio, czy nikt ich nie usłyszy. – W centrali Państwowych Nieruchomości Ziemskich i w Okręgowych Zarządach PNZ-etu pracowali wykształceni przedwojenni ludzie z dyplomami szkół rolniczych. Więc do kierowania opuszczonymi ponemieckimi majątkami przysyłali przeważnie takich, co też się znali na gospodarstwie. Nie małorolnych chłopów, albo robotników, lecz specjalistów, którzy wiedzieli, jak się zarządza ludźmi i dużym majątkiem ziemskim. Ci pierwsi rządcy nie dość, że mieli na głowie Niemców, a właściwie Niemki, które pozostały w majątkach, to jeszcze musieli się nieźle gimnastykować, żeby zadowolić sowietów, którzy pozajmowali dwory i dużą część ziemi, żeby wyżywić swoich. Zresztą z polskim wojskiem też nie mieli łatwo. A do tego jeszcze brak sprzętu, pośpiech, zaniedbana ziemia, no i ciągle nachodzenie przez nadzorców z UB, którzy na niczym się nie znali, ale wszystko zawsze wiedzieli najlepiej. Wszystkim trzeba było dać w łapę, wszystkich nakarmić i, najważniejsze, wszystkich napoić, znaczy się dać im spirytusu z gorzelnii. A tu większość pracowników to Niemiaszki, po polsku nie rozumieją, a to znów Ukraince, albo biedota z całej Polski co to robić porządnie w gospodarstwie nie miała się kiedy przez wojnę nauczyć. Ledwo coś się ruszyło i zaczęło iść do przodu, władza pozwalniała ludzi znających się na rzeczy, zlikwidowała PNZ-y i zrobiła PGR-y. Przyszło nowe, ale wcale nie lepsze, tylko gorsze. Ale wiadomo, tak wtedy jak i teraz ludziska boją się, jeden z drugim, gębę otworzyć.

- No tak, nigdy nie wiadomo z kim się ma do czynienia – przytakiwał i nie zadawał pytań, aby nie płoszyć rozmówcy.

Wiedział, że i tak, prędzej czy później, dowie się więcej. Ciekawiło go najbardziej to, czy zaginięcie jego poprzednika ma związek z procesem, który wytoczono dyrektorowi Zarządu Okręgowego Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Koszalinie, Władysławowi Czarneckiemu, jego najbliższemu współpracownikom i wielu podlegającym mu

administratorom. Wszyscy oni zostali aresztowani po zaledwie dwóch latach działalności. Można przypuszczać, że już wtedy władza postanowiła zlikwidować PNZ-ty i całą ich mozolnie wypracowywaną po wojnie strukturę. Wkrótce po aferze koszalińskiej aresztowano i osądzono całe kierownictwo Państwowych Nieruchomości Ziemskich, w tym naczelnego dyrektora Zarządu Centralnego PNZ inżyniera Witolda Maringe.

- Wykończono fachowców – myślał z goryczą.

W środowisku rolniczym wiadano, że Maringe był przed wojną właścicielem ponad czterysta hektarowego majątku Lenartowo w powiecie mogileńskim i usilnie działał na rzecz modernizacji rolnictwa. Inni przedwojenni inżynierowie rolni, którzy po wojnie otrzymali posady w PNZ-etach a po dwóch latach zostali aresztowani, także mocno angażowali się w okresie międzywojennym w odbudowę niepodległej Polski, a podczas niemieckiej okupacji działali w konspiracyjnych strukturach. Inżynier Maringe podobno stracił w Powstaniu Warszawskim dwóch synów. Po wojnie, pomimo utraty wszystkiego co posiadał, z poświęceniem zajął się zabezpieczaniem ziemi uzyskanych przez Polskę na opuszczonych przez Niemców terenach. W podzięce za poświęcenie i pracę dostał dożywocie za sabotaż i próbę obalenia ustroju. Przesiedział w więzieniu siedem lat i gdyby nie zmiany w 1956-tym roku, nigdy nie wyszedłby na wolność.

- Nigdy nie uwierzę w winę ludzi, dla których służenie Polsce było zwykłym obowiązkiem – postanowił, gdy zdał sobie sprawę z niesprawiedliwości, jaka spotkała ludzi odważnych i honorowych.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – napominał jednak sam siebie, kiedy dopadała go chęć dowiedzenia się czegoś bliższego o swoim poprzedniku i jego ewentualnym związku z aresztowaniami. Jednak ta powszechnie znana mądrość, o której starał się pamiętać, nie zawsze powstrzymywała go od zadawania pytań i dochodzenia do prawdy.

Sprawa Czarneckiego i kierownictwa ZO PNZ w Koszalinie została nagłośniona w gazetach. Podawano nazwiska oskarżonych i wyliczano ich winy. Anonimowy dziennikarz „Głosu Szczecińskiego” – śledztwo prowadził Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie pod nadzorem Wojskowej Prokuratury Rejonowej a proces toczył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym tegoż miasta - rozpisywał się o szajce sabotażystów, marnotrawców i złodziei wywodzących się z jaśniepaństwa, z przedwojennych obszarników udających, że chcą wraz z robotnikami i chłopami odbudowywać zrujnowaną ojczyznę, a których wroga robota w porę została zdemaskowana przez czujnych działaczy kół

folwarcznych PPR. Żądano surowych wyroków. I tak się stało. Czarneckiego skazano na karę śmierci a innych na wieloletnie więzienie.

- Tego Czarneckiego to nie powiesili – powiedział stary brygadzysta Kisielnicki, gdy zapytał go, gdzie wykonano wyrok śmierci. Byli sami w oborze. Ustalali bieżące niezbędne prace remontowe.

- O! – zdziwił się i aż przystanął.

– Siedzi w więzieniu i czeka na wykonanie wyroku? – zapytał, wyciągając papierośnicę.

Podsunał ją Kisielnickiemu, ale ten pokręcił głową i powiedział:

- Z filtrem nie palę. A temu Czarneckiemu zaraz po procesie sąd zmienił wyrok śmierci na piętnaście lat więzienia. Zresztą obrońcy zaskarżyli wszystkie wydane w Szczecinie wyroki i wygrali. Jednych wypuścili, innym zmniejszyli lata odsiadki. Wszyscy wiedzieli, że oskarżenia były naciągane. Ale o tym to już prasa nie napisała. Co się ludzie nacierpieli to ich. Szkoda gadać.

- A Kisielnicki skąd to wszystko wie? – zapytał i zaraz ugryzł się w język, bo starszy człowiek spojrzał na niego z ukosa.

- Skąd wiem, to wiem – odburknął. – Jak pan rzadca taki ciekawy, to niech pogada z naszym aniołem stróżem.

- Z jakim aniołem stróżem? – nie pojął aluzji.

- No z tym Porębkiewiczem z Urzędu Bezpieczeństwa co tu ciągle przyjeżdża. Może panu coś powie. Lubi się chwalić swoimi wyczynami, ale tylko wtedy, gdy się porządnie napije.

Wspomnienia z początków jego pracy w Dobrym zostały nagle przerwane. Drzwi do pokoju, w którym leżał otworzyły się i do wnętrza wpadła smuga światła z przedpokoju.

- Śpisz? – usłyszał cichy głos żony.

- Nie, trochę odpoczywam. Ty też się dziś napracowałaś. Dobrze się czujesz?

- Tak – odpowiedziała. – Marcin jeszcze nie wrócił. Niepokoję się.

Odrzucił koc i usiadł.

- Pójdę go poszukać. Pewnie zasiedział się u Marka. Pamiętasz tego funkcjonariusza z Urzędu Bezpieczeństwa, który tu kiedyś często przyjeżdżał i węszył? Podobno ktoś go zabił –

powiedział, choć wcześniej przyrzekł sobie solennie, że nie wciągnie Krystyny w tamte ponure czasy.

- O! – zdziwiła się Krystyna i usiadła obok niego. – Przecież on już musiał być na emeryturze. Nadal mieszkał w Koszalinie?

- Nazywał się Porębkiewicz – poinformował ją, choć nie o nazwisko zapytała. – Nie wiem, gdzie mieszkał, ale zabili go w Mielnie. Dziwne, prawda? Pogadamy później. Idę po Marcina.

- Słuchaj – zagadnęła Wirgiliusza Krystyna, gdy już ułożyli się do snu na rozłożonej wersalce. – Przypomniało mi się, że Porębkiewicza ludzie posądzali o to, że wykończył tego Miszkiewicza, na którego miejsce ty przyszedłeś. Mnie tu jeszcze nie było, ale poznałam Miszkiewiczową. Mieszkała jeszcze w Dobrem, kiedy się pobraliśmy. Biedna kobieta. Ni to wdowa, ni porzucona. Została z dwójką małych dzieci. Co się z nią potem stało?

- Wróciła do Warszawy, bo miała tam matkę – odpowiedział. – Porębkiewicz najpierw nękał ją i jej męża, a po jego zaginięciu nadal ją nachodził. Nie wytrzymała tego. Mąż nie wracał, ciała nie znaleziono. Porębkiewicz ją napastował i pewnie groził. Miszkiewiczowa była ładną młodą kobietą. Chyba bardzo mu się podobała. Kiedy wyjechała, przestał przyjeżdżać i wszyscy odetchnęli. Wielu osobom zaszkodził. Straszył, werbował, szpiegował i oczywiście meldował przełożonym. No chyba, że ktoś mu donosił na innych, albo opłacał się. Brał zresztą wszystko - jedzenie, pieniądze, biżuterię, a najchętniej bimber. Kto chciał spokojnie pędzić siwuchę, musiał mu część oddawać.

- Biedna kobieta – mruknęła sennie Krystyna, mając prawdopodobnie na myśli Miszkiewiczową.

- Teraz można jakoś żyć – przyszło do głowy Wirgiliuszowi, gdy zasypiał. – Gierek stawia na rozwój i modernizację. Po rozruchach w Gdańsku w 70-tym roku, sytuacja się wyraźnie poprawiła. Nawet za granicę łatwiej wyjechać.

3. Oficer



Ciało Władysława Porębkiewicza znaleziono w Mielnie 19-tego listopada 1972-giego roku. Była niedziela. Mieszkanka Mielenka Janina Wędra wstąpiła na cmentarz po drodze na niedzielą mszę w kościele pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w Mielnie. Miała w zwyczaju odwiedzać grób swojego męża, nicponia i pijaka, stałego bywalca mordowni „Mewa”, który zmarł był przed pięcioma laty na skutek licznych obrażeń – potrącił go niezidentyfikowany pojazd mechaniczny, gdy po zmierzchu chwiejnym krokiem wracał do domu aleją lipową prowadzącą z Mielna do Mielenka. Pojazdu oraz kierowcy nie znaleziono. Zresztą i tak uznano, że nikt nie miałby szans ominąć w ciemnościach zataczającego się osobnika, nie uderzając przy tym w jedną z gęsto rosnących przy drodze lip.

- Sam jest sobie winien – twierdzili wszyscy.

Mieszkańcy Mielna i Mielenka wypowiadali tę kontrowersyjną opinię głośno, a badający przyczyny wypadku milicjanci po cichu.

Żona Wędry i dorastające dzieci nie domagali się zbyt uporczywie od organów ścigania odnalezienia nieumyślnego zabójcy ich męża i ojca oraz wymierzenia mu sprawiedliwej kary. Rodzina, choć pogrążona w żalu i smutku, tak naprawdę odetchnęła z ulgą. Skończyły się w ich domu pijackie awantury, bicie, wyzwiska. Minęła permanentna niepewność dnia następnego. Żal i smutek rodziny były jednak szczere. Żalowali bliskiego im człowieka, który sam siebie zatracił i zmarnował życie sobie i im. Smucili się, że nie dostał od losu szansy na opamiętanie się i zmianę swego nagannego postępowania. Częste wizyty żony na cmentarzu miały więc mocne podstawy. Kobieta chciała uprosić dla męża wybaczenie u Boga i ludzi, a szczególnie u skrzywdzonego wspólnego potomstwa.

Janina Wędra zmówiła zdrowaśkę i „wieczny odpoczynek” za duszę męża, zebrała z grobu wypalone świece, zgarnęła liście, zapakowała wszystkie resztki do wiaderka i poszła do pojemnika ze śmieciami. I tam właśnie, w wysokiej zwiędłej jesiennej trawie, za cmentarnym śmietnikiem zobaczyła dziwnie wyglądającego leżącego na gołej ziemi mężczyznę. W pierwszej chwili cofnęła się przestraszona, ponieważ miała głęboki uraz do pijaków. Potem jednak znów wyjrzała zza pojemnika na śmieci.

- To trup, a nie pijany – pomyślała.

W czasie wojny i po niej napatrzyła się na martwych ludzi i potrafiła rozpoznać oznaki śmierci. Martwych mężczyzn nie bała się więc tak bardzo jak pijanych. Leżące za śmietnikiem zwłoki były trochę przysypane zeschniętymi liśćmi. Nie wiadomo czy nawiał je wiatr, czy ktoś je na zwłoki rzucił.

- Kto by rzucał liście. Wiatr je nawiał - przyszło jej do głowy.

Martwy mężczyzna miał na sobie szary wełniany płaszcz. Płaszcz był całkowicie rozpięty, poły płaszcza rozłożone szeroko a wypukłą pierś mężczyzny opinała ciemnoszara zapięta na jeden guzik marynarka. Koszula i krawat - w idealnym porządku, jakby przed śmiercią zadbał o elegancki wygląd – także były szare, podobnie jak spodnie z ostro zaprasowanym kantem, z których wystawały stopy odziane w wysokie szare skarpety i wypolerowane do połysku czarne buty.

- Elegancki facet – mruknęła, podeszła bliżej i spojrzała na mężczyznę z góry.

Trup patrzył na nią szeroko otwartymi oczami spod głęboko na czoło nasuniętego kapelusza. Przestraszyła się i cicho krzyknęła zaskoczona uważnym, przenikliwym spojrzeniem martwych oczu. Nie bała się trupów. Przyzwyczaiała się do ich widoku nie tylko podczas wojny, ale także podczas tradycyjnych modlitw w domach zmarłych sąsiadów. Także w czasie mszy żałobnych trumny pozostawały otwarte, aby zgodnie ze zwyczajem każdy mógł się ze zmarłym pożegnać przed odprowadzeniem go w ostatnią drogę. Teraz jednak poczuła się nieswojo, ponieważ wszyscy zmarli, których widziała z bliska, mieli zamknięte oczy, a ten wytrzeszczał swoje, jakby czegoś od niej żądał.

Rozejrzała się uważnie dookoła, poszukując wzrokiem kogoś, kto tak jak ona przyszedł w niedzielny poranek na grób bliskiej osoby. Nikogo nie zauważyła, ale usłyszała skrzypienie furtki prowadzącej na cmentarz. Rzuciła byle gdzie wiadro ze śmieciami i pobiegła w stronę wejścia. Stała zaskoczona, bo furka była otwarta, ale nikt przez nią nie wszedł. Wybiegła na

ulicę. Pusto. Stała bezradnie i patrzyła raz w stronę Mielenka, a raz w stronę Mielna. Wreszcie zobaczyła idącą od strony Mielenka postać i rozpoznała starą Zaleską. Czekala, aż kobieta podejdzie bliżej.

- Dzień dobry Wędrowa – powiedziała Zaleska. – Co tak stoicie przed cmentarzem? Byliście na grobie tego waszego pijusa?

- Znalazłam trupa – odezwała się niepewnie Wędrowa, gdyż wołałaby, aby z pomocą nadszedł ktoś inny, dużo młodszy od Zaleskiej i najlepiej rodzaju męskiego.

- No to nie nowina – zachichotała cicho Zaleska. – Miejsce trupa jest na cmentarzu. A co wy taka zdenerwowana?

- Pani Zaleska – podniosła głos Wędrowa. – Przy cmentarnym śmietniku leży nieżywy człowiek. Jakiś obcy facet. Nie wiem, czy sam umarł, czy ktoś go załatwił.

Mówiła, patrząc gdzieś daleko za plecy starszej kobiety – ta była niewielkiego wzrostu a z wiekiem pochyliła się, co czyniło ją jeszcze mniejszą – jakby nadal wypatrywała nadejścia stamtąd męskiej pomocy.

- Choć pani – Zaleska zdawała się nieporuszona ponurą wieścią. – Zobaczę tego nieszczęśnika.

Weszły na cmentarz i po kilkunastu krokach stały przy zwłokach.

- A co on taki zadbany? Chyba nietutejszy? – zapytała starsza kobieta. – Czyżby dostał zawału?

Pochyliła się nad zwłokami i laską strąciła kapelusz z głowy mężczyzny. Rzadkie włosy skryte dotąd pod kapeluszem były pokryte zastygłą krwią, która wyciekła spod spodu głowy i wsiąkła w ziemię.

- No to albo ktoś go załatwił, albo sam się nieszczęśliwie przewrócił i uderzył w głowę. W starszym wieku należy bardziej uważać – wypowiedziała się spokojnie Zaleska i zarządziła:

- Ja tu zostanę, żeby go przypilnować, a Wędrowa niech idzie na milicję.

- A Zaleska nie boi się zostać sama?

- A czego mam się bać. Co to ja trupa nie widziałam!?

- Czy się Zaleska nie boi tego mordercy?

- Idź, idź i szybko wracaj z milicją – ponagliła Wędrową Zaleska, machając niecierpliwie laską i nie odpowiadając na zadane pytanie.

Starszy sierżant Czesław Szalc, komendant posterunku milicji w Mielnie, przybył na cmentarz bardzo szybko. Miał w tę niedzielę służbę. Posterunek znajdował się na ulicy Kościelnej, naprzeciw kościoła parafialnego, więc odległość pomiędzy posterunkiem a cmentarzem wynosiła niecały kilometr. Przyjechał motorem z przyczepą, zaparkował przez cmentarzem i szybkim krokiem podszedł do machającej do niego laską starszej kobiety.

- Coś tu było dotykane? – zapytał groźnym tonem, ale zaraz się zreflektował i zadał ugodowe pytanie:

- Szła pani do kościoła, pani Zaleska?

- Wiadomo, bo dokąd bym szła w niedzielę rano? Na spacer?

- Niech się pani nie gniewa. Proszę spokojnie iść do kościoła. A po mszy razem z Wędrową przyjdźcie koniecznie na posterunek. Trzeba będzie was przesłuchać. To bardzo poważna sprawa.

- Niech się komendant Szalc nie martwi – odpowiedziała udobruchana Zaleska. – Przyjdziemy. A wie komendant, kto to jest?

- Niech już pani idzie – Szalc udał, że nie słyszy pytania.

Znał leżącego pod cmentarnym śmietnikiem mężczyznę. Rozpoznał w nim emerytowanego oficera UB, a po 1956-tym roku SB. Widywał go niekiedy w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Koszalinie i przypomniał sobie, że niedawno przeszedł on na emeryturę. Pod rozchylonymi połami płaszcza nieboszczyka nie zauważył kabury z bronią, więc rozpiął mu marynarkę i sprawdził, czy nie znajdzie jej pod nią. Spodziewał się, że emerytowany oficer służb specjalnych będzie miał przy sobie broń, pistolet P-64, będący na typowym wyposażeniu wojska i milicji. Pistoletu jednak nie było, choć pod marynarką pozostały szelki i pusta kabura.

- Będzie niezła afera – pomyślał.

Zapiął trupowi marynarkę, wyprostował się i postanowił niczego więcej nie dotykać. Niecierpliwie czekał na pojawienie się swego współpracownika, starszego szeregowego Witolda Janczewskiego, który na stałe zagościł na mieleńskim posterunku po wydarzeniach z końca lat sześćdziesiątych, kiedy utopiono w Mielnie kilka młodych kobiet. Komendant Komendy Powiatowej MO w Koszalinie uznał, że Mielno musi zabezpieczać przez cały rok dwóch milicjantów, bo współpraca z ochotnikami z ORMÓ, czyli Ochotniczej Rezerwy Milicji

Obywatelskiej oraz z wojskiem już nie wystarcza. Mielno stało się od pewnego czasu kurortem, do którego przez cały rok przyjeżdżali goście z całej Polski.

- Melduję się panie komendancie! – wołał z daleka młody funkcjonariusz Witek Janczewski, jak zawsze w dobrym nastroju, dziarski, nienagannie umundurowany i w błyszczących, dobrze wypolerowanych butach. Szelc, sporo od niego starszy, po cichu podziwiał go i zazdrościł nadmiaru energii. Sam czuł się bowiem wypalony i coraz częściej myślał o emeryturze.

- Co mamy? – zapytał Janczewski, stając obok Szelca. – Niezły pasztet – wyszeptał po chwili, bo rozpoznał ofiarę. – To jest przecież Porębkiewicz. Jakim cudem znalazł się w Mielnie i to na cmentarzu!?

- Stój tutaj i zabezpieczaj miejsce. Zginęła broń. Ja jadę powiadomić powiatową. Oni z pewnością zwołają ludzi z Wojewódzkiej. Wrócę tu z nimi i zmienimy się. Ja zostanę tutaj, a ty będziesz warował na posterunku. Mają tam pojawić się dwie starsze kobiety z Mielenka, które odkryły zwłoki. Przytrzymasz je do mojego powrotu. Śledczy z Koszalina będą chcieli je przesłuchać.

Połączone siły MO i SB z Komendy Wojewódzkiej MO w Koszalinie przybyły na miejsce odnalezienia zwłok po dwóch godzinach. Milicyjny Wydział Kryminalny reprezentował kapitan Jan Madejski, a Wydział Śledczy SB kapitan Aleksander Dudło. Towarzyszyły im dwie ekipy techniczne, prokurator Zdzisław Kujawa i lekarz sądowy Stanisław Woźniak. Cmentarz został zamknięty, a Szelc odesłany do rozpraszania gapiów gromadzących się przed ogrodzeniem cmentarza. Ciekawskich przyciągnęły zaparkowane na ulicy samochody. Były znakiem tego, że zdarzyło się coś niezwykłego i tragicznego zarazem.

- To jest nasz człowiek – oznajmił Madejskiemu Dudło, gdy zobaczył nieboszczyka. – My się zajmujemy tą sprawą. Wy będziecie nam pomagać. Swoich techników możecie odesłać. Nasi wystarczą. Odsuńcie się – kapitan służb bezpieczeństwa wyrzucał z siebie słowa jak karabin maszynowy pociski.

- Śmierć nastąpiła prawdopodobnie na skutek urazu głowy – lekarz zakończył oględziny zwłok i zwrócił się do obu oficerów, nie wiedząc już, który z nich jest teraz ważniejszy. – Został uderzony w tył głowy twardym ostrokrawędzistym narzędziem typu szpadel, łopata albo stępiona siekiera. Dziwne, że leży na wznak. Przy tego typu uderzeniach ofiara zwykle pada na

twarz. Możliwe, że ktoś go odwrócił, ale na ubraniu z przodu nie widzę śladów błota czy trawy. Musicie to zbadać.

- Kiedy? – ostro zapytał Dudło.

Madejski milczał. Na razie nie pojął jeszcze decyzji jak się zachować w nieznanej mu jak dotąd sytuacji podwójnego dowodzenia. Zastanawiał się, czy w ogóle podejmować współpracę z bezpieką, skoro ta manifestuje swą samowystarczalność.

- Śmierć nastąpiła w nocy. Przypuszczam, że późno w nocy, a może nawet nad ranem. Pewności nie mam. Jest zimno, więc stężenie pośmiertne utrzymuje się długo, ale temperatura części zakrytych ciała jeszcze zupełnie nie zrównała się z temperaturą otoczenia, więc rzeczywiście mógł zginąć dopiero nad ranem. Rogówka zmętniała, plamy opadowe nie są w pełni utrwalone, więc od zgonu minęło od 12 do 5 godzin.

- Jasna cholera! – wrzasnął Dudło. – Co emerytowany funkcjonariusz robił w nocy na cmentarzu w Mielnie?! I kto mu zabrał pistolet?! Sam przyszedł, czy ktoś go tu na siłę przyprowadził albo przywiózł?! Gdzie są kobiety, które go znalazły?!

Kapitan Madejski uznał, że może teraz wkroczyć do akcji. Doświadczenie kryminalne kolegi z Wydziału Śledczego SB zdało mu się niewielkie, a przynajmniej mniejsze od jego długoletniego doświadczenia. Wskazywała na to nadmierna nerwowość. On i jego kryminalna ekipa, po latach pracy, które mieli za sobą, niczemu już się nie dziwili, nie zadawali głupich pytań, a przede wszystkim nie okazywali emocji nawet w najbardziej nietypowych przypadkach.

- Wszystko to wyjaśnimy panie kapitanie – odezwał się i poklepał kolegę po ramieniu. – Ja się tym zajmę i będę panu raportował. Kobiety czekają na posterunku. To starsze panie. Podobno nie dotykały ciała.

Dudło uspokoił się natychmiast, a wyraz twarzy wskazywał, że odczuł ulgę.

- Dobra – powiedział. – Działajcie. Ja wracam do Koszalina i złożę meldunek komendantowi Kurachowi. Jutro stawcie się u mnie. Chcę mieć raport z oględzin, przesłuchań i z sekcji zwłok.

- Tak jest – odpowiedział służbowo Madejski, choć byli równi stopniem i zachichotał w duchu.

Przesłuchanie kobiet, które odkryły zwłoki na cmentarzu nie przyniosło ważnych informacji. Ot, zwykły przypadek. Nikogo nie widziały, o niczym nie wiedziały, ofiary nie znały, broni nie widziały, ciała nie dotykały, a jedynie jedna z nich laską zdjęła kapelusz z głowy ofiary. Sekcja zwłok potwierdziła, że zgon nastąpił wskutek silnego uderzenia ostrokrawędzistym narzędziem. Długość i charakter rany wskazywały na szpadel lub podobny sprzęt. Potwierdził się także przybliżony czas zgonu. Najbardziej prawdopodobne okazały się wczesne godziny poranne. Ciało odnaleziono o godzinie 8.40-8.45, więc śmierć musiała nastąpić przed 6 rano, ale nie wcześniej niż o 4.00. Na ciele nie znaleziono znamion walki. Stwierdzono, że zawartość alkoholu we krwi ofiary – krew pobrano dopiero w poniedziałek, a więc po ponad dwudziestu czterech godzinach od śmierci, a po takim czasie ilość alkoholu we krwi i mięśniach zmniejsza się o około sześć procent – musiała przekraczać dwa i pół promila, a zatem denat w momencie ataku i śmierci był w stanie upojenia alkoholowego. Ślady zebrane na miejscu zdarzenia wskazywały, że ofiara zginęła na cmentarzu w miejscu, w którym ją odnaleziono. Zwłoki nie były przemieszczane. Mogły zostać natomiast odwrócone na plecy, a osoba, która tego ewentualnie dokonała musiała być na tyle silna, żeby poradzić sobie z ciężkim ciałem dobrze zbudowanego mężczyzny. Przypuszczalnie zatem mordercą musiał być także dobrze zbudowany i silny mężczyzna.

Zabezpieczono odciski butów znalezione wokół śmietnika i te które były na alejce prowadzącej do wyjścia. Ujawniono ślady butów ofiary, obu kobiet, które ją znalazły i trochę innych, wcześniejszych. Ich porównanie nie przyniosło jeszcze zadowalających rezultatów, bo nie zdążono przed naradą ujawnić i przesłuchać wszystkich, którzy odwiedzili cmentarz w piątek, sobotę i niedzielę rano. Ślady sprzed piątku, ku zadowoleniu techników kryminalnych, zniknęły w strugach deszczu padającego w nocy z czwartku na piątek. Śledczych zainteresowały szczególnie odciski dużych, roboczych butów - gumofilców, jak szybko ustalono – które, choć częściowo zdeptane, zdawały się iść równoległe do śladów ofiary oraz widniały wokół niej i wokół śmietnika.

Trwały prowadzone już od południa w niedzielę przepytywania mieszkańców Mielna i Mielenka, a ponieważ gumofilce nosili przede wszystkim pracownicy pegeeru, ich przepytywano jako pierwszych. Na razie bez powodzenia. Rozmiar odkryty na cmentarzu nosiło wielu robotników, w tym także kobiety, bo mało kto dobierał sobie walonki odpowiednie do numeru buta. Wybór był bowiem niewielki. Dodatkowo nikt z pracowników nie przyznawał się do niedzielnej porannej wizyty na cmentarzu. Zebrano jednak resztki ziemi i innych

zabrudzeń z gumofilców o odpowiednim rozmiarze i wysłano do laboratorium razem z próbkami ziemi zebranymi z cmentarza. Na wyniki trzeba było poczekać.

Przesłuchanie żony majora Władysława Porębkiewicza rozczarowało śledczych. Maria Porębkiewicz stwierdziła, że od dawna prowadzili z mężem osobne życie i prawie w ogóle nie rozmawiali. Nie wiedziała, dlaczego pojechał do Mielnia, jak często tam bywał i z kim się spotykał. Jedyne dziecko Porębkiewiczów, po ojcu także Władysław, od roku studiował w Gdańsku i w fatalnym dniu tam właśnie przebywał. Oględziny mieszkania także nie przyniosły ciekawych wyników. Pokój denata był zamknięty na klucz, a ponieważ żona kluczem nie dysponowała, drzwi otwarli technicy. Porębkiewicz zajmował największy z trzech pokoi. Mieszkanie znajdowało się przy ulicy Szymanowskiego na parterze pruskiej kamienicy otoczonej przez ładny, ale zaniedbany ogród. Z pokoju majora, wypełnionym eleganckimi rzeźbionymi meblami, wychodziło się na taras, a potem schodkami do ogrodu. Kotary na oknach zastano szczelnie zasunięte. Przeszukano biurko i szafy, zabezpieczając wszystkie znajdujące się w nich dokumenty. Jedną z zamkniętych na klucz podręcznych szafek wypełniona była różnokształtnymi butelkami z nalepkami informującymi o ich zawartości. Porządnymi równymi literami napisano: „wiśniówka, 70”, „śliwówka 69”, „malinówka 71” i tym podobne.

- Czy rozpoznaje pani charakter pisma? – zapytano Porębkiewiczową, która asystowała przy przeszukaniu.

- Tak. Mąż każdego roku robił nalewki i podpisywał każdą butelkę – odpowiedziała.

Nalewek nie zabrano. Pistoletu nie znaleziono.

- Zaczniemy od Porębkiewiczowej i od syna – zaproponował Madejski na poniedziałkowej naradzie. – Ona ma alibi, ale trzeba ją mocniej przycisnąć. Musiała przecież obserwować męża. Z pewnością sporo o nim wie. Syn też ma alibi, ale do sprawdzenia.

- Dobrze – zgodził się Dudło. – Wy badacie rodzinę, a my sprawdzimy dokumenty spraw, które prowadził Porębkiewicz. Może ktoś chciał się na nim zemścić. Jakiś politycznie niepewny element, albo szaleniec. Czy przepytujecie mieszkańców Mielnia?

- Oczywiście. Sprawdzamy wszystkich, którzy byli ostatnio na cmentarzu i bierzemy odciski ich butów. Czekamy na wyniki z laboratorium. Sprawdzamy, kto i kiedy widział obywatela majora. Przesłuchujemy każdego, kto mieszka przy ulicy Kościelnej i w Mielenku.

Wyłapujemy tych, którzy często przechodzą koło cmentarza, idąc do pracy czy do sklepu. Jeszcze za wcześnie na wnioski. Potrzebujemy więcej czasu i ludzi. Nie łatwo zachęcić obywateli do rozmowy.

- Wykorzystamy nasze możliwości – oświadczył stanowczo kapitan Dudło. – Wy róbcie swoje. Macie w Mielnie swoich funkcjonariuszy, Szelca i tego młodego milicjanta.

- Robimy swoje, obywatelu kapitanie – odpowiedział Madejski buńczucznie, bo wkurzał go ton Dudły. – Szelc sporządził obszerne sprawozdanie z własnych obserwacji. Dwukrotnie widział majora Porębkiewicza w Mielnie w ostatnim czasie. Nie rozmawiali, bo major nie okazywał tego, że się znają, więc Szelc go nie zaczepiał.

- Kiedy go widział i z kim? – Dudło nie zmienił tonu.

Madejski powstrzymał narastającą w nim irytację.

- Widział go przelotnie, gdy patrolował Mielno. Twierdzi, że było to w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Porębkiewicz był sam. Szelc pamięta, że po prostu szedł sobie ulicą w stronę morza. Pomyślał, że major przyjechał do Mielna na spacer. W końcu emeryt. Nie zdziwił się także, że nie rozpoznał mieleńskiego milicjanta, albo nie chciał rozpoznać. Gdzie tam zwykłemu milicjantowi do oficera służb bezpieczeństwa – powiedział Madejski, pozwalając sobie na przytyk.,

- Dobra. Dajcie spokój. Do roboty – zarządził Dudło.

Ludzie Dudły spędzili kilka dni i nocy w archiwum i wytypowali sprawy, które prowadził Porębkiewicz i które mogły nasuwać myśl o zemście. Szukali jednak igły w stogu siana. Spraw przez lata uzbierało się wiele, a osób, którymi major się zajmował jeszcze więcej. W papierach zabezpieczonych w mieszkaniu majora także nie znaleziono niczego, co mogłoby stać się punktem zaczepienia dla śledztwa. Zdziwiono się bardzo, ponieważ wśród dokumentów nie było prywatnej korespondencji, pocztówek, laurek czy życzeń. Wyglądało na to, że z prywatnych papierów oficer zachował jedynie dokumentację medyczną, która nie była zbyt obszerna i nie wskazywała na poważne problemy zdrowotne.

Maria Porębkiewicz, przesłuchiwana przez Madejskiego już po raz trzeci, uparcie twierdziła, że sposób życia męża nie był jej znany ani przed jego przejściem na emeryturę, ani potem. Ta elegancko ubrana około sześćdziesięcioletnia kobieta z precyzyjnie ułożonymi średniej

długości włosami koloru starej miedzi, niewysoka i bardzo drobna, denerwowała śledczego autentycznym albo udawanym spokojem. Nie była ładna, ale miała dobrze zrobiony makijaż, który dodawał jej uroku, a odejmował lat. Jej wypielęgnowane dłonie spoczywały bez najmniejszego ruchu na kolanach. Oczy utkwiała gdzieś w ścianie za jego plecami.

- Proszę pana! – mówiła spokojnym i pewnym głosem. – Wie pan doskonale, kim był mój mąż i wie pan także zapewne, że oficerowie służb specjalnych nie mają zwyczaju opowiadać w domu o sprawach służbowych. Nawet we wczesnym małżeństwie Władysław nigdy ze mną nie rozmawiał o pracy, a z czasem w ogóle przestał ze mną rozmawiać o czymkolwiek. Żyliśmy pod jednym dachem, ale osobno. Dopóki syn był mały, razem dbaliśmy o jego wykształcenie i o to, aby nie odczuwał naszej wzajemnej wobec siebie obojętności. Kiedy dorósł niczego już nie można było ukryć. Wiedział, że każde z nas ma swoje życie.

- A z kim pani miała, albo ma jeszcze, swoje życie? – zapytał Madejski, licząc na to, że ją zdenerwuje.

- Żyję pracą w szpitalu. Jestem lekarzem pediatrą. Dobrym lekarzem. – odpowiedziała, nie patrząc na przesłuchującego ją mężczyznę.

Niewidzący wzrok utkwiała teraz w oknie.

- Z kim utrzymuje pani bliższe stosunki?

- Z nikim. A raczej nikt ze mną nie utrzymywał stosunków pozasłużbowych. Ludzie w pracy i poza nią wiedzieli, lub domyślali się, kim jest mój mąż. Woleli być ostrożni. Przyzwyczyłam się.

- Kogo zna pani w Mielnie?

- Nie znam nikogo poza miejscowym lekarzem. Ma dyżury w naszym szpitalu. Nazywa się ...

- Wiemy jak się nazywa! Kogo jeszcze pani zna? Do kogo jeździł mąż?

- Proszę pana – Porębkiewiczowa nadal mówiła spokojnym cichym głosem, ale mocno akcentowała każde słowo. – Mąż miał swoich znajomych. Znał także sporo kobiet. Ja ich nie znałam i nie chciałam znać.

- Czy w Mielnie odwiedzał jakąś kobietę?

- Nie wiem, ale to możliwe.

- Jak ona się nazywa!? – krzyknął nagle, aż kobieta podskoczyła na krześle.

- Nie wiem, czy był u kobiety, czy nie. Powiedziałam tylko, że jest to możliwe.

- Chcesz mi wmówić – przeszedł na „ty”, aby ją jeszcze bardziej speszyc - że mąż cię notorycznie zdradzał, a tobie było to zupełnie obojętne!? A może miałaś już dość upokorzenia i go zabiłaś!

- Głupstwa pan opowiada – odpowiedziała. – Poskarżę się pana przełożonym. Znam tu jeszcze kilka osób.

Madejski nie przestraszył się groźby. Miał pozwolenie na to, aby ją przycisnąć, a nawet przymknąć. Miała jednak dobre alibi. Nocny dyżur w szpitalu. Mogła kogoś wynająć, ale raczej nie brałaby na siebie ryzyka mieszania w sprawę obcej osoby. Chyba, że to synek, stając w obronie honoru matki, załatwił ojca za jej zgodą. Ta hipoteza także była zbyt chwiejna. Matka nie narażałaby syna. Sprawdzili zresztą, że noc z soboty na niedzielę spędził z kolegami na dyskotecę w gdańskim klubie studenckim „Kwadratowa”, w którym bawili się studenci Politechniki Gdańskiej.

W Mielnie działało kilku wywiadowców. Przesłuchali prawie wszystkich mieszkańców i trudno było im wytypować kogoś do poważnego przesłuchania. Ci, którzy odwiedzili mieleński cmentarz w dni poprzedzające niedzielę, twierdzili zgodnie, że na cmentarzu nie widzieli żadnego obcego mężczyzny. Nie rozpoznawano także Porębkiewicza na okazywanym im zdjęciu. Wersja nadmorskich spacerów majora także nie została potwierdzona.

- Panie oficerze – tłumaczyła każda z przesłuchiowanych osób, jakby wszyscy zmówili się, co mają mówić. – Ja nie mam czasu na spacer. Spacer są dobre dla przyjezdnych. No i jeszcze dla tych, co to mieszkają w Mielnie, ale pracują w Koszalinie i nie mają w niedzielę co robić. Jak ten Baczkowski. Ten to łązi po plaży cały rok, a nawet kąpie się zimą. Taki rąbnięty facet. Jedyną osobą, która rozpoznała ofiarę była kioskarka.

- Pamiętam, że w sobotę około szóstej wieczorem, tuż przed zamknięciem, kupił papierosy – powiedziała przestraszona, patrząc na podsunięte zdjęcie. - Dwie paczki marlboro, bo akurat w sobotę przywieźli. Był sam. Poszedł w kierunku Unieścia. Nigdy wcześniej ani później już go nie widziałam.

Marian Baczkowski stawiał się na przesłuchanie punktualnie. Był bardzo zdenerwowany, co powodowało, że czerwieniał się i jąkał, czym od razu wzbudzał podejrzenia. Madejski sprawdził go jeszcze przed przesłuchaniem i znalazł na niego haka. Baczkowski pracował w Wydziale Finansowym Powiatowej Rady Narodowej w Koszalinie. Kierował kilkusobowym zespołem kontrolującym gorzelnie i wszelkie inne zakłady w powiecie używające spirytusu. W takim fachu każdy ma coś na sumieniu. Baczkowski twierdził oczywiście, że niewiele wie, bo całe dnie spędza w terenie, do domu wraca tylko na noc, z ludźmi w Mielnie się nie kontaktuje a Porębkiewicza nie zna i nigdy nie widział, ale Madejski mu nie uwierzył.

- Panie Baczkowski – powiedział cicho, schylając się do lewego ucha przesłuchiwanego. – Wiemy o pana machlojkach ze spirytusem. Wiemy, że dostaje pan spirytus od gorzelanych. Możemy się temu bliżej przyjrzeć. Tylko od pana zależy, jak blisko.

Przesłuchiwany mężczyzna poczerwieniał jeszcze bardziej i schylił głowę. Zastanawiał się.

- Panie oficerze – wydusił z trudem. - Jestem niewinny. Nie mam nic wspólnego z zamordowaniem tego człowieka. Ostatnio go nie widziałem, ale znałem go i wiem, że nazywał się Porębkiewicz. Poznałem go w latach pięćdziesiątych. Ja pracowałem wtedy w Kołobrzegu. Też jako akcyznik, więc często kontrolowałem ze swoimi ludźmi gorzelnie w pegeerach, a on nadzorował te same pegeery jako pracownik Urzędu Bezpieczeństwa. Siłą rzeczy spotykaliśmy się wtedy czasami. Potem widywałem go w Koszalinie, ale nie utrzymywaliśmy kontaktu. Wiadomo, nastąpiły zmiany i nikt nie wracał do tego, co działo się przed 56-tym.

- A co się działo? – podchwycił Madejski.

- Sam pan wie – padła szybka odpowiedź.

- Mnie interesuje, co się działo z Porębkiewiczem!

- Tego to ja nie wiem. Nie rozmawiało się o funkcjonariuszach UB.

Stało na tym, że Baczkowski nie zostanie – na razie – przymknięty, a sprawa spirytusu – do której za nic się nie przyznawał – będzie zapomniana, o ile delikwent rozpyta ludzi w Mielnie i w podległych mu pegeerach, wśród dawnych znajomych, o Porębkiewicza, jego kontakty i przypisywane kłopotliwe sprawy.

4. Wiedza prywatna



Następnego dnia po przesłuchaniu, późnym wieczorem, Marian Baczkowski zapukał do drzwi domu, w którym mieszkał mieleński milicjant Czesław Szelc z żoną i dwiema córkami. Aby dotrzeć do Szelca Baczkowski musiał przejść przez całe Mielno, od ulicy Pionierów, przy której mieszkał, do wylotu Lechitów na Strzeżenice, bo tam właśnie, na końcu miejscowości, stał dom Szelców. Baczkowski poznał bliżej Szelca cztery lata temu, kiedy w grupie kilku wtajemniczonych osób tropili zabójcę młodych kobiet. Po połowicznym sukcesie – ujawnionego przez nich mordercy nie dosięgła ręka sprawiedliwości, bo prawdopodobnie utonął i ślad po nim zaginął – nie kontaktowali się ze sobą, żeby ich prywatna akcja nie wyszła na jaw. Od tamtych dramatycznych wydarzeń wiedzieli jednak, że mogą sobie wzajemnie ufać. Baczkowski, któremu przesłuchanie mocno nadszarpnęło nerwy, potrzebował rady doświadczonego milicjanta i porządnego człowieka. Bił się z myślami i nie wiedział, jak wybrnąć z narzuconej mu przez śledczego sytuacji. Nie chciał donosić na mieszkańców Mielna i na dawnych znajomych, ale nie chciał także, aby milicja zaczęła grzebać w jego sprawach zawodowych. Na każdego bowiem można coś znaleźć.

Czesław Szelc nie wydawał się zaskoczony niespodziewaną wizytą dawno nie widzianego znajomego.

- Wchodź prosto do kuchni – powiedział po krótkim męskim powitaniu. – Żona z córkami oglądają telewizję. Pokazują pierwszy odcinek „Chłopów”. Rybkowski wyreżyserował Reymonta w doborowej obsadzie.

- Słyszałem, słyszałem – burknął Baczkowski. – Moje baby też oglądają.

Obaj panowie mieli po dwie córki i choć je kochali, to wciąż boleli nad tym, że nie mają synów, którzy mogliby przenieść w przyszłość ich ród i nazwisko. Obaj bali się jednak zaryzykować po raz trzeci, bo obawiali się powiększenia babinca, który im przypadł w udziale.

- Domyślam się, że masz kłopoty – rozpoczął właściwą rozmowę gospodarz. – Nie najlepiej wyglądasz. Słyszałem, że byłeś przesłuchiwany w sprawie Porębkiewicza.

- Z tym właśnie przychodzę. Przesłuchiwał mnie Madejski – odrzekł gość i pokrótce zrelacjonował przesłuchanie.

- Nie wiem co robić, bo Madejski zagroził mi, że jak nie będę współpracował, czyli donosił, to zainteresują się moją pracą. Wiesz o co chodzi? – zakończył relację.

Siedział przy kuchennym stole i rysował palcem na pokrywającej stół ceracie jakieś skomplikowane wzory.

- Cholera jasna! - zaklął Szelc. – A mogą cię na czymś złapać?

- Przecież dobrze wiesz, że mogą. W mojej branży zaopatrywanie się w lewy spirytus to norma. Każdy gorzelany ci go wciska, bo wtedy może wziąć coś dla siebie, a bez naszej zgody nie ma na to szans – palec Baczkowskiego zatrzymał się i ze złością uderzał teraz w blat stołu.

- No tak, tak – zreflektował się wreszcie milicjant. - Ja wiem i Madejski też o tym wie. Dlatego podejrzewam, że tylko blefował. Udawał, że ma na ciebie coś konkretnego. Ja się właściwie zapytałem, czy ktoś cię może sypnąć milicji.

- W normalnych warunkach nikt słowa nie piśnie, bo sam siebie pograży, ale jak się rozpęta afery, to nigdy nic nie wiadomo.

- No to trzeba zapobiec aferze – podsumował mieleński komendant. – Osobiście to nie mam najlepszych układów z Madejskim. Ale znam dobrze Wieśka Bąka, który pracuje w ekipie Madejskiego i jest z nim najbliżej. Wiesz co? – powiedział trochę zmienionym głosem. – Damy mu łapówkę.

- Komu?! – wrzasnął przestraszony Baczkowski i podniósł spuszczoną od dłuższego czasu głowę. - Łapówkę! Jaką łapówkę ?!

- Niczym się nie martw. Ja to załatwię. Ty masz mi tylko dostarczyć dwa litry dobrego spirytusu.

- Oszalałeś! Chcesz mnie pograżyć!

- Stary. Spokojna głowa – nie ustępował gospodarz, który najwyraźniej uwierzył, że przekupienie śledczego przyniesie więcej pożytku niż strat. – Madejski to niezły opój. Weźmie spirytus i będzie chciał więcej. A tobie da spokój.

Baczkowski kręcił głową ze zdziwienia, zmartwienia i niedowierzania.

- Wprowadzisz mnie na minę. Będę się musiał opłacać Madejskiemu bez końca. Tak samo było z Porębkiewiczem.

- O czym ty mówisz?! – tym razem Szelc nie wierzył własnym uszom. – Porębkiewicz cię szantażował? Dawaleś mu spirytus?

- Od lat. Zaczęło się na początku lat pięćdziesiątych. Skończyło po 56-tym. Wtedy to nawet nie był szantaż, tylko taka, powiedzmy, cicha przysługa. Ale trzy lata temu spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy w Koszalinie. Przypomniał mi dawne czasy, był bardzo grzeczny, ale wyraźnie powiedział, że wznawiamy kontrakt. Tak powiedział: „wznawiamy kontrakt”. Wiedział, że nie mogę mu odmówić. Spotykaliśmy się co kilka tygodni. Początkowo w parku w Koszalinie, a potem na plaży pod Mielenkiem. Przed każdym spotkaniem umawialiśmy się na konkretny dzień. Łapał mnie w Koszalinie na przystanku autobusowym przed Wojewódzką Radą Narodową. Oczywiście zachowywał się dyskretnie. Nigdy do mnie nie podchodził. Stawał tak, żebym go widział i odchodziliśmy w jakiś ustronne miejsce, żeby pogadać i ustalić termin.

- Szlag by to trafił! – wściekł się Szelc, wstał, oparł się obiema rękami o stół, przy którym siedzieli i intensywnie myślał.

- Zjesz gołąbka? – zapytał znienacka swego gościa. – Halinka robi najlepsze gołąbki na świecie.

- Poczułem od razu – przyznał Baczkowski, pociągając nosem. – Pachną apetycznie, aż ślinka leci.

- No to zjemy i pomyślimy – rzekł gospodarz, wyjął z kuchennej szafki dwa talerze i zdjął pokrywkę z dużego garnka, który stał na kuchni. – Jeszcze są ciepłe.

Jedli w milczeniu. Zapach gołąbków dotarł do pokoju telewizyjnego i sprowadził do kuchni żonę Szelca.

- O! Halinka! – powitał ją Baczkowski.

Wstał, otarł dłonią usta i ucałował dłoń kobiety.

– Wspaniałe gołąbki. Mam nadzieję, że nie jesteś zła, że wyjadamy ci jutrzejszy obiad – powiedział, zajmując ponownie miejsce przy stole i nadziejąc na widelec spory kawałek potrawy.

- Na zdrowie – odpowiedziała Halina, a w jej głosie nie było ani jednej fałszywej nuty.

Spojrzała na męża i od razu poznała, że nie powinna przysłuchiwać się jego rozmowie z gościem.

– Przykryj garnek, kiedy skończycie – poleciła i wyszła z kuchni.

- Mądrą masz żonę – skwitował jej krótką wizytę Baczkowski.

- Lata praktyki. Rozumiemy się bez słów – potwierdził Szelc.

Odsunął pusty talerz na środek stołu, odchylił do tyłu tułów i zaczął bujać się na krześle, które tylko dwiema nóżkami opierało się teraz o podłogę.

- Zaraz się przewróci – przyszło na myśl Baczkowskiemu.

Krzesło jednak nadal bujało się, a wraz z nim bujał się gospodarz. Kiedy cały ten niestabilny układ wreszcie się zatrzymał, Szelc powiedział:

– Zastanówmy się co robić. Powtórz raz jeszcze, do czego przyznałeś się Madejskiemu.

- Powiedziałem mu, że poznałem Porębkiewicza w latach pięćdziesiątych i że później widywałem go tylko przelotnie w Koszalinie, ale nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą.

- Musisz się tego trzymać. Jeśli Madejski dowie się o twoim nieszczęsnym kontrakcie z majorem, pójdziesz siedzieć i nie wywiniesz się od stryczka. Znajdą na ciebie dowody. Powiedz mi teraz prawdę. Załatwiłeś Porębkiewicza, żeby mieć z nim spokój, czy nie?

- Czesiu! – oburzył się szczerze Baczkowski. – Nie jestem zabójcą. Porębkiewicz był już starszym człowiekiem i widać było po nim, że od dawna za dużo chleje. Sam dałby mi niedługo spokój. Zresztą on mi nigdy nie groził. Po prostu chciał mieć dobrą darmową wodę. No wiesz! Nie sądziłem, że właśnie ty możesz mnie o coś takiego podejrzewać!

- To dobrze – odpowiedział niezrażony oburzeniem gościa milicjant. – Trzymaj się swojej wersji. Ja pogadam z Wieśkiem Bąkiem i wybadam, czego od ciebie Madejski oczekuje. Powiem mu, że ja im pomogę w rozmowach z mieszkańcami Mielna, że z tobą też będę rozmawiał, bo łatwiej ci będzie wygadać się przede mną niż przed nimi.

Zamyslił się, potem popatrzył uważnie na Baczkowskiego i dodał:

- Domyślasz się, że nie tylko ty znałeś Porębkiewicza. Każdy kto mieszka dłużej w Mielnie, Mielenku czy w Mścicach znał go dobrze i każdy wie, jaki podły był z niego człowiek. Nie

ciebie jednego szantażował. Ale nikt pary z gęby nie puści przed koszalińską milicją i Madejski dobrze o tym wie. Podsunę im kilka tropów. Mielno biorę na siebie. Ciebie przedstawię jako dobrego obywatela, który chętnie współpracuje z władzą. Ty na wypadek ponownego przesłuchania przygotuj sobie kilka opowieści o dawnych czasach i minionych sprawkach, o ludziach, którzy mieli na pieńku z Porębkiewiczem, ale którzy już nie żyją, albo od dawna są na emeryturze. Nie wiem, kto załatwił majora, ale jakoś niewiele mi zależy na tym, żeby go złapano.

- Był z niego kawał skur...syna – pokiwał głową Baczkowski. – A przygotować łapówkę dla Madejskiego?

- Na razie nie. Pożyjemy, zobaczymy.

Kiedy gość wyszedł, Czesław Szalc wrócił do kuchni, położył pokrywkę na garnku z gołąbkami, brudne talerze włożył do zlewu i znów usiadł przy stole. Oparł głowę na dłoniach i rozmyślał. Usłyszał kroki żony i otwieranie drzwi do kuchni.

- Kłopoty? – ni to spytała, ni stwierdziła Halina. – Przez tego Porębkiewicza?

- Że też ktoś go musiał załatwić właśnie w Mielnie – parsknął gniewnie Czesław i wyprostował się na krześle.

- A ja się nie dziwię – powiedziała Halina. – Przecież on tu przyjeżdżał do panienki.

- Do jakiej panienki?! – Szalc zerwał się z krzesła i rozwścieczony stanął przed żoną.

- To ty nie wiesz, że przyjeżdżał do tej młodej nauczycielki od muzyki z naszej podstawówki? Ludzie wszystko widzą.

- Do Bogumiły Mędrak? – zapytał zbyt głośno. – Wiesz to na pewno?

- Tak ludzie gadają. Ja ich tam razem nie widziałam – burknęła Halina niezadowolona z gwałtownej reakcji męża.

Szalc natychmiast zreflektował się i objął naburmuszoną żonę ramionami.

- Halinko, nie gniewaj się. Wiesz, że ja muszę tę sprawę jakoś przetrwać, a to nie będzie łatwe. Dziękuję za tę informację. Jutro dyskretnie pogadam z Mędrakówną. Patrzcie ludzie – zdziwił się. – Taka skromna młoda dziewczyna, zdawałoby się, że uduchowiona, zaangażowana w umuzykalnianie naszych dzieci, a kontaktuje się ze starym ubekiem.

- Mogła nie wiedzieć, kim jest Porębkiewicz – Halina stanęła w obronie młodej nauczycielki.

- Masz rację – zgodził się Czesław. – Ona chodzi z głową w chmurach. Poproszę Witka, żeby z nią pogadał. On potrafi rozmawiać z kobietami. Mnie się przestraszy.

Marian Baczkowski szedł ciemnymi ulicami Mielna w stronę swojego domu. Trochę mu ulżyło, bo Szelc obiecał odwrócić uwagę śledczych od jego osoby. Dręczyły go jednak słowa komendanta o stryczku, który mu groził, a przecież Szelc nie wiedział najgorszego. Nie mógł mu przecież powiedzieć, bądź co bądź milicjantowi, że Porębkiewicz przyszedł do niego w tę nieszczęsną sobotę późnym wieczorem lekko podchmielony, zasiadł za stołem i zażądał wódki. Jego żona Marianna podała szybko coś na przekąskę i ewakuowała się z dziewczynkami do innego pomieszczenia, a on musiał pić z Porębkiewiczem przez kilka godzin. Upili się. Nawet nie pamiętał dokładnie, o czym rozmawiali. Na początku gadali o dawnych czasach, potem o polityce. Z późniejszych rozmów, a raczej bełkotów, niewiele zapamiętał. Coś tam na przemian mówili o dzieciach, żonach i emeryturze. Padł nad ranem, a kiedy obudził się przed dziesiątą, zorientował się, że żona i córki nie wróciły jeszcze z kościoła. Głowę rozsadzał mu ostry ból i w ogóle był mało przytomny. Myślał jedynie o tym, aby wypić piwo i położyć się z powrotem do łóżka. Nawet nie zauważył, że jest w pokoju sam. Kiedy dźwignął się z pościeli i odruchowo spojrzał na stół w poszukiwaniu butelki zobaczył, że na stole leży pistolet. Dopiero wtedy, bardzo zaniepokojony znaleziskiem, przypomniał sobie, z kim popijał przez całą noc. Zerwał się z łóżka jak oparzony. Nieproszonego gościa w pokoju nie było. Wyszedł boso na korytarz, a następnie na dwór. Znów nikogo nie zobaczył. Otrzeźwiał momentalnie. Wrócił do pokoju, sprawdził, że w magazynku pistoletu znajduje się sześć nabojęw, zabezpieczył broń i ukrył głęboko w szafie, przyrzekając sobie, że jak najszybciej odda go Porębkiewiczowi. W pierwszej chwili chciał pierwszym autobusem pojechać za nim do Koszalina, ale przypomniał sobie, że nie zna jego adresu.

- Kiedy wytrzeźwieje, sam się szybko u mnie pojawi – pocieszał się, choć tak naprawdę nie miał już ochoty oglądać tego zarozumiałego i władczego typu.

- Coś się stało pod Mielenkiem – oświadczyła Marianna po powrocie z kościoła i zabrała się do przygotowywania kanapek na niedzielne śniadanie.

– A ty co? – zapytała, kiedy osowiały usiadł z rodziną do stołu. – Chlaliście całą noc. Ciekawe czy wytrzeźwiejesz do jutra? Wykończy cię ten ubek.

- Ciszej – syknął i spojrzał na dziewczynki, a właściwie już dorosłe pannie. – A co się stało pod Mielenkiem?

- Podobno znaleźli kogoś na cmentarzu – powiedziała szybko starsza córka, żeby nie dopuścić do dalszych wyrzutów ze strony matki i zapobiec nadciągającej domowej burzy.

- Jak to znaleźli kogoś na cmentarzu? – nie zrozumiał informacji.

- No po prostu. Znaleźli na cmentarzu martwego faceta.

Zrobiło mu się słabo i zszedł na dół. Zamknął za sobą drzwi pokoju. Leżał kilka godzin na łóżku i hamował narastający strach. Bardzo teraz chciał, aby Porębkiewicz zapukał do drzwi jego domu. Niestety, czas płynął, a nic się nie zdarzyło. Dopiero w poniedziałek rano dowiedział się o śmierci majora. Spanikował i jeszcze tej samej nocy zakopał pistolet i jedyną butelkę nielegalnego spirytusu, którą posiadał, w dwóch osobnych miejscach na nadmorskich wydmach.

Starszy szeregowy Witold Janczewski ucieszył się z polecenia, które otrzymał od swego przełożonego, starszego sierżanta Czesława Szelca. Od dawna przyglądał się młodej nauczycielce muzyki, której zwiewna postać i rozmarzony wyraz twarzy bardzo mu się podobały. Aż dotąd nie nadarzyła się okazja, aby mógł z nią porozmawiać bez wymyślania jakiegoś głupiego i niewiarygodnego pretekstu. Nie był nieśmiały i wiedział, że podoba się kobietom, ale w Mielnie znano go tylko jako milicjanta, co znacznie utrudniało wszystkie prywatne kontakty. Teraz miał dobry powód, aby spotkać się z nią bez niepotrzebnych podchodów.

Postanowił, że porozmawia z Bogusławą Mędrak poza szkołą i poza miejscem jej zamieszkania. Nie chciał psuć jej opinii w miejscu pracy i u Trusiów, małżeństwa od którego Bogusława wynajmowała pokój. Ubrany po cywilnemu czekał na nią późnym popołudniem na wysokości ulicy Orła Białego. Wiedział bowiem, że każdego dnia, poza dniami mroźnymi, śnieżnymi lub deszczowymi, jedzie rowerem z Unieścia do mieleńskiej szkoły, a potem wraca z tą samą drogą, czyli ulicą Chrobrego, po odbyciu licznych lekcji i zajęć dodatkowych. Codziennie, poza niedzielą, przemierzała tę samą trasę z i do klockowatego nowo wybudowanego domu państwa Trusiów, który stał w Unieściu nad brzegiem jeziora Jamno.

Zobaczył ją po półgodzinnym oczekiwaniu. Jechała powoli i rozglądała się dokoła, jakby po raz pierwszy widziała mijane widoki.

- Dzień dobry! – krzyknął niezbyt głośno, żeby jej nie przestraszyć, kiedy przejeżdżała obok niego.

Zatrzymała się i zeskoczyła z roweru.

- Dzień dobry – odpowiedziała, a na jej twarzy nie dostrzegł ani strachu, ani zdziwienia. – Pan jest milicjantem?

- Tak – potwierdził. – Pracuję na posterunku w Mielnie razem z komendantem Szelcem. – Czy możemy chwilę porozmawiać? – zapytał i szybko dodał:

- Tak na poły służbowo, na poły prywatnie.

- Dobrze – zgodziła się natychmiast. – Ja nawet się zastanawiałam, czy nie zgłosić się na milicję.

- Tak? A dlaczego? – zapytał, udając, że się niczego nie domyśla.

- Znałam tego pana, którego znaleziono martwego na cmentarzu – odpowiedziała drżącym głosem i z trudnością powstrzymywała łzy.

- Może przejdziemy się w stronę morza i porozmawiamy spokojnie – zaproponował. – Wezmę pani rower.

Milczeli, idąc pustą ulicą Orła Białego. Zaczęło już się ściemniać, ale nieliczne tu lampy uliczne jeszcze się nie świeciły. Przystanęli w niskim nadmorskim lasku. Janczewski oparł rower o najbliższą karłowatą i poskręcaną od morskich wiatrów sosnę. Zapachniała świeżością i żywicią.

- Mieszka pani u Trusiów? – zapytał, aby neutralnie zacząć rozmowę.

- Tak. Wynajmuję pokój. Szkoła mi dopłaca. Trusiowie mają dużo pokoiów. Wynajmują je latem wczasowiczom.

- Dobrze się u nich mieszka?

- Dobrze. Ale ja, poza niedzielą, całe dni spędzam w szkole, więc niewiele z nimi przebywam i rzadko dłużej rozmawiam. Nawet obiady jem w szkolnej stołówce. Jedyne co mi przeszkadza, to turkot maszyny do szycia, bo ja dużo słucham muzyki, a oni dorabiają sobie szyciem – powiedziała i zamilkła speszona. – Nie powinnam tego panu mówić, bo oni szyją – zawahała się - tak nieoficjalnie.

- Proszę się nie obawiać – uspokoił ją. – My nie czepiamy się porządných ludzi. Gdzie pani poznała majora Władysława Porębkiewicza? – zapytał szybko, aby ją zaskoczyć.

- Majora? – zdziwiła się. – Nie wiedziałam, że był wojskowym.

Janczewski milczał i patrzył na kobietę spokojnie. Nie chciał wyprowadzać jej na razie z błędu i nie chciał jej przerywać.

- To on mnie znalazł – powiedziała. – Pewnego wrześniowego dnia, zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego, czekał na mnie pod szkołą, to znaczy nie pod samą szkołą, tylko na ulicy niedaleko szkoły. Podeszedł do mnie, przedstawił się i zapytał, czy może mnie odprowadzić, bo chciałby mi coś ważnego powiedzieć. Zgodziłam się. Był elegancki i bardzo grzeczny, choć czułam od niego alkohol. Ja nie piję – wyjaśniła – więc od razu wyczuwam zapach alkoholu u innych.

- Co ważnego miał pani do powiedzenia? – przynaglał ją zaintrygowany.

- Powiedział, że zna, a właściwie znał, moją matkę – rzekła i zamilkła.

- I to była ta ważna wiadomość? – zdziwił się.

- Nie. Po drodze opowiadał mi o znajomości z moją matką. Mówił, gdzie się poznali, dokąd razem wyjeżdżali. Zadawał mi dużo pytań. Pytał, kiedy się urodziłam, jak mi szło w szkole, na studiach, dlaczego podjęłam pracę w Mielnie, ile zarabiam. Zadawał za dużo pytań i zbyt nachalnie, więc powiedziałam, że go nie znam i nie będę na te pytania odpowiadać. Chciałam, żeby zostawił mnie w spokoju. I wtedy oznajmił, że jest moim ojcem.

Głos jej się załamał i ponownie była bliska płaczu. Janczewski, bardzo zaskoczony informacją, którą usłyszał, dopiero po chwili milczenia zapytał:

- Uwierzyła mu pani?

- Strasznie się zdenerwowałam i on to zauważył, więc zaproponował następne spotkanie za dwa dni, żebyśmy mogła do tego czasu uspokoić się i wszystko przemyśleć. Ale ja jestem bardzo nerwowa. Podeszedł do mnie chyba w środę, a następne spotkanie ustalił na sobotę, po moich lekcjach. W czwartek musiałam wziąć wolne, bo nie byłam w stanie prowadzić lekcji. Poprosiłam pana Trusia, żeby zadzwonił z biura gospodarstwa rybackiego do kierowniczkę szkoły, że się zatrulałam. Jemu też powiedziałam, że się zatrulałam. W piątek trochę się uspokoiłam i nawet nieźle poszło mi w szkole, ale w sobotę przed spotkaniem znów się trzęsłam z nerwów i ledwie dotrwałam do końca lekcji. Tym razem czekał na mnie dalej od szkoły, żeby się nie rzucać w oczy.

- Gdzie na panią czekał? – zapytał, żeby dać jej czas na ochłonięcie, bo widział, że przeżywa raz jeszcze tamto wydarzenie.

- Na skraju lasu przy ulicy 1 Maja. Była ładna słoneczna pogoda. Chciał iść nad łąkami w stronę Mielenka, ale ja się nie zgodziłam. Bałam się.

- Bała się pani? Jego pani się bała? – dopytywał.

- Tak – potwierdziła. – Bałam się go. Znów czułam od niego alkohol. Nad łąkami mało kto chodzi. Powiedziałam, że z nim nie pójdę i że ma mówić to, co ma mi do powiedzenia, na miejscu.

- I co powiedział?

- Znów powtórzył, że jest moim ojcem, a potem mi to tłumaczył. Wiedział na przykład, że moja matka umarła jesienią w 1970-tym roku na raka. Wiedział, że mieszkaliśmy w Będzinie i że ona tam pracowała w sklepie. Powiedział, że wiedział o mnie, ale matka nie chciała go znać, bo ją porzucił, gdy była ze mną w ciąży. Nie chciała od niego pieniędzy i żadnej pomocy. Nie życzyła sobie, żebyśmy się widywali.

- A powiedział pani kim jest, albo kim był, kiedy poznał pani matkę?

- Mówił, że kontrolował pegeery w Będzinie i w innych miejscowościach, ale nie powiedział z jakiego urzędu, a ja nie dopytywałam.

- Pani ojciec był majorem Służby Bezpieczeństwa – poinformował ją i patrzył na jej reakcję.

Zamilkła i przez kilka minut stała bez ruchu.

- A powiedział, dlaczego teraz panią odnalazł i szuka kontaktu? – sformułował następne pytanie, aby zakończyć jej milczenie.

- Twierdził, że zerwali z matką wszelkie stosunki i nie chciał jej wchodzić w drogę; że kiedy dowiedział się, że matka nie żyje, postanowił mnie odnaleźć; że chce mi pomóc, wynagrodzić minione lata. Tak mówił.

- Często się potem spotykaliście?

- Na początku, to znaczy we wrześniu i w październiku, chciał spotykać się co tydzień. Namawiał mnie, żebym przyjeżdżała do Koszalina. Raz dałam się namówić i pojechałam. To było w niedzielę, w połowie października. Zaprosił mnie na obiad do restauracji na Górze Chełmskiej. Pomyślałam, że wstydzi się pokazywać ze mną publicznie i dlatego wybrał to

miejsce. Więcej już nie pojechałam. On natomiast przyjeżdżał najpierw mniej więcej co drugi tydzień, ale z czasem coraz rzadziej. Chodziliśmy na spacery nad morze, rozmawialiśmy. Obiecywał, że wynagrodzi mi minione lata, że pomoże mi znaleźć dobrą pracę i tak dalej. Ale ja mu za bardzo nie wierzyłam, bo zawsze był lekko podпиты. W listopadzie, no wie pan przed jego śmiercią, spotkaliśmy się tylko raz. W sobotę po Wszystkich Świętych. No a potem stało się to, co się stało. Nie wiedziałam, że był wysokim funkcjonariuszem SB – drżącym smutnym głosem zakończyła ich rozmowę.

Witek Jankowski następnego dnia rano z niecierpliwością czekał na pojawienie się komendanta Szelca na posterunku. Zaczął relacjonować swoją wczorajszą rozmowę z panną Mędrak, jeszcze zanim ten zdjął płaszcz. Szelc słuchał w milczeniu, ale dało się zauważyć, że rewelacje przekazywane przez podwładnego bardzo go zaskoczyły. Usiadł na krześle przy swoim biurku i uważnie słuchał.

- Wiesz, że trzeba będzie sporządzić raport z tej rozmowy i przekazać Madejskiemu? – zapytał, chociaż wiedział, że młody milicjant doskonale zna swoje obowiązki.

5. Raport, przesłuchanie i węszenie



Kapitan Jan Madejski trzymał w ręku raport przekazany z posterunku w Mielnie. Naprzeciw niego siedział starszy sierżant Czesław Szelc, którego Madejski wezwał natychmiast po zapoznaniu się z treścią raportu. Szelc czekał na pytania i tylko obfite pocenie się wskazywało na przenikające go napięcie. Zdjął czapkę, położył przed sobą na biurku i wyjął z kieszeni spodni dużą bawełnianą chustkę do nosa. Regularnie ocierał nią czoło. Twarz miał lekko zaczerwienioną, ale całkowicie spokojną. Można więc było przypuszczać, że poci się nie z

odczuwanego napięcia czy strachu, lecz z powodu wcześniejszego nadmiernego pośpiechu spowodowanego nagłym wezwaniem.

- Dobra robota – skomentował raport Madejski i wreszcie spojrzał łaskawym okiem na mieleńskiego funkcjonariusza. – Zanim przesłucham tę dziewczynę, chcę się od was o niej więcej dowiedzieć. Chyba zebraliście informacje.

- Oczywiście, obywatelu kapitanie – dziarsko odpowiedział Szelc, chcąc zrobić na śledczym jak najlepsze wrażenie i, wykorzystując sprzyjającą sytuację, skutecznie odciągnąć jego uwagę od Baczkowskiego.

- Od kiedy pracuje w Mielnie? – padło pierwsze pytanie.

- W Szkole Podstawowej imienia Leonida Teligi w Mielnie Bogusława Mędrak została zatrudniona w sierpniu 1971-szego roku po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w Słupsku. Przepraszam, nie jestem precyzyjny. Zatrudniona została rok po ukończeniu SN-u. Rok się oczywiście zgadza, 1971-wszy. W 1967-mym zdała maturę w I LO w Koszalinie, dwa lata spędziła w Słupsku na studiach, dyplom Studium Nauczycielskiego otrzymała latem 1969-tego roku, ale jej matka ciężko wówczas chorowała i wymagała opieki. Mędrak wróciła więc do Będzina, gdzie się urodziła i gdzie się wychowała. Przez prawie rok opiekowała się śmiertelnie chorą matką. Od wielu lat mieszkał z nimi przyjaciel, to znaczy konkubent, matki, ale on się nie nadawał na opiekuna, bo za dużo i za często pił, jak to pegeerowiec. Mędrak dostała jakieś godziny w szkole w Będzinie. Odbdywała coś w rodzaju praktyki. Po śmierci matki wyjechała z Będzina i zatrudniła się w Mielnie na etacie. Wynajęła pokój u Trusiów. Prawdopodobnie nie chciała mieszkać z konkubentem mamusi. Uczy śpiewu we wszystkich klasach, prowadzi szkolny chór, zabiera chętne dzieciaki na koncerty do koszalińskiej filharmonii i sprowadza muzyków z filharmonii na kameralne koncerty do szkoły. Bardzo aktywna, nauczycielka z powołania można powiedzieć. Ma trochę kłopotów z utrzymaniem na lekcjach dyscypliny, bo jest łagodna, spokojna a do tego bardzo młoda. Ma dopiero dwadzieścia trzy lata. Urodziła się we wrześniu 1949-tego roku.

- Jak nazywa się konkubent matki i co wiecie o ludziach, u których teraz mieszka Bogumiła Mędrak? – zapytał Madejski zadowolony z wyczerpującej relacji.

- Konkubent nazywa się Wiesław Kopaczewski, lat 50, rozwiedziony. Jest brygadzystą w pegeerze w Będzinie. Nadal zajmuje mieszkanie zmarłej konkubiny, bo oczywiście jest to mieszkanie miejscowego pegeeru. Bogumiła Mędrak wynajmuje pokój u Melchiora Trusia i

Wiesławy Truś z domu Szeptun. Trusiowie pobrali się zaraz po wojnie jesienią 1945-tego roku w Koszalinie. Tam też się poznali. Oboje przyjechali z Wielkopolski. Osiedlili się w Unieściu. On przez jakiś czas pracował z rybakami morskimi jako pomocnik, ale teraz ma własny kuter. Trusiowie to ciułacze. Ona cały rok dorabia szyciem, a latem wynajmem pokoi i gotowaniem dla wczasowiczów. Ciułali, ciułali i wybudowali przed trzema laty nowy dom z pokojami gościnnymi. Spokojni prości ludzie. Mają dwoje dorosłych dzieci. Syna i córkę. Syn ożenił się. Przejął kuter i mieszka w ich starym domu. Córka wyszła za mąż i wyjechała za mężem do Szczecinka.

- Trusiowie poznali Porębkiewicza?

- Twierdzą, że nigdy go nie widzieli. On nie spotykał się z Mędrakówną w ich domu. Podobno widywano ich, Porębkiewicza z Mędrakówną, na przechadzkach nad morzem, ale kto ich widział i kiedy, tego nie mogłem się dowiedzieć. Mędrak zeznała – jest to w raporcie – że rzeczywiście mogła być widziana z majorem, ale nie wie przez kogo.

- Dobra. Jesteście wolni – zakończył rozmowę Madejski.

Czesław Szalc nie ośmielił się zacząć z kapitanem rozmowy o Marianie Baczkowskim. Włożył czapkę, zasalutował i opuścił gabinet.

- Lepiej Madejskiemu nie przypominać o Marianie – pomyślał, żeby się usprawiedliwić. – Może sam o nim teraz zapomni. Podrzuciłem mu lepszy kasek. Nareszcie doceni to, że miejscowemu milicjantowi ludzie więcej powiedzą niż śledczym z Koszalina.

Bogumiła Mędrak siedziała na drewnianej ławce w korytarzu Komendy Powiatowej MO w Koszalinie i drżała na całym ciele. Od jej rozmowy z mieleńskim posterunkowym Witoldem Janczewskim minęły dwa dni. I w trakcie tych zaledwie dwóch dni doznała tyłu nieprzyjemności, że chętnie przeklinałaby, gdyby umiała przeklinać, dzień, w którym spotkała po raz pierwszy swego domniemanego ojca. Niestety nie potrafiła gniewem i złorzeczeniami rozładować wewnętrznego napięcia.

Już następnego dnia po spotkaniu z Janczewskim komendant Czesław Szalc odwiedził kierowniczkę szkoły w Mielnie i rozmawiał z nią o wiadomej sprawie Wieść, że odnaleziony na mieleńskim cmentarzu martwy mężczyzna był kiedyś kochankiem jej matki, a ona jego nieślubnym dzieckiem, bękartem, jak mówiono, szybko rozeszła się wśród nauczycieli. Jej krucha psychika źle zareagowała na dziwną atmosferę, która zapanowała w szkole.

Uśmiechano się do niej, ale w tych uśmiechach dostrzegała przede wszystkim kpinę i fałszywą litość. Koleżanki i koledzy prawie się do niej nie odzywali. Domyśliła się, że wszyscy już wiedzą, kim był jej ojciec. Ostateczne psychiczne załamanie nastąpiło dzień później, gdy wczesnym rankiem do domu państwa Trusiów wpadli nieznani umundurowani milicjanci oraz dwóch cywili. Pokazali jakiś papier i przeszukali dom. Kazano wszystkim domownikom pokazać buty, obejrzano je dokładnie, a niektóre odcisnięto w jakiejś masie. Potem milicja opuściła dom, zostawiając wezwanie na przesłuchanie. Trusiowie także przestali się do niej odzywać. Została sama, przerażona i nieszczęśliwa.

Po wydarzeniach, które ją spotkały w dwóch ostatnich dniach nie wyobrażała już sobie ani powrotu do pracy, ani do wynajmowanego pokoju. Czuła się oszołomiona, skrzywdzona i przez wszystkich oszukana. Nie wiedziała, co z nią dalej będzie. Siedziała na ławce w milicyjnym korytarzu i czekała na wezwanie na przesłuchanie. W głowie miała zamęt. Piersi obciążał nieznosny ciężar. Wciąż zadawała sobie te same pytania:

- Po co on się w ogóle pojawił? Dlaczego stanął na mojej drodze? Dlaczego zmarnował mi życie?

Jednocześnie każde przypomnienie tragicznej śmierci domniemanego ojca wywoływało w niej ogromny żal. Spotkanie go i obietnice, które składał, wzbudziły w niej nadzieję na lepszą przyszłość, na odzyskanie kogoś, kto sprawi, że nie będzie na świecie zupełnie sama. Ale czy chciałaby mieć przy sobie ojca, który okazał się wysokim funkcjonariuszem SB?

- Niech mnie zamkną – pomyślała. – Mam dość wszystkiego.

- Bogumiła Mędrak – usłyszała głośny kobiecy głos.

Wstała i sztywnym niepewnym krokiem zbliżyła się do drzwi, przed którymi stała wzywająca ją kobieta. Poczuła od niej dobre perfumy, zauważyła elegancką garsonkę, jedwabną bluzkę i porządne buty na niewysokim obcasie. Skuliła się, zdając sobie sprawę, że w porównaniu z wysoką, pewną siebie, dobrze ubraną i ładną kobietą wygląda jak sierota, którą przecież, o ironio losu, była. Została zaprowadzona do ciemnego, ponurego i prawie pustego pomieszczenia, w którym za obskurnym biurkiem siedział rozparty na krześle mężczyzna w nieokreślonym wieku. Z dziwną ulgą zauważyła, że jest ubrany niedbale, a właściwie niechlujnie. Palił papierosa, a popiół strząsał do wypełnionej petami popielniczki. Bez słowa pokazał jej krzesło, stojące z jej strony biurka. Usiadła i natychmiast ogarnęły ją mdłości, bo smród z nieopróżnionej popielniczki uderzył ją w nozdrza. Poblądła, a on to zauważył.

- Źle się pani czuje? – zapytał takim obojętnym tonem, jakby pytał ją o to, czy krzesło jej odpowiada.

- Proszę o szklankę wody – wydusiła, z trudem powstrzymując mdłości.

Wstał, podszedł do bocznego stolika, którego wcześniej nie zauważyła, a przy którym za maszyną do pisania siedziała nie widziana wcześniej kobieta, wziął szklankę i nalał do niej wody z karafki. Podał jej. Wypiła dwa łyki. Woda była ciepła i miała przykry smak, ale poczuła się lepiej.

- Możemy zaczynać? – zapytał mężczyzna.

Skinęła twierdząco głową i postawiła szklankę na biurku.

Przesłuchanie przebiegło lepiej niż się spodziewała. Śledczy zachowywał się spokojnie i miała wrażenie, że traktuje ją z szacunkiem. Powtórzyła wszystko co wcześniej podała młodemu milicjantowi z Mielna. Kiedy skończyła, mężczyzna wstał, podszedł do piszącej na maszynie kobiety, szepnął jej coś do ucha a ona natychmiast wyszła z pokoju. Mężczyzna krążył przez czas jakiś za jej plecami, co było denerwujące, więc odwracała się co jakiś czas w jego stronę. Wreszcie przestał chodzić i powiedział, stając tuż przed nią:

- Sprawdziliśmy. Major Porębkiewicz rzeczywiście był pani ojcem. Został ślad w jego papierach. W tamtych czasach wszyscy wszystkich pilnowali i sprawdzali. Rzeczywiście znał blisko pani matkę, która zaszła z nim w ciążę. Był już wtedy żonaty. Jego żona urodziła mu syna dwa lata później. Sprawdziliśmy też grupę krwi, pani, jego i pani matki. Wszystko się zgadza.

- I co ja mam teraz zrobić? – zapytała nieznajomego mężczyznę, bo naprawdę nie miała się do kogo zwrócić. – Czy zostanę oskarżona o zabójstwo?

- A zabiła pani swojego ojca? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nikogo nie zabiłam – powiedziała zmęczonym głosem. – Ale jest mi wszystko jedno co ze mną zrobicie.

Stał przed nią nadal. Spuściła głowę, jakby czekała na wyrok.

- Nazywam się Jan Madejski – usłyszała jego głos. – Jestem kapitanem MO, śledczym, i znałem pani ojca. Jeśli będzie pani chciała otrzymać dokumenty, żeby udowodnić przed sądem, że Władysław Porębkiewicz, emerytowany major SB, był pani ojcem, może się pani do mnie

zgłosić. Pomogę. A, i jeszcze jedno. Nie znaleźliśmy dowodów na pani obecność na cmentarzu, a Trusiowie potwierdzili, że rano w niedzielę spała pani w swoim pokoju. Tu jest przepustka. Jest pani wolna.

Wzięła podany papier, odwróciła się i półprzytomna wyszła na korytarz, nie odzywając się słowem ani do śledczego, ani do jego sekretarki. Poczowała ogarniająca ją słabość, oparła się plecami o ścianę i próbowała walczyć z bezwładnością ciała. Nie udało się. Kiedy się ocknęła, leżała na podłodze, a nad nią stali Madejski oraz widziana wcześniej elegancka kobieta. Madejski trzymał jej nogi w górze, a kobieta lekko klepała po twarzy.

- Jak się pani czuje? – zapytała kobieta ostrym tonem, jakby oskarżała ją o złe zachowanie. – Kapitan Madejski kazał wezwać pogotowie. Pojedzie pani do szpitala. A może już przeszło i woli pani wrócić do domu?

- Nie mam domu – powiedziała cicho Bogumiła Mędrak i znów poczuła, że opuszcza ją świadomość. Ocknęła się w karetce. Jechali szybko, syrena była wyłączona. Podniosła głowę i jej ruch zauważył mężczyzna w białym fartuchu, siedzący obok kierowcy.

- Wieziemy panią na Izbę Przyjęć do Szpitala Wojewódzkiego – usłyszała za swoją głowę jego podniesiony głos. – Czy została pani pobita?

- Pobita? – zdziwiła się zadany jej pytaniem. – Ja tylko zemdlałam. Chyba ze zdenerwowania.

- Proszę leżeć spokojnie – powiedział mocny głos. – Dojeżdżamy. Zbada panią lekarz na Izbie Przyjęć i zdecyduje, co z panią zrobić.

Poczowała ulgę. Jej ciało odprężyło się i jakby zlało z otoczeniem a głowa spokojnie opadła na twardy podglówek. Myśl, że choć na parę godzin ktoś się nią zajmie, że może nawet zostanie na kilka dni w szpitalu i nie będzie musiała myśleć o tym, co się ostatnio wydarzyło, była kojąca.

Kapitan wydziału śledczego SB Aleksander Dudło zdjął z uszu słuchawki. Nadzorował przesłuchanie prowadzone przez kapitana Madejskiego w sąsiednim pomieszczeniu. Madejski przesłuchiwał nowego, bardzo interesującego świadka, a mianowicie Bogumiłę Mędrak, nieślubną córkę majora Porębkiewicza. Położył słuchawki na stole obok aparatury i czekał na pojawienie się Madejskiego. Minęło piętnaście minut od zakończenia przesłuchania, a Madejski jeszcze nie dotarł do pokoju. Złościła go przedłużająca się nieobecność kolegi z MO.

- A! Jesteś nareszcie! – wykrzyknął, kiedy Madejski wszedł do pomieszczenia. – Co tak długo!

Madejski usiadł naprzeciwko niego, spokojnie wyjął paczkę papierosów klubowych, wyjął z niej jednego klubowego a z kieszeni wyciągnął zaskakująco elegancką złotą zapalniczkę, która bardziej pasowałaby kobiecie niż zaniedbanemu milicjantowi palącemu marne papierosy. Wolnym ruchem zapalił zapalniczkę, następnie papierosa, zaciągnął się głęboko, wypuścił kłęb dymu z ust i odetchnął z ulgą, udając że nie zdaje sobie sprawy z niecierpliwości kapitana SB.

- Wkurza mnie ten palant – pomyślał Dudło, patrząc na Madejskiego z przyklejonym do ust pobłażliwym uśmiechem.

- Zemdlą po wyjściu na korytarzu – powiedział wreszcie Madejski leniwie i znów głęboko zaciągnął się papierosowym dymem.

- I co? Udzielałeś jej pierwszej pomocy?! – wrzasnął, bo puściły mu nerwy.

- Wezwaliśmy pogotowie. Źle to wyglądało. Nie chciałem, żeby zeszła na komendzie – padła odpowiedź.

- Do rzeczy – uciął Dudło wątek złego samopoczucia świadka. – Mędrak jest słaba psychicznie. To histeryczka. Nie zabiłaby własnego ojca. Zresztą nie miała powodu. Ale jej historia naprowadza nas na pewien nowy trop. Trzeba będzie mianowicie zająć się pegeerami w Będzinie i Mielnie oraz Gospodarstwami Hodowli Zarodowej w Mścicach i Dobrym. Porębkiewicz był tam swego czasu znany i bardzo nielubiany. Moi ludzie twierdzą, że Mędrakowa nie była jedyną kobietą, z którą romansował, o ile tak można nazwać jego dość brutalne stosunki z kobietami. Nie wiemy, czy miał jeszcze inne nieślubne dzieci. Raczej nie, bo w jego papierach znaleźliśmy jedynie aferę z ciążą Mędrakowej. Ale mogło być tak, że kobiety usuwały ciążę na jego żądanie lub z własnej woli.

- Sądysz, że zabiła go dawna kochanka? – ton głosu Madejskiego oddawał siłę jego wątpliwości, co do trafności podejrzenia.

Kapitan MO starał się jak umiał, żeby drażnić kolegę z SB, a jednocześnie nie wchodzić z nim w otwarty konflikt.

- Nie wiem czy dawna kochanka, czy zdradzony mąż, czy narzeczony, ale mój psi nos podpowiada, że trzeba szukać w pegeerach. Laboratorium przesłało wyniki. Znasz je. Nie znaleziono śladów z cmentarza na dostarczonym im materiale zdjętym z butów. Gumofilców prawdopodobnego zabójcy nie udało się zidentyfikować. Na ubraniu Porębkiewicza znaleziono

włos, dość długi, więc prawdopodobnie kobiecy, ale nie wiemy, czyj on jest. Przecież nie będziemy wrywać włosów wszystkim ludziom w okolicy. Na pewno nie należy do Porębkiewiczowej. Sprawdź jeszcze Mędrakównę, ale nie liczyłbym na sukces. Zostawiamy więc na razie żonę Porębkiewicza, Trusiów, Mędrakównę, Baczkowskiego i całe to Mielno. Zajmiemy się pegeerami. Dam ci na tydzień dwóch moich ludzi. Potrafią dobrze węszyć i skutecznie wyciągać od ludzi informacje – poinformował Madejskiego.

- Wolałbym pracować z moimi chłopakami. Możemy podzielić się robotą – zaproponował tamten.
– Ty wyślij swoich ludzi na przykład do Mścic, a my weźmiemy resztę.

- Jak chcesz – zareagował dość spokojnie na następną niesubordynację, ale dał do zrozumienia, że nie jest zadowolony z propozycji kolegi i godzi się na nią tylko dlatego, że formalnie nie ma nad nim władzy.

– Proponuję – powiedział, żeby zachować dla siebie ostatnie zdanie w omawianej sprawie - żebyście wzięli cały teren, a my w tym czasie szybko sprawdzimy kilka trefnych osób. Porębkiewicz nieźle zasłużył się przy aresztowaniu, badaniu i procesie niejakiego Władysława Czarneckiego i jego współpracowników. Słyszałeś o tej sprawie?

- Słyszałem, ale nie znam szczegółów – Madejski nie chciał się zdradzić z nieznajomością tematu.

- Czarnecki był dyrektorem Zarządu Okręgowego Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Koszalinie – wyjaśnił mu protekcjonalnym tonem. - Oskarżono go o sabotaż i dostał czapę. Jego ludzi skazano na długoletnie kary więzienia. Udało mu się co prawda wywinąć od stryczka a po zmianach 56-tego wszyscy zostali uniewinnieni, ale swoje przesiedział i wypadł z gry. Chyba już nie żyje. Znajdziemy jego rodzinę i rodziny skazanych. Poza tym musimy sprawdzić, co się stało z rodziną niejakiego Zygmunta Miskiewicza, zastępcy kierownika pegeeru w Dobrym koło Mścic. Zaginął bez wieści w 1953-cim. Porębkiewicz zawział się na jego żonę, bo to była ładna młoda babka.

- Ale to wszystko dawne czasy – wyraził swe powątpiewanie w trafność hipotezy postawionej przez kolegę Madejski, który w powodu buty Dudły i ciągłego manifestowania jego wyższości nad nim miał ochotę podważać wszystkie wygłaszane przez niego opinie.

- Stara nienawiść, jak stara miłość, nigdy nie rdzewieje – wymądrzył się Dudło, przywołując znane wytarte powiedzenie i zarządził, nie pozostawiając krztyny wątpliwości co do tego, kto ostatecznie dowodził:

– Spotykamy się u mnie w poniedziałek 4-go grudnia. Macie trzy dni, noo... mamy trzy dni - zreflektował się trochę – bo pracujemy do skutku, także w niedzielę. Do roboty – rzucił, gdy Madejski wstał i zmierzał do drzwi.

- Palant – pomyślał Madejski i ze złości zacisnął szczęki.

6. Kapo. 1973



Emerytowanemu majorowi SB Władysławowi Porębkiewiczowi urządzono służbowy pochówek. Spoczął na koszalińskim cmentarzu w Alei Zasłużonych. Wczesną wiosną 1973-go roku śledztwo w sprawie jego nagłej śmierci zostało zamknięte z powodu nie wykrycia sprawcy. Żaden z przebadanych tropów – przesłuchanie i sprawdzenie kochanek, rodziny, inwigilowanych i prześladowanych przez Porębkiewicza – nie doprowadził do sukcesu. Dawni koledzy majora, którzy siłą rzeczy musieli dokładnie zapoznać się z jego niechlubną przeszłością, nie palili się zbytnio do nadmiernego przedłużania śledztwa, choć zawodowa lojalność sprawiła, że w czasie jego trwania dołożyli wszelkich starań, aby znaleźć zabójcę. Nie udało się, więc sprawę zamknięto, deklarując publicznie, to znaczy w gronie funkcjonariuszy, że będzie się o sprawie pamiętać i poszukiwać jej nowych wątków w celu ewentualnego wznowienia śledztwa.

Trzeciego czerwca tego samego roku Wydział Kryminalny Komendy Powiatowej MO w Koszalinie został powiadomiony o odnalezieniu w Mielnie, na wale przeciwpowodziowym odgradzającym podmokłe łąki od jeziora Jamno, ciała starszego mężczyzny. Na Madejskiego i jego ekipę czekali przy zwłokach, zabezpieczając teren, mieleńscy milicjanci, Czesław Szalc i Witold Janczewski.

Kiedy ekipa dotarła na miejsce zdarzenia było wczesne niedzielne przedpołudnie. Obejrzano zwłoki, zrobiono zdjęcia, zebrano ślady i przesłuchano Stefana Kozioła, emeryta i wędkarza, który natknął się na ciało idąc, jak prawie każdego dnia, wałem przeciwpowodziowym do ujścia rzeczki Strzeżenicy do jeziora Jamno, gdzie okoliczni wędkarze, jak się wyraził przesłuchiwany, „moczyli kije, pili piwo i gadali”.

- Zna pan denata? – zapytał Madejski emeryta po sprawdzeniu jego tożsamości i przepytaniu go na okoliczność znalezienia zwłok.

- Ale, pewnie, że go znam – odpowiedział Kozioł, nie patrząc na pytającego go funkcjonariusza, lecz na komendanta Szelca, jakby u niego szukał potwierdzenia wypowiedzianych słów. – Przecie to jest mój sąsiad Alojzy Zydrewicz. Mieszka niedaleko, ale ja z nim wiele nie rozmawiam, to znaczy, nie rozmawiałem. Takie tam „dzień dobry” wymienialiśmy od czasu do czasu i tyle. To mruk. Ale to już nasz komendant lepiej powie, co to był za człowiek.

- Teraz ciebie pytam Kozioł – odburknął Madejski.

- No to mówię, że znam. Ja mieszkam tu niedaleko w tym domu najbliżej wejścia na łąki, a Zydrewicz z żoną trochę dalej w tym małym domku z ogrodem.

Zniecierpliwiony niewiedzą Kozioła Madejski odwrócił się do świadka plecami i polecił sierżantowi Szelcowi zawezwać na miejsce zdarzenia mieleńskiego lekarza. Z powodu ciepłej słonecznej niedzieli do ekipy z Koszalina nie dołączył lekarz sądowy. Szelc wysłał posterunkowego Janczewskiego po doktora Jana Pruszkowskiego. Doktor Pruszkowski wraz z rodziną zamieszkiwał piętro budynku, w którym mieścił się Ośrodek Zdrowia w Mielnie. Budynek stał, jak prawie wszystkie ważniejsze budynki zajmowane przez instytucje publiczne, przy ulicy Chrobrego i do tego niedaleko wejścia na łąki, więc lekarz stawiał się już po dwudziestu minutach. Rozpoznał natychmiast swego pacjenta i sąsiada zarazem i przez chwilę patrzył na leżącego starszego mężczyznę ze smutkiem. Potem pochylił się nad ciałem i stwierdził, że Zydrewicz nie żyje. Podziękowano mu i odszedł, zostawiając milicjantom odpowiedni dokument.

Wstępne oględziny ciała nie wskazywały na udział osób trzecich, więc ciało zabrano do Koszalina, a Madejski z Szelcem poszli porozmawiać z żoną denata.

Leokadia Zydrewicz przyjęła wiadomość o śmierci męża z zadziwiającym spokojem. Poprosiła o możliwość przebrania się i pojechała z Madejskim do Koszalina zidentyfikować ofiarę.

- Co komendant o tym myśli? – zapytał Janczewski Szelca, gdy wrócili na posterunek. – Popęłił samobójstwo, czy dostał zawału?

- A ty wiesz, kim był Zydrewicz? – Szelc nie odpowiedział na pytanie podwładnego, lecz zadał własne.

- Coś tam mi się obilo o uszy – mruknął Janczewski. – Że niby w czasie wojny był kapo w obozie koncentracyjnym, albo kapusiem...

- Nie niby, tylko na pewno – odpowiedział Szelc. – Udowodniono mu, że był kapo w Auschwitz. Siedział za to w więzieniu. Wyszedł kilka miesięcy temu. Dostał w więzieniu niezłą szkołę. Wcześniej to był elegancki i pewny siebie starszy pan. Taki wiesz, wyniosły. Z ludźmi z Mielna to prawie nie rozmawiał. Pracował w Koszalinie. Był księgowym. Rano szedł na pekaes, przed wieczorem wracał. Nawet zakupy robił w Koszalinie, więc i jego żona prawie nie wychodziła z domu. Trzymali się na uboczu, jakby ludzie z Mielna nie byli dla nich odpowiednim towarzystwem. Uprawiali ten swój kwiatowy ogródek przed domem, a za domem warzywniak. Widziałem, bo byłem u nich dwa razy przed jego aresztowaniem. A z więzienia wrócił wrak człowieka. Od razu przeszedł na rentę inwalidzką. Jego żona pilnuje ośrodka kempingowego, który jest po sąsiedzku i tak sobie wyrabia emeryturę.

Szelc zamilkł i patrzył przez okno na ludzi, którzy właśnie wyszli z sumy - odświętnie ubrane rodziny z małymi dziećmi, starsze siwe panie ze świeżo zrobioną trwałą, młode długowłose kobiety w kwiecistych rozkloszowanych spódnicach, chłopcy w spodniach dzwonach z nisko opuszczonym pasem i w obcisłych koszulach albo podkoszulkach.

- Nawet ładnie – pomyślał. – Kolorowi ludzie w niedzielnym słońcu i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Odszedł od okna i spojrzał na posterunkowego Janczewskiego, który siedział przy biurku na niebezpiecznie odchylonym do tyłu krześle i obgryzał paznokcie. Przez moment czuł ochotę, aby zwrócić mu uwagę, ale zrezygnował, skrzywił się jedynie z niesmakiem i powiedział:

- Musiałeś zauważyć ten dom przy Chrobrego z wysokim żywopłotem, gdzie mieszkają Zydrewicze. Łatwo znaleźć, bo tuż obok jest ten ładny budynek z nietynkowanej dwukolorowej, klinkierowej cegły z charakterystyczną wieżyczką i drewnianymi ozdobami. A Kozioł mieszka trochę dalej w wielorodzinnej kamienicy o konstrukcji szachulcowej. Wiesz,

że to jest, a właściwie był, najstarszy pensjonat w Mielnie? Teraz tam mieszka kilka stłoczonych rodzin.

- O! – zdziwił się Janczewski, przestał obgryzać paznokcie i usiadł prosto. – Komendant zna się na historii i architekturze!

- Czymś się trzeba interesować poza pracą – skwitował zdziwienie podwładnego i oznajmił, że idzie do domu.

Kiedy wyszedł z posterunku na ulicę Kościelną, ta już opustoszała. Suma o jedenastej była ostatnią niedzielą mszą. Wieczorem, ale już w mniejszej liczbie, wierni znów zawitają na Kościelnej, zdążając na nabożeństwo czerwcowe. Szelc, wychowany w tradycyjnej katolickiej rodzinie, cierpiał z powodu niemożności chodzenia do kościoła. Żona z córkami jeździła czasami na niedzielne i świąteczne msze do Koszalina, ale on nie chciał podpaść przełożonym, więc im nie towarzyszył. Idąc pustą ulicą Kościelną przypomniawszy sobie, że Zydrewicze też nie chodzili do kościoła, co było rzadkie wśród mieszkańców Mielna. Inaczej było w Unieściu, gdzie mieszkali głównie wojskowi i rybacy. Ci pierwsi tak jak on, nie mogli, jeśli nawet byli wierzący, przyznawać się do wiary, a ci drudzy, spracowani, o sylwetkach zdeformowanych walką z żywiołami, narzekali na kilkukilometrową odległość, którą mieliby do pokonania.

- Halinka często się zastanawiała – myślał – dlaczego Zydrewicze, w sumie mili ludzie, z nikim nie utrzymywali kontaktów. Mnie to w ogóle nie interesowało, ale kobiety mają dobrą intuicję. Od razu wyczuwają nietypowych ludzi.

Przypadek Alojzego Zydrewicza poruszył całe Mielno i sprawił, że wielu mieszkańców, po aresztowaniu mężczyzny, zwróciło się przeciwko Zydrewiczowej. Nie rozmawiano z nią, skazano na ostracyzm. Ale byli także tacy, którzy czynnie ją prześladowali: wybijali okna, niszczyli kwiaty, wrzucali do ogrodu śmieci, a nawet wykrzykiwali pod jej domem obelgi. Oburzenie było powszechne i trudno było się dziwić, że mało kto stanął wtedy w obronie prześladowanej kobiety. Szelc był zmuszony wzmocnić patrolowanie sąsiadujących z jej domem terenów, aby wyeliminować jakieś groźne zajścia. Obawiał się najbardziej tego, że dom Zydrewiczów zostanie podpalony. Drugim, poza nim, obrońcą Zydrewiczowej był duży pies rasy bokser, którego starsze małżeństwo posiadało od kilku lat. Pies, nieprzyzwyczajony do obcych ludzi, był ostry i niebezpieczny. Gwałtownie reagował na każde wtargnięcie na posesję Zydrewiczów, ostrzegając tym samym domowników przed nieproszonymi gośćmi. Po kilku tygodniach napięcie opadło i można było zminimalizować patrole, które były nadmiernie absorbujące i odciągały od zwykłych obowiązków.

Szelc dotarł do domu i, znając niedzielne letnie zwyczaje swoich kobietek, skierował się od razu do ogrodu za domem. Żona i córki, tak jak przewidział, leżały na kocu rozłożonym na trawie i opalały się. Usiadł obok Halinki i położył dłoń na jej plecach. Ocknęła się z drzemki, odwróciła głowę w jego stronę i zapytała sennym głosem:

- Coś się znowu stało? Dlaczego zawsze wzywają cię właśnie w niedzielę?

Poklepał ją uspokajająco i nic nie powiedział.

- Na pewno jesteś głodny. Choć do kuchni. Zrobię ci coś do jedzenia – powiedziała i zaczęła ociężale podnosić się z koca.

Znała go tak dobrze, że wystarczyło jej jedno spojrzenie na męża, aby odgadnąć jego potrzeby i kondycję psychiczną.

- Mamo! – zawołały za nimi dziewczynki, gdy szli już w stronę domu. – Zrób nam kanapki! Też jesteśmy głodne!

Roześmiali się oboje. Dziewczynki teraz szybko rosły i były niezwykle żywe. Rodziców cieszyła ich energia, ruchliwość i apetyty. Otyłość z pewnością im nie groziła.

- Zydrewicz nie żyje – powiedział cicho, siadając przy kuchennym stole.

Coraz częściej po powrocie ze służby do domu, odczuwał wielkie zmęczenie.

- Co ty powiesz! – Halina przestała kroić chleb i podeszła do stołu, trzymając nóż w ręku. – Dostał zawału?

- Nie wiem. Stefan Koziół znalazł go dziś rano martwego na wałach.

- Na wałach? – Halina była zdumiona. – Co on mógł robić na wałach?!

- Żona powiedziała, że chodził tam wcześniej rano na spacer, żeby nikogo nie spotykać.

- Jezu – westchnęła Halina i wróciła do krojenia chleba. – Przyszła na niego sprawiedliwość.

Historia Zydrewicza była, można powiedzieć, sensacyjna. Zydrewiczowie mieszkali w Mielnie od wielu lat. Przybyli zaraz po wojnie i wybrali ładny, zadbany, choć niewielki dom z ogrodem przy głównej ulicy. Ponieważ trzymali się na uboczu i spokojnie żyli w swoim małym, zamkniętym przed oczami innych ludzi świecie, nie interesowano się nimi nadmiernie. Mówiło się, że mają dorosłego syna, ale nikt go nigdy nie widział i nikt nie wiedział, gdzie mieszka,

więc od czasu do czasu krążyły plotki, że ktoś taki w ogóle nie istnieje. Jeśli już Zydrewiczowie w ogóle stawali się tematem plotek, to dlatego, że wymyślano różne fantastyczne powody, dla których Zydrewicz nadmiernie, jak sądzono, pilnuje żony, prawie nie pozwala jej wychodzić z domu i rozmawiać z ludźmi. Niektórzy twierdzili, że małżonkowie mają w ogrodzie zakopane skarby i muszą ich stale pilnować. Inni, że Zydrewicz handluje pokątnie dolarami, które dostaje z zagranicy i boi się, żeby żona się nie wygadała. Nielegalny handel dewizami wyjaśniałby, skąd Zydrewicze mają pieniądze na remonty, porządne ubrania oraz częste wyjazdy do sanatoriów, podczas których psa oddawali pod opiekę jakiemuś tajemniczemu znajomemu, który pilnował im domu, w ogóle go nie opuszczając. Pies Zydrewiczów, rudy buldog, budził w Mielnie postrach, chociaż nigdy nikogo nie ugryzł. Był jednak bardzo silny fizycznie, a przy tym czujny i szybki. Ludzie gadali, że jest karmiony surowym mięsem, które Zydrewicz kupuje w taniej jatce w Koszalinie, i od tego jedzenia zrobił się wyjątkowo groźny.

Plotki zniknęły tak samo szybko, jak się pojawiały. Prawdziwa afera wybuchła dopiero wtedy, gdy latem 1968-mego roku, wczesnym rankiem, pod dom Zydrewiczów podjechały trzy milicyjne samochody, a potem wyprowadzono Zydrewicza w kajdankach i odjechano. Najpierw poszła wieść, że Zydrewicz, księgowy, okradł swój zakład pracy na wielkie pieniądze. Ale prawda, która wkrótce ujrzała światło dzienne była inna.

Do Mielna na wczasy przyjechał z południa Polski pewien mężczyzna, którego personaliów nigdy nie podano do publicznej wiadomości, ale ludzie i tak się o nich dowiedzieli własnymi kanałami. Mężczyzna wraz z rodziną przechadzał się główną ulicą Mielna i przystanął przed niewielkim domem, aby popodziwiać piękny kwiatowy ogród. Bardzo lubił patrzeć na zieleni i kwiaty od czasu, kiedy opuścił wstrętny, szary i cuchnący teren obozu koncentracyjnego Auschwitz. Cudem udało mu się przeżyć i od wyzwolenia obozu w 1945-tym roku bezskutecznie próbował nie myśleć o koszmarze dwóch obozowych lat. Rodzinne wyjazdy na coroczne wczasy, ogródek działkowy, który z zapałem uprawiał i w ogóle bliski kontakt z przyrodą najlepiej rozpraszały przykre wspomnienia. Zaciekawiony kolorami kwiatów kwitnących obficie w mijanym ogrodzie przystanął i przyglądał się kwiatowym rabatkom zerkając na nie ponad wysokim żywopłotem. Wymieniał w myśli kolejno nazwy rozpoznanych gatunków i zastanawiał się, jakim cudem w morskim kapryśnym klimacie tak dobrze udaje się ich uprawa. W ogrodzie, schylony nad jedną z grządek, pracował starszy pan, więc aby przyciągnąć jego uwagę, zawołał:

- Dzień dobry! Podziwiam pana ogród! Widać, że ma pan rękę do kwiatów!

Starszy pan wyprostował się powoli i równie powoli odwrócił w stronę wołającego.

- Dzień dobry – odpowiedział. – Staram się jak mogę. Dziękuję za uznanie.

Kiedy Zydrewicz odwrócił się w stronę wczasowicza, ten zamarł, pobladł i zaczął trząść się na całym ciele. Rozpoznał bowiem w nobliwym ogrodniku swojego nadzorcę, czyli kapo z obozu. Nigdy nie zapomniał jego sposobu poruszania się i twarzy, teraz skrytej pod czapką z daszkiem. Odwrócił się i odszedł na bok. Musiał oprzeć się o rosnące nieopodal drzewo, żeby nie zemdleć.

- Coś się panu stało? – Zydrewicz zbliżył się do żywopłotu i patrzył na niego z niepokojem.

- Nic takiego – zdołał wypowiedzieć mężczyzna. – Za dużo słońca. Zaraz przejdzie.

Ponieważ starszy pan nadal stał przy żywopłocie, jakby czekając na rozwój sytuacji, sprężył się, machnął uspokajająco ręką w jego stronę i pomaszerował za oddalającą się coraz bardziej rodziną. Zatrzymał się, kiedy miał pewność, że nie jest widziany przez dawnego prześladowcę.

- Chyba mnie nie poznał – pomyślał, przysiadając na zniszczonej ławeczce. – Minęło dwadzieścia lat. Wtedy ja miałem dwadzieścia lat, ale wyglądałam jak szkielet. On też był jeszcze młody. Prawdopodobnie tuż po trzydziestce. Zestarzał się, ale świetnie wygląda, kanalia.

Zauważył, że żona z dziećmi zawróciła, zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością. Nie mógł z nią teraz rozmawiać.

- Idźcie dalej! – krzyknął, zanim do niego podeszli. – Nic się nie stało. Zapomniałem czegoś. Muszę wrócić.

W następnych dniach, tłumacząc się żonie nawrotem nerwicy i potrzebą ruchu, aby przezwyciężyć napady lęku – nie musiał oszukiwać, bo nerwica poobozowa znów się odezwała - nie towarzyszył rodzinie na plaży, lecz dyskretnie obserwował dom ogrodnika i oczywiście jego samego. Upewnił się, że rzeczywiście ma do czynienia z okrutnikiem, który nie miał litości dla więźniów, bo chciał za wszelką cenę przeżyć, i przeżył. Przeżył kosztem życia i zdrowia współwięźniów. W obozie młody Zydrewicz zachowywał się w sumie tak samo jak większość funkcyjnych, którzy chcieli przypodobać się SS-manom. Ale przecież byli wśród nich i tacy, którzy oszczędzali nieszczęśników wydanych na ich łaskę i niełaskę. Bili tylko wtedy, gdy patrzył SS-man, czuli się solidarni z tymi, którym w obozowym piekle przypadł los gorszy od ich losu. Jednak Alojz - takie przezwisko, jak dobrze zapamiętał mężczyzna, nosił w obozie rozpoznany teraz dawny kapo - do nich niestety nie należał.

Upewniwszy się co do tożsamości starszego pana, mężczyzna poinformował wreszcie żonę o swoim odkryciu.

- Może on już poniósł karę – zauważyła. – Może był już sądzony i odsiedział swoje. Przecież nie wystawiałby się na widok publiczny, osiedlając się po wojnie w miejscowości, do której co roku przyjeżdżają ludzie z całej Polski.

Musiał przyznać jej rację. Rozglądał się zatem za kimś, z kim mógłby porozmawiać o Zydrewiczu bez rozsiewania niepotrzebnych plotek. Postanowił udać się do miejscowego proboszcza, człowieka dynamicznego i konkretnego, jak zauważył uczestnicząc w minioną niedzielę w odprawianej przez niego mszy i słuchając kazania. Była to bardzo dobra decyzja. Ksiądz Bieliński przyjął go z początku nieufnie i dopóki nie dowiedział się z czym przychodzi, trzymał go na progu plebanii. Potem jednak zaprosił gościa do środka i udzielił wyczerpujących informacji. Okazało się, że Zydrewicz jest jednym z mieleńskich pionierów. Przybył do Mielna krótko po wojnie i nigdy nie siedział w więzieniu.

- Niech pan idzie na milicję – poradził proboszcz. – Tu zaraz naprzeciwko jest posterunek. Szelc, miejscowy komendant, jest dość porządnym człowiekiem i z pewnością zajmie się tą sprawą.

Zydrewicz już następnego dnia po założeniu zawiadomienia na mieleńskim posterunku został aresztowany, a proces, na którym zeznawały także inne ofiary, potwierdził jego winę. Mężczyzna, który przypadkowo natknął się na dawnego kapo, ciężko zniósł składanie zeznań. Odżyły w nim złe wspomnienia, a wyrok, jaki wydano – pięć lat pozbawienia wolności – tylko w części zaspokoił jego pragnienie sprawiedliwości

Sekcja zwłok Alojzego Zydrewicza zaskoczyła prokuratora i śledczych. Okazało się bowiem, że wbrew pierwszej diagnozie śmierć nie nastąpiła wyłącznie z przyczyn naturalnych. Po pierwsze w osoczu krwi denata wykryto diazepam. Zydrewiczowa przyznała, że mąż czasami zażywał przed snem dwumiligramową tabletkę relanium, ale stężenie diazepamu w pobranej krwi wskazywało, że ilość tabletek musiała być kilkukrotnie większa, choć nie na tyle duża, aby spowodować śmierć. Z pewnością jednak u starszego człowieka przyjęta dawka musiała wywołać niezdolność ruchów i splątanie, co utrudniało mu przemieszczanie się i orientację w terenie. Po drugie sekcja ujawniła liczne urazy narządów wewnętrznych. Denat miał przerwaną ścianę żołądka, krwiak utworzony podtorebkowo na śledzionie i pęknięcie wątroby. Żaden z

tych urazów nie mógł powstać na skutek upadku. Wyniki sekcji zwłok były zatem nieoczekiwane dla śledczych kłopotliwe. Hipotezę naturalnej śmierci trzeba było odrzucić i zająć się poszukiwaniem osobnika, który pobił ofiarę.

- Ofiara została kilkakrotnie silnie uderzona w okolice brzucha pięścią albo obłym twardym narzędziem – stwierdził anatomopatolog. – Urazy wywołały wewnętrzne krwawienie. Nie było ono tak duże, aby spowodować szybką śmierć. Denat, krwawiąc do wewnątrz, doznał dodatkowo rozległego zawału mięśnia sercowego i to właśnie zawał był najprawdopodobniej bezpośrednią przyczyną śmierci.

- A więc mamy pobicie i nieumyślne spowodowanie śmierci – skwitował wyniki sekcji prokurator Zdzisław Kujawa. – Nie ma rady. Trzeba wszcząć śledztwo.

- Mamy raczej pobicie ze skutkiem śmiertelnym – zaproponował anatomopatolog. – Gdyby nie dostał zawału, wykrwawiłby się zanim by go znaleziono. Od śmierci do zgłoszenia minęły co najmniej trzy godziny.

7. Rozprzężenie



Wściekłość kapitana Jana Madejskiego przybrała rozmiar kłopotliwy zarówno dla jego rodziny jak i dla podwładnych. Z żoną nie układało mu się już od dawna – była nazbyt wymagająca i marudna – i gdyby nie małoletnie dzieci zostawiłby ją z przyjemnością dla nowej kochanki, kobiety nowoczesnej, bez nadmiernych wymagań i oczekiwań. Teraz jednak żona wkurzała go bardziej niż zwykle, więc nie tylko rzadko wracał na noc do domu, żeby unikać jej ciągłych narzekań, ale w ogóle przestał się do niej odzywać. Traktował ją jak powietrze, którym musi oddychać, ale czyni to bezwiednie, bez zastanowienia i zainteresowania.

Podwładni także nie znosili dobrze jego permanentnie złego nastroju, opieprzania za byle co, krzyków i gburowatych odpowiedzi.

- Co się z tobą dzieje? – zapytał Madejskiego jego najbliższy współpracownik, starszy sierżant Wiesław Bąk. – Nie można z tobą normalnie pracować. Ludzie są zdezorientowani.

- Wiesiu – warknął kapitan. – Zejdź ze mnie. Zajmij się robotą i pogoń całą ekipę. Ruszacie się jak muchy w smole, a sprawa Zydrewicza leży i kwiczy. Śladów na miejscu nie zebraliście k...wa m...ć i nie wiadomo od czego zacząć.

Madejski nerwowym ruchem zapalił papierosa i równie nerwowo wypił łyk kawy z wysokiej szklanki, którą przyniosła mu przed chwilą sekretarka.

- Jak zawsze cholerna lura – wykrzywił się i splunął fusami na podłogę. – Wk...wia mnie, że musimy tracić czas na tego drania, tę niemiecką szmatę. Każdy mógł go zatłuc za to, co robił w czasie wojny. I słusznie.

- Zaczniemy od sprawdzenia ludzi, którzy go oskarżali w procesie – zaproponował Bąk.

- Jasna cholera! – wrzasnął. – Mamy męczyć byłych więźniów! Przecież to ludzie starsi, po pięćdziesiątce i mocno schorowani.

Bąka bardzo zdziwiła nagła troska Majewskiego o podejrzanych. Zwykle był bezwzględny i nie przejmował się stanem osób zamieszanych w sprawę. Można powiedzieć, że dążył do celu po trupach i dlatego miał mocną pozycję w Wydziale.

- Po prostu dyskretnie sprawdzi się ich alibi – zaproponował ostrożnie.

- Akurat – wyraził wątpliwość kapitan. – Już widzę jak wysłane do nich milicyjne tłumoki będą dyskretne i delikatne.

- Tych świadków oskarżenia nie było wielu. Daj mi trzy dni i samochód, to sam z nimi pogadam – Bąk próbował załagodzić narastające napięcie.

Chyba mu się udało, bo szef trochę złagodniał i powiedział:

- Zgoda, Tak będzie najlepiej. Masz zrobić tak, żeby w papierach wszystko się zgadzało. Do Mielna wyślij Mietka Wąsika. Niech raz jeszcze przesłucha tego starego, który znalazł ciało, żonę, sąsiadów i tak dalej. Rutyna.

- Tak jest – odpowiedział Bąk i wyszedł, zastanawiając się, jaką robotę przydzielił sam sobie Madejski.

Madejski nie miał zamiaru angażować się w śledztwo. Postanowił markować działania. Powodem jego zniechęcenia nie było jednak to, że miał za zadanie znaleźć zabójcę byłego kapo, lecz to, że dowiedział się niedawno o działaniach prowadzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wkurzało go, że tacy podrzędni funkcjonariusze jak on są od wykonywania czarnej roboty, podczas gdy ci z góry robią niezłe prywatne interesy. Informacja, którą uzyskał od swego dawnego szkolnego kolegi, będąc niedawno w Warszawie na szkoleniu - kolega wspinał się na tyle wysoko, że zajmował ciepłą posadkę w Ministerstwie - była oczywiście ściśle tajna. Nie mógł więc nikomu wyjawiać prawdziwego powodu swej wściekłości. A ta dusiła go jak zmora. Wściekłość Madejskiego spowodowana była duszoną w nim wiedzą o przekrętach na szczytach władzy. Dokonywano ich już od dobrych kilku lat, ale dopiero teraz informacje zaczęły wypływać na powierzchnię. Oczywiście tylko w Ministerstwie. Chodziło o operację specjalną, na którą Biuro Polityczne PZPR wydało tajną zgodę, a której celem miało być zdobycie funduszy, a szczególnie obcej waluty, na działalność polskiego wywiadu. Mając zgodę partii Departament Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, na czele którego stał generał brygady Mirosław Milewski, zwerbował do współpracy grupę rabusiów złożoną z trzech braci – kolega nie chciał wyjawiać ich personaliów - i zainstalował ją w Hamburgu. Bracia oficjalnie prowadzili knajpę w dzielnicy rozrywkowej St. Pauli, a nieoficjalnie uprawiali bandyterkę, napadając na banki i sklepy jubilerskie. Kiedy zrobiło się za gorąco zmienili, oczywiście w porozumieniu z I Departamentem MSW, sposób działania. Założyli fikcyjną hurtownię, która na ogromną skalę skupowała złoto, biżuterię, skórzane kurtki i inne drogocenne przedmioty z całego świata, odraczając terminy płatności. Zanim sprzedający zorientowali się, że zostali oszukani, towar zapakowano do wagonów oraz prywatnych samochodów i wywieziono z Republiki Federalnej Niemiec do Polski. Celnicy i służby graniczne zostały przekupione a nad bezpieczeństwem transportu czuwały służby specjalne. Towar trafił ostatecznie na Rakowiecką i, jak nosiła wieść, nie został spożytkowany na wcześniej przewidziany cel, lecz był systematycznie rozgrabiany przez wierchuszkę.

Madejski od czasu powrotu z Warszawy szalał z oburzenia a wściekłość odbierała mu rozum i chęć do pracy. Nic nie wyprowadzało go z równowagi bardziej niż świadomość, że jest nic nie znaczącym pionkiem w prywatnej grze prowadzonej przez jego najwyższych przełożonych.

- Mam to wszystko w d...pie – myślał, siedząc w swoim gabinecie. – Nie mogę się urwać z pracy, ale będę siedział na miejscu i tylko zbierał raporty moich ludzi. I nic więcej!

Schylił się do szafki w biurku i wyjął z niej butelkę gruzińskiego koniaku. Wlał sporą jego ilość do wystygłej już kawy i od razu pożałował alkoholu, który zostanie w fusach.

- Nie będę ich przecież żał – powiedział do siebie i zadzwonił po sekretarkę.

- Załatw mi wszystkie akta z procesu Zydrewicza – rozkazał.

Lubił tę kompetentną, szybką w działaniu, dyskretną, a jednocześnie ładną i elegancką kobietę. Przespali się kilka razy przed laty, kiedy oboje byli młodzi i dopiero zaczynali pracę w resorcie, ale ona nigdy tego nie wykorzystywała. Miała poukładane, jak sądził, prywatne życie, o którym za dużo nie opowiadała. Jej męża poznał na jakimś balu kilka lat temu, a dzieci widywał na zakładowych choinkach, na które jeszcze niedawno sam chodził z synem i córką.

- Akta będą u ciebie jutro – oznajmiła sekretarka przez uchylone drzwi gabinetu. – Potrzebujesz czegoś?

- Przynieś mi zimną Coca-Colę – odpowiedział.

- Nie mamy Coca-Coli. Mogę przynieść Polo-Cocktę.

- To wyślij kogoś do sklepu! – powiedział poniesionym głosem. – Nie będę pił tego gó...na.

- Ale już prawie wszyscy wyszli – zaproponowała i dodała:

– Ja też chciałabym już iść do domu. Dochodzi szósta.

- Dobra. Dawaj co masz i jesteś wolna.

Wypił ze wstrętem zimną fusiastą kawę z koniakiem, a potem pił sam koniak i zapijał źle schłodzoną Polo-Cocktą. Rozmyślał o tym, jak i gdzie mógłby zdobyć pieniądze. Badał w myślach, jakie możliwości wydobywania od kogoś dodatkowej kasy stwarza jego zawodowa pozycja, choć zdawał sobie sprawę z tego, że jego możliwości są siłą rzeczy skromniejsze niż funkcjonariuszy SB, którzy zawsze mieli jakiegoś haka na dzianych ludzi. Przyszło mu do głowy, że mógłby przycisnąć Porębkiewiczową. Porębkiewicz musiał przecież zostawić jakiś ukryty majątek: biżuterię, złote monety, dolary. Nie miał jednak pomysłu na to, czym mógłby ją zaszantażować. Przypomniawszy sobie także, że kobieta ma jeszcze wejścia w SB i mogłaby szybko na niego donieść. Przetestował jeszcze kilka innych możliwości i doszedł do wniosku, że najpewniej tylko napyta sobie biedy przez nielegalne działania. Kończąc butelkę koniaku wprawdzie nie pogodził się z tym, że nie zdobędzie dodatkowych pieniędzy, ale postanowił dać sobie spokój z rozpatrywaniem takiego scenariusza.

- Do końca życia będę wyrobnikiem na marnej pensyjce – przyznał sam przed sobą i jego wściekłość jeszcze bardziej wzrosła.

Walnął z hukiem puste butelki po koniaku i Polo-Cockcie do kosza i postanowił odwiedzić swą młodą i odpowiednio wyrafinowaną w łóżku kochankę Maję.

Maja Majewska usłyszała dzwonek do drzwi i wyjrzała przez wizjer.

- Cholera – pomyślała. – To Madejski. Znowu podpity i naburmuszony. Muszę otworzyć.

Nie lubiła Madejskiego, bo nie dość, że niezbyt dbał o higienę, to był perwersyjny i nalegał w łóżku na eksperymentowanie z różnymi pozycjami. Godziła się, bo lubiła seks, ale wolałaby uprawiać go z kimś miłszym i, przede wszystkim, emocjonalnie zaangażowanym. A on traktował ją tak, jakby była maszyną do zaspokajania jego seksualnych potrzeb.

- Traktuje mnie jak darmową dziwkę – myślała, ilekroć ją odwiedzał.

Wiedziała jednak dobrze, kim jest jej kochanek i bała się go, bo była samotna i wobec niego całkowicie bezbronna. Samotności także się bała, więc jeśli szło o damsko-męskie relacje musiała brać to, co wpadło jej w ręce.

Poznała Madejskiego przypadkiem, latem poprzedniego roku, kiedy wracała z Mielna, gdzie pracowała jako pielęgniarka w sanatorium „Rusałka”. Męczyły ją codzienne dojazdy pokaesem z Koszalina do Mielna i z powrotem, ale w sanatorium praca była lżejsza niż w szpitalu a kuracjusze potrafili się odwdzińczyć. Wczesny letni wieczór był przyjemnie ciepły, miała na stopach wygodne sandały, więc pomimo zmęczenia postanowiła najpierw udać się pieszo z dworca do Delikatesów przy ulicy Zwycięstwa, a potem autobusem miejskim numer sześć pojechać na ulicę Fałata, przy której mieszkała. Stała w kolejce do garmażu, bo miała ochotę na sałatkę jarzynową i zimne nóżki z octem. Posiłki jadła w pracy, lecz sanatoryjne jedzenie na dłuższą metę było monotonne i urozmaicała je sobie jedząc w domu to, na co przyszła jej ochota. Przed nią w kolejce stał niezbyt przystojny facet w średnim wieku, który jednak od razu zwrócił na nią uwagę. Był bardzo pewny siebie, miał silną przysadzystą sylwetkę i miło ją zagadywał. Spodobał jej się wówczas. Kupił dwa serdelki, śledzie w oleju i wyszedł. Czekał na nią przed sklepem, co ją bardzo ujęło i zaprosił na kawę do pobliskiej kawiarni. Zgodziła się. Jeszcze tego samego wieczora wylądowali w łóżku w jej kawalerce, a potem razem zjedli kolację złożoną z produktów kupionych w Delikatesach. On wyjął z teczki serdelki, śledzie i butelkę wytrawnego węgierskiego wina Egri Bikaver. Ona podała do śledzi zakupioną przez siebie sałatkę jarzynową, a przed serdelkami na gorąco, galaretkę z nówek, masło i pieczywo. Rozmawiało się z nim bardzo swobodnie. Sypał dowcipami i komplementami. Trochę ją

zaskoczył, kiedy bez ogródek powiedział, gdzie pracuje, co robi oraz że ma żonę i dwoje dzieci. Potem szybko uznała, że podoba jej się jego bezpośredniość i jasne postawienie sprawy, więc gdy zapytał, czy chce się z nim od czasu do czasu spotykać, nie odmówiła.

- Cześć – przywitał się jak zwykle krótko Madejski, gdy otworzyła drzwi. – Mogę wejść? – zapytał, wyciągając przed siebie rękę z butelką wina.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła go do środka. Rozejrzała się po korytarzu i przez chwilę nasłuchiwała odgłosów, które świadczyłyby o tym, że sąsiedzi podglądali ich przez wizjery. Korytarz był pusty. U sąsiadów panowała cisza. Zamknęła drzwi, przeszła do pokoju i spojrzała na siedzącego na wersalce kochanka. Wyglądał gorzej niż zwykle.

- Jesteś zmęczony? – zapytała z udawaną troską w głosie. – Może weźmiesz kąpiel? Odświeżysz się i odprężysz.

Szybko pożałowała swojej propozycji. Madejski był przeczulony na punkcie jej uwag o higienie. Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem, wstał, zbliżył się i powiedział, chuchając jej w nozdrza nieświeżym oddechem:

- Śmierdę ci?

W jego postawie i oczach widziała kipiącą jak wulkan agresję i pomyślała, że gotów uderzyć ją w twarz.

- Chciałam żebyś się zrelaksował – powiedziała cicho i zbliżyła usta do jego ust.

Pocałowała go bardzo delikatnie, a on oddał pocałunek i uspokoił się.

- Dobra – powiedział. – Masz rację. Jestem zmęczony i spocony. Wykapię się.

Odetchnęła z ulgą.

Następnego dnia Madejski, w dużo lepszym nastroju, siedział w swoim gabinecie nad aktami Zydrewicza. Po nocy spędzonej z Mają czuł zadowolenie, spokój i swoistą błogość.

- Ma dziewczyna temperament – myślał. – I umie wyluzować zestresowanego faceta. Fachowa pielęgnarska siła – uśmiechnął się w duchu.

Przypomniiał sobie, że Wiesiu Bąk z pewnością dobrze już popracował nad aktami, które on teraz trzymał w ręku. Przeglądał je zatem tylko dla zabicia czasu. W procesie Zydrewicza

zoznawało trzech byłych więźniów, głównych świadków oskarżenia, których alibi było teraz sprawdzane. Najbardziej zainteresował się tym, który nakrył Zydrewicza w Mielnie. Nazywał się Janusz Wiśniewski, mieszkał w Zabrze, pracował jako nauczyciel zawodu, ślusarz, w szkole zawodowej. Miał żonę i dwóch synów. Gdy wyszedł z obozu był dwudziestodwuletnim chłopakiem. W 1965-tym roku, kiedy natknął się w Mielnie na Zydrewicza, był zatem tuż po czterdziestce, a teraz zbliżał się do pięćdziesiątki. Pozostali dwaj świadkowie byli sporo od niego starsi.

- Ci ponad sześćdziesięcioletni mężczyźni, z pewnością schorowani, nie odważyliby się na wyprawę do Mielna, aby uśmiercić, albo przynajmniej pobić swego dawnego prześladowcę – myślał. – Starzy ludzie nie mają już zdrowia, przede wszystkim, zdrowia psychicznego, żeby podejmować tego typu działania i to w nieznanym wcześniej miejscu. Chyba że są wytrawnymi bandziorami, ale to nie ten przypadek. Zresztą żaden z tych dwóch nie był przed zdarzeniem w Mielnie.

Zawarte w protokole zeznania dwóch starszych świadków były mocne, ale nie były przepojone zacieklą nienawiścią. Natomiast najmłodszy świadek, Wiśniewski, który znał Mielno, bo spędzał nad morzem wczasy, sformułował pod adresem Zydrewicza najwięcej napastliwych oskarżeń i wypowiadał się w bardzo ostrym tonie. Tylko on byłby zdolny do wykonania wyroku na swym dawnym kacie.

Wiesław Bąk przywiózł z wyjazdu informacje, które jednak podważyły hipotezę o winie Wiśniewskiego. Co do dwóch starszych byłych więźniów miał rację. Nie mogli być zamieszani w śmierć Zydrewicza. Jeden z nich umarł przed trzema laty. Drugi, w czasie gdy zabito Zydrewicza, leżał w szpitalu. Ale niestety, a może na szczęście, alibi miał także Janusz Wiśniewski. On sam, jego żona oraz sąsiedzi z działki twierdzili, że spędził sobotni wieczór oraz krytyczną niedzielę na swojej działce poza miastem.

- Pudło – stwierdził. – Znów jesteśmy w d...pie.

Porzucili zatem trop prowadzący do byłych więźniów i zajęli się protokołem sporządzonym przez wysłanego do Mielna Mietka Wąsika. Mietek raportował przesłuchanie Leokadii Zydrewiczowej, Stefana Kozioła, wędkarzy, sąsiadów ofiary i kilku wytypowanych przez siebie osobników.

Zydrewiczowa przyznała – pisał w protokole Wąsik – że nie kontrolowała męża i nie wie, ile tabletek relanium połknął przed pójściem na poranny spacer. Nie wyklucza, że mógł wziąć dużą

dawkę, bo od kilku dni był zdenerwowany bardziej niż zwykle. Nie wie jednak, jaki był powód zdenerwowania. Od powrotu z więzienia często miewał złe dni. Nie wie także, kto mógłby go pobić. Zaznaczyła, że mógł to zrobić prawie każdy, kto wiedział o jego niechlubnej przeszłości.

Obywatel Stefan Koziół – pisał dalej Wąsik - potwierdził wcześniejsze zeznania i nie powiedział nic nowego. Bardzo się zdziwił, że milicja nadal interesuje się śmiercią Zydrewicza, bo myślał, że dostał wylewu, albo zawału. Inni przesłuchani przeze mnie wędkarze – Mateusz Wajnoch lat sześćdziesiąt pięć i Jerzy Poręba lat sześćdziesiąt osiem - potwierdzili, że czasami widzieli Zydrewicza spacerującego rano po wale przeciwpowodziowym, ale twierdzili, że zawsze schodził im z drogi i nigdy z nimi nie rozmawiał, a oni także go nie zagadywali. Zauważyli natomiast, że Zydrewicz zawsze kończył swój spacer tam, gdzie znalazł go ich kolega Koziół, a mianowicie pod stojącą na wale budowlą hydrotechniczną z czerwonej cegły. Nie widzę powodu, aby nie wierzyć tym spokojnym starszym obywatelom, którzy wielokrotnie mijali Zydrewicza, idąc z wędkami nad rzeczkę Strzeżenicę i nigdy mu nic złego nie zrobili.

Z protokołu wynikało, że przesłuchani przez Mietka sąsiedzi Zydrewiczów niewiele mieli do powiedzenia. Żaden z nich nie przyznawał się do konfliktu z Zydrewiczami, a wszyscy zgodnie twierdzili, że kontakty z nimi ograniczali do niezbędnego minimum.

Skonsultowałem się z miejscowym komendantem starszym sierżantem Czesławem Szelcem – pisał dalej w raporcie Wąsik – bo pomyślałem, że warto zająć się miejscowymi chuliganami. Szelc wytypował kilku agresywnych młodych ludzi i do każdego z nich razem pojechaliśmy.

Z pięciu młodzików przesłuchanych przez Wąsika dwóch nie znało Zydrewicza i w ogóle o nim nie słyszało. Śledczy uwierzył im, bo byli to nastolatki, których nie interesowały zawiłości mieleńskich historii. Mieszkali na końcu ulicy Kościelnej w budynkach zajmowanych przez pracowników mieleńskiego pegeeru, ponieważ ich rodzice tam właśnie byli zatrudnieni. Oni natomiast zajmowali się głównie dorywczymi pracami na budowach, popijaniem taniego wina i uczestniczeniem we wszystkich możliwych zabawach organizowanych w okolicznych miejscowościach, na których podrywali dziewczyny, wszczynali bójki i okradali pijanych facetów. Zawsze poruszali się razem. Tych Wąsik radził zostawić w spokoju a zająć się trzema pozostałymi, dwudziestolatkami o bogatej kryminalnej przeszłości. Jeden z nich, Wojciech Bieda, dopiero od miesiąca przebywał na wolności. Siedział za napad i pobicie. Po wyjściu z więzienia wprowadził się do swojej dziewczyny, dziewiętnastoletniej Magdaleny Bogdańskiej. Bogdańska dała mu oczywiście alibi na noc z soboty na niedzielę, ale alibi należało sprawdzić. Dwóch pozostałych młodych ludzi –

Stanisław Robaczewski i Marek Gawkowski - nie miało alibi i kręciło w zeznaniach, więc śledczy radził, aby wezwać ich do Madejskiego na przesłuchanie.

- Puknij ty się w łeb! – krzyknął Madejski do Wąsika, gdy ten stanął przed nim. – Nie wiesz kim są ci cwaniacy? Przecież nasi chłopcy mają na nich oko. Tacy jak oni nie zajmują się biciem ludzi. Robaczewski od dwóch lat działa w Koszalinie, Szczecinie, Kołobrzegu i innych większych miejscowościach. Wyucza się na kieszonkowca. Na razie praktykuje z szajką Romana. Gawkowski też praktykuje, ale w innym fachu. Fałszuje dokumenty i idzie mu podobno coraz lepiej, bo jest zdolny. Jeszcze nie wiemy z kim i dla kogo pracuje, ale środowisko fałszerzy jest niewielkie, więc się niedługo dowiemy. A ten Szelc to co, niedoinformowany! Nie wie kim są ci cwaniacy? Nie wie, że dawno skończyli z chuligaństwem?. Może specjalnie nic ci nie powiedział, żeby zrobić z ciebie głupka.

- Cholera, naprawdę nie wiedziałem szefie – zmartwił się Wąsik. – Opieprzę Szelca przy najbliższej okazji, a teraz każę mu dokładnie sprawdzić alibi Biedy.

- No to jesteśmy głęboko w d...pie – podsumował sytuację śledztwa Bąk, tym samym wyrażeniem, którego niedawno użył Madejski.

Bąk powtórzył tę samą konstatację, kiedy okazało się, że Wojciech Bieda także odpada jako podejrzany, bo jego alibi zostało poświadczane przez kolejne dwie osoby.

- Ano jesteśmy – zgodził się z nim natychmiast Madejski. – Są inne ważniejsze sprawy. Sprawa Zydrewicza schodzi na drugi plan.

8. Madejski



Marian Baczkowski nie mógł się powstrzymać od sprawdzania od czasu do czasu czy pistolet Porębkiewicza wciąż znajduje się na swoim miejscu. Robił to wiedząc, że niepotrzebnie sam

siebie naraża. W feralny listopadowy poniedziałek późnym wieczorem wyjął pistolet z szafy, owinał go w grubą natłuszczoną szmatę, włożył do dużego blaszanego pudełka i zakopał dość głęboko w zboczu wydmy pod karłowatą i pokręconą morskimi wiatrami sosną. Po raz pierwszy odkopał pudełko zaraz po Nowym Roku. Śnieg stopniał, mrozu nie było od ponad tygodnia, więc piasek był miękki i robota poszła sprawnie. Zanim wyjął pudełko, rozejrzał się uważnie. Najbliższa uliczka Cicha była pusta, zmierzch zapadł i słychać było tylko jednostajny szum morza. Wymacał kształt pistoletu przez szmatę, zamknął pudełko i pośpiesznie zakopał w tym samym miejscu. Pozostawione przez siebie ślady zamiótł gęstą sosnową gałęzią, a całe miejsce posypał igliwem.

- Do rana wiatr przewieje piach i wszystko wyrówna – uspokajał się w myśli, bo serce biło mu mocno a w głowie czuł ucisk. Zanim wyszedł na uliczkę, dokładnie otrzepał ubranie z piachu. Aby się uspokoić przed powrotem do domu, zszedł na plażę i ruszył brzegiem morza w stronę Unieścia. Nadmorskie spacerory zawsze przynosiły ulgę jego zszarpanym nerwom.

Długo nie wytrzymał. Wczesną wiosną znów sprawdził skrytkę, ale potem, choć pokusa była niezwykle silna, niecierpliwie czekał na koniec lata. Latem późno zapadała noc i było zbyt dużo spacerowiczów, aby mógł pozostać niezauważony.

Z początkiem września Mielno opustoszało. W pierwszą wrześniową sobotę poczekał aż się zupełnie ściemni i pośpiesznie podążył Cichą ku morzu i wydmovej skrytce. Kiedy otworzył pudełko i zobaczył, że jest puste, najpierw nie mógł uwierzyć własnym oczom, a potem wpadł w panikę. Nagle zdało mu się, że ktoś go obserwuje. Nie rozglądając się, choć przedtem zawsze zwykł sprawdzać, czy nikogo nie ma w pobliżu, gwałtownym ruchem wrzucił pudełko do dołu, zepchnął do dołu stopami piach i rzucił się do ucieczki. Biegł wydмами, aż potknął się o wystający sosnowy korzeń i stracił równowagę. Zachwiał się i złapał za jakąś gałąź, żeby nie upaść. Ból rozdartej przez ostre kolce dłoni trochę go otrzeźwił. Dopiero teraz rozejrzał się. Wokół panowała cisza i oczywiście nikt go nie gonił. Usiadł i zaczął zastanawiać się, co powinien zrobić.

- Nie mogę powiedzieć o wszystkim Szelcowi – myślał w popłochu a w głowie słyszał dudnienie krwi. - Minął już prawie rok od śmierci Porębkiewicza. Szelc musiałby zawiadomić przełożonych, bo sprawa jest poważna, a wtedy już się nie wykręcę. Nikt nie uwierzy w moją wersję. Ale kto mógł mnie zobaczyć? Przecież zawsze sprawdzałem czy jest bezpiecznie! Może ktoś znalazł pudełko przypadkiem. Może zaniósł je na milicję. W sumie tak byłoby najlepiej. Dokładnie wytarłem pistolet i pudełko. Milicja nie znajdzie na nich odcisków palców a ze

szmaty to chyba nie da się ich zdjąć. Gorsza wersja jest taka, że ten ktoś mnie podglądał, wykopał broń, zaniósł na milicję i doniósł, że to ja zakopałem pistolet. Wtedy ze mną koniec. Oskarżą mnie, że zaatakowałem Porębkiewicza!

Zdenerwował się tak bardzo, że skoczyło mu ciśnienie i w głowie znów mu zahuczało od buzującej krwi.

- Spokój! Spokój! – powtarzał, żeby trochę się opanować. – Jeśli ktoś odkopał pistolet i doniósł milicji, że ja go zakopałem, to kiedy to się mogło stać? Jeśli doniósł już jakiś czas temu, a nie na przykład dziś, to już by się mną zainteresowali, już by za mną chodzili, albo już by mnie zamknęli. Jeśli doniósł dzisiaj, to dlaczego po mnie nie przyszli?

Przez dłuższy czas bił się z napastującymi go różnymi i nie dającymi się wzajemnie pogodzić myślami.

- Boże! – przyszło mu nagle do głowy. - Może pudełko wykopały dzieci i zrobią sobie krzywdę. Pistolet był zabezpieczony, ale nabity. Wolałbym gnić w więzieniu, niż przyczynić się do śmierci dziecka.

- Boże! Boże! Sytuacja bez wyjścia – mamrotał sam do siebie. – Mogę jedynie czekać i kombinować co się wydarzy. Czy przyjdą po mnie, czy może zginie niewinne dziecko?

Marian Baczkowski nie przewidział dobrze swojej przyszłości. Milicja się nim nie zainteresowała i żadne dziecko nie zginęło. Pod koniec września, kiedy strach odzywał się w nim coraz rzadziej, dowiedział się od Szelca, że z broni Porębkiewicza zastrzelił się kapitan Jan Madejski. Ten sam, który go przesłuchiwał, namawiał do współpracy i którego Szelc planował przekupić spirytusem. Wiadomość zrobiła na nim piorunujące wrażenie, którego mieleński komendant nie mógł nie zauważyć.

- Ale żeś się przejął tym Madejskim! – zdziwił się. – Mnie to też zszokowało. Twardy był z niego facet, ale się nie uchował. Nie był przyjemniaczkiem. Przeciwnie, miał dużo wrogów. No ale ta niespodzianka z bronią Porębkiewicza zaskoczyła wszystkich. Podobno popełnił samobójstwo, ale z pewnością znów zaczną grzebać przy sprawie majora.

- No właśnie – Baczkowski złapał się ostatniego zdania, jak topielec koła ratunkowego, żeby zamaskować prawdziwy powód zaskoczenia. – Może dotrą do mnie. Obawiam się tego.

- Dlaczego mieliby czepiać się ciebie? – Szelc nie podzielał jego niepokoju. – Jeśli wykluczą samobójstwo, to nikt o tobie nawet nie pomyśli. Madejski przesłuchiwał setki osób i niejednego bandziora wsadził za kratki. Ty byłeś tylko zwykłą małą rybką. Jedną z bardzo wielu..

- Pewnie masz rację – zgodził się Marian, ale bez przekonania.

Ciało Jana Madejskiego odkrył przypadkowy przechodzień, spacerujący z psem w niedzielny poranek 16-tego września w koszalińskim parku. Przechodzień nazywał się Jarosław Kowalski i był jednym z organizatorów Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, ważnego nowego wydarzenia w kulturalnym życiu miasta. Pierwszy zjazd chórów polonijnych odbył się w 1970-tym roku. Miasto nie zapewniło wówczas gościom dobrych warunków lokalowych. Przede wszystkim brakowało miejsca, w którym Polonusy mogłyby dawać koncerty. Druga edycja Festiwalu – Festiwal obywać miał się co dwa lata - stanęła więc pod znakiem zapytania. Organizatorzy nie poddali się jednak i, szczęśliwie dla wszystkich zainteresowanych oraz dzięki wielkiemu finansowemu wsparciu Polonii, błyskawicznie zdobyto pieniądze na budowę nowego amfiteatru, i to największego w Polsce. Amfiteatr stanął w koszalińskim parku a oddano go do użytku właśnie tego lata tuż przed drugą edycją Festiwalu. Kowalski lubił przechadzać się w okolicy nowego budynku i wspominać niedawno zakończoną imprezę, która udała się wspaniale pomimo kilku wpadek. Cieszył się, że imponująca, choć jeszcze nie zadana budowa – z powodu ulewy musiano długo czekać na rozpoczęcie koncertu finałowego - sprawi, że Koszalin stanie się stałym miejscem spotkań rozśpiewanej Polonii, miastem znanym w całym świecie.

Niedziela 16-tego września 1973-go roku zapowiadała się słoneczna i ciepła. Jan Kowalski, człowiek poukładany i konkretny, już zaplanował cały dzień. Po spacerze dobre śniadanie z żoną, która zapewne już wstała i parzyła pierwszą poranną kawę, potem wyjazd samochodem do Mostowa, zbieranie grzybów, piknik w lesie i powrót przed zmierzchem. Już się cieszył na zapach suszonych grzybów w całym domu i oczywiście na pyszną kolację. Bardzo lubił grzyby smażone z cebulą, podlane śmietaną i przyprawione świeżo zmielonym pieprzem. I właśnie wtedy, gdy zbliżał się jedną ze ścieżek do amfiteatru i wyobrażał sobie patelnię wypełnioną grzybami, jego pies, dziarski rudy kundelek wabiący się Funek, zaczął hałaśliwie ujadać. Zawołał psa, ten przybiegł z podkulonym ogonem i niespokojnie patrzył w stronę oddalanej o kilkanaście metrów parkowej ławki. Ktoś na niej siedział dziwnie przechylony do tyłu.

- Pijak – pomyślał Kowalski i już chciał iść w przeciwnym kierunku, kiedy ruszyło go sumienie.
– Trzeba sprawdzić, czy temu człowiekowi nic się nie stało – powiedział do Funka i ruszył przed siebie ogarnięty jakimś dziwnym złym przeczuciem.

Mężczyzna siedzący na ławce nie ruszał się i nie dawał znaku życia. Głowa opadła mu do tyłu, rozchylone nogi jakby nie trzymały się ziemi, a ręce zwisały bezwładnie. Tuż przy jego lewej otwartej dłoni leżał pistolet.

- Szlag by to trafił! Samobójca! Nici z wszystkich planów! – pomyślał zaskoczony, zdenerwowany i zły.

Nie chciał patrzeć w twarz samobójcy. Nie chciał widzieć jego roztrzaskanej głowy. Pierwszym odruchem była chęć ucieczki, ale znów przeważyło w nim poczucie obowiązku. Odszedł kilka kroków i rozejrzał się wokół, licząc na to, że zauważy kogoś, kto pomoże zawiadomić milicję. Pora jednak była wczesna i po parku nikt się jeszcze nie przechadzał. Wiadomo. Niedziela. Musiał działać sam.

- Najbliższa budka telefoniczna stoi przy Wojewódzkim Domu Kultury – trzeźwo kombinował.
- Jeśli będzie nieczynna, kilkaset metrów dalej znajduje się Poczta Główna. Stamtąd z pewnością dodzwonię się na milicję.

Starszy sierżant Wiesław Bąk wykręcał kilkakrotnie numer domowy kapitana Jana Madejskiego, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Znowu spał poza domem – pomyślał poirytowany i zły, bo nie cierpiał zawiadomień o trupach w niedzielę rano. – Wpadnie kiedyś przez te swoje kochanice.

Powiadomił resztę ekipy, prokuratora i lekarza o odkryciu zwłok samobójcy w parku nieopodal amfiteatru i udał się na miejsce zdarzenia. Nie spodziewał się, że zobaczy tam ciało swego kolegi i przełożonego Madejskiego, którego jeszcze przed kilkoma minutami próbował ściągnąć na miejsce wypadku. Kiedy oniemiały stanął przy ławce, znajomy lekarz, równie zaskoczony jak on, właśnie skończył oględziny.

- Strzelił samobójca – powiedział cicho i spojrzał Bąkowi prosto w oczy, jakby w nich miał nadzieję znaleźć wyjaśnienie nieoczekiwanego wypadku.

Bąk podszedł do ciała i ostrożnie odchylił marynarkę. Pistolet Madejskiego był na swoim miejscu.

- Strzelił samobója z cudzej broni! – krzyknął, nie mogąc opanować wzburzenia. – Zabezpieczyć to!

Rozejrzał się po obecnych i podszedł do mężczyzny, który, jak go poinformowano, odnalazł ciało. Rozmawiał z nim prokurator Kujawa, więc stanął obok i słuchał.

- Pistolet, z którego strzelił sobie w głowę nie należał do niego – poinformował Kujawę, kiedy ten skończył rozmowę a świadka przejął Wąsik, aby spisać zeznania.

- Co ty mówisz?! – Kujawa osłupiał. – No to macie kłopot. Jak nic zaczną węszyć ludzie z inspektoratu kierownictwa jednostek bezpieczeństwa a wy zostaniecie odsunięci od sprawy. Ja się do tego nie mieszam. Poczekamy, zobaczymy. Na razie róbcie swoje.

Kujawa miał rację. Zrobiło się nieprzyjemnie, ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy ekspertyza balistyczna przeprowadzona w kierunku identyfikacji broni i pocisku wykazała, że pistolet, z którego padł strzał jest tym samym, którym dysponował zabity przed rokiem w Mielnie major Władysław Porębkiewicz. Jednocześnie wyniki analiz medycznych potwierdzały wersję samobójstwa. Rany wlotowa i wylotowa były charakterystyczne dla strzału z przyłożenia. Madejski był mańkutem, a pistolet został przyłożony lewą ręką do lewej skroni. W raporcie z ekspertyzy daktyloskopijnej wymieniano tylko ślady pozostawione przez denata. Prześwietlenie sprawy Madejskiego i całego Wydziału przez inspektora z inspektoratu kierownictwa jednostek bezpieczeństwa było tylko kwestią czasu. Inspektor pojawił się już po kilku dniach.

Bąk poważnie zastanawiał się nad tym, co ma mówić inspektorowi. Pamiętał dobrze, że przy Porębkiewicz broni nie znaleźli, ale pamiętał też, że to Madejski pierwszy przeszukał zwłoki.

- Czyżby zabrał wtedy pistolet majora i nie zgłosił tego? – pytał sam siebie. – Nie, niemożliwe – odpowiadał natychmiast. – Po co miałby to robić?

- Jednak gdyby Madejski nie zabrał pistoletu Porębkiewicza, to skąd wziąłby się przy nim teraz? – pojawiła się wątpliwość, a zaraz po niej jeszcze jedna, generująca gigantyczne kłopoty dla całego Wydział Kryminalnego. – Czyżby Madejski nie popełnił samobójstwa, tylko ktoś go zastrzelił a samobójstwo upozorował?

Pomyślawszy to, Bąk przeraził się nie na żarty, bo wersja zabójstwa spowodowałaby przetrzepanie przez inspektora góry akt i każdego z funkcjonariuszy Wydziału, a w

konsekwencji zostały by wyłapane wszelkie prawdziwe i domniemane zaniedbania i uchybienia. W szaleństwie sprawdzania wszystkiego i wszystkich to, że nie wykryto zabójcy Porębkiewicza i nie odnaleziono wcześniej jego pistoletu, okazałoby się tylko wierzchołkiem góry lodowej. Należało jak najszybciej zapobiec możliwej katastrofie.

Pracownicy Wydziału Kryminalnego byli jeszcze w szoku po śmierci kapitana Jana Madejskiego, gdy pocztą pantoflową rozeszła się wiadomość, że to Madejski zabrał, przez nieuwagę, albo fatalną pomyłkę, pistolet Porębkiewicza, gdy jako pierwszy dokonywał oględzin. Najbliższy współpracownik Madejskiego, starszy sierżant Wiesław Bąk, potwierdzał tę informację i rozpowszechniał także wiadomości o tym, że Madejski przeżywał ostatnio poważne kłopoty rodzinne, za dużo pił, nie wytrzymał psychicznie napięcia i popełnił samobójstwo.

Wiesław Bąk podtrzymywał wymyśloną przez siebie, ale przecież bardzo prawdopodobną, wersję wydarzeń i dyskretnie uświadamiał kolegom z ekipy, że jest to wersja najlepiej chroniąca interesy Wydziału. Madejskiemu bowiem nic już nie mogło pomóc, a popsucie mu pośmiertnej opinii niewiele znaczyło. Osobiście, zachowując największą dyskrecję, porozmawiał z żoną Madejskiego i jego kochanką Mają Majewską. Nie musiał ich namawiać do składania fałszywych zeznań. Obie przyznały, że kondycja psychiczna, odpowiednio męża i kochanka, była marna, że stał się ostatnio nadmiernie nerwowy, porywczy i niezadowolony, że pił więcej i częściej niż miał wcześniej w zwyczaju. Kobiety przypisywały zły nastrój kłopotom w pracy, ale praca była tematem tabu, więc nie wiedziały, co naprawdę go dręczy. Zgadzały się jednak obie, że kapitan był w tak złym stanie psychicznym, że z pewnością mógł popełnić samobójstwo.

Bąk, ogólnie zadowolony z przebiegu rozmów z kobietami, zdziwił się jednak trochę ich łatwą zgodą na wersję samobójstwa. On także oczywiście zauważył nerwowość swego bezpośredniego przełożonego, ale nerwowość ta wyładowywała się głównie w agresji i wściekłości, a agresja i wściekłość rzadko poprzedzają decyzję o samobójstwie. Wywołują zazwyczaj ataki skierowane przeciw otoczeniu i tak właśnie działał Madejski. Atakował jego, wrzeszczał na kolegów, pieklił się o wszystko i wszystkim zarzucał popełnianie błędów. Osobiście Bąk nie wierzył więc w samobójstwo furiata, którym ostatnio stał się kapitan. Nie chciał pochopnie przypisywać Madejskiemu brutalności względem płci pięknej, ale rozmawiając z Majewską zauważył, że kobieta ma na twarzy i pod oczami kilka przypudrowanych plam przypominających świeże siniaki. Żałował, że nie zapytał, skąd pochodzą, ale i tak otrzymałby prawdopodobnie wymijającą odpowiedź. Można jednak

domniemywać, że i na swoich kobietach Madejski wyładowywał złe emocje. Ktoś taki nie zabija siebie. Niszczy innych.

- Zresztą czy przyszły samobójca cieszyłby się tak entuzjastycznie z wygrania przez Jerzego Szczakiela finału indywidualnych Mistrzostw Świata na żużlu? – zastanawiał się, gdy przypomniawszy sobie, jak bardzo kapitan, gorący kibic żużla i piłki nożnej, cieszył się niedawno ze zwycięstwa polskiego sportowca i jak czekał na mecz polskiej reprezentacji z Anglią, który miał rozstrzygnąć o awansie do zbliżających się Mistrzostw Świata w piłce nożnej w Niemczech, a w czerwcu szalał z radości, gdy polscy piłkarze pokonali w Chorzowie reprezentację Anglii dwa do zera.

- Paskudny rok – przyszło nagle do głowy Bąkowi, jakby w kontrze do sytuacji, które tak bardzo jeszcze niedawno cieszyły Madejskiego. – Jedną za drugą katastrofy samolotowe na całym świecie, katastrofa kolejowa u nas, pogrom, jaki sprawili Rosjanie polskim hokeistom w Moskwie, wygrywając z nimi dwadzieścia do zera, trzęsienie ziemi w Meksyku, które pochłonęło prawie dwa tysiące osób, ataki terrorystyczne i zamachy, a na dokładkę perspektywa niezłej harówki po ogłoszeniu przez władze, że za dwa lata Centralne Dożynki odbędą się w Koszalinie. Szlag by to trafił. Tylko śmierci Madejskiego i węszenia inspekcji brakowało.

Bąk nie pił alkoholu, co nie było w Wydziale dobrze widziane, ale nigdy nie złamał się w tej kwestii i już przyzwyczajono się do jego abstynencji. Stres rozładowywał słuchając piosenek ulubionych zespołów. Po zbyt wcześnie zawartym nieudanym małżeństwie, które dawno temu skończyło się rozwodem, samotność i wszystkie półki w mieszkaniu zapełniał muzyką. Kupował płyty znanych polskich zespołów, piosenkarek i piosenkarzy. Lubił słuchać utworów rytmicznych i prostych, a najbardziej melodyjnych piosenek ze zrozumiałymi słowami. Kiedy dotarł do swego mieszkania po kłopotliwych rozmowach z paniami Madejskiego, czuł się rozdrażniony a perspektywa spotkania dnia następnego inspektora z inspektoratu kierownictwa jednostek bezpieczeństwa wzmagała narastający w nim niepokój. Zaraz po wejściu do pokoju włączył gramofon Pioneer, wyjął najnowszy album z polskimi przebojami i rzucił się na tapczan. Zasnął przy piosence „Małgośka”, śpiewanej przez Marylę Rodowicz.

Następne dni pokazały, że zarówno inspektorowi jak i władzom z wojewódzkiego szczebla nie zależy na tym, aby rozbudowywać i nagłaśniać hipotezy możliwe do postawienia na temat śmierci Madejskiego. Wersja samobójstwa z powodu rodzinnych kłopotów oraz nadużywania

alkoholu, a w konsekwencji także wersja nielegalnego przywłaszczenia broni służbowej przez denata, odpowiadała wszystkim, także współpracownikom, rodzinie i kochance.

Prawdziwym powodem nie rozgrzebywania sprawy śmierci kapitana MO przez zwierzchników było to, że chciano uniknąć stwarzania złej atmosfery wokół zarządzających miastem, służby bezpieczeństwa oraz milicji. Władze miasta oraz wszystkie służby powinny bowiem bez żadnych niepotrzebnych wstrząsów zająć się przygotowaniami do Centralnych Dożynek. A czasu na przygotowania było mało, zaledwie dwa lata. Dożynki zaplanowano na początek września 1975-tego roku. Rada Miasta, spodziewając się wielkiego przyływu państwowych pieniędzy, chcąc jak najlepiej przyjąć I sekretarza PZPR i wszystkich wysoko postawionych gości, a także wykorzystać nadarżającą się szansę na szybką modernizację Koszalina, podjęła decyzję o wielkiej przebudowie miasta. Wąskie brukowane ulice chciano zmienić się w szerokie wyasfaltowane arterie. Domy wzdłuż mającej być poszerzoną ulicy Zwycięstwa, wokół Dworca PKP oraz te stojące na drodze planowanym zmianom należało wyburzyć, tak samo jak wciąż zamieszkałe rudery w samym centrum miasta, liczne sklecone naprędce przybudówki i szopy. Reszta starych domów czekała na odnowienie. Na generalną przebudowę czekał także stadion Gwardii, na którym miały odbyć się główne uroczystości. Trzeba było wybudować pawilony, w których licznym mniej ważnym gościom serwowane będą posiłki oraz zadaszyć amfiteatr, aby można go było wykorzystać niezależnie od pogody. Praca do wykonania w bardzo krótkim czasie była więc gigantyczna i wymagała nadzwyczajnej mobilizacji. Nadzwyczajne zadania stały także przed SB i MO, które, według wytycznych przesłanych z góry, miały „rozpoznać sytuację operacyjno-polityczną w zakładach pracy, dokonać selekcji i sprawdzenia osób, które z racji wykonywanych czynności zawodowych będą miały dostęp do delegacji partyjno-rządowej w miejscach jej pobytu”. Należało także – zadanie dla Wydziału IV – „zaktywizować rozpoznanie zachowania się kleru katolickiego i osób aktywnego kościoła znanych z wrogich wystąpień oraz działaczy duszpasterstwa akademickiego w celu zdeintegrowania poczyną obliczonych na zakłócenie uroczystości dożynkowych”. Czasu wymagało także opracowanie planu zabezpieczenia stadionu, dróg przejść, przejazdów, noclegów i posiłków najwyższych władz partyjnych i państwowych.

9. Nowe decyzje. 1975



Bogumiła Mędrak nie wróciła do Mielna. Zatrzymano ją na kilka dni w szpitalu z powodu ogólnego wyczerpania fizycznego i psychicznego, po czym wypisano z zaleceniem dbania o siebie, prawidłowego odżywiania i unikania mocnych wrażeń. Postanowiła, że nie będzie ubiegała się o sądowe uznanie ojcostwa Władysława Porębkiewicza. Chciała całkowicie zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło i zacząć nowe życie w nowym miejscu. W szpitalu niespodziewanie odwiedził ją młody mieleński milicjant Witold Janczewski. Przyniósł kwiaty i dwie pomarańcze, ale dała mu do zrozumienia, że nie chce mieć kontaktu z nikim, kto przypomina jej przeszłość.

Ułożenie nowego życia nie było łatwe. Najpierw, chcąc nie chcąc, musiała wrócić do mieszkania matki w Będzinie, które zajmował konkubent. Na szczęście jej pokój był wolny i nieruszony. Jeździła stamtąd do Koszalina i nagabywała kuratora oświaty, aby posłał ją do jednej z licznych koszalińskich szkół podstawowych, nawet w charakterze świetlicowej. Wyjaśniała, że nagłe odejście ze szkoły mieleńskiej było spowodowane trudną sytuacją osobistą i nie świadczy o braku odpowiedzialności. Na szczęście mogła liczyć na pozytywną opinię kierowniczkę szkoły w Mielnie i swój prawie anielski wygląd: średni wzrost, szczupłą sylwetkę, kędzierzawe jasne włosy, błękitne duże oczy i świetlista cera.

Los wkrótce zaczął jej sprzyjać i wynagrodził cierpliwość i wytrwałość w poszukiwaniu nowego miejsca pracy. Z powodu zagrożonej ciąży na zwolnienie lekarskie odeszła nauczycielka śpiewu ze szkoły podstawowej przy ulicy Młyńskiej w Koszalinie i Mędrak dostała za nią zastępstwo z perspektywą przedłużenia na spodziewany urlop macierzyński poprzedniczki. W pobliżu szkoły znalazła skromny pokój u starszej spokojnej pani, która wiele czasu spędzała w koszalińskiej katedrze, gdzie nie tylko uczestniczyła w nabożeństwach, ale

także pomagała księżom w opiece nad kościołem i w podejmowanych przez nich przedsięwzięciach.

Bogumiła wreszcie starała się dbać przede wszystkim o siebie. Miała na to więcej czasu. W nowej szkole pracowała z poświęceniem, ale nie wysiadywała w niej do wieczora organizując dodatkowe zajęcia dla uczniów. Łapczywie natomiast korzystała z bliskości centrum miasta. Oglądała wystawy sklepów odzieżowych, aby przerobić swą skromną odzież według najnowszej mody, zwiedzała ekspozycje w Biurze Wystaw Artystycznych, czytała zachodnią prasę w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy i, co najważniejsze, wykupiła abonament na koncerty w filharmonii.

Po jednym z koncertów poznała nauczycielkę muzyki z I Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Dubois w Koszalinie. Polubiły się, widywały na kolejnych koncertach i dużo rozmawiały. Wkrótce została poproszona o pomoc w prowadzeniu szkolnego chóru. Było to o wiele więcej niż mogła się spodziewać. Czuła się przeszczęśliwa. Obawiała się trochę grona licealnych profesorów, bo słyszała, że I Liceum w Koszalinie uznawane jest za szkołę tradycyjną i trzymającą wysoki poziom. Pracowało w nim kilka postaci o dużej pedagogicznej sławie, a od kilku lat pewną ręką prowadził je powszechnie szanowany dyrektor Lech Żyła. Postanowiła jednak skorzystać z danej jej szansy i poznać nowe środowisko. Z obowiązków, których wymagała pomoc w prowadzeniu chóru, wywiązywała się bez zarzutu, więc wkrótce zyskała uznanie i sympatię kilku innych członków grona pedagogicznego, w tym dyrektora.

Lubiła przychodzić popołudniami do starego obszernego budynku Liceum położonego w centrum miasta, jakby na skrzyżowaniu ulic. Jego grube mury dawały poczucie bezpieczeństwa i chroniły przez zewnętrznym hałasem. Do budynku wchodziło się przez wielkie ozdobne drewniane drzwi, za którymi był przestronny hol. Odchodzące od holu wysokie korytarze miały łukowate sklepienia. Monumentalność wnętrza ocieplało światło padające z licznych wysokich okien. Całość nie dawała poczucia przytulności, lecz powagi, trwałości i solidności. Odpowiadało to w zupełności atmosferze, która panowała w Liceum. Powagi i solidności wymagano tu bowiem zarówno od kadry jak i od uczniów. Uczniowie zobowiązani byli do noszenia szkolnych mundurków i tarcz przytwierdzonych do zewnętrznego okrycia. Pilnowano, z różnym skutkiem, aby uczennice nie przychodziły do szkoły w spodniach i z makijażem na twarzy. Z trudnością tolerowano długie rozpuszczone włosy – na topielicę – i króciutkie spódniczki. Dyscyplina, której przestrzegano nie stanowiła jednak celu samego w sobie, lecz podbudowywała cel właściwy, a mianowicie wysoki poziom nauczania.

Bogumile Mędrak najbardziej podobała się aula z dużym oknem witrażowym i podium. W niej właśnie odbywały się próby chóru. Przychodziła wcześniej, rozkładała nuty, przegrywała na pianinie repertuar i sama się rozśpiewywała. Z czasem coraz częściej samodzielnie ćwiczyła z młodzieżą nowe utwory, a nawet dyrygowała. Na początku 1975-tego roku, za namową profesorki muzyki z I LO, postanowiła zapisać się na studia zaoczne do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku na Wydział Wychowania Muzycznego i Rytmiki. Otwierały się przed nią nowe horyzonty. Do czerwca zdobyła pozwolenie i skierowanie na studia z kuratorium oraz od kierownika szkoły, a także opinię sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR, której wymagano. Na początku lipca otrzymała zawiadomienie, że znalazła się na liście studentów pierwszego roku. Nie miała jednak zbyt wiele czasu na rozmyślanie o zbliżającej się obiecującej przyszłości, bo w tym czasie intensywnie przygotowywała szkolne harcerki do udziału w pochodzie dożynkowym.

Wreszcie minął szalony początek września i gorączka intensywnych przygotowań. Uroczystości państwowe wypadły podobno bardzo dobrze i goście, w pełni usatysfakcjonowani, opuścili miasto. A w mieście, całkowicie teraz odmienionym, bo zmodernizowanym według obmyślanego wcześniej przez włodarzy Koszalina planu, znów zapanował spokój. Mogła wreszcie zacząć przygotowania do reorganizacji własnego życia.

Kapitan Wydziału Śledczego SB Komendy Wojewódzkiej MO w Koszalinie Aleksander Dudło nie zapomniał o wydarzeniach sprzed trzech i dwóch lat. Nie przepadał za Władysławem Porębkiewiczem, ale major bądź co bądź był funkcjonariuszem służb, był kolegą, a jego śmierć nie została ani wyjaśniona, ani pomszczona. Z taką hańbą Dudło nie mógł i nie chciał się pogodzić. Gryzło go przede wszystkim podejrzenie, że w zamordowaniu Porębkiewicza miał jakiś niejasny udział kapitan MO Jan Madejski, którego za życia szczerze nie lubił. Wiedział jednak, że sprawa domniemanego samobójstwa Madejskiego została zatuszowana ze względu na niechęć do wywoływania złej atmosfery wokół koszalińskiej milicji w gorącym okresie przygotowań do Centralnych Dożynek. On także wstrzymał się z podejmowaniem jakichkolwiek decyzji czy działań przez ostatnie dwa lata.

Zamieszanie związane z dożynkami wreszcie się skończyło. Służby uporały się z wszechstronnym zabezpieczeniem ogólnopolskiej imprezy. Dudło, który nie latał po ulicach jak zwykły posterunkowy czy krawężnik, bo miał na głowie poważniejsze zadania, nieźle się uśmiechał z tragikomicznych przypadków, z którymi zmagali się niżsi rangą funkcjonariusze.

Musieli oni bronić dostępu do I sekretarza PZPR, towarzysza Edwarda Gierka osobom, które za wszelką cenę chciały osobiście go powiadomić o swej trudnej sytuacji materialnej czy ogólnie życiowej. Byli to - o powtarzająca się od wieków ludzka naiwności! – różni nieudacznicy i desperaci przekonani, że ich nieszczęsny los nie jest winą panującego w kraju systemu, lecz wynikiem niekompetencji, złośliwości lub skorumpowania władz lokalnych, czyli błędów urzędniczych, o których z całą pewnością nie wie najwyższy przywódca państwa. Kiedy więc oni poskarżą się Gierkowi, on pogrozi paluszkami wstrętnym urzędasom i każe im natychmiast naprawić wyrządzone obywatelom krzywdy. „Za wszelką cenę będę chciała dostać się choćby i na przymus jak mi nie pozwolicie dobrowolnie” pisała jakaś nieszczęśnica spod Koszalina, a wśród odpowiedzialnych za ochronę Pierwszego ważniaków wybuchały długotrwałe dyskusje, co zrobić, dopuścić, czy zatrzymać siłą. Komedia.

Nieźle rozbawiły go także plotki, którymi tuż przed dożynkami żyło całe miasto. W sklepowych kolejkach mówiono o zamachu na Gierka i odwołaniu dożynek. Przez kilka dni krążyła po Komendzie notatka jednego z funkcjonariuszy o następującej treści: „Przebywając u mnie w domu w odwiedzinach bardzo dobra znajoma spytała mnie w czasie rozmowy, czy to prawda, że towarzysz Gierek leży w szpitalu ranny, bo był zorganizowany na niego zamach i nie przyjedzie do Koszalina. Odpowiedziałem, że nieprawda. Z kolei ja zapytałem ją, skąd o tym wie. Odpowiedziała mi, że w każdej kolejce można to usłyszeć. Ona stojąc za mięsem w sklepie przy ulicy Władysława IV dodatkowo słyszała, że do Koszalina tę informację miał przywieźć żołnierz, który przyjechał na urlop, a który leżał na tym samym oddziale, co towarzysz Gierek”.

Plotki głosiły także, że do Gierka strzelał jakiś student, który, według jednej wersji został zastrzelony przez ochronę, a według drugiej popełnił samobójstwo. Skąd się wzięły takie bzdurne wiadomości, służbom nie udało się ustalić.

- Cyrk na kółkach! – śmiał się w duchu Dudło.

Cyrk, jak nazywał przeddożynkową gorączkę, zaczął się już miesiąc przed terminem imprezy. W ekspresowym tempie wykańczano na ostatnią chwilę wszelkie roboty budowlane. Zgoniono do Koszalina setki młodzieży z Ochotniczych Hufców Pracy, malowano domy na wszystkich możliwych trasach przejazdu orszaku I sekretarza, ale, z braku czasu i pieniędzy malowano je tylko od frontu. Do sklepów rzucono tak zwane towary luksusowe, czyli po prostu szynkę, baleron, poledwicę, zagraniczne piwa i zwykłe konserwy.

- Cyrk na kółkach! – powtarzał w myślach Dudło. - Ludzie i tak wiedzą, że chodziło jedynie o zamydlenie oczu władzom i gościom i że wszystko wróci do tak zwanej normy. A to, że w ferworze modernizacji zniszczono i tak skromną historyczną substancję miasta, nikogo nie obchodzi.

O oficjalnym wznawianiu śledztw w sprawie śmierci Porębkiewicza i Madejskiego nie mogło być mowy. Nikt nie życzył sobie ponownego zamieszania i dodatkowych kłopotów. Dudło musiał poradzić sobie sam, albo z pomocą możliwie małej liczby najbardziej zaufanych kolegów. Zaufanie w Wydziale było jednak towarem deficytowym. Ostatecznie zdecydował, że poprosi o pomoc - a raczej jej zażąda - najbliższego współpracownika kapitana Madejskiego sierżanta Wiesława Bąka, bo ten z pewnością dużo wiedział o machlojkach swego bezpośredniego przełożonego i też był w nie zamieszany. Połączenie koleżeńskej solidarności z dyscyplinującymi hakami zdawało się najlepszym gwarantem lojalności. Umówił się z Bąkiem na spotkanie w hotelowej restauracji, nie wspominając o celu spotkania.

Był wczesny październikowy wieczór. Po ciepłym słonecznym dniu z północy ciągnęło chłodem.

- W Mielnie nad morzem już jest dużo zimniej – pomyślał Wiesław Bąk, zbliżając się do hotelu „Jałta”, gdzie w restauracji czekał już z pewnością na niego, niezwykle zawsze punktualny, kapitan Aleksander Dudło.

Bąk od kilku dni snuł domysły, o co może chodzić kapitanowi SB. Odsuwał od siebie natarczywą myśl o niewygodnym dla niego powodzie spotkania. Nie chciał wracać do śmierci Porębkiewicza i Madejskiego. Jednocześnie nadal niepokoiła go tajemnica okrywająca oba zdarzenia i związek między nimi. Miał zatem ambiwalentne odczucia. Z jednej strony czuł niechęć do rozgrzebywania minionych spraw, a z drugiej pragnął ich ostatecznego wyjaśnienia.

Zgodnie z przewidywaniem Dudło siedział już w restauracji przy dwuosobowym stoliku i pił piwo. Zajął miejsce, z którego mógł obserwować całą salę.

- Zawodowe przyzwyczajenie – skonstatował Bąk. – Ja też tak robię.

Przywitali się chłodno. Usiedli i w milczeniu czekali na kelnera. Zamówili zimne przekąski, butelkę wódki i dwie coca-cole. Bąk cierpliwie czekał. Nie zamierzał gadać o pogodzie, a poważną rozmowę mógł zacząć tylko starszy rangą kolega.

- Proponuję zająć się wyjaśnieniem śmierci Porębkiewicza – odezwał się Dudło dopiero wtedy, gdy zostali obsłużeni i kelner oddalił się od ich stolika. – Zanim pogadamy, napijmy się – zaproponował.

Pochylił swe potężne ciało nad stołem i rozlał wódkę do kieliszków. Poniósł swój do góry i wygłosił toast:

- Za firmę.

- Za firmę – powtórzył jak echo Bąk.

Przekąsili i spojrzeli sobie prosto w oczy.

– Proponuję zająć się wyjaśnieniem śmierci Porębkiewicza i Madejskiego poza firmą – powiedział Dudło i uważnie przyglądał się reakcji Bąka na jego propozycję.

- Poza firmą – powtórzył Bąk ostatnie dwa słowa beznamiętnym tonem. – Rozumiem.

- Chcę, żebyś mi pomagał – kontynuował kapitan zadowolony z powściągliwości rozmówcy. – Może uda nam się wspólnie wreszcie wyjaśnić kto zabił Porębkiewicza, co naprawdę stało się z Madejskim i co łączy te dwa zdarzenia. Obaj wiemy, że zabranie przez Madejskiego pistoletu z miejsca zabójstwa wygląda więcej niż dziwnie. Sami zbadamy co się za tym wszystkim kryje.

- Dobrze – zgodził się sierżant, nie okazując ani zdziwienia, ani wątpliwości. – Jestem do dyspozycji obywatelu kapitanie.

- Mów mi Olek – Dudło podał koledze rękę przez stół. – Ale tylko gdy jesteśmy sam na sam. W pracy nie kontaktujemy się, chyba że służbowo.

- Oczywiście – Bąk przyjął wyciągniętą dłoń, uściśnął mocno i powiedział:

- Jestem Wiesiek.

Pociąg ze Szczecina do Olsztyna przez Gdańsk, nazywany żartobliwie przez pasażerów z racji długiej jazdy i częstych opóźnień „strzałą północy”, był przepełniony. Bogumiła Mędrak, zmęczona lekcjami i pośpiesznym pakowaniem rzeczy, przepychała się zatłoczonym korytarzem, zaglądając do mijanych przedziałów. Liczyła na to, że znajdzie jedno wolne miejsce i nie spędzi kilkugodzinnej podróży stojąc. Okazja nadarzyła się dopiero w Słupsku, gdzie z wagonu, do którego wsiadła, ubyłoby sporo osób zajmujących miejsca siedzące. W przedziale, w którym znalazła wolne miejsce, poza nieznanymi jej osobami, siedziała młoda

kobieta. Mędrak poznała ją natychmiast. Zapamiętała bowiem jej charakterystyczną, bardzo ładną twarz o ostrych wyrazistych rysach i niezwykle szczupłą, gibką sylwetkę. Zetknęły się ze sobą podczas dożynkowych uroczystości na stadionie. Zasłabła jedna z uczennic, harcerek, nad którymi sprawowała opiekę, a ta kobieta pełniła dyżur jako pielęgniarka. Szybko i skutecznie pomogła dziewczynce i zaopiekowała się nią, podczas gdy ona z resztą grupy defilowała przed trybuną honorową. Bardzo jej wtedy była wdzięczna. Kobieta także ją poznała. Uśmiechnęła się, odpowiedziała skwapliwie na ogłoszone przez Bogumiłę „dzień dobry” skierowane do pasażerów przedziału i, kiedy tylko Mędrak usiadła, zapytała bez zbędnego wstępu:

- Dokąd się wybierasz?

- Na pierwszy zjazd w PWSM w Gdańsku. Zaczynam studia zaoczne.

- PWSM? – znajoma nie wiedziała, jak rozszyfrować skrót.

- Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna – wyjaśniła Bogumiła. – Uczę śpiewu w szkole, ale chcę się rozwijać. Myślę o profesjonalnym dyrygowaniu chórami.

- Świetnie. Może będziemy się czasem spotykać w pociągu, bo ja od czasu do czasu jeżdżę do Lęborka do ciotki. Jest już stara i schorowana. Pomagam jej.

Zanim pociąg stanął w Lęborku i znajoma zebrała się do wysiadania, Bogumiła poprosiła starszego pana, aby zamienił się z nią miejscem i usiadła obok znajomej.

- Poznajmy się – zaproponowała. – Nazywam się Bogumiła Mędrak.

- Maja Majewska – usłyszała w odpowiedzi. – Mieszkasz i pracujesz w Koszalinie?

- Tak. Właściwie w samym centrum, przy ulicy Młyńskiej.

- Też mieszkam w Koszalinie, ale trochę dalej, przy Fałata. Pracuję w sanatorium w Mielnie. Muszę codziennie dojeżdżać pociągiem. Mają podobno puścić niedługo do Mielna autobusy miejskie. Dla mnie byłoby to ogromne ułatwienie. Nie mogę się doczekać.

- Miła dziewczyna – myślała Bogumiła po wyjściu Maji. – Trochę starsza ode mnie, ale otwarta. Może się jeszcze kiedyś spotkamy. Dziwne imię Maja. Czyżby jej rodzice byli wielbicielami erotycznych rysunków Mai Berezowskiej?

Następne spotkanie Bogumiły Mędrak z Mają Majewską nastąpiło dość szybko, ale nie w takich okolicznościach i warunkach, o których Bogumiła myślała po ich pierwszym spotkaniu.

Późną nocą w niedzielę 9-tego listopada wysiadła z pociągu na dworcu w Koszalinie. Wraciała z kolejnego zjazdu. Studiowane przedmioty, studenci, profesorowie, wszystko to bardzo jej odpowiadało. Była szczęśliwa, że poznaje nowe wymiary świata muzyki. Jednak połączenie pracy i studiów wymagało od niej ogromnej dyscypliny, stałej mobilizacji i wysiłku. Wracając ze zjazdu czuła się więc śmiertelnie zmęczona. Wykłady, ćwiczenia, rozmowy z koleżeństwem, a przede wszystkim byle jak przespana noc i niewygodna podróż powrotna wyczerpały ją zupełnie. W pociągu przysnęła i wyjście z nadmiernie nagrzanego wagonu na zimny i wietrzny peron sprawiło, że drżała na całym ciele. Marzyła, aby jak najszybciej dotrzeć do swojego ciepłego pokoju, wziąć kąpiel i paść na łóżko.

- Spać, spać, spać – mówiła do siebie, idąc szybkim krokiem po peronie, a potem zmierzając podziemnym przejściem i dworcowym holem do wyjścia z dworcowego budynku.

Inni pasażerowie, też skuleni i zmęczeni, błyskawicznie opuszczali dworzec i znikali w pobliskich ulicach lub w czekających na nich samochodach. Wiał wiatr, padał deszcz, jak to w listopadzie. Rozłożyła parasol, poszła na postój taksówek i stanęła w kilkusobowej kolejce.

- Jadę na Północ przez Młyńską! – krzyknął kierowca osobowego auta, które zatrzymało się tuż przy niej, na wysokości końca kolejki.

- Można? – zapytała uradowana, udając że nie widzi złych spojrzeń stojących przed nią kolejkowiczów.

Otworzyły się tylne drzwi samochodu a ona ochoczo wskoczyła do środka. Ogarnęło ją ciepło, poczuła dziwny zapach i zimny dotyk kompresu na twarzy. Ocknęła się w ciemnościach, skostniała z zimna, oszołomiona i zdezorientowana. Męczyła ją suchość w ustach i mdłości.

- Jezu – jęknęła cicho i natychmiast usłyszała, że ktoś poruszył się w pewnej odległości od niej.

- Kto tam?! – zawołała przerażona drżącym głosem, szczękając zębami – Kto tam?! Gdzie ja jestem?!

- Nie krzycz – usłyszała kobiecy głos. – Tu nikt cię nie usłyszy. Widzisz coś? Postaraj się do mnie zbliżyć. Tu jest materac i koc. Ogrzejesz się trochę.

- Kim jesteś? – zapytała ciszej Bogumiła, zaniepokojona, ale jednocześnie odczuwając ulgę, że nie jest sama w tej dziwnej i przerażającej sytuacji.

- Nieważne – usłyszała.

Ostrożnie przesunęła się w stronę, z której dochodził głos. Ręką wymacała ścianę, pod nogami czuła twarde podłoże. Zaskrzypiały stare deski. Wyciągnięta ręka dotknęła ciepłej materii i natychmiast została złapana przez inną dłoń.

- Siadaj – dłoń pociągnęła ją w dół, a potem podała róg koca. – Okryj się. Ręce masz zimne jak lód.

Głos wydał się Bogumile znajomy, ale nie mogła uwierzyć w taki zbieg okoliczności, który przypadkowo umieściłby ją z osobą, którą mało знаła i spotkała tak niedawno, w jakimś obcym ponurym miejscu, porwaną nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo po co.

- Maja? – zapytała drżącym z zimna i strachu głosem.

- A ty kim jesteś? – znajomy głos także postawił pytanie.

- Bogumiła Mędrak – odpowiedziała z wahaniem.

- Bogumiła?! Ta z pociągu?! – zaskoczenie i zdziwienie w głosie nie mogło być udawane.

- Maja? – zapytała ponownie.

- Tak, to ja. Słyszałam jak ciebie tu przywieźli i położyli na podłodze – rozgadała się Maja Majewska, najwyraźniej podniecona nieoczekiwanym spotkaniem Bogumili w tak niezrozumiałych okolicznościach. – Bałam się, że przyszli po mnie i coś mi zrobią. Boże, leżałaś bez ruchu prawie godzinę. Mnie też wrzucili tu bez przytomności. Napadli na mnie na klatce schodowej. Przyłożyli jakąś szmatę do ust i nosa. Musiała być nasączona eterem, bo poczułam słodki zapach. Co było dalej nie pamiętam. Obudziłam się tutaj, chyba kilka godzin temu. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, ile czasu minęło. Kiedy się ocknęłam było już całkiem ciemno, a porwali mnie około drugiej po południu. Wracałam do domu z zakupami. Miałam jechać do pracy na nocną zmianę. Boże! Kto nam to zrobił?! Czego oni mogą od nas chcieć?!

Bogumiła słuchała wyrzucanych gwałtownie przez Maję słów z oszołomieniem. Wróciło śmiertelne zmęczenie, ale także lepsza orientacja. Najpierw sprawdziła, czy ma przy sobie dużą pakowną podręczną torbę, z którą jeździła na zjazdy. Na szczęście, wysiadając z pociągu, przewiesiła ją przez pierś. Torba, której ciężaru dotąd nie czuła, była na swoim miejscu. Potem skupiła się maksymalnie, próbując opanować rozbiegane myśli.

- Dlaczego napadli właśnie na nas? Co my możemy mieć ze sobą wspólnego? – zastanowiła się głośno. – Przecież prawie się nie znamy.

- Czy miałeś ostatnio do czynienia z milicją? – zapytała cicho Maja.

Zamilkła, a po chwili, jakby chcąc zachęcić towarzyszkę niedoli do wyznań, powiedziała:

- Miałam kochanka. Był żonaty i był milicjantem. Zastrzelił się we wrześniu dwa lata temu. Milicja o mnie wiedziała. Przesłuchiwali mnie kilkakrotnie. Straszili. Sprawdzali, czy się nie przyczyniłam do jego śmierci.

Maja zamilkła. Po kilku minutach, w czasie których Bogumiła nie zareagowała na przekazane przed chwilą informacje, poruszyła się niespokojnie i grobowym tonem dodała:

- Nie zmartwiłam się. Był okrutny i perwersyjny. Od pewnego czasu bił mnie i wymagał takich rzeczy w łóżku, że wstydzę się powiedzieć. Ty nawet nie wiesz, jak to jest. Wyglądasz tak niewinnie. Zazdrościłam ci tego anielskiego wyglądu, kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz, wiesz, na stadionie, no i potem w pociągu.

Bogumiła Mędrak zeszywniała. Przeszłość, siłą woli i postanowienia odepchnięta w niepamięć, nagle przygniotła ją swym ciężarem z nieoczekiwaną brutalnością. Tłumiony szloch rozsadzał jej pierś, a ramiona zaczęły konwulsyjnie drgać. Nie mogła powstrzymać łez. Maja Majewska przysunęła się do niej, objęła ramieniem i przytuliła.

- Przepraszam – szeptała. – Nie musisz nic mówić. Przepraszam. Uspokój się.

- Mój ojciec był milicjantem – załkała młoda nauczycielka. – Był esbekiem.

- O! – tylko jeden okrzyk wydobył się z ust pielęgniarki. Ramię, którym obejmowała płaczącą Bogumiłę opadło bezwładnie. Majewska nie potrafiła udawać litości. Szczególnie wobec esbeckiego potomstwa, które sądziło na ogół, że należy mu się więcej niż zwykłym ludziom.

- Nie znałam go. On mnie odnalazł trzy lata temu – wyjaśniała Bogumiła, uspokajając się powoli. – Pracowałam w Mielnie. Czekał na mnie przed szkołą. Dużo o mnie wiedział. Twierdził, że moja matka nie pozwalała mu na kontakty ze mną, ale ja mu nie wierzyłam. Zawsze przyjeżdżał na spotkania podpity. Tych spotkań nie było wiele, bo już po kilku miesiącach znaleziono go martwego na mieleńskim cmentarzu. Ktoś go zabił. Walnął go w głowę. Też mnie wtedy przesłuchiwali, ale ja nic nie wiedziałam. Nadal nie wiem, co się stało.

- No to chyba mamy powód, dla którego nas porwali – stwierdziła stanowczo Maja. – Chcą z nas wydobyć nowe informacje na temat śmierci tych funkcjonariuszy, mojego kochanka i twojego ojca.

- Ale kto chce? Przecież śledztwa dawno się zakończyły – Mędrak nie rozumiała wypowiedzi koleżanki.

- Jak to kto? Esbecja. Tylko oni są zdolni do bezkarnego porywania i przetrzymywania ludzi. Wszystko mogą z człowiekiem zrobić.

Wyjaśnienie własnego położenia nie przyniosło uwięzionym kobietom ulgi, lecz wzmogło ich strach i wywołało przygnębienie bliskie rozpacz. Bolesne było też to, że straciły do siebie zaufanie i jedna drugą oskarżała w duchu o to, że jest przyczyną nieszczęścia, które je spotkało i którego finał, jak obie przewidywały, choć starały się o tym nie myśleć, będzie tragiczny. Stykały się jeszcze ciałami, siedząc pod jednym kocem na wąskim materacu, ale z każdą mijającą minutą milczenia, dotyk stawał się coraz bardziej niewygodny i nieprzyjemny. Pojednał je sen, niespokojny i przerywany nagłymi przebudzeniami. Ułożył je blisko jedną obok drugiej pod kusym szorstkim kocem.

10. Niepokój



Marian Baczkowski starał się już nie myśleć o skradzionym, a właściwie zabranym, z jego schowka pistolecie i o tym, że z tego właśnie pistoletu zastrzelił się kapitan Madejski. Minęły dwa lata. Przez ten czas wmawiał sobie, że to Madejski obserwował go i prawdopodobnie przyuważył jak sprawdza, czy broń nadal leży bezpiecznie zakopana w nadmorskiej wydmie, a następnie broń wykopał i zabrał. Sam nie za bardzo wierzył w tę wymyśloną na własny użytek wersję wydarzeń, ale lepsza nie przyszła mu do głowy. Nikomu nie powiedział ani o pistolecie, ani o nieszczęsnej sobotniej nocy, kiedy pił z Porębkiewiczem rozrobiony z wodą i porzeczkowym sokiem spirytus. Nie powiedział, nawet żonie, która przecież musiała słyszeć

wtedy ich pijacką nocną rozmowę. Marianna Baczkowska rzadko zadawała mężowi niewygodne pytania, więc i tym razem milczała.

Małżonkowie od roku żyli sami. Obie córki wyjechały na studia. Byli z nich bardzo dumni. Z radością czekali na dłuższe i krótsze wizyty swoich pociech. Marianna przygotowywała na ich przyjazdy ulubione dania, a Marian ścigał do domu smakołyki, na które lubił polować w koszalińskich sklepach. Był chyba jedynym facetem, a może i jedynym w ogóle człowiekiem, któremu nie przeszkadzały gigantyczne kolejki w sklepach. Zdobywanie pożądaných produktów traktował jak polowanie na rzadkiego zwierza. Po powrocie do domu triumfalnie wyciągał zdobycze ze skórzanej wytartej teczki. Żona, chcąc nie chcąc, musiała rozvodzić się nad jego sprytem i z uznaniem w oczach wszystko uważnie oglądać.

Od ostatniego pobytu dziewczyn minął prawie miesiąc. Przyjechały do domu na Wszystkich Świętych. Wyjechały, jak zawsze, z podróżnymi torbami wypełnionymi wszystkim, co udało się przygotować i zgromadzić rodzicom. Baczkowski zwykle odwoził córki na dworzec do Koszalina. Ich pociągi – starsza jechała do Szczecina, gdzie studiowała na Akademii Rolniczej, młodsza do Gdańska, bo studiowała matematykę na powstałym zaledwie przed kilku laty Uniwersytecie Gdańskim – wjeżdżały na peron w Koszalinie jednocześnie, spotykając się w połowie drogi między Gdańskiem a Szczecinem. Ojciec wyszukiwał im wolne miejsca w przedziałach, biegnąc wzdłuż peronu, podawał przez okno ciężkie torby siedzącym już w przedziałach pasażerom i zadowolony z siebie, wpychał córki do wagonów, machał na pożegnanie, odwracając się raz w jedną, a raz w drugą stronę, aby widzieć odjeżdżające w przeciwnych kierunkach pociągi. Gdy pociągi znikwały na łukach torów, lekko zasmucony, wracał do Mielna.

W poniedziałek po Wszystkich Świętych – święto przypadało w sobotę – Marian Baczkowski także towarzyszył córkom w ich wyprawie na koszaliński dworzec. Ulokował je w napchanych do granic możliwości wagonach – o znalezieniu wolnych miejsc w przedziałach nie można było nawet marzyć – i martwiąc się, że będą stały kilka godzin w zatłoczonych i przegrzanych kolejowych korytarzach, z ciężkimi bagażami przy nodze i w wierzchnich ubraniach, zszedł z peronu do przejścia podziemnego. Potem przeszedł przez dworcowy hol, spojrzał na długie kolejki do kas biletowych, w których niespokojni pasażerowie przestępowali z nogi na nogę i pośpieszali jedni drugich – w jednej z nich stał z dziewczynkami jeszcze przed niecałą godziną i też denerwował się, czy zdążą przed przyjazdem pociągów – i wyszedł na zewnątrz. Stanął przed wejściem i długo patrzył na rozległy plac przed dworcem. W świeżej pamięci miał jeszcze obraz wąskich ulic, poniemieckich kamienic i ciemnych zaułków. Ten mały świat, w

którym zadomowili się po wojnie nowi ludzie, zniknął bez śladu. Został zamieniony w szeroką arterię komunikacyjną i ogromny betonowy parking. Nie wiedział, co myśleć o zmianach, które nastąpiły. Komunikacja w mieście niewątpliwie się poprawiła. Ale czy koniecznie należało wyburzać stare domy i wysiedlać z nich ludzi, którzy zamieszkiwali je przez trzydzieści lat, odgruzowali je i odbudowali? Czy inne rozwiązanie nie było możliwe? Wszystko robiono w szalonym pośpiechu. Mieszkańcy wyburzanych kamienic nie zdążyli nawet oswoić się z myślą o wykwaterowaniu. Słyszał, że kilka starszych osób popełniło samobójstwo, nie wyobrażając sobie wyprowadzki z miejsca, które uważały za ostatnią życiową przystań. Wżyli się w to miejsce, gdzie z powodu ciasnoty w mieszkaniach gospodarzyło się w skleconych własnoręcznie szopkach i dobudówkach, gdzie znało się każdego i każdy zakamarek, gdzie biedne życie toczyło się według ustalonych, choć niepisanych zasad. Gazety o samobójstwach i rozpaczach mieszkańców nie pisały, ale pogłoski krążyły i rozrastały się do niewiarygodnych rozmiarów.

Baczkowski z rezygnacją machnął ręką, zdając sobie sprawę, że nie rozwikła problemu modernizacji miasta, stojąc i dumając przed dworcem PKP w Koszalinie. Zrobił kilka kroków w kierunku pobliskiego dworca PKS. Rozkład jazdy autobusów jadących do Mielna znał na pamięć. Od wielu lat prawie codziennie przemierzał trasę z Mielna do Koszalina i z powrotem. Autobus odjeżdżał za godzinę. Biletu w kasie nie musiał kupować, bo miał bilet miesięczny. Nawet gdyby nie zabrał biletu z domu, znający go doskonale kierowcy i konduktorzy obsługujący trasę, bez problemu wpuściliby go do pojazdu. Dla zabicia czasu postanowił przejść się ulicą Świerczewskiego, która po modernizacji nabrała charakteru przydworcowego deptaka i przy której ulokowano liczne sklepy z przeszklonymi witrynami. Nie skorzystał z podziemnego przejścia, lecz przemknął między jadącymi szeroką ulicą samochodami, potem przez parking i następną dwupasmówkę. Nagle, czując na swoich plecach czyjś wzrok, zatrzymał się po drugiej stronie Alei Trzydziestolecia - tak nazwano tę część nowej arterii. Odwrócił się i uważnie obserwował budynek dworca, ulicę i parking przed dworcem, czując niewytłumaczalne napięcie i niepokój. Był przekonany, że ktoś go obserwuje. Z przydworcowego parkingu doszedł go odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu. Spojrzał w kierunku miejsca, z którego usłyszał hałas. Ciemny fiat 125p włączył światła i powoli odjechał w stronę ulicy Zwycięstwa.

- Jestem zbyt nerwowy – pomyślał. – Przesadzam.

Nadal jednak czuł się nieswojo, więc zrezygnował ze spaceru po ulicy Świerczewskiego i, rozglądając się wokół, udał się na dworzec PKS.

Niepokój powrócił kilka dni później. Zawsze po pracy, jeśli nie wyjeżdżał w teren, czekał na autobus na dodatkowym przystanku, który, dla wygody pasażerów pracujących lub uczących się w oddalonej od dworca części miasta, wyznaczono na wysokości Poczty Głównej. Pekaes podjeżdżał na przystanek zupełnie pusty i można było zająć miejsce siedzące przed tymi, którzy czekali na dworcu PKS. W godzinach powrotu ze szkół i z pracy autobusy zawsze były przepełnione. Środę 12-tego listopada spędził w biurze. Rano pracownicy Wydziału Finansowego Powiatowej Rady Narodowej mieli naradę, która trwała trzy godziny. Potem zajął się papierkową robotą, bo tej zawsze było dużo. Wyszedł z budynku PRN i poszedł, jak zwykle, na dodatkowy przystanek. Na przystanku stało już kilkanaście osób. Zajął miejsce na uboczu i nagle znów poczuł, że jest obserwowany. Przyjrzał się bacznie czekającym na pekaes ludziom. Nikt na niego nie zwracał uwagi i nikt nie wyglądał podejrzanie. Ot, znani mu z codziennych przejazdów pasażerowie. Zaczął odwracać się w tę i tamtą stronę i penetrować wzrokiem okolicę. Pod Poczta Główną zauważył zaparkowanego ciemnego dużego fiata. Zapadał wczesny listopadowy zmrok. W samochodzie świeciło się światło, a w środku siedziało dwóch facetów - jeden za kierownicą, drugi obok. Obaj patrzyli w jego stronę. On także zaczął się im uważnie przyglądać. Światło w samochodzie zgasło. Ruszył szybkim krokiem w stronę auta, a gdy był już blisko, kierowca włączył silnik i wolniutko odjechał. I właśnie w tym momencie ogarnął go ten sam nieokreślony niepokój. Patrzył za odjeżdżającym fiatem, a niepokój ciągle wzrastał, aż przerodził się w lęk. Przeczuiwał, że w środku miasta, wśród przechodzących obok i oczekujących ludzi, czyha na niego nieznane i nieokreślone niebezpieczeństwo.

- Wpadłem w stan chorobliwej nerwowości – pomyślał i wrócił na przystanek.

Podobna sytuacja powtórzyła się następnego dnia, gdy z ulicy Mickiewicza w Koszalinie zmierzał na dworzec PKS. Przeprowadzał od rana kontrolę w Fabryce Cukierków „Bogusławka”. Kontrola poszła sprawnie i mógł wcześniej niż zwykle autobusem wrócić do Mielna. Zapomniał o lęku, który zawładnął nim dnia poprzedniego. Szedł ulicą Zwycięstwa dziarskim krokiem, zadowolony ze skończonej wcześniej roboty, rozglądał się i przystawał, żeby sprawdzić, za czym stoją kolejki, czyli, jak się mówiło, co rzucili do sklepów. Minął z niechęcią sklep ze słodyczami, bo nawąchał się przez cały dzień słodkiego zapachu w „Bogusławce” i zajął kolejkę do mięsnego. Po godzinie stania, kupił dwa serdelki i kilogram wieprzowych żeberek. Humor mu się nie pogorszył. Nawiązał rozmowę z dwoma starszymi kolejkowiczami, z których jeden stał przed nim, a drugi za nim, opowiedział im trzy zasłyszane ostatnio dowcipy, więc czas minął szybko i przyjemnie.

- Zjem serdelki na gorąco z musztardą i chlebem, a potem pójdę na spacer nad morze – planował z przyjemnością. – A na sobotę Mańka zrobi duszone żeberka z cebulą – cieszył się na swoje ulubione danie.

Kiedy stał przy przejściu dla pieszych, aby przedostać się na tę stronę ulicy, po której znajdował się dworzec, zauważył, jak granatowy fiat 125p powoli przejeżdża przejście, a siedzący obok kierującego gruby mężczyzna, patrzy na niego z dziwnym uśmiechem.

- To nie może być przypadek! – coś w nim zawołało i lęk powrócił.

Odczuwał go jeszcze w drodze do domu. Nie powiedział żonie o swoim podejrzeniu, że jest od kilku dni śledzony, bo przecież ona nie miała pojęcia ani o pistolecie Porębkiewicza, ani o samobójstwie Majewskiego i gotowa była pomyśleć, że ma manię prześladowczą.

- Być może jestem tchórzem – myślał, leżąc już we własnym łóżku z cicho pochrapującą żoną przy boku – ale mam złe przeczucia. Coś wisi w powietrzu. Nigdy dotąd tak się nie bałem. Intuicja podpowiada mi, że chodzi o ten przeklęty pistolet. Porębkiewicz, niech mu ziemia lekka będzie, wpakował mnie w niezłą kabałę. Szlag by to trafił. Co robić? Co robić?

Rano – a był piątek 14-tego listopada - wstał później niż zwykle i przy śniadaniu powiedział Mariannie, że źle się czuje. Poprosił, aby poszła do mieleńskiego lekarza Pruszkowskiego i wzięła dla niego zwolnienie lekarskie na tydzień, a w poniedziałek wysłała je do kadr. Z Pruszkowskim byli zaprzyjaźnieni, więc mógł być pewny, że lekarz nie odmówi mu pomocy, której on zresztą nigdy nie nadużywał. Leczył się u Pruszkowskiego i brał leki nasercowe. Złe samopoczucie mogło się przytrafić. Poinformował Mariannę, że on musi na kilka dni wyjechać, a gdyby ktoś o niego pytał, to trzeba mówić, że leży w szpitalu na badaniach.

- Źle się czujesz? – zapytała zmartwiona Marianna, choć widziała, że mąż wygląda nieźle, tylko jest podenerwowany. – Czy może coś się stało? Jakież kłopoty w pracy?

- Opowiem ci jak wrócę – oświadczył, ubierając płaszcz i łapiąc teczkę, do której włożył przygotowane przez żonę kanapki.

- A kiedy wrócisz?! – zawołała za nim, gdy wychodził. – A co z żeberkami? Przecież miałam je jutro zrobić!

Machnął ręką, żeby dać znać, że ma teraz większe zmartwienia niż duszone żeberka i poszedł na przystanek w centrum Mielna. Zdążył na ostatni ranny autobus, po odjeździe którego następny pojawiał się dopiero po godzinie trzynastej. W Koszalinie udał się prosto do biura.,

Po drodze rozglądał się uważnie, wypatrując ciemnego fiata, albo osoby, która mogłaby go śledzić. Nie zauważył ani samochodu, ani kogoś, kto by za nim szedł. W biurze, jak gdyby nic szczególnego się nie działo, rozdzielił zadania do wykonania w najbliższych dniach pomiędzy swoich pracowników i zapowiedział, że przez kilka dni będzie nieobecny, a robotę podgoni, gdy wróci. Nikt się nie zdziwił. Ich praca była nielimitowana. Wiele dni spędzało się na wyjazdowych delegacjach i nie liczyło nadgodzin. Chodziło o to, aby plan kontroli został terminowo wykonany, a papiery oddane na czas.

Marian Baczkowski w południe opuścił biuro i wolno szedł ulicą Zwycięstwa. Znów sprawdzał, tym razem bardzo dyskretnie, czy nie jedzie za nim duży fiat, lub czy nie idzie za nim tajemniczy osobnik. Na pozór wszystko było w porządku. Dotarł do koszalińskiej katedry i wszedł do środka. Kościół był pusty. Tylko jedna starsza pani siedziała w ławce blisko drzwi wejściowych. Odmawiała różaniec. Spojrzała uważnie na niego, gdy wchodził. Wyglądało na to, że pilnuje porządku. Uśmiechnął się do niej. Klęknął w ostatniej ławce, pomodlił się, a potem podszedł do kobiety i cichutko poprosił:

- Niech mi pani pomoże. Nie jestem przestępcą. Śledzi mnie milicja. Żeby ich zgubić, muszę wyjść przez zakrystię. Czy pani może mnie przeprowadzić?

Starsza pani spojrzała na niego spokojnie. Zauważył, że nie wydawała się zdziwiona nietypową prośbą. Po prostu wstała, skinęła na niego ręką i poprowadziła do zakrystii. Potem otworzyła drzwi prowadzące z zakrystii na przykościelny placik leżący z tyłu kościoła. Wyszedł na zewnątrz, a ona bez słowa zamknęła za nim drzwi. Rozejrzał się uważnie. Wokół było pusto. Wybierając boczne uliczki, przemykając się pod domami i klucząc, poszedł w kierunku ulicy Jana z Kolna, aby dotrzeć niezauważonym przez nikogo do koszalińskiego browaru. Dotarł tam po czasie dłuższym niż wymagało tego pokonanie odległości od katedry do browarnych zabudowań okolonych solidnym murem. Zapukał w okienko portierni, gestem dłoni powitał portiera i wszedł do środka. Portier znał go bardzo dobrze, gdyż browar także podlegał jego kontroli.

- Dzień dobry panie inspektorze – powitał go uśmiechem starszy mężczyzna, który pełnił tego dnia dyżur. – Znowu będzie u nas kontrola? Ale witamy, witamy!

Inspektor Baczkowski uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Mogę zatelefonować? – zapytał *pro forma*.

Z wewnętrznego telefonu browaru wywołał zastępcę kierownika. Z zastępcą kierownika browaru Bolesławem Poleskim był w pewien sposób zaprzyjaźniony. Ich nietypowa przyjaźń polegała na tym, że polubili się od pierwszego służbowego spotkania a po kilku następnych spotkaniach często i długo ze sobą rozmawiali, i to nie o sprawach służbowych, ale o życiu w ogóle i o polityce. Ich rodziny natomiast nigdy się nie poznały. Obaj od pierwszego zetknięcia się z sobą wyczuwali szóstym zmysłem, że mogą sobie ufać a w trudnych sytuacjach mogą na siebie liczyć. Bliższe towarzyskie więzi nie były potrzebne. Wykluczała je także relacja służbowa.

- Muszę się schować na kilka dni – powiedział do Poleskiego bez ogródek, gdy ten po kilkunastu dłużących się w nieskończoność minutach wreszcie się pojawił.

Opuścili już portiernię, wyszli na ulicę i stanęli za węglem najbliższej kamienicy.

– O nic nie pytaj - mówił szybko i nerwowo Baczkowski. - Lepiej, żebyś o niczym nie wiedział. Gwarantuję, że tobie nic nie grozi, bo chodzi tylko i wyłącznie o mnie. Pomyślałem, że mógłbym się ukryć w starych pustych piwnicach browaru. Wiesz, w tych, w których dawniej była lodownia, albo w tych jeszcze starszych przy Kazimierza Wielkiego, gdzie słodowano ziarno i leżakowano piwo. Ty wiesz najlepiej, w jakim są stanie i czy można tam przetrwać przez kilka dni.

- Marianie – flegmatycznie powiedział Poleski cierpliwie wysłuchawszy długiej i gorączkowej wypowiedzi kolegi - nie fantazuj. – O nic oczywiście nie będę pytał, ale pomysł ukrycia się w starych browarnych piwnicach jest szalony. Piwnice przy starych murach są częściowo zalane. Nie wchodzimy tam od dawna i nie wiadomo czy nie grożą zawaleniem. Do dawnej lodowni co prawda nikt nie zagląda – ciągnął bez emocji browarnik, który był doświadczonym człowiekiem, a ponadto znał lekko awanturniczą naturę przyjaciela – ale nie wytrzymasz doby w panującym tam zimnie i w zupełnych ciemnościach. A tak w ogóle czy ty nie przesadzasz?

- Stary! – ściszone głosem wykrzyknął zniecierpliwiony Baczkowski. – To nie są żarty! Teraz nic nie mogę ci powiedzieć. Może kiedyś ci wyjaśnię. Ja naprawdę muszę zniknąć na kilka dni. Im szybciej tym lepiej. W piwnicach zniknę bez śladu. Na pewno wytrzymam.

- Nie wytrzymasz – zdecydowanie uciął mu Poleski.

- No to co mam robić? – zaniepokoił się nie na żarty Baczkowski. – Śledzą mnie. Nie mogę normalnie żyć. Boję się.

- Dobra – zgodził się browarnik. – Pomogę ci, choć nie wiem o co chodzi, kto cię śledzi i dlaczego. Wplątałeś się w jakąś dziwną historię. Twoja sprawa. Ukryję cię, ale nie w piwnicach.

Baczkowski poddał się, bo Poleski, człowiek konkretny i dobrze zorientowany, najlepiej wiedział, jakie warunki panują w dziewiętnastowiecznych, opuszczonych, wilgotnych i ciemnych piwnicach dawnego browaru. Zdał też sobie sprawę z tego, że on, pięćdziesięcioletni mężczyzna, a więc już starszy pan, nie wytrzymałby w zimnie i wilgoci zbyt długo, nie ponosząc poważnego uszczerbku na zdrowiu.

- Daj mi czas do zastanowienia – zażądał zdecydowanie browarnik. – Chodź ze mną. Posiedzisz w moim biurze i poczekasz. Będę wolny dopiero za dwie godziny. Wypijesz sobie piwko i trochę się uspokoisz.

- Nie! – zaproponował gwałtownie inspektor. - Poczekam na ciebie w restauracji na rogu Spółdzielczej i Jana z Kolna. Lepiej, żeby mnie nikt nie widział w browarze. Wystarczy, że portier wie, że tu byłem..

Poleski pokręcił głową. Był zadziwiony i zaniepokojony.

- Człowieku! – zawołał i zapytał. – Coś ty nawywił? Mniejsza o ciebie, ale chyba narażasz na przykrości swoją rodzinę. Dobrze, że twoje córki są poza domem. A co z żoną?

- Mam nadzieję, że jej nie ruszą. Ona zresztą o niczym nie wie.

- Ale czy ci tajemniczy oni, przed którymi uciekasz, też wiedzą, że ona o niczym nie wie? – drążył Poleski.

Daj spokój! – zdenerwował się Baczkowski. – Marianna poradzi sobie.

- Zobaczymy. Chyba wiesz co robisz? – browarnika nie przekonały zapewnienia inspektora.

– Idź do restauracji i spokojnie czekaj. Postaram się przyjść możliwie szybko – dodał.

- Dziękuję – padło w odpowiedzi.

Baczkowski był wdzięczny koledze, że nie ciągnie dalej tematu narażania żony na nieznane bliżej niebezpieczeństwo, bo zdawał sobie sprawę z tego, że zostawił ją samą sobie.

- Gdyby mnie nie było w restauracji, to znaczy gdybym musiał stamtąd uciekać, będę czekał na ciebie w wąwozie za Dzierżcinką. Aha. I powiedz portierowi, że mnie tu w ogóle dziś nie było – dopowiedział, przewidując ewentualne komplikacje.

Poleski znów pokręcił głową, dając koledze do zrozumienia, że nie rozumie jego nadmiernej ostrożności graniczącej z paniką, machnął zniechęcony ręką i odszedł bez słowa.

Spotkanie w wąwozie nie było potrzebne. Baczkowski bowiem, nie niepokojony przez nikogo, czekał na Poleskiego w restauracji na rogu Jana z Kolna i Spółdzielczej, która nosiła nazwę od jednej z tych ulic, a mianowicie „Spółdzielcza”. Bywali w niej nie tylko pracownicy pobliskiego browaru, ale także dojeżdżający do pracy do Koszalina pracownicy innych przedsiębiorstw, bo mieli stąd niedaleko do obu dworców, PKP i PKS. Wszyscy poszukujący dobrego jedzenia za małe pieniądze wychodzili z restauracji zadowoleni. Wystrój wnętrza był więcej niż skromny, kuchnia prosta, ale dania świeże i smaczne. Serwowano też oczywiście dobrze schłodzone koszalińskie piwo z pobliskiego browaru.

Lokal zapełniał się dopiero po godzinie czwartej po południu. Kiedy Baczkowski wszedł do „Spółdzielczej” przy stolikach siedziało zaledwie kilku gości. Zajął stolik w najdalszym kącie sali, skąd miał widok na wszystkich wchodzących. Zamówił pierogi ruskie, choć miał wielką ochotę na golonkę, i trzy setki wódki. Z golonki zrezygnował ze względu na piątek. W piątki mięsa nie jadał. Wódkę wypił z lekkim wstrętem. Nie lubił smaku alkoholu sprzedawanego w sklepach. Wolał własne mieszanki robione z dobrego spirytusu. Cóż jednak było robić? Alkohol to alkohol. Każdy, niezależnie od smaku i jakości, działał na niego uspokajająco.

Kiedy do restauracji wszedł Poleski, przywitał go najedzony oraz rozluźniony.

- Widzę, że lepiej się poczułeś – browarnik skomentował puste kieliszki i równie pusty talerz po pierogach. – Wstawaj, jedziemy.

- A dokąd? – wymamrotał inspektor trochę wstawiony i bardzo senny po źle przespanej nocy. – Może najpierw też coś przekąsisz?

- Zbieraj się. Jedziemy – nalegał przybyły. – Przecież panikowałeś, że nikt cię nie może zobaczyć.

Baczkowski momentalnie oprzytomniał, zerwał się z krzesła, zapłacił rachunek i podążył za wychodzącym z restauracji kolegą. Przed „Spółdzielczą” stał zaparkowany na ulicy wartburg Poleskiego. Wsiedli do samochodu i pojechali ulicą Jana z Kolna, skręcili w Zwycięstwa, potem w Aleję Trzydziestolecia i jechali dalej Aleją Zawadzkiego.

- Dokąd mnie wiesz? – zapytał trochę zaniepokojony Baczkowski, który nie mógł domyślić się, dokąd zmierzają.

- Zamelinuję cię w domku na ogródkach działkowych przy Władysława IV – powiedział Poleski. – Mam w bagażniku jedzenie na kilka dni. Skromne, ale musi wystarczyć. Wodę weźmiesz z hydrantu. W domku jest grzejnik elektryczny, mała kuchenka i łóżko z pościelą. Skromnie, ale z pewnością będzie ci lepiej niż w browarnych piwnicach – roześmiał się.

- Dziękuję. O wszystkim pomyślałeś – ucieszył się Baczkowski. – A sąsiedzi mnie nie wykryją?

- Jak będziesz siedział cicho i nie będziesz się włóczył po działkach, to cię nie wykryją. W listopadzie niewiele osób tam przychodzi. Siedź w domku i nie wyłaź w ciągu dnia. Najlepiej w ogóle nie wychodź poza ogrodzenie mojej działki. Wodę do picia przyniesiesz sobie, gdy się ściemni. Do obmycia się możesz brać deszczówkę z beczki, która stoi pod rynną. Jeśli skończysz się ukrywać i będziesz chciał stamtąd wyjść, zamknij za sobą drzwi i furtkę. Klucze schowaj w trawie po lewej od furtki.

11. Szybka robota



Kapitan Aleksander Dudło i starszy sierżant Wiesław Bąk intensywnie korzystali z każdej chwili wolnej od służbowych obowiązków, aby prowadzić prywatne śledztwo. Ustalony przez nich plan działania był prosty. Należało ostro nastraszyć, a następnie przesłuchać, osoby związane w taki czy inny sposób z Porębkiewiczem i z Madejskim, poczynając od tych, z którymi nieżyjący funkcjonariusze stykali się najczęściej w ostatnich dniach życia. Zaczęli od kobiet. Oczywiście nie od żon, tylko od tych kobiet, których pojawienie się u boku obu ofiar było nieoczywiste. Najpierw zwinęli kochankę Madejskiego spod jej domu, a kilka godzin później córkę Porębkiewicza z dworca PKP. W obu przypadkach poszło łatwo. Uśpili zaskoczone baby i wywieźli za miasto. Zamknęli je w jednym pomieszczeniu, żeby mogły sobie

pogadać i zorientować się, co powinny dobrze przemyśleć i nad czym się zastanowić. Pomieszczenie, w którym siedziały, to jeden z pokojów opuszczonego i trochę już zrujnowanego domu. Stał na uboczu tuż za Podamirowem, blisko południowego brzegu jeziora Jamno. Postanowili przetrzymać baby przez noc i do wieczora następnego dzień, żeby skruszały. Nikt nie musiał ich pilnować. Zagrozili im, że nie pożyją długo, jeśli zaczną krzyczeć. Wrócili do opuszczonego domostwa następnego dnia wieczorem i wzięli je w obroty.

Przepytywali każdą z osobna w piwnicy. Ciemna, obskurna i zaśmiecona piwnica na każdym robiła przygnębiające wrażenie, więc i uwięzione kobiety miały doznać na jej widok nieprzyjemnych uczuć. Strach najlepiej działał na pamięć i rozwiązywał języki. Kobiety rzeczywiście były bardzo wystraszone. Drżały z zimna, Przesiedziały dobrych kilkanaście godzin w zimnym pomieszczeniu, do którego przez okno zabite deskami wpadało niewiele światła. Poza strachem wyczuwało się także ich zmęczenie i dyskomfort spowodowany głodem, pragnieniem oraz brakiem higieny. Pokazanie się obcym mężczyznom z nieuczesanymi włosami, w wymiętym nieświeżym ubraniu i pobladłą ze strachu twarzą, najlepiej obniżało ich psychiczną odporność. Na początku przesłuchania każda dostała kubek gorącej herbaty z cukrem i cytryną. Miało to wzbudzić ich wdzięczność w stosunku do przesłuchujących, pozornie je uspokoić i wzmocnić. Kiedy kończyły pić, dla wywołania szoku, atakowali je gwałtownie. Głośno i szybko zadawali pytania, krzycząc prosto w ich twarze, szturchając je i przeklinając.

Maja Majewska, kochanka Madejskiego, siedziała na podsuniętym jej stołku sztywno wyprostowana i patrzyła na nich z bezczelnym wyrazem twarzy, więc od razu, gdy odstawiła kubek z wypitą herbatą Bąk uderzył ją w twarz tak mocno, że straciła równowagę i upadła na podłogę. Dudło pomógł jej się podnieść i posadził na stołku. Kobieta nie rozplakała się, ale spuściła wzrok. Uderzony policzek zaczerwienił się, tworząc mocny kontrast z bledością reszty twarzy. Na pytania odpowiadała monotonnym głosem. Powtórzyła dokładnie wcześniejsze zeznania, ale im to nie wystarczało. Chcieli wiedzieć wszystko o jej spotkaniach z Madejskim. Oszołomiona lawiną pytań powiedziała, że Madejski źle ją traktował i że się go bała. Chwycili się tej informacji kurczowo.

- Zastrześliś go! – krzyczał Bąk i klepał ją w policzki raz z jednej raz drugiej strony tak, że jej głowa kołysała się na boki. – Jak zdobyłaś pistolet?

- Nie zabiłam go. Nie miałam żadnego pistoletu. Nie zabiłam go. Nie miałam pistoletu – powtarzała monotennie. – Nawet nie umiem strzelać. Nie zabiłam go.

- Czy Madejski ostatniej nocy miał przy sobie dwa pistolety? – padło następne pytanie.
- Zawsze kładł pistolet na stole albo przy łóżku. Tylko jeden. Nigdy nie widziałam u niego dwóch pistoletów.
- Czy skarżyłaś się komuś na Madejskiego?
- Nie. Nikomu o nim nie wspominałam. Sąsiedzi z bloku mogli go widzieć, ale oni ze mną nigdy nie rozmawiali.

Widząc jej zacięcie, zaczęli nową turę tych samych pytań. Wytrzymała długo. Po dwóch godzinach byli znudzeni tymi samymi odpowiedziami i monotonią jej głosu, więc na znak dany przez Dudłę Bąk odprowadził ją na górę i przyprowadził drugą kobietę.

Młodsza, córka Porębkiewicza, trzęsła się jak galareta. Siedząc na stołku, kulila się w sobie a głowę trzymała nisko opuszczoną, jakby nie chciała patrzeć na swoich oprawców. Odpowiadała na pytania cicho i, podobnie jak Majewska, powtarzała głównie to, co już wiedzieli z protokołów.

- Gdzie twój ojciec major Porębkiewicz spędził ostatnią noc? U ciebie? – wrzasnął stojący za jej plecami Dudło wprost do jej lewego ucha. Wkurzał go brak nowych informacji.

- Nie wiem – odpowiedziała, drżąc na całym ciele. – Nie u mnie. Przecież mówiłam już, że nigdy u mnie nie był. Spotykaliśmy się poza domem.

Bąk podszedł do niej z prawej strony i uderzył kilka razy w twarz. Zaszlochała cicho i żałośnie.

- Gadaj! – wrzasnął Dudło. – Kogo poza tobą Porębkiewicz znał w Mielnie? Do kogo przyjeżdżał? Z kim się spotykał?

- Nie wiem, nie wiem – bełkotała przez łzy kobieta, trzymając rękę przy twarzy.

Bąk znów się do niej zbliżył. Skuliła się w sobie jeszcze bardziej i schowała twarz w dłoniach.

- Przypomnij sobie, pomyśl – powiedział spokojnie milicjant. – Na pewno ci o kimś mówił, kogoś wspominał.

Bogumiła Mędrak podniosła głowę, spojrzała na Wiesława Bąka wzrokiem, w którym była zmęczona rezygnacja i strach. Stał nad nią i uśmiechał się zachęcająco, widząc, że kobieta intensywnie myśli.

- Chyba raz powiedział, że zna w Mielnie kogoś, kto pracuje w Koszalinie i że z nim czasami popija. Zawsze na spotkanie przychodził podpity – zaszlochała.

Skończyli przesłuchiwać Mędrak, zostawili ją na razie w piwnicy i wyszli na zewnątrz. Wsiedli do zaparkowanego za rosnącymi nieopodal domu krzakami granatowego Fiata 125p, zapalili papierosy i z rozkoszą zaciągali się dymem. Wyrzucili pety za okno, wypili z termosu resztę herbaty i zjedli kanapki. Milczeli.

- Dobra – odezwał się kapitan Aleksander Dudło. – Kończymy. Więcej nic nie wiemy. Mamy dwie ważne informacje. Po pierwsze Porębkiewicz znał w Mielnie faceta pracującego w Koszalinie i z nim popijał. Po drugie Madejski najprawdopodobniej nie zabrał pistoletu Porębkiewicza, bo Majewska nigdy go nie widziała. A nawet gdyby go zabrał, to po co strzelałby sobie w łeb z trefnej broni. Żeby popsuć sobie opinię po śmierci? Nie wierzę. Ktoś go zastrzelił z broni Porębkiewicza i upozorował samobójstwo. Tylko nie wiadomo dlaczego zabójca strzelał z pistoletu majora i dlaczego pistolet Madejskiego zostawił na miejscu. Trzeba to wyjaśnić.

Starszy sierżant Wiesław Bąk pokiwał twierdząco głową i zapytał:

- Co robimy z babami?

- Zawieziemy do Koszalina i wysadzimy w jakimś cichym miejscu. Nie są nam już potrzebne. Majewska nie zabiłaby kochanka. To wytrzymała i mądra kobieta. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, że w końcu Madejski nią się znudzi i zostawi ją w spokoju. Nie sądzę, żeby była aż tak zdesperowana, żeby zabić. Nie kochała go, ale miała z niego jaki taki pożytek. Ta druga jest za słaba psychicznie. Nie mogłaby zabić własnego ojca. Zresztą po co miałyby to robić? Z zemsty za matkę? Kobiety najczęściej zabijają w afekcie, nie z premedytacją.

- No to może żona załatwiła Madejskiego, bo nie wytrzymała ciągłych zrad – zastanawiał się Bąk.

- Żona także nie miała interesu w tym, by go wykończyć. Dobrze wiedziała, że od dawna ją zdradza. Tak nagle by się zbuntowała? Nie wierzę? Pamiętam jej zeznania. Wygląda na to, że ich uczucia dawno wygasły, ale Madejski pieniądze do domu przynosił, dziećmi się interesował, czyli dbał o rodzinę i to jej wystarczało. Jej i dzieciom Madejski zapewniał byt i stabilizację. Po co Madejska miałyby to zepsuć? Z nagłego napadu zazdrości? Przecież ona właściwie była wolna. Mogła robić co chciała i spokojnie żyć sobie na jego rachunek.

- Nie obawiasz się, że Majewska i Mędrak zaczną opowiadać o porwaniu i przesłuchaniu? – dopytywał Bąk, choć sam był przekonany, że kobiety będą milczały.

- Nie pisną ani słowa – spokojnie odparł Dudło i nagle wrzasnął:

– Wiem kim jest ten facet, z którym Porebkiewicz popijał w Mielnie. To Marian Baczkowski. Przesłuchiwaliście go z Madejskim w sprawie Porębkiewicza. Czytałem akta. Baczkowski pracuje w Wydziale Finansowym Powiatowej Rady Narodowej i, uwaga, kieruje jednostką kontrolującą gorzelnie i zakłady używające spirytusu! Rozumiesz! Facet ma dostęp do spirytusu. Porębkiewicz musiał o tym wiedzieć.

- No tak! – ucieszył się Bąk. – Porębkiewicz wyrabiał nalewki. Miał ich w szafie niezły zapas, a wódek i spirytusu, które kupuje się w sklepach nie znaleźliśmy. Musiał mieć prywatne źródółko.

- No to mamy ptaszka – z satysfakcją rzekł Dudło i dodał z zastanowieniem:

– Chyba go widziałem po Wszystkich Świętych na dworcu kolejowym. Nie jestem pewny, bo znam go tylko ze zdjęcia. Wsadzał dwie dziewczyny do pociągu. Pewnie córki. Ja też swoją odwoziłem na dworzec. Studiuję medycynę w Gdańsku – pochwalił się.

Następnego dnia Dudło raz jeszcze przejrzał akta Baczkowskiego i upewnił się, że to właśnie jego widział na dworcu. Od rana siedział spokojnie w swoim gabinecie i czekał na ewentualne zgłoszenia o niepożądanych incydentach. Był wtorek 11-ty listopada, przed wojną święto państwowe dla uczczenia odzyskania przez Polskę niepodległości po stu dwudziestu trzech latach niewoli, a teraz zniesione ze względu na przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, czyli z Rosją, jednym z zaborców. Koszalin był, jak się mówiło, czerwonym miastem, więc incydenty polityczne praktycznie się nie zdarzały, ale rękę trzeba było zawsze trzymać na pulsie. Dzień minął spokojnie. Ostatecznie zarejestrowano jedynie nieprawomyślną wypowiedź księdza prowadzącego wieczorną mszę w katedrze.

- Rutyna – pomyślał. – Niewyuczalny i upierdliwy klecha. Ludzie z czwórki trochę go pocisną, żeby nabrał rozumu.

Od środy zaczęli obserwować Mariana Baczkowskiego. Nie mogli go śledzić cały dzień, ale łapali go, gdy kończył pracę. Robili to ostentacyjnie, jeżdżąc za nim samochodem. Zauważył ich i o to właśnie chodziło. Chcieli go zmiękczyć i wyprowadzić z równowagi, zanim zaczną z nim rozmawiać. Nie mieli zamiaru go porywać i przesłuchiwać w ustronnym miejscu. Uznali, że informacje, które o nim mają wystarczą, żeby się rozpruć. W razie oporu, mogli go postraszyć

wyrzuceniem córek ze studiów a jego z pracy. Wkurzył ich nieźle, gdy w piątek zniknął im z radaru. Nie było go w biurze, więc pojechali do Mielna. Drzwi otworzyła nieźle wystraszona żona Baczkowskiego.

- Proszę zawołać męża – powiedział Bąk bez żadnego wstępu.

- Męża nie ma w domu – odpowiedziała szybko.

- Mamy sprawdzić? – zapytał milicjant.

- Proszę bardzo – kobieta odsunęła się z przejścia, otwierając szeroko drzwi domu.

Nie chciało im się sprawdzać. Domyślali się, że pytana mówi prawdę.

- A gdzie mąż aktualnie przebywa? – grzecznie zapytał Dudło.

Kobieta zastanawiała się przez moment, jakby nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć, a potem stwierdziła stanowczo:

- Albo jest jeszcze w biurze, albo w delegacji, albo gdzieś pije z kolegami.

Znów jej uwierzyli.

- Zajrzymy tu jeszcze – zagroził Bąk, a ona, zamykając drzwi, pomyślała:

- Dobrze, że nie podałam im tej głupiej wersji ze szpitalem. Przecież natychmiast wydałoby się, że go w żadnym szpitalu nie ma. A tak niczego się nie dowiedzieli. Zresztą ja też niewiele wiem. Marian znów wpakował się w kłopoty. Cholery można dostać z tym chłopem.

Baczkowski zniknął. Do biura nie przychodził, do domu nie wracał. W Mielnie miał go przypilnować miejscowy komendant Czesław Szalc. Miał rozkaz powiadomić ich, gdy tylko Baczkowski się pojawi. Cynk dostali wczesnym wieczorem w poniedziałek 17-tego listopada i natychmiast pojechali do Mielna. Baczkowski otworzył im drzwi w piżamie i szlafroku. Wprowadził do pokoju, usiadł na rozesłanym łóżku, ale pomimo pozorów choroby, wyglądało na to, że na nich czekał.

- Wiemy, że znał pan majora Władysława Porębkiewicza. Wiemy, że dostarczał mu pan nielegalny spirytus. Wiemy także, że ostatnią noc przez śmiercią major spędził w pana domu – zablefował Dudło. – Czy mam mówić dalej?

- Powiem wszystko jak na spowiedzi – oznajmił Baczkowski, powstrzymując drżenie głosu.

- Mamy ci wierzyć? – zapytał bezceremonialnie Bąk. – Okłamałeś nas.

- Bałem się i tyle – palnął przesłuchiwany. – Porebkiewicz mnie prześladował. Chciał, żebym mu dawał spirytus, a przecież to nielegalne. Szantażował mnie.

- Dlatego go zabiłeś – stwierdził Dudło. – Chciałeś się go pozbyć.

- Broń Boże! – wykrzyknął Baczkowski. – Po cóż miałbym go zabijać! Przecież jakoś się ostatecznie ułożyliśmy. Nie było tak źle. Nawet go trochę polubiłem.

- Właśnie tego się bałem – dodał po chwili milczenia. - Bałem się, że natychmiast oskarżycie mnie o zabójstwo, osądzicie i powiesicie. Nie miałem szans się wybronić. Wszystko wskazywało na mnie. Szybko wydaliłoby na mnie wyrok, dokładnie tak jak teraz. Ale mam już dość. Niech się dzieje co chce. Powiem wszystko, jak było.

Baczkowski, zacinając się i obserwując spod oka reakcje słuchających, opowiedział o feralnej nocy, niespodziewanym wyjściu Porębkiewicza, podczas gdy on spał upojony alkoholem, oraz o pistolecie pozostawionym na stole przez majora a potem zakopanym na wydmie i wykradzionym.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś niewiarygodny? Wiemy, że zmyślasz! – podsumował zeznanie Dudło.

Baczkowski zrezygnowany pokiwał głową.

- Tak to brzmi. Ale to święta prawda. Żona może potwierdzić. Widziała majora, gdy przyszedł w tamten wieczór. Na pewno słyszała naszą rozmowę zanim zasnęła, ale o pistolecie jej nie powiedziałem.

- Gdzie się przed nami schowałeś? – zapytał nagle Bąk.

- Siedziałem u znajomego na działce, ale on o niczym nie wie. Powiedziałem mu, że pokłóciłem się z żoną i chcę ją ukarać, nie wracając do domu na noc – kłamał jak z nut Baczkowski. – Ale nie wziąłem ze sobą lekarstwa na serce i musiałem wrócić. Wytrzymałem trzy dni, a do tego przeziębilem się. Jestem na zwolnieniu lekarskim – doprawił swoje kłamstwa odrobiną prawdy.

- Dobra, dobra – przerwał mu Dudło. - Skąd znałeś Porębkiewicza?

- Spotkaliśmy się jeszcze w latach pięćdziesiątych w pegeerze w Mścicach, a po latach, na własną zgubę, wpadłem na niego w Koszalinie. Potem musiałem się z nim spotykać od czasu do czasu w Mielnie nad morzem w wiadomym celu.

- Ubieraj się – rozkazał Dudło. – Pokażesz nam, gdzie niby zakopałeś pistolet.

Baczkowski ucieszył się, zerwał z łóżka, na brzegu którego siedział i sięgnął do szafy po ubrania. Cieszył się z tego powodu, że wizyta nad morzem i pokazanie milicjantom skrytki, powinny uwiarygodnić jego zeznania. Gdy przed ponad dwoma laty odkrył zniknięcie pistoletu, wpadł w panikę i działał bezwiednie. Ale choć od tamtej pory minęło dużo czasu, pamiętał, że metalową puszkę, do której włożył pistolet, a która potem była pusta, na powrót zakopał w dole. Powinna tam jeszcze być. Jej odnalezienie świadczyłoby o tym, że nie zmyśla, że rzeczywiście tylko niesprzyjający mu los sprawił, że został nieświadomie zamieszany w zabójstwo majora SB i samobójstwo funkcjonariusza MO.

-. Czekamy na zewnątrz – rzucił Bąk, patrząc z pogardą na szamocącego się ze spodniami Baczkowskiego.

Funkcjonariusze wyszli z domu na podwórze. Zapalili papierosy. Dudło spojrzał w okno na pierwszym piętrze. Było ciemne, ale za firanką z pewnością stała żona Baczkowskiego i obserwowała, co się dzieje.

Miejsce, w którym zakopany był pistolet Baczkowski, pomimo panujących ciemności, odnalazł bez trudu. Znał na pamięć każdy szczegół otoczenia. Odrzucał piach zabraną z domu saperką tak długo, aż usłyszeli zgrzyt zderzających się metalowych powierzchni.

- Jest – pomyślał z ulgą kopiący i oświetlił znalezisko latarką.

- Nie ruszaj – krzyknął Dudło, gdy Baczkowski sięgał do dołu. – Odsuń się.

Dudło wydobył metalowe pudełko, otworzył, wyjął z niego szmatę i w świetle latarki obejrzał dokładnie.

- Baczkowski – powiedział powoli. – Na razie zostawimy cię w spokoju. Pamiętaj, na razie.

Podał puszkę Bąkowi, a zwracając się do Baczkowskiego dodał:

- Wracamy. Zmarzłem. Musimy się czegoś napić. Poczęstujesz nas tym swoim spirytusowym specjałem?

- Oczywiście – zawołał zadowolony podejrzany. – Wypijemy, rozgrzejemy się, a żona migiem przygotowuje coś na ząb.

- Nie trzeba – odpowiedział kapitan. – Nie jesteśmy głodni.

Wracali do Koszalina z myślą, że wkrótce z sukcesem zakończą swe potajemne działania, ale nie chcieli przyjmować rozwiązania, które budziłoby najmniejszą nawet wątpliwość. A co do

winy Baczkowskiego mieli jednak wątpliwości. Mógłby przecież pozbyć się Porębkiewicza, strzelając do niego z jego broni służbowej, a potem upozorować samobójstwo. Taki sposób pozbycia się niewygodnego kompana od kieliszka byłby bezpieczniejszy niż dziwne manewry z uderzeniem go w głowę i zabraniem mu broni. Tymczasem Baczkowski, jako domniemany zabójca dwóch funkcjonariuszy, wymyślił i zrealizował nieprawdopodobnie skomplikowany scenariusz. Zabił Porębkiewicza szpadlem, jego pistolet zabrał i zakopał, a potem użył go do zabicia Madejskiego, którego prawie nie znał. Tym razem upozorował strzelenie sobie przez funkcjonariusza w głowę z cudzej broni, a nie z własnej. Można by przyjąć, że chciał w ten sposób Madejskiemu przypisać kradzież pistoletu majora i ukryć fakt, że on go zabrał. Trzeba by wtedy także przyjąć, że już wtedy zamierzał zabić Madejskiego, albo kogoś innego, bo do czego innego potrzebowałby broni. Jasne, że do zabicia Madejskiego nie mógłby użyć pistoletu kapitana, bo przedtem musiałby mu go zabrać.

Wymyślona przez nich w drodze do Koszalina kombinacja domniemanych faktów złożyłaby się w sensowną całość, gdyby dowiedzieli się jeszcze jednego. Wciąż było bowiem dla nich niejasne po co w ogóle Baczkowski chciałby się pozbyć kapitana Madejskiego, skoro ten mu nie zagrażał.

- Czyżby obawiał się, że Madejski zacznie go nachodzić podobnie jak Porębkiewicz? – Bąk powiedział głośno to, co obaj w tej samej chwili pomyśleli.

Skręcali właśnie w lewo w Mścicach, z drogi prowadzącej od Mielna na drogę z Kołobrzegu do Koszalina.

- Mogło tak być, ale po co by ryzykował? Przecież nawet Porębkiewicz nie był tak bardzo dla niego groźny. Dał Porębkiewiczowi co jakiś czas trochę spirytusu i miał spokój. Miałby wszystkim ryzykować? Pracą, domem, studiami dzieci? Bo przecież musiał zdawać sobie sprawę z tego, że zabija dawnego funkcjonariusza SB. Wiedział czym to grozi. No chyba, że Porębkiewicz miał na niego coś grubszego. Ale wtedy drugie zabójstwo byłoby bez sensu. Nie ma żadnego dowodu na to, że Porębkiewicz kiedykolwiek zadawał się bliżej z Madejskim i że mógł mu przekazać coś bardzo kompromitującego na Baczkowskiego. Baczkowski to przecież płotka. A do tego wygląda mi na człowieka ostrożnego i trochę tchórzliwego. Dobrze wie w czym robi i musiał zdawać sobie sprawę z tego, że zabicie dwóch funkcjonariuszy to koniec nie tylko jego kariery, ale także jego dzieci. Lepsze byłoby dla niego pójście do więzienia za jakieś przekręty niż narażanie się służbom specjalnym, mordowanie ich funkcjonariusza, a potem jeszcze milicjanta.

- Możliwe, ale dobrze obaj wiemy, że ludzie czasem tracą głowę i robią dziwne rzeczy – podsumował wypowiedź kolegi siedzący za kierownicą Bąk i podkręcił gałkę radia, bo właśnie puszczała utwór Dwa Plus Jeden, który bardzo mu się podobał.

- Ścisz to gównu! – zirytował się niespodziewanie Dudło, więc starszy sierżant wyłączył radio.

- Słuchaj – powiedział Dudło. – Baczkowski nam nie ucieknie. Zresztą powiem temu z Mielna, temu no, Szelcowi, żeby go pilnował, a my musimy jeszcze sprawdzić przeszłość Porębkiewicza. Baczkowski poznał go w Mścicach. Pegeer w Mścicach w aktach majora często się pojawia. Miał tam historię z jakąś kobietą i jej mężem. Ten mąż zaginął.

- Ale co Madejski mógłby mieć wspólnego z przeszłością Porębkiewicza i z pegeerami? – nieśmiało zapytał Bąk.

Był poirytowany, bo został zmuszony do wyłączenia radia, gdy leciała w nim jego ulubiona melodia. A tak w ogóle był już zmęczony dodatkową robotą, która nie układała się po jego myśli.

- Nie wiem, ale się dowiem – odpowiedział krótko Dudło i zapalił kolejnego papierosa. – Jutro przyjedź po mnie po pracy. Pojedziemy do Mścic.

Bąk skinął głową, potwierdzając w ten sposób, że przyjął do wiadomości rozkaz kolegi, choć przecież nie miał już ochoty na dalsze szarpanie się z ludźmi poza godzinami pracy. Mogliby szybko zakończyć całą sprawę. Gdyby mógł sam decydować, zająłby się Marianem Baczkowskim, na którego mieli wystarczająco dużo haków. Potrafiłby wydobyć z tego delikwenta przyznanie się do winy. Karę domniemanemu podwójnemu zabójcy także wymierzyłby sam. Nie widział powodu, aby rozpętywać nowe oficjalne śledztwo, wypełniać tony formularzy i stawiać się jeszcze potem przed sądem. Niektóre sprawy należy załatwiać szybko i od ręki.

12. Duch z przeszłości



We wtorek 18-tego listopada Wirgiliusz Paszko wysiadywał w biurze gospodarstwa w Dobrym od rana i razem z księgową przygotowywał listę wypłat. Skończyły się wszystkie prace polowe i trzeba było skrupulatnie obliczyć premie należne pracownikom, którzy, co zrozumiałe, bardzo pilnowali tego, czy wypłaca im się właściwą kwotę. Kwestia premii i wypłat za godziny nadliczbowe była bardzo delikatna, a raczej drażliwa. W grę wchodziły zawsze z góry ograniczone pieniądze, którymi dysponował, dokładność i uczciwość brygadzystów, którzy notowali dodatkowe godziny pracy i oczywiście prawdomówność samych pracowników.

Dotąd sprawnie udawało mu się unikać poważnych konfliktów, o ile w podległych mu pracownikach nie zagrały silne emocje. A powodów do wybuchu emocji było wiele. Poza naturalnymi powodami, takimi jak różnice charakterów, zazdrość i obmowy, ludzi pracujących w pegeerach dzieliły spory wybuchające między starymi robotnikami, którzy byli doświadczonymi praktykami, a tymi nowymi, lepiej wykształconymi teoretykami. Wszystko to było jednak niczym, przy emocjach wywoływanych przez permanentne zmiany administracyjne, których potrzeby ludzie nie rozumieli, bo tak naprawdę nie było nic do rozumienia. Tak zwana „góra” generowała bowiem zmiany według potrzeb ideologicznych. Początek lat siedemdziesiątych przyniósł tendencję do gigantomanii. Niedawno rozdzielone i usamodzielnione gospodarstwa, mniejsze, i tym samym sterowniejsze, znów zaczęto łączyć w gospodarstwa wielkoobszarowe i wieloobektowe. Przyniosło to dobre i złe rezultaty. Zakup nowych maszyn rolniczych, albo rozporządzanie nimi na większą skalę, podobnie jak wyremontowanie starych budynków, czy budowę nowych bloków mieszkalnych, zaliczyć należało do dobrych, a powszechny paraliż decyzyjny na niższych szczeblach i przedłużające się w nieskończoność procedury, do złych. Uzyskanie zgody na cokolwiek wymagało pisania

setek podań i wykonywania tysięcy telefonów. A Paszko odpowiadał za wszystko. Także za pracowników, wśród których fluktuacja była ogromna. Jedni przychodzili, inni odchodzili. Ci, którzy mieli odpowiednie doświadczenie byli na wagę złota.

Incydentów, z którymi trzeba było sobie jakoś radzić, nie brakowało. Z powodu trudności z wykwalifikowaną kadrą oraz stałego przepływu ludzi przyjmowano do pracy każdego, kto się zgłosił. Przeszłości delikwentów nikt nie sprawdzał. Chuligan, oszust, pijak, złodziej i nierób znajdował w pegeerze czasową przystań, dostawał mieszkanie, ogród przydomowy, kawałek pola i deputaty. Potem zaniedbywał to wszystko, zrujnował i znikał, a kierownictwo zostawało z kłopotem i pretensjami stałych pracowników. A jeszcze można się było spodziewać donosów do dyrektora kombinatu, albo, co gorsza, na milicję lub esbecję. Paszkę najbardziej jednak męczyła konieczność „załatwiania” wszystkiego co było w gospodarstwie potrzebne. System dostaw nie działał bowiem normalnie. Zawsze czegoś nie dowieźli, zawsze czegoś brakowało, a wtedy musiał jeździć do Mścic, albo jeszcze dalej, i prosić, przekonywać, a w ostateczności grozić, że napisze do kierownictwa partii. Załatwiałby te wszystkie notorycznie się powtarzające „awarie” dużo szybciej, gdyby posiadał pewne bardzo przydatne w takich sytuacjach umiejętności. On jednakże nie miał drygu do wręczania „prezentów” i pochlebiania władzy. Nie lubił alkoholowych libacji urządzanych dla kadry kierowniczej a jeszcze bardziej polibacyjnych układów towarzyskich. Uważano go więc za formalistę i człowieka nieużytego. Nie dbał o to. Nie zależało mu na awansach, medalach i dyplomach, lecz na tym, aby dbać o gospodarstwo, swoich ludzi, a przy tym nie narazić się „górze” i nie zostać przeniesionym w inne miejsce. Polubił Dobre, spokój otaczającej osadę przyrody, bliskość Koszalina, a przede wszystkim bliskość morza.

Zapadł wczesny jesienny zmrok, a później wieczorna ciemność. Księgowa, starsza kobieta bez rodzinnych obciążeń, uczciwa i pracowita, radziła mu, aby poszedł do domu, czyli na górę, bo jego żona już kilkakrotnie zaglądała do biura. Przyznał jej rację i wstał od biurka. I w tym właśnie momencie zadzwonił telefon.

- Panie Wergiliuszu – powiedział w słuchawce głos dyrektora kombinatu. – Proszę natychmiast do mnie przyjechać. Panowie z milicji mają do pana kilka pytań.

- Niech to szlag trafi – zaklął głośno, a księgowa spojrzała na niego zaskoczona. – Natychmiast muszę jechać do Mścic – wyjaśnił.

W gabinecie dyrektora siedziało dwóch panów w ciemnych garniturach. Ich płaszcze oraz kapelusze leżały przerzucone przez biurko dyrektora. Widząc przybyłego, nie podnieśli się z

miejsz i nie przedstawili. Tylko dyrektor wstał, uściśnął mu dłoń i wskazał wolne krzesło. Sekretarki już nie było, więc sam dyrektor zaproponował Paszce kawę i coś mocniejszego. Dwaj milicjanci po cywilnemu najwyraźniej już wcześniej zostali przez dyrektora ugoszczeni. Siedzieli teraz rozparci w fotelach, milczeli i przyglądali się uważnie obu mężczyznom. Paszko usiadł i czekał, aż dyrektor przyniesie poczęstunek. Także przyglądał się uważnie gościom. Jeden z nich był około pięćdziesięcioletnim mężczyzną, potężnie zbudowanym i lekko otyłym, ubranym, jak to się powiada, z niedbałą elegancją. Jego garnitur uszyto z dobrego materiału, podobnie jak koszulę i krawat. Jego zaokrąglona, gładko wygolona i niebrzydka twarz promieniowała wielką pewnością siebie i lekceważeniem dla rozmówców. Posiwałe na skroniach i precyzyjnie zaczesane do tyłu gęste ciemne włosy układały się w lekkie fale. Drugi, młodszy, trzydziestoparoletni, miał pociągłą, źle ogoloną twarz, wydatny ostry nos, przetłuszczone rzadkie włosy i wymięty garnitur. Nie nosił krawata, a dwa guziki od koszuli rozpiął pod szyją, z której sterczała wydatna grdyka. Pomimo wysokiego wzrostu i szczupłej sylwetki trudno było nazwać go przystojnym. On także miał na twarzy wypisane poczucie wyższości względem tych, nad którymi zawodowo sprawował nadzór.

- Dziwna para – przyszło do głowy Paszce.

Kierownik bez śladu zmieszania czy zakłopotania wytrzymywał uważny wzrok milicjantów, prawdopodobnie wysokiego szczebla. Nigdy wcześniej ich bowiem nie widział, a z racji pełnionej funkcji znał wielu funkcjonariuszy z Koszalina. Dawno też nauczył się tolerować nieuprzejme zachowanie osobników, którzy z racji zajmowania stanowisk dających im władzę nad innymi, zachowywali się arogancko.

Dyrektor podał kawę w szklance na spodeczku, postawił przed nim, doniósł lampkę gruzińskiego koniaku. Paszko wypił odrobinę koniaku i patrząc na milicjantów spokojnie czekał na pytania.

- Pan pracuje w kombinacie od wielu lat. Przyjechał tu pan w latach pięćdziesiątych. Prawda?
– ni to stwierdził, ni zapytał starszy funkcjonariusz.

- Tak – potwierdził Paszko.

- Czy znał pan majora Władysława Porębkiewicza? – zadał następne pytanie młodszy, zmuszając Paszkę do odwrócenia głowy i spojrzenia na niego.

- Znałem go, gdy był porucznikiem – odpowiedział kierownik, choć podejrzewał, że dokładność, z jaką przypomina dawną szarżę Porębkiewicza, może nie spodobać się pytającemu.

Nie mylił się. Milicjanci spojrzeli po sobie, a potem obaj popatrzyli na niego z dezaprobatą.

- Podoba mi się pańska precyzja, ale nie jest nam potrzebna – rzekł zjadliwie młodszy funkcjonariusz. – Proszę odpowiadać wyczerpująco na pytania i nie komentować.

- Czy poznał pan swojego poprzednika Zygmunta Miszkiewicza? – padło następne pytanie.

- Kiedy przyjechałem do Dobrego Miszkiewicza już oczywiście było. Zaginął i nigdy go nie odnaleziono. Przyjechałem po to, aby odjąć jego stanowisko.

- A co ludzie mówili o tym zaginięciu? Czy twierdzili, że Porębkiewicz miał z nim coś wspólnego?

Paszko zdrętwiał, bo w mgnieniu oka zdał sobie sprawę z tego, że zaraz padnie pytanie o nazwiska ludzi, którzy tak właśnie twierdzili. A twierdzili tak wszyscy, którzy odważyli się z nim o Miszkiewiczu i Porębkiewiczu rozmawiać. Szybko zebrał się w sobie i nie tracąc pewności siebie skłamał:

- Ja osobiście takich wypowiedzi nigdy nie słyszałem.

- Ale nie zaprzeczy pan, że takie plotki krążyły.

- Ludzie zawsze plotkują. Ja nie słucham plotek.

- Twierdzi więc obywatel, że nie interesował się zaginięciem Miszkiewicza, nie zajmował się losem jego żony i dzieci i w ogóle nic o sprawie nie wie – wypalił młodszy milicjant.

- Żonie Miszkiewicza pomagałem. Inni też jej pomagali. Kobieta została sama z dwojgiem malutkich dzieci. Nie miała się z czego utrzymać.

- No to wiedział obywatel, że major Porębkiewicz do niej przychodził – kontynuował młodszy milicjant, kładąc prowokująco nacisk na słowo „major”.

- Ja majora Porębkiewicza u niej nie widziałem. Ale podobno do jej wyjazdu z Dobrego rzeczywiście ją odwiedzał – przyznał ostrożnie, nie chcąc nadmiernie manifestować swej rzekomej niewiedzy o minionych kontrowersyjnych wydarzeniach, o których dużo się w swoim czasie mówiło.

- A kto może na ten temat więcej wiedzieć? – zapytał starszy milicjant. – Proszę podać nazwiska pracowników, którzy pracowali w tamtym czasie w Dobrym i znali Miszkiewiczów.

Kierownik, już lekko spłoszony, spojrzał na dyrektora, wzrokiem prosząc o pomoc. Dyrektor zrozumiał niemą prośbę i trzeźwo odpowiedział:

- Towarzysze. Musimy sięgnąć do archiwum. Polecę jutro kadrom, aby przygotowały stosowną listę.

Funkcjonariusz nawet nie spojrzał w jego stronę. Uporczywie patrzył na Paszkę.

- Nazwiska – powtórzył z naciskiem.

Kierownik nie miał wyjścia. Musiał podać nazwiska dawnych pracowników, więc przytomnie postanowił wymienić tych najstarszych, już przebywających na emeryturze.

- Pamiętam, że pracowali wtedy Halina Pietrzak, jej mąż Wacław Pietrzak, no i pani Malinowska, Czesława Malinowska. To są ci, których nazwiska pamiętam i którzy jeszcze żyją. Wszyscy już są na emeryturze – powiedział, starając się, aby jego głos nie zdradzał zdenerwowania.

- Gdzie mieszkają?

- Pietrzakowie chyba mieszkają w Mścicach. Pan dyrektor wie lepiej. A Malinowska w Dobrym.

Dyrektor pokiwał głową na znak, że podane informacje są poprawne. Obaj anonimowi milicjanci nagle wstali. Młodszy wskazał na dyrektora i rozkazał:

- Jedziemy. Będzie pan prowadził.

- Dokąd? – zdziwił się dyrektor.

- Nie pał pan głupa. Do Pietrzaków – wrzasnął funkcjonariusz.

Dyrektor spojrzał na Paszkę.

- Czy pan wie, gdzie oni dokładnie mieszkają? – zapytał bezradnie. - Bo ja takich rzeczy nie wiem.

- Dobra – zdecydował starszy milicjant. – Obywatel Paszko pojedzie z nami. Ale i tak nie wierzę, że pan po tylu latach pracy nie zna wszystkich mieszkańców Mścic – zganił dyrektora.

- Ależ panie dyrektorze – Paszko zwrócił się do swego przełożonego, celowo ignorując niegrzeczne słowa nieproszonych gości. – Państwo Pietrzakowie mieszkają niedaleko stąd, w bloku przy Dworcowej. Dawno już oddali dawne mieszkanie w Dobrym. Są starzy i sami. Ich córka dawno temu wyprowadziła się do Mielna.

- Prowadź pan do cholery! – wrzasnął na niego chudy milicjant, rozwścieczony przydługim wywodem, złapał płaszcz i kapelusz i poszedł w stronę drzwi wyjściowych.

Paszko ruszył za funkcjonariuszami. Tuż przed przekroczeniem progu dyrektorskiego gabinetu odwrócił się i nie wydając głosu wypowiedział, poruszając ustami, słowo „Malinowska”. Miał nadzieję, że dyrektor zrozumie, o co chodzi, a mianowicie o to, aby pchnął kogoś zaufanego do Dobrego z ostrzeżeniem, że Malinowska może spodziewać się wizyty milicji w sprawie Porębkiewicza. Dyrektor skinął głową, a więc zrozumiał bezgłośnie prośbę.

Pod blok, w którym mieszkali Pietrzakowie podjechali samochodem kierownika. Paszko poprosił milicjantów, aby chwilę poczekali, bo chce sprawdzić, pod którym numerem mieszka starsze małżeństwo. Wysiadł z samochodu. Doskonale wiedział, gdzie mieszkają. Zauważył, że w oknach ich mieszkania pali się światło.

- Przestraszą się staruszkowie – pomyślał z żalem. – Może pozwolą mi ich uprzedzić o wizycie, albo przynajmniej iść razem z nimi.

- Mieszkają na parterze. Mieszkanie numer jeden – poinformował wysiadających już z samochodu funkcjonariuszy. – Panowie! Pozwólcie mi iść z wami. Pietrzakowie to starzy ludzie. Przestraszą się.

- Wracaj pan do dyrektora i czekaj na nas – rozkazał ten w wymiętym garniturze.

Światło w biurze dyrektora wciąż się świeciło.

- Posłałem do Malinowskiej moją żonę – oświadczył dyrektor na jego widok. – Siedzę w biurze, bo nie wiem, czy jeszcze przyjdą, czy nie. Mówili coś?

- Kazali mi czekać u pana. Myślę, że zaraz po przepytaniu Pietrzaków pojedą do Malinowskiej. Zależy im na zaskoczeniu. Maglują teraz Pietrzaków. Szkoda mi staruszków. Nie mieli łatwego życia. Najście smętnych panów nieźle ich przestraszy.

- Pietrzakowie nie są głupi – stwierdził dyrektor.

- To pan ich dobrze zna? – zdziwił się szczerze.

- Znam – spokojnie odpowiedział dyrektor. – Pietrzakowie nie są głupi, ale potrafią głupich udawać. Myślę, że pokażą milicji swój popisowy numer. Pietrzakowa powie, że ma sklerozę i niewiele pamięta, zacznie coś tam płać i wymyślać niestworzone historie a Pietrzak stwierdzi, że jest głuchy. I tak gliniarze nieźle się wkurzą i wyjdą z niczym. Martwiłbym się raczej o Malinowską.

- Malinowska, jak ją znam, to ucieknie z domu, schowa się u kogoś i przeczeka pierwsze uderzenie. A później coś się wymyśli.

- Coś się wymyśli – powtórzył wolno dyrektor. – Ciekawe co? Przecież nie wiemy, o co im dokładnie chodzi, czemu znów tu wiesz. Czyżby wpadli na zabójcę Porębkiewicza? Czyżby był nim ktoś od nas?

- Możliwe, ale jedno przecież dobrze wiemy – pocieszył dyrektora Paszko. – Wiemy, że trzeba mówić jak najmniej i starać się nie podawać nazwisk tak długo, jak się uda. A z drugiej strony, to zawsze się zastanawiałem, co też się stało z Miszkiewiczem? Może jest coś w pogłoskach o tym, że Porębkiewicz go zabił?

Helena Pietrzak usłyszała podjeżdżający pod blok obcy samochód – odgłosy dwóch samochodów, którymi jeździli sąsiedzi rozpoznawała bezbłędnie - więc wyjrzała przez okno zza uchylonej zasłony. Z samochodu wysiadł kierownik Paszko i wszedł do ich klatki. Czekala przy drzwiach, sądząc, że zaraz do nich zadzwoni, ale usłyszała, że wychodzi na zewnątrz. Znów podeszła do okna. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, gruby i chudy. Burknęli coś do Paszki i ten odjechał, a sami skierowali się do bloku.

- Coś czuję, że idą do nas – mruknęła pod nosem i w pierwszym odruchu zgasiła światło, żeby tamci pomyśleli, że nie ma ich w domu.

- Co się dzieje!?! – zaprotestował Wacław. – Dlaczego gasisz światło. Przecież czytam gazetę.

- Jacyś dwaj do nas idą – wyszeptała. – Ale chyba za późno. Pewne już zauważyli, że się u nas świeciło.

W tej samej chwili zadzwieczał dzwonek. Helena Pietrzak zamarła w bezruchu. Dzwonek dzwonił teraz długo i bez przerw, więc poddała się, zapaliła światło i poszła otworzyć.

- Milicja – oznajmił chudy mężczyzna, wkraczając do mieszkania bez zaproszenia. – Mamy do was kilka pytań.

- Słucham – powiedziała, niechętnie cofając się przed nim.
- Wejdziemy do środka i usiądziemy – powiedział tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.
- Na władzę nie poradzę – mruknęła Pietrzakowa, która usłyszała takie zgrabne i śmieszne powiedzenie w mścickim sklepie, i poszła w stronę pokoju za intruzami.

Z pokoju do przedpokoju wyszedł Wacek.

- A panowie do kogo i w jakiej sprawie? – zapytał zdeorientowany.

Milicjanci nie odpowiedzieli. Ominęli go, jakby był tylko sprzętem, stojącym na ich drodze, weszli do pokoju i usiedli na krzesłach przy stole na wysoki połysk, którego Pietrzakowie używali tylko w święta. Zdjęli kapelusze i położyli je na stole, a potem starszy z nich, jakby to on był gospodarzem domu, wskazał Helenie i jej mężowi fotele przy ławie.

- Siadaj! Panowie są z milicji! – wrzasnęła Helena do Wacława, a on od razu pojął, dlaczego żona do niego krzyczy.

- Znaliście obywatelko Miszkiewiczów. Pracowaliście z Miszkiewiczem , gdy kierownikował w pegeerze w Dobrym – odezwał się starszy funkcjonariusz. – Powiedźcie nam wszystko co wiecie o nim i jego żonie. Co to byli za ludzie? Co się stało z Miszkiewiczem? Kto go zabił? Czy Miszkiewiczowa zdradzała męża i czy miała dzieci z innym mężczyzną?

- Panowie pytają – zakrzyczała Pietrzakowa do męża – czy znaliśmy Miszkiewiczów! Mówią, że ktoś go zabił!

- Miszkiewiczów, obywatelko, Miszkiewiczów – poprawił kobietę młodszy, krzycząc tak głośno, jak ona przed chwilą.

Starsi państwo spojrzeli po sobie i zastanawiali się głęboko. Na ich twarzach widać było wielki wysiłek.

- Ja to chyba znałam tę Miszkiewiczową, ale przecież ona nie miała męża. Dzieci to owszem miała. A z kim je miała, to Bóg jeden wie, proszę pana. Latawica to była straszna. Pamiętasz Wacek?

- Obywatelko! – upomniął kobietę milicjant. – Macie mówić o Miszkiewiczach. Miszkiewicz był zastępcą kierownika pegeeru. Zaginął w 1953-cim roku na wiosnę. Miał żonę i dwoje dzieci. Pytam o Miszkiewiczową. Musieliście ją znać.

- A to nie pamiętam nikogo takiego – powiedziała Pietrzakowa, kręcąc bezradnie głową i natychmiast zaczęła terkotać i biadolić:

– Stara już jestem. Pamięć mnie zawodzi. Ledwie wiem, co było wczoraj. Starość nie radość, starość nie radość. Sami panowie zobaczą. No, ale wy to jeszcze młodzi jesteście, a młodzi starego nie rozumieją. U męża jeszcze doszła głuchota i dogadać się z nim nie idzie. Sąsiedzi narzekają, że telewizor za głośno gra. Utrapienie z nim mam wielkie. Pomocy znikąd, do lekarza daleko, a pieniędzy mało, oj mało. Całe życie człowiek harował, a na starość biedę klepie. Za młodu było inaczej. Człowiek był zdrowy, siłę miał, pamięć miał. A teraz z ledwością sobie w domu radzi. A pamięć już nie ta, oj nie ta.

Milicjanci spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, wstali i wyszli. Do biura dyrektora wrócili pieszo. Niezadowoleni z wizyty u Pietrzaków nie odezwali się do czekających tam na nich mężczyzn, a jedynie jeden z nich wskazał na Paszkę i powiedział:

- Prowadź do Malinowskiej. Ty jedziesz swoim autem, a my swoim.

Wizyta u Malinowskiej poszła zgodnie z przewidywaniem Paszki. Kobiety w jej skromnym domku nie zastali. Nieoświetlony budynek wyglądał na zupełnie pusty, a ciemne obejście straszło rozpadającymi się szopkami. Paszko oczywiście nie wiedział, gdzie się podziała gospodyni. Milicjanci wrócili do swojego samochodu, trzasnęli drzwiami i, nie odezwawszy się do swojego przewodnika, odjechali z piskiem opon.

Wirgiliusz Paszko odwiedził państwa Pietrzaków następnego dnia zaraz po pracy. Helena Pietrzak zrobiła mu mocną kawę, postawiła na ławie pokrojony placek drożdżowy i rozsiała się w fotelu. Wacław Pietrzak podsunął sobie do ławy krzesło.

- Proszę się częstować. My już jedliśmy. Domowy placek – powiedziała pani Helena.

Placek z kruszonką pachniał apetycznie drożdżami i wanilią. Był dobrze wyrośnięty i puszysty.

- Nie ma to jak stara szkoła – pochwalił gospodynię kierownik, nakładając na talerzyk duży kawałek ciasta. – Zjem z przyjemnością. Ale chciałem dowiedzieć się czegoś o Miskiewiczach. Milicjanci wczoraj też was o nich pytali. Prawda?

- Pytali, pytali, ale my z milicją i esbecją o ludziach nie gadamy – skwitował wieczorną wizytę Wacław Pietrzak. – Jak weszli, tak wyszli. Niczego się od nas nie dowiedzieli.

- A czy powiecie mi o co naprawdę chodzi z Miskiewiczami? Ludzie różne rzeczy mówią i nie wiadomo w co wierzyć. A milicja o nich wypytuje i nie wiem, jakie zająć stanowisko. Prawdopodobnie nie o Miskiewicza im chodzi, lecz o tego esbeka, co go przed trzema laty ktoś zabił w Mielnie.

- Esbek nazywał się Władysław Porębkiewicz – zaczęła opowieść Pietrzakowa. – Uwziął się na Elżbietę Miskiewiczową, bo była piękną kobietą i chyba się w niej zakochał. A ona kochała męża. Zygmunt był drobnej postury, ale przystojny, a przy tym pracowity i dobry. Chodzący ideał. Wszyscyśmy im trochę zazdrościli, że tacy ładni, że mają ładne dzieciaki, że się kochają i w ogóle, że im się spokojnie i zgodnie żyje. Ale też wszyscy ich lubili, bo oni z ludźmi potrafili dobrze żyć. Wszystko się skończyło, gdy ubecja zaczęła przysyłać do Mście i Dobrego Porębkiewicza. Też był przystojny, ale to był zły człowiek. Baliśmy się go wszyscy, bo każdego mógł załatwić. Panoszył się, ludzi traktował jak śmieci i myślał, że wszystko może. Ktoś go znał z Koszalina i mówił, że ma młodą żonę i synka. Nie przeszkadzało mu to mieć kochanki. Uwiódł w Będzinie młodą dziewczynę. Pracowała w sklepie. Zakochała się w nim jak szalona i głupia zaszła z nim w ciążę, a wtedy on ją oczywiście rzucił i zostawił bez pomocy. To było gdzieś tak pod koniec lat czterdziestych, albo na początku pięćdziesiątych. Henio Jóźwik może ją pamiętać, bo przyszedł do Dobrego z Będzina. Zaraz potem Porębkiewicz upatrzył sobie Elżbietę. Wściekał się, że ona go nie chce. Nachodził ją, błagał i straszył na przemian. Prezenty jej robił. Z Miskiewiczem w ogóle się nie liczył, jakby go nie było. Ela była już tak umęczona i przestraszona, że przestała wychodzić z domu. O męża bała się strasznie, bo Zygmunt prawie oszalał z tego wszystkiego. Mówiło się, że po cichu szuka nowej pracy, że chcą wyjechać gdzieś daleko, żeby się od Porębkiewicza uwolnić. Ale nic z tych planów nie wyszło, bo Zygmunt pewnego dnia nie wrócił z wyjazdu do Koszalina. Szukała go milicja, ludzie z pegeeru szukali, ale przepadł bez śladu. Ela zgasła i załamałaby się całkowicie, gdyby nie pomoc sąsiadów no i oczywiście troska o dzieci. Biedna kobieta. Życie jej zmarnował ten ubek.

- A pogłoska, że Porębkiewicz zabił Miskiewicza to wymysł, czy prawda?

- Najprawdziwsza prawda – powiedział ze smutkiem Pietrzak. – Kilka lat po zaginięciu Miskiewicza i wyjeździe Elżbiety z Dobrego, znajomy milicjant powiedział, że słyszał jak po pijanemu Porębkiewicz chwalił się, że załatwił faceta z Dobrego za to, że jego żona nie chciała, za przeproszeniem, dać mu d...y.

- O! – wykrzyknął zaskoczony i poruszony nieoczekiwaną wiadomością. – Znaie tego milicjanta?

- Malinowska dobrze go zna, bo to syn jej znajomych ze Strzeżenic. Z jego rodzicami Malinowska wróciła z kresów do Polski i przyjechała na Pomorze, no wie pan kierownik, wtedy, gdy ruskie wypuścili ludzi ze wschodu. Nazywają się Pawlik. Imion nie pamiętam – wyznał starszy pan. – Syn, ten milicjant, przeszedł na milicyjną emeryturę i zajął się gospodarstwem, bo rodzice się zestarzel.

- Do Malinowskiej też wczoraj wieczorem pojechali ci milicjanci, ale nie zastali jej w domu – poinformował Paszko Pietrzaków. – Wiecie co, pojedę do Strzeżenic i znajdę Pawlików - postanowił.

- Ale oni mogą się spłoszyć i nic nie powiedzą – ostrzegła Pietrzakowa. – Wacek, zbieraj się. Pojedziesz z kierownikiem. Ciebie znają.

Wirgiliusz Paszko wrócił do Dobrego późnym wieczorem oszołomiony rozmową z byłym milicjantem Tadeuszem Pawlikiem. Okazało się, że Pawlik zna go z widzenia i ze słyszenia, a że ludzie mówią o nim dobrze, to ma do niego zaufanie. Towarzystwo pana Pietrzaka nie było zatem konieczne, ale przydało się ze względu na zajęcie rozmową starszych państwa Pawlików. Ucieszył się oczywiście z dobrej opinii, jaką ma o nim okoliczna społeczność, bo dowodziło to, że uczciwość i przyzwoitość są jeszcze doceniane. Oszołomienie spowodowała jednak nie dobra o nim opinia, lecz informacje, które zdobył o Porębkiewiczu.

- W 56-tym roku, zaraz po zmianach i przyłączeniu UB do milicji, ludzie służb odreagowywali napięcie i pili więcej niż zwykle – opowiadał Pawlik. – Jako młody milicjant rozwoziłem czasami wyższych rangą funkcjonariuszy po suto zakrapianych imprezach do domów. Słyszało się wtedy to i owo, wiadomo, pijacka szczerłość. Nie znałem Porębkiewicza osobiście, ale wiedziałem kim jest. Pewnej nocy wiozłem z Mielna do Koszalina Porębkiewicza i mojego ówczesnego komendanta, bo tym razem balowali w Domu Partii, tym przy Kościelnej w Mielnie. I kiedy przejeżdżaliśmy przez Strzeżenice pijany Porębkiewicz wybełkotał: „Zakopałem sk...syna na cmentarzu. Niech spoczywa w poświęconej ziemi”. Komendant wtedy zapytał, kogo zakopał, ale prawdopodobnie nawet nie usłyszał odpowiedzi, bo też dał nieźle w palnik i widziałem w lusterku, że przysnął. „Zazdrosnego mężusia. Cholerny pies ogrodnika, k...wa mać. Myślał, że mi ucieknie. Ale grób sam sobie musiał wykopać”. Tak gadał do siebie Porębkiewicz. „Jezus Maria” pomyślałem, „czy on aby nie mówi o Miszkiewiczu?”. O zaginięciu pana poprzednika było głośno. Mięły prawie trzy lata, ale ludzie dobrze pamiętali tę paskudną historię. Kilka dni później przedarłem się przez krzaki na opuszczony cmentarz. Wie pan, że w Strzeżenicach do 1945-tego roku był duży ceglany kościół

ewangelicki a przy kościele cmentarz? Zniszczyli go dopiero po wojnie szabrownicy, albo inni wandal. Dokładnie nie wiadomo kto. Podpalili, rozgrabili i tak zostało. Nikt tam nie zagląda, choć to w środku wsi. Wokoło wyrosły krzaki i chaszcze, no i stare drzewa z podworskiego parku. Nikomu nie powiedziałem o tym, co usłyszałem, ale kilka dni później poszedłem w to miejsce. Przedarłem się przez krzaki, dotarłem do ruin i szukałem jakiegoś śladu. Najpierw na pobliskim cmentarzu, a potem wokół ruin kościoła. Od północy pod fragmentem muru ziemia była jakby rozmiękczone i inaczej niż wszędzie indziej porośnięta mchem i trawą na kawałku o wielkości typowego grobu, ale po trzech latach trudno stwierdzić coś z pewnością.

- Rozkopał pan to miejsce? – zapytał Paszko.

- No co pan! Po co? Byłem za krótki, żeby podskoczyć takiemu tuzowi jak Porębkiewicz. Powiedziałem o swoich podejrzeniach rodzicom, ale bez szczegółów. To znaczy powiedziałem im, że chyba Miszkiewicz nie żyje, bo Porębkiewicz go zabił. Rodzice na pewno przekazali tę informację swojej przyjaciółce, pani Malinowskiej. I dzięki temu przynajmniej tak zwana gminna wieść utrzymała w ludziach przekonanie o zbrodni popełnionej przez Porębkiewicza.

Wstrząsającą opowieść Tadeusza Pawlika Paszko uznał za wiarygodną. Był tak nią poruszony, że nie potrafił zachować jej tylko dla siebie. Postanowił, że powie o wszystkim żonie. Zanim jednak wywołał ją do sypialni sprawdził, czy dzieci, a właściwie już nastolatki, nie usłyszą, o czym będą rozmawiać rodzice. Marysia siedziała przy biurku w swoim pokoju i uczyła się. Dziewczyna była pracowita i wytrwała. W maju miała zdawać maturę, a po maturze egzamin na studia. Pomimo dużej konkurencji wybrała medycynę. Słyszając kroki ojca odwróciła się i uśmiechnęła. Pomachał ręką, dając znak, żeby sobie nie przeszkadzała.

- Oby jej się powiodło – westchnął dumny tata, zamykając drzwi i zajrzał do syna. Piętnastoletni młodzieniec przeżywał okres buntu. Leżał na łóżku i rozmyślał. Spojrzał na swojego starego, jak zwykł od niedawna nazywać rodzica, z niechęcią na twarzy a jego oczy mówiły „zostaw mnie w spokoju i tak niczego nie rozumiesz”. Paszko westchnął głośniejszym niż poprzednio i wyszedł z pokoju syna.

Krystyna wysłuchiwała rewelacji z zapartym tchem i powiedziała grobowym głosem:

- A więc to wszystko co ludzie mówili jest prawdą. Bydlak zabił Miszkiewicza, zniszczył życie Miszkiewiczowej i dzieciom. Należało mu się to, co go spotkało. Boże! Kazał mu kopać grób. Bandyta, hitlerowiec, kanalia...

- Ale czemu znów wypytują o tego łajdaka? – przerwał pytaniem ciąg epitetów rzucanych ze złością przez żonę.

- Nie wiem. Zabójcy chyba dotąd nie znaleźli, więc go szukają. Chcą pomścić śmierć swojego towarzysza.

- To może należałoby ich poinformować, że ten ich towarzysz zabił niewinnego człowieka. Niech wiedzą, co drań zrobił. Przecież nikomu już się nie zaszkodzi. Miszkiewiczowa mieszka gdzieś daleko. Pewnie wyszła drugi raz za mąż, zmieniła nazwisko i jej nie znajdą. Po co zresztą mieliby jej szukać? A z naszych ludzi nikt raczej nie jest zamieszany w zabójstwo Porębkiewicza – głośno rozmyślał.

- A skąd wiesz? Może załatwił go ten były milicjant ze Strzeżenic? Może nie mógł znieść, że taka kanalia łązi bezkarnie po świecie i śmieje się wszystkim w nos?

- Chyba masz rację. Milczenie jest złotem – stwierdził po zastanowieniu się.

Skoro zgłoszenie milicji zbrodniczego czynu majora Paszkiewicza nie wchodziło w grę, pozostawało jedynie milczenie. Jego wcześniejsza rada, żeby przed funkcjonariuszami udawać Greka, okazała się słuszna.

13. Po trzykroć koniec



Bogumiła Mędrak przez dwa tygodnie leżała w swoim pokoju, prawie nie wstając z łóżka. Kiedy wróciła do mieszkania w dniu, w którym oprawcy wysadzili ją i Maję Majewską na przystanku autobusowym na skraju Koszalina, gospodyni natychmiast wezwała lekarza, nie zważając na słabe siły rzeczy protesty lokatorki. Lekarz orzekł, że chora jest w szoku i

potrzebuje spokoju. Zapytał oczywiście, co się stało, ale Bogumiła uparcie milczała, nawet na niego nie patrząc. Wystawił zwolnienie, a gospodyni zaniósła je do szkoły. Potem przynosiła Bogusi do pokoju rosół, kanapki i herbatę z cytryną i miodem, ale ta zjadała kilka kęsów i wypijała kilka łyków tylko dlatego, aby nie urazić starszej pani.

Pod koniec drugiego tygodnia z niespodziewaną wizytą przyszła Maja Majewska. Usiadła na krześle przysuniętym do łóżka i, po kilku bezskutecznych próbach zachęcenia Bogumiły do rozmowy, zmuszona była wygłosić monolog, nie wiedząc nawet, czy jest rozumiana.

- Nie myśl proszę – zaczęła – że przysłała mnie milicja. Nie współpracuję z nimi. Twój adres dali mi w sekretariacie szkoły, w której pracujesz. Martwiłam się bardzo o ciebie, bo widziałam w jakim byłeś stanie, gdy nas wypuścili. Nie odezwałeś się wtedy do mnie. Nawet nie wiem, jak dostałeś się do domu. W szkole powiedzieli mi, że jesteś na zwolnieniu lekarskim, ale pomyślałam, że już ochłonęłaś i dlatego przyszłam. Też byłam kilka dni na zwolnieniu i dużo myślałam. Postanowiłam zgłosić porwanie, uwięzienie i pobicie. Przyszłam prosić, żebyś poszła ze mną na komendę. Oni nie działali zgodnie z prawem, nie zamknęli nas w areszcie i nie sporządzili protokołów z przesłuchania. Ich przełożeni powinni się o tym dowiedzieć. Poszukamy adwokata. Mam trochę oszczędności, zapłacę. Ty nie musisz się martwić o pieniądze. Wystarczy, że złożysz zeznania. Wiedz, że dotąd nie powiedziałam nikomu o tym, co się stało. Nie może jednak być tak, że to my będziemy się bały, a oni pozostaną bezkarni. Proszę, zastanów się. Przyjdę jutro wieczorem.

Po wyjściu Mai Bogumiła usiadła na łóżku, długo nad czymś się zastanawiała, a potem wstała i zaczęła pakować swoje rzeczy. Nie miała ich wiele, więc zanim nadeszła noc dwie wypchane torby stały gotowe do zabrania. Słyszała, że gospodyni, stojąc w przedpokoju pod jej drzwiami, nasłuchuje, co się u niej dzieje. Zwykle nie była wścibska.

- Dobra kobieta – pomyślała. – Boi się o mnie.

Przeszła do łazienki. Gospodyni już nie było w przedpokoju. Umyła się, uczesała przebrała i zapukała do niej.

- O! Nareszcie! – ucieszyła się na jej widok starsza pani. – Już chciałam księdza wzywać, żeby z tobą porozmawiał. W trudnych chwilach człowiek potrzebuje rozmowy i pociechy.

- Proszę pani – odezwała się Mędrak głosem zdławionym od długiego milczenia, odchrząknęła i powtórzyła. – Proszę pani, dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Bardzo

przepraszam za kłopot. Niestety zrobię pani następny. Muszę zrezygnować z wynajmu i wyjechać. Ale wyrównam straty. Przysięgam. Część zapłacę teraz, a resztę przyślę później.

- Dziecko – starsza pani odłożyła na ławę różaniec, wstała z fotela, podeszła bliżej i powiedziała:

- Nic mi nie jesteś winna. Jeśli musisz wyjechać, to jedź. Nie pytam, co się stało, choć może gdybyś powiedziała, to mogłabym ci pomóc.

Bogumiła stała ze spuszczoną głową i milczała. Nagle jej ramiona zadrżały i zaniosła się płaczem. Gospodyni wzięła ją za rękę, posadziła przy niskim stoliku, podała chustkę do nosa i przyniosła z kuchni szklankę wody.

- Powiedz proszę, co się stało– wyszeptała starsza pani, siadając przy ławie na drugim wolnym fotelu. – Nikt inny się nie dowie, a tobie dziecko ulży.

Młoda kobieta wydmuchiwała nos, wytarła, napiła się wody i, przerywając od czasu do czasu, ponieważ wstrząsał nią wewnętrzny szloch, opowiedziała starszej pani całą swoją historię. Powiedziała o dzieciństwie bez ojca, o skromnym życiu w Będzinie, studiach, śmierci matki, pracy w Mielnie, nagłym pojawieniu się nieznanego wcześniej ojca, który okazał się esbekiem i został zabity, o ucieczce z Mielna i o najgorszym, o porwaniu, dręczeniu i przesłuchaniu.

- Mój Boże! – wykrzyknęła gospodyni. – Dziecko! Co ty teraz chcesz zrobić!? Dokąd chcesz jechać!? Może twoja koleżanka ma rację? Trzeba się zgłosić na milicję.

- Nie chcę i nie mogę mieć do czynienia z milicją, służbą bezpieczeństwa i w ogóle ludźmi tego pokroju – odpowiedziała zdecydowanie Bogumiła. – Próbowałam uciec przed nimi i przed moją przeszłością, ale okazało się, że uciekłam zbyt blisko. Jutro pojadę do Gdańska i tam spróbuję kolejny raz zacząć wszystko od nowa.

- Masz tam kogoś, kto ci pomoże znaleźć pracę i mieszkanie? Masz pieniądze?

Mędrzak posmutniała, bo przecież nie mogła liczyć na niczyją pomoc, a pieniędzy nie miała.

- Poradzę sobie jakoś. Pójdę na uczelnię i może uda mi się zakwaterować w akademiku, albo przynajmniej przewaletować w nim kilka nocy, dopóki nie znajdę pracy i pokoju. Muszę stąd uciec. Muszę – powtarzała.

Pytania gospodyni uświadomiły jej, z jak trudnymi okolicznościami będzie musiała się znów zmierzyć. Zauważyła, że starsza pani patrzy na nią, ale nie z politowaniem, którego nie znosiła, lecz ze zrozumieniem i troską.

- Dziewczyno! – powiedziała starsza pani zdecydowanym głosem. - Skazujesz się na poniewierkę. Wiem od znajomej, której syn studiuje, że akademiki są pełne, a studentom zaocznym w ogóle nie przyznają w nich miejsca. Wstrzymaj się z wyjazdem na dzień lub dwa. Porozmawiam z proboszczem katedry, a może nawet zwrócę się do biskupa. Wiesz, że od trzech lat mamy nową diecezję koszalińsko-kołobrzeską, choć nie jest ona taka znów nowa, bo przejęła spuściznę po dawnej diecezji kołobrzeskiej, która ma tysiąc lat. Nasz biskup jest dobrym i energicznym człowiekiem. Porozmawiam z nim, tylko musisz mi pozwolić opowiedzieć mu o twojej sytuacji.

- Ale ja nie chodzę do kościoła. Jestem niewierząca – oświadczyła cicho Bogumiła.

- Kościół pomaga wszystkim bez wyjątku – stwierdziła gospodyni. – Ty musisz zdecydować, czy chcesz skorzystać z tej pomocy, czy nie. A może ty należysz do Kościoła? Byłeś chrzczona? Byłaś u pierwszej komunii i u bierzmowania?

- Byłam, jak wszyscy – odpowiedziała lokatorka. – Ale na tym się skończyło.

- Przyjmij pomocną dłoń – poprosiła starsza pani. – Nie obawiaj się. Nikt cię do niczego nie będzie zmuszał.

Zgodziła się. Nie mogła odtrącać wyciągniętej pomocnej dłoni kobiety, która była życzliwa i bezinteresowna. Wyjazd do Gdańska przesunął się o kilka dni. Miała więc sposobność uregulować formalności w pracy i poinformować nauczycielkę z I LO, że nie będzie już mogła pomagać w prowadzeniu chóru. Zwłoka wyszła jej na dobre. Nie tylko dlatego, że uporządkowała bieżące sprawy, lecz także dlatego, że wyruszyła do Gdańska z adresem miejsca, w którym mogła się na dłużej zatrzymać. Gospodyni przyniosła z parafii wiadomość, że pewna chora i samotna mieszkanka Gdańska zgodziła się ją przyjąć na mieszkanie i zameldować na pobyt czasowy w zamian za codzienną pomoc i udział w stałych opłatach.

Maja Majewska przyszła, tak jak obiecała, następnego dnia po pierwszej wizycie. Decyzja Bogumiły zmartwiła ją, ale jeszcze bardziej rozeźliła.

- Źle robisz – perorowała podniesionym głosem. – Całe życie chcesz uciekać? Przecież bez ciebie moja interwencja jest niemożliwa. Zmuszasz mnie do bezczynności, do porzucenia myśli o ukaraniu sprawców! A ja nie chcę się bać! Ja nie chcę uciekać!

- Przepraszam, nie mogę ci pomóc – upierała się Mędrak przy swoim. – Ja widzę tylko jedno wyjście, żeby zapomnieć o przeszłości i zerwać z nią definitywnie. Mogłabym jeszcze ewentualnie popełnić samobójstwo. Przyszło mi do głowy takie rozwiązanie, gdy leżałam. Ale teraz chcę skończyć studia, chcę zajmować się muzyką, chcę kolejny raz zacząć nowe życie. Nie utrudniaj mi tego.

- Może ona ma rację? – zastanawiała się Majewska, gdy wyszła z budynku, w którym mieszkała Mędrak i stała na przystanku autobusów miejskich. – Ale ja przecież nie mogę zerwać ze wszystkim. Mam tu pracę, mam mieszkanie. Żebym jeszcze miała tu kogoś bliskiego. Co robić? Co robić?

Po powrocie do siebie usiadła na wersalce, otworzyła zakupione po drodze do domu czerwone wino i popijając, przemyślała raz jeszcze swoją sytuację. Zgłoszenie milicji porwania, bicia i przesłuchania z pewnością przysporzy jej wiele kłopotów, jeśli Bogumiła nie będzie chciała składać zeznań. Kłopoty spadną także na Bogumiłę. Będą jej poszukiwać. Będzie musiała przecież poinformować milicję, że druga ofiara przebywa w Gdańsku. Bogumiła nigdy jej tego nie wybaczy.

- Być może jej wyjazdu nie trzeba widzieć jako tchórzostwa, lecz jako wymagającą męstwa i rozsądku decyzję – przyszło jej do głowy, gdy dopijała butelkę. – Jaki sens jest w żądaniu sprawiedliwości dla tych, którzy sprawują swoją niewidzialną władzę i sami ustalają, co jest dobre a co złe? Zmarnuję kilka lat życia i stracę zdrowie. Zmarnuję też życie Bogumile. Co robić? Co robić?

Siedziała czas jakiś na wersalce i gapiała się bezmyślnie w migający obraz telewizora. Niepotrzebnie go włączyła. Chyba tylko po to, żeby zagłuszyć ciszę i własne myśli.

- Przecież mogłabym przenieść się do Lęborka, zmienić środowisko, znaleźć pracę, która mnie rozwinie, doksztalcać się – pomyślała. – Prędzej czy później uda mi się zamienić mieszkanie. Koszalin to rozwijające się miasto, nie jakieś zadupie.

Ogarnęło ją gorączkowe podniecenie. Alkohol dodawał odwagi. Wstała, sprawdziła, która godzina i ubrała się. Nie było jeszcze dwudziestej drugiej. Ciotka nie kładła się spać przed jedenastą i, co było rzadkością, miała telefon. Postanowiła udać się na Poczta Główną, zadzwonić do Lęborka i zapytać, czy może przyjechać w najbliższą sobotę i porozmawiać o zamieszkaniu z ciotką do czasu zamiany mieszkania. Nie bała się pustych o późnej porze ulic. Niczego już się nie bała.

Kapitan SB Aleksander Dudło i starszy sierżant MO Wiesław Bąk zrezygnowali z grzebania w zamierzchłej przeszłości majora Władysława Porębkiewicza. Ludzie z pegeeru nie współpracowali, a do tego okazali się mentalnie ograniczeni. Rodzina Miszkiewiczów zniknęła gdzieś w głębi Polski i nie było powodu, aby ich oskarżać o spóźnioną zemstę za domniemane dawne krzywdy, tym bardziej, że wcześniej już została sprawdzona.

Przesłuchane kobiety, Majewska i Mędrak, też zostały przez nich wykluczone. Mędrak mogła mieć powód, aby ukatrupić świeżo poznanego ojczulka. Mogła ukarać go za to, że porzucił ją i jej matkę, gdy były w potrzebie, a odnalazł się niespodziewanie po latach i nie wiadomo czego naprawdę od niej chciał. Nie miała jednak ani powodu, ani sposobności, aby zastrzelić Madejskiego. Majewska natomiast mogła pozbyć się Madejskiego, ale z kolei nie miała nic wspólnego z Porębkiewiczem. Według nich natomiast oba zabójstwa były ze sobą z całą pewnością związane, więcej, byli przekonani, że popełniła je ta sama osoba.

Dudło jako perfekcjonista uparł się, że koniecznie muszą jeszcze zająć się żonami ofiar. Na pierwszy ogień poszła Porębkiewiczowa, której złożyli wizytę w domu późnym wieczorem. Maria Porębkiewicz, wyraźnie zaskoczona ich przyjściem, poznała Dudłę, z którym była na „ty” i zapytała o cel późnej wizyty. Ten odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Czy zależy ci na ukaraniu zabójcy Władysława?

- Nie – odpowiedziała.

- Nie? – podchwycił negatywną odpowiedź. - A dlaczego ci nie zależy?

- Po co pytasz? Znałeś go i wiesz, jak mnie traktował.

- No właśnie – stwierdził z satysfakcją. – Chciałaś mu zapłacić za lata upokorzenia. Dowiedziałaś się, że ma nieślubną dorosłą córkę, która mieszka w Mielnie, że ją odwiedza. Bałaś się, że wytraci na nią pieniądze i twój synek zubożeje.

- Głupstwa opowiadasz. Ten synek to także dziecko Władka, a Władek, jaki był taki był, ale nigdy by nie skrzywdził własnego syna – skwitowała jego wypowiedź. – Dobrze wiesz, że mam alibi. A pieniądze na siebie i na syna sama zarabiam. Nie potrzebowałam łaski Władka. Nie wiem, ile ma nieślubnych dzieci. Nie wiem, czy utrzymywał z nimi kontakt, czy nie i nic mnie to nie odchodziło i nadal nie obchodzi.

- Alibi rzeczywiście masz. Ale dowiem się, kogo wynajęłaś. Jestem blisko. Sprawdziłem numery telefonów, z którymi się łączyłaś w tamtym czasie. Przepytałem wszystkich twoich znajomych. Mówili, że miałaś go dość, że chciałaś, żeby zniknął ci z oczu - zalefował Dudło.

- Albo ty kłamiesz, albo oni. Nigdy nikomu się nie skarżyłam. Niczego na mnie nie znajdziesz, bo niczego nie ma – powiedziała spokojnie, bo dobrze znała podstępne chwytły stosowane podczas przesłuchań.

– Wiem, że kogoś wynajęłaś. Znajdę go, bądź pewna. To tylko kwestia czasu. Madejski odkrył, co zrobiłaś, więc i jego kazałaś wykończyć. A pistolet Władka zostawiłaś sobie na pamiątkę, czy na wszelki wypadek? – ironizował kapitan, patrząc jej w twarz i uśmiechając się sztucznie.

- Wy wszystkich osądzacie według siebie – odparowała. – Wydaje wam się, że na świecie są tylko takie dranie, jak wy. Wyoście się.

Nieproszeni goście ruszyli do wyjścia.

- Nie pokazuj się tu więcej – krzyknęła za nimi Porębkiewiczowa, zwracając się głównie do Dudły .

- Harda suka – wymamrotał Dudło, wsiadając do samochodu – Zawsze taka była. Ale mówi prawdę. Wynajęcie zabójcy w Koszalinie nie jest proste, a przy tym zaraz by się wydało. Mamy swoje wejścia w światku przestępczym. Ktoś by się pochwalił zabiciem esbeka.

Bąk, siedząc za kierownicą, kiwał głową ze zrozumieniem i robił dobrą minę do złej gry. Męczyła go skrupulatność starszego szarżę kolegi. Wyjechał na ulicę i ruszył w stronę centrum.

- Po co nam przesłuchanie żony Madejskiego? – zapytał. – Madejska nigdy nie poznała Porębkiewicza. Wiem to z całą pewnością.

Miał nadzieję, że Dudło zrezygnuje z kolejnych przesłuchań, a najbardziej liczył na to, że zgodzi się na najlepsze z jego punktu widzenia zakończenie całej sprawy.

- Dobra – usłyszał odpowiedź kapitana. – Kończymy. Nic się k...wa nie zgadza.

- Jak to nic się nie zgadza?! – zaprotestował. – Przecież jest jeszcze Baczkowski, a u niego wszystko się zgadza.

- Co Baczkowski? Przecież nie mamy na niego dowodów, tylko poszlaki. Jeśli sam się nie zgłosi na milicję i nie przyzna, nie będzie podstaw do formalnego wznowienia śledztwa.

- No to niech się przyzna – powiedział Bąk, zwolnił i zaparkował fiata na poboczu. – Niech się zgłosi i niech się przyzna,. Już się przyznał, że miał pistolet Porębkiewicza. To za mało? Motyw miał. Porębkiewicz go szantażował, a Madejski musiał odkryć, że to on zabił majora. Albo przynajmniej Baczkowski bał się, że Madejski coś o nim wie. Wszystko jedno. Motyw jest. Broń jest.

Dudło zapalił papierosa i milczał. Dym wydymuchiwał przez otwarte okno samochodu.

– Nie wiemy czy to na pewno on – powiedział po długim zastanowieniu.

Wyrzucił na ulicę wypalonego papierosa i ponownie zamilkł.

- Ale wiele na to wskazuje – odezwał się wreszcie. - Najbardziej mnie martwi, że w śledztwie i podczas procesu wywlecze na światło dzienne ten niby szantaż, picie spirytusu i nie wiadomo co jeszcze. Znał majora w latach pięćdziesiątych. Wie, co się wtedy działo. Będzie gadał niestworzone rzeczy. Będzie wymyślał różne rzeczy, żeby uciec spod stryczka.

- Chcesz powiedzieć, że lepiej będzie, jeśli sami się nim zajmiemy? – zapytał starszy sierżant.

– Mnie to odpowiada. Pomścimy kolegów bez rozgłosu. Sprawiedliwość musi być. Nie!? – zachichotał.

- Od tego jesteśmy, żeby za dobro nagradzać, a za zło karać – podchwycił myśl kapitan.

Nie odwlekali ukarania Baczkowskiego. Sprawę należało wreszcie zakończyć. Winy nie mogli mu udowodnić, ale fakty wskazywały na niego. Tak czy inaczej, ktoś powinien być ukarany za podniesienie ręki na funkcjonariuszy. Wiedzieli, którym kursem pekaesu podejrzany zazwyczaj wraca z pracy w poniedziałki, bo w poniedziałki urzędował w biurze. Zwolnienie lekarskie skończyło mu się w sobotę. W poniedziałek 24-tego listopada stali pod Poczta Główną w Koszalinie. Baczkowski przyszedł na przystanek i zaczął rozmawiać z młodą kobietą. Nie rozglądał się niespokojnie na boki jak wtedy, gdy obserwowali go wcześniej. Prawdopodobnie ich nie zauważył, więc nie powinien próbować im uciec po drodze. Upewnili się, że wsiadł do autobusu. Pojechali do Mielna. Stanęli ze zgaszonymi światłami na placu przed kinem „Fala”. Przystanek znajdował się po drugiej stronie ulicy. Pekaes nadjechał, Baczkowski wysiadł i poszedł w kierunku ulicy Pionierów, ale niestety nie szedł sam, lecz z tą samą młodą kobietą, z którą wcześniej rozmawiał. Wyprzedzili powoli idącą parę i wjechali na posesję przed Gromadzką Radą Narodową. Nie byli widoczni z ulicy. Dom Baczkowskich stał w głębi posesji. W oknach na piętrze świeciło się światło. Bąk chciał wysiąść z samochodu,

żeby przejąć własnoręcznie Baczkowskiego, gdy tylko wejdzie przez bramę oddzielającą podwórze od ulicy, ale spłoszył go nieduży czarno-biały pies, który ujadając biegł w ich kierunku.

- Zastrzelę gada – wycedził Bak, wskakując na siedzenie i zatrzaskując drzwi.

- Pelka! Pelka! – zawołał kobiecy głos. – Do domu!

Drzwi domu Baczkowskich otworzyły się. Stała w nich żona Baczkowskiego i przywołała psa. Szczekanie ucichło, drzwi zamknęły się. Po chwili usłyszeli przez otwarte okna samochodu, że Baczkowski żegna się z towarzyszącą mu kobietą. Gdy tylko przekroczył bramę i wszedł na posesję Dudło wysiadł, otworzył tylne drzwi samochodu i krótko rzucił:

- Zapraszam.

Baczkowski rozejrzał się dokoła, jakby szukał ratunku. Było pusto. Niedaleki dom, spokojny, ciepły i bezpieczny, teraz wydał się nieosiągalny. Wsiadł, a Dudło zajął miejsce obok niego. Nie spojrzeli na siebie. Milczeli. Baczkowski zdjął kapelusz i położył na teczce, którą umieścił na swoich kolanach.

- Słucham – powiedział spokojnie. – Co panowie chcą jeszcze wiedzieć? Czy jestem aresztowany?

Nie odpowiedzieli. Bak włączył silnik i, nie zapalając świateł, powoli wyjechał z bramy na ulicę, skręcił w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Wjechali w grząską pełną drogę prowadzącą na nadjamneńskie łąki. Baczkowski zadrżał ze strachu. Zatrzymali się.

- Wsiadamy – mruknął Dudło.

Wysiedli i skierowali się na wał przeciwpowodziowy. Przeszli nim kilkanaście metrów. Bak, który siedł za pojmanym mężczyzną ogłuszył go lewarkiem owiniętym w szmatę. Z rąk uderzonego wypadł nie włożony na głowę kapelusz. Teczka potoczyła się z wału na łąkę. Bak zebrał rozrzucone rzeczy. Dudło stał nad nieprzytomnym Baczkowskim. Bak wcisnął kapelusz pod skórzany czarny płaszcz, w który ubrany był Baczkowski. Teczke cisnął do wody po drugiej stronie wału. Potem rozkołtysali ciężkie bezwładne ciało i wrzucili za teczką. Nie czekali, aż ciało zniknie pod wodą. Jezioro Jamno jest muliste. Wiedzieli, że wszystko zanika w głębokim dennym mule i prawie nigdy stamtąd nie wypływa.

Rozdział drugi. Los



1. Teraz. 1982



Za oknem zapadła ciemność. Jezioro za oknem zamieniło się w wielką czarną plamę. Zesztywniała i otepiała wstała z fotela, bo potrzeba fizjologiczna zmusiła ją do skorzystania z toalety. Myjąc ręce w małej umywalce, spojrzała w lustro i zobaczyła ściągniętą bólem twarz podstarzałej kobiety, wychudłej i kościstej. Ścięte na krótko gęste ciemne włosy z siwymi

pasmami na skroniach sterczały we wszystkie strony. Przyglądała je odruchowo mokrymi dłońmi i przyczesala grzebieniem. Przeszła do pokoju i rozpałała ogień w piecyku. Gdy ogień płonął już mocnym płomieniem, stała przy piecyku i grzała zziębnięte ciało. Poczula głód i pragnienie. Przeszła do kuchni, zapaliła światło, włączyła elektryczny czajnik i przyrządziła sobie kanapkę. Kiedy woda w czajniku zawrzała, zaparzyła mocną herbatę i, nie zapalając światła w pokoju, usiadła przy stole. Gdy zjadła kanapkę, znów wróciła na fotel pod oknem. Myślała teraz o rodzicach.

Ojciec zmarł 3-go stycznia 1979-tego roku. Miał pecha, bo dostał zawału właśnie wtedy, gdy cały kraj walczył z zimą stulecia. Armagedon pogodowy zaczął się w dzień sylwestrowy. Temperatura spadła nagle do minus dwudziestu stopni, rozszalała się śnieżycą i nie ustępowała przez następne dni. W całym kraju ogłoszono stan klęski żywiołowej. Drogi stały się nieprzejezdne, samochody utykały w zaspach sięgających dwóch metrów, pociągi stawały na trasie. Droga z Koszalina do Kołobrzegu, którą w normalnych warunkach przyjechałaby karetka pogotowia, była zasypana śniegiem i nie mógł sobie z nim poradzić nawet ciężki sprzęt. Dowiedziała się o śmierci ojca telefonicznie, gdy z sanatorium, martwiąc się o rodziców, zadzwoniła do mścickiego pegeeru. Na skromny i pośpieszny pogrzeb dotarła tylko dzięki pomocy znajomego wojskowego, który wsadził ją do transportera. Matka nie żyła długo. Miała wylew jesienią 81-szego roku, gdy ona całą sobą zaangażowała się w ruch solidarnościowy. Teraz żałowała, że po śmierci ojca nie otoczyła matki opieką. Ale cóż, na wszystko było już za późno.

Ocknęła się z zamyślenia. Spojrzała przez okno. Lampy na ulicy Chrobrego już się zaświeciły, przejechała „Jedynka”, miejski autobus kursujący między Mielnem a Koszalinem. Wiatr trochę ucichł. Po niebie gnały ciemne grube chmury.

- Ludzie mają teraz dobry dojazd do Koszalina. Dzięki kursom autobusów miejskich linii numer jeden Mielno zostało włączone do sieci komunikacyjnej. – pomyślała i natychmiast znów poczuła ból w całym ciele.

Powróciło wspomnienie najgorsze ze wszystkich tych, które ją dręczyły. Pierwsza myśl wyciągnęła z pamięci myśli następne. Znów zaczęła odtwarzać w głowie całą tę historię, która ostatecznie ją złamała.

W gorący politycznie wiosenny czas w 81-szym roku też siedziała w oknie i wyczekiwała przejazdu „Jedynki”. Rozsadzała ją radość i niecierpliwość. Wybiegła z mieszkania na ulicę i patrzyła na zbliżającą się ku niej postać ukochanego mężczyzny. Nie sądziła, że miłość

przyjdzie do niej, zniszczonej życiem kobiety, razem z powiewem trudnej do wywalczenia, ale wartej poświęceń wolności. Ale nieoczekiwana miłość przyszła wczesną jesienią 80-tego roku. Poznali się w koszalińskiej siedzibie Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego, w której ona bywała, a on pracował. Oboje pełni entuzjazmu rozmawiali o toczących się szybko wydarzeniach, z których każde było nieprawdopodobne jeszcze przed kilkoma miesiącami: podpisanie porozumień w Gdańsku, w Szczecinie i Jastrzębiu, lawinowe powstawanie nowych związków zawodowych w samym Koszalinie i w mniejszych miejscowościach, współpraca z wojewodą, przyznanie MKZ-towi siedziby, cykliczne walne zebrania, na których toczono zagorzałe dyskusje i wreszcie zjazd delegatów w Gdańsku. W ferworze rozmów i zdarzeń w Związku nie zorientowała się, kiedy ich własny związek zacieśnił się i przekształcił w związek intymny. Był od niej młodszy, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie pytał o jej wiek i sprawy osobiste. Wiedział, że mieszka samotnie. Ona też nie zadawała intymnych pytań. Rozmawiali głównie o polityce i sprawach związkowych.

Spragniona bliskości, której od tak dawna nie zaznała, chciała szybko nasycić się tym, co dawał jej los. Jedyne w głębi duszy, pod jego nieobecność, dręczył ją lekki niepokój, który zniknął natychmiast, gdy na niego patrzyła, gdy spotykały się ich gorące usta i gdy czuła na swym ciele jego ręce. Niepokój zniknął, bo ogarniała ją wtedy pewność, że jest kobietą godną pożądania; że zasługuje na tę późną miłość.

Nie chcieli plotek. Ukrywali swój związek. On odwiedzał ją w Mielnie. Przyjeżdżał od czasu do czasu „Jedynką”, wysiadał w centrum i pieszo pokonywał odległość niecałych siedmiuset metrów dzielących centrum od jej domu. Jeśli wiedziała, że przyjedzie, zdarzało jej się wyjść mu naprzeciw, choć umówili się, że powinni dbać o dyskrecję.

- Ktoś nas kiedyś zobaczy – wyrzucał jej, gdy chwytała na ulicy jego dłoń, z trudem powstrzymując się, żeby nie rzucić mu się na szyję.

- Nikogo nie ma. Sprawdziłam – uspokajała go.

Przebywanie z nim, zawsze zbyt krótkie i ulotne, przemieniało ją, podstarzałą poważną kobietę, w osobę, którą nigdy wcześniej nie była. Ciężar, który przygniatał jej serce i nie stawał się lżejszy pomimo tego, że od wydarzeń, które ją wewnętrznie zniszczyły minęły lata, zamieniał się w niewidzialny puch i ulatywał, a w sercu odżywała radość, wcześniej jakby przygnieciona górą zlodowaciałego śniegu. Wreszcie poznała także, jak przyjemny i oczyszczający jest stan bez troski. Przestały ją drażnić kiczowate stroje młodych kobiet, które raziły jej poczucie smaku nadmiernie wywatowanymi ramionami, nastroszonymi tapirem

kolorowymi włosami i jaskrawym makijażem. Bezsensownie hałaśliwe, prymitywnie rytmiczne i bełkotliwe piosenki nowych zespołów młodzieżowych wywoływały w niej nie, jak wcześniej, przerażenie zbliżającym się końcem dobrej muzyki, lecz śmiech pobłażania. Śmiała się z prostych dowcipów, cieszyła ładną pogodą i banalnymi rozmowami ze spotkanymi ludźmi.

Cios spadł na nią niespodziewanie dwa tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego. Przyjechała do siedziby MKZ-etu po biuletyny i cieszyła się, że go zobaczy w przelocie. Ale jego nie było. Zauważyła ponury nastrój wśród współpracujących z nim osób, ukradkowe spojrzenia i szept na jej widok.

- Co się stało? – zapytała dyskretnie dziewczynę, którą dobrze знаła i która zawsze była jej przychylna.

- Był wtyką – wyszeptała jej do ucha dziewczyna.

- Kto? – zapytała zaskoczona i oszołomiona.

- No przecież wiesz kto. Zawsze z nim gadałaś. Wiedziałaś o tym?

Nie odpowiedziała na to pytanie, bo kiedy padło, zdarło z niej całą mozolnie nakładaną powłokę optymizmu, chroniącą ją od niedawna przed złem świata. Wypuściła z rąk otrzymane materiały, odwróciła się i wyszła. Chodziła po mieście bez celu i świadomości. Nagle poczuła na ciele brud ich intymnych spotkań, w sercu rozsadzający ból a w głowie zupełną pustkę. Gdy trochę oprzytomniała, wróciła do biura MKZ-tu i wywołała dziewczynę na zewnątrz.

- Powiedz – poprosiła. - Skąd ta wiadomość? Przecież SB specjalnie oczernia ludzi Solidarności, kompromituje ich, aby nas poróżnić i rozsadzić związek od wewnątrz.

- Nie mogę powiedzieć – wyszeptała pytana. – Ale podobno informacja jest pewna. Przewodniczący z nim rozmawiał. On podobno wszystkiemu zaprzeczył.. Twierdził oczywiście, że to esbecka prowokacja. Strasznie był oburzony po rozmowie z przewodniczącym. Z nikim już nie rozmawiał. Wyszedł bez słowa. Nawet „do widzenia” nie powiedział.

- No widzisz. No widzisz – powtarzała. – Przecież to może być prawda. Został skrzywdzony. Niesłusznie oskarżony.

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami i wróciła do pracy.

Ona nie była w stanie pracować. Wzięła zaległy urlop i przez trzy dni czekała na niego w swoim mieszkaniu. Powinien przecież przyjechać i o wszystkim jej powiedzieć, jeśli był niewinny. Nie przyjechał, więc ona pojechała do Koszalina i krążyła cały dzień po mieście. Jego niewinność stanęła pod znakiem zapytania. Musiała więc teraz sama upewnić się co do jego podwójnej zdrady. Bo jeśli zdradził, to zdradził nie tylko przyjaciół z Solidarności, ale także ją, zakochaną kobietę. Nie miała pojęcia, co robić, gdzie może go spotkać, a przede wszystkim nie wiedziała, jak ma zareagować na jego widok. Najlepiej by było, gdyby gdzieś go zobaczyła, na przykład na ulicy, nie ujawniła się, ustaliła, gdzie mieszka i śledziła przez jakiś czas. Dowiedziałyby się wtedy, dokąd chodzi i z kim się spotyka. Ale odpowiadający jej scenariusz nie był łatwy do zrealizowania. Włóczyła się godzinami ulicami miasta. Złość i zmęczenie narastały i zmniejszały wewnętrzny ból, który wciąż odczuwała. Z coraz większym zacięciem zaglądała do mijanych kawiarni i restauracji. Chciała już tylko przyłapać go na spotkaniu z jakimś podejrzanym typem, podejść, dać mu publicznie w twarz i odejść bez słowa. Niestety godziny mijały, a jej nadzieja na przypadkowe spotkanie malała, aż wreszcie zupełnie zniknęła.

- Zupełnie straciłam głowę – pomyślała, przysiadając na taborecie w cukierni „Poznańska”. Żuła powoli kupioną drożdżówkę. Nie czuła jej smaku. Jadła, żeby zmniejszyć doskwierające jej coraz bardziej ssanie w żołądku.

- Zupełnie straciłam głowę – pomyślała raz jeszcze. – Najpierw dla niego, a teraz przez niego. Kobieto! – przemawiała sama do siebie. – Otrząśnij się. Zaczynaj myśleć.

Rada była oczywiście słuszna, ale dla niej niewykonalna. Przynajmniej nie teraz. Patrzyła na wchodzących do cukierni i wychodzących z niej ludzi. Jakby nic się nie stało kupowali ciasto, słodkie bułki i pączki, troskliwie trzymali w rękach zapakowane w biały papier słodkości i szli do swoich domów, aby je spałaszować z najbliższymi. Zazdrościła im.

Do „Poznańskiej” wszedł staruszek. Kroki stawiał uważnie i podpierał się laską. Przyjrzała mu się uważniej. Kogoś jej przypominał. Olśniło ją. Starzec był esbikiem, a raczej ubekiem,, u którego sprzątała przed wielu laty.

- To on! To na pewno on! – krzyczało coś w jej głowie. – Los mi go zsyła! Musze go zaczepić - postanowiła. - Przypomnieć się. Tylko ktoś taki jak on, może mi pomóc.

Stary człowiek zrobił zakupy i odwrócił się od lady. Patrzył na nią uważnie, jakby chciał sobie przypomnieć, skąd ją zna.

- Dzień dobry – powiedziała.

Wstała z taboretu i podeszła do niego. – Pamięta mnie pan? – zapytała. - Sprzątałam u państwa w domu pod koniec lat pięćdziesiątych.

- Dzień dobry – ucieszył się stary funkcjonariusz. – Poznaję, poznaję, choć oboje się zestarzeliliśmy.

- Jak żona? Zdrowa? Dzieci wyrosły? – szybko rzucała pytania, aby przedłużyć rozmowę.

Nieprawdopodobna myśl, że on jej pomoże, przekształciła się w pewność.

- Żona umarła pięć lat temu. Dzieci się porozjeżdżały. Niestety zostałem sam jak palec. A co u ciebie? Jeśli masz chwilę, zapraszam na herbatę i ciastko. Mieszkam tam, gdzie przedtem. Niedaleko stąd.

Na to właśnie czekała. Wzięła od niego pakunek z ciastkami, on chwycił ją pod podane mu ramię i podreptali dwie przecznice dalej.

W mieszkaniu niewiele się zmieniło. Staromodne eleganckie meble z drzewa orzechowego z pewnością teraz nabrały jeszcze większej wartości. W każdym przeciętnym blokowym mieszkanku królowały meblościanki, ławy i rozkładane wersalki. Tutaj panowała atmosfera przedwojennej mieszczańskiej wygody: obszerny przedpokój z kryształowym lustrem i solidnymi wieszakami na ubrania, salon z okrągłym rozkładanym stołem, wielki kredens, na którym stały kryształowe wazony, patery, misy i karafki, wyściełane krzesła i zgrabna sofa. Nie trzeba było zmieniać codziennie salonu w sypialnię, bo ta znajdowała się po prostu w osobnym pokoju.

- Ja zrobię herbatę – powiedziała, kiedy zdejmowali płaszcze i buty w przedpokoju. – Wiem, gdzie jest kuchnia. Pamiętam.

Siedzieli w salonie, pili herbatę i jedli zakupione w „Poznańskiej” drożdżówki z serem. Rozmowa szła opornie. Powiedziała to i owo – w sumie same nieistotne informacje – o tym, co się u niej przez minione lata wydarzyło, czyli że mieszka i pracuje w Mielnie, jest samotna, bo jej najbliżsi zginęli, a rodzice nie żyją, że w kraju bałagan, że trzeba stać w kolejkach i tym podobne banały. Potem on, wyraźnie spragniony podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami, opowiadał rozwlekłe i z detalami o chorobie żony, o tym, jak ciężko przeżył jej śmierć, jakie ma dolegliwości i jak nieprzyjemnie być starym zniedołężniałym i samotnym człowiekiem. Na koniec pochwalił się sukcesami swoich dzieci, które ukończyły studia z doskonałymi

wynikami, zdobyły liczne stypendia i objęły odpowiedzialne stanowiska wymagające częstych pobyków za granicą.

Drożdżówki zostały zjedzone, herbata wypita i nad pustymi naczyniami zapadła krępująca cisza. Postanowiła poruszyć wreszcie temat, który przywiódł ją do mieszkania dawnego, odpowiednio ustosunkowanego pracodawcy.

- Cieszę się, że pana spotkałam – zaczęła, a on uśmiechnął się i pokiwał siwą starczą głową. – Trochę się krępuję, ale pomyślałam, że właśnie pan mógłby mi pomóc w pewnej przykłej osobistej sprawie.

Wzrok starca stał się ostry i przenikliwy. Taki, jak przed laty.

- Mówiłam, że wcześniej straciłam męża i długo byłam samotna. Ale ostatnio ja, stara baba – roześmiała się nerwowo - zakochałam się jak głupia nastolatka w pewnym trochę młodszym ode mnie mężczyźnie. Straciłam dla niego głowę, a on wykorzystał to, a potem zniknął. Szukałam go długo, żeby się na nim zemścić, ale nie udało mi się go znaleźć. Proszę pana – zawołała żalonym głosem. – Ja muszę go znaleźć! Muszę powiedzieć mu, co o nim myślę! I muszę się na nim zemścić za to, że zrobił ze mnie idiotkę!.

Schowała twarz w dłoniach. Nie musiała udawać, że płacze, bo łzy naprawdę jej płynęły.

- Ale ja ci nie pomogę w sprawach sercowych – powiedział protekcyjnie gospodarz.

- Wiem – odpowiedziała. – Ale mógłby pan dowiedzieć się, kim on naprawdę jest. On mnie okłamywał. Może to jest jakiś oszust i naciągacz. Wyłudził ode mnie pieniądze – podbiła argumentację.

- Aaa! – staruszek wydobył z siebie długi dźwięk. – O to co chodzi! – zawołał, a w jego głosie dosłyszala nutkę satysfakcji. – Jeśli cię okradł to co innego. Podaj jego nazwisko i rysopis. Przyjdź za dwa dni. Moi dawni podwładni sprawdzą, czy coś na niego mamy.

- Nie mogę za dużo powiedzieć – przywitał ją emerytowany funkcjonariusz, gdy po dwóch dniach otworzył jej drzwi, wpuścił do mieszkania, a ona wieszała płaszcz w przedpokoju, a potem podała mu zrobione przez siebie zakupy, o które ostatnio poprosił.

Usiedli przy stole w kuchni. Tym razem nie zaproponował jej herbaty i ciastek.

- Nie mogę za dużo powiedzieć – powtórzył. – Bogdan Pakosik to w pewnym sensie nasz człowiek. Powiedz mi, co ci zrobił złego, a my to załatwimy. Sama trzymaj się od niego z daleka.

- Właściwie to tylko nie oddał mi pieniędzy, ale to była niewielka suma. Nic złego mi nie zrobił – powiedziała, czując w sercu kłujący ból. – Byłam głupia, więc sama jestem sobie winna. Ale może powie mi pan, gdzie on mieszka. Chciałabym z nim chociaż porozmawiać i poprosić o wyjaśnienia. Ja chyba go jeszcze kocham – zachlipała, udając głupią kobietkę.

- Kobiety, kobiety – pokręcił z dezaprobatą głową emeryt. – Adresu ci nie dam, bo nie mam. Zapomnij o nim dziewczyno i zajmij się swoimi sprawami.

Dziękowała mu wylewnie za okazane zrozumienie i udzieloną pomoc. Długo przepraszała za kłopot, który sprawiła. Ocierała chustką oczy i hałaśliwie wydmuchiwiała nos, instynktownie maskując w ten sposób rozpacz, która rozlewała się w niej i zawładnęła całym ciałem. Starzec patrzył na nią z politowaniem, ale też ze słabo ukrywaną pogardą. Dobrze znała ten butny wyraz, który przed laty nigdy nie znikał z jego twarzy, a wzmagał się, gdy widział ją spoconą, myjącą podłogi czy polerującą meble. Teraz niecierpliwił się, że jeszcze nie opuściła jego mieszkania i sprawiał wrażenie człowieka głęboko rozczarowanego. Prawdopodobnie inaczej wyobrażał sobie dalszy ciąg ich znajomości. Może myślał, że znów zostanie jego gosposią, ale najwyraźniej już nie życzył sobie jej kolejnych wizyt.

- Tak, tak – myślała teraz, patrząc w panującą za oknem ciemność rozświetlaną żółtymi kręgami rzucanymi przez uliczne latarnie. – Już wtedy, gdy potwierdziła się jego podwójna zdrada wiedziałam, że dla mnie to koniec wszystkiego.

Wstała z fotela, zaciągnęła zasłony, odeszła od okna i przekręciła kontakt. Oślepiło ją światło i musiała poczekać, aż jej oczy przywykną do jasności. Poszła do kuchni, podgrzała w dużym garnku wodę, wlała ją do miski. Rozebrała się i cała umyła, a następnie wytarła ręcznikiem i naga podeszła do szafy w pokoju. Wyjęła z dolnej szuflady czystą bieliznę oraz nowe cieliste rajstopy. Założyła majtki, biustonosz, halkę i rajstopy, a potem otworzyła skrzypiące drzwi szafy i poszukała odpowiedniej sukienki. Z wyborem nie było kłopotu. Strojów miała niewiele i tylko trzy sukienki nadawały się na tego typu okazję. Wybrała tę najcieplejszą z szarej wełny, o odpowiedniej długości, z okrągłym wycięciem pod szyją i czarnym paskiem. Pasowała do czarnych butów, które trzymała na dnie szafy. Aby rozjaśnić całość zawiązała szaro-czerwoną apaszkę. Dostała ją na imieniny od koleżanek z sanatorium. Podeszła do niewielkiego lustra, które było częścią starej toaletki. Upudrowała twarz i pomalowała usta szminką. Kosmetyki

kupiła, aby poprawiać urodę, bo tak bardzo chciała mu się podobać. Uczesała się przyjrzała uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Twarz miała trochę zbyt bladą, ale puder wyrównał i przyciemnił cerę. Włosy zawsze miała gęste. Nauczyła się je szybko układać w twarzową fryzurę.

- Wyglądam nieźle z tymi czerwonymi ustami i różem na policzkach – stwierdziła, nie czując z powodu swego ładnego wyglądu żadnej satysfakcji.

Poczuła zimno w całym ciele, choć w pokoju było już ciepło. Podeszła do piecyka i grzała się kilka minut. Opuściły ją wszystkie natrętne myśli. Z węglarki, spod drewna, wyjęła duże kawały węgla i napakowała nimi piecyk. Zamknęła drzwiczki i szyber. Złapała gorącą rurę od piecyka przez ręcznik i lekko poluzowała.

- Powinno wystarczyć – pomyślała i położyła się na zasłanym kapą łóżku w pozycji bocznej z ręcznikiem na wysokości ust zabezpieczającym poduszkę przed wymiocinami.

- Nie uszczelniłam drzwi – przypomniała sobie.

Wstała, zatkała szczelinę pod drzwiami wyjściowymi drugim ręcznikiem, obciągnęła na biodrach sukienkę i znów położyła się na łóżku.

- Spokój, cisza i zapomnienie – pomyślała, nie czując strachu.

Mirosława Suwak pomimo późnej pory musiała wyprowadzić na mały spacerek Miśka, przyjaznego wszystkim ludziom kundelka, którego wzięli od znajomych, żeby pilnował mieszkania, podczas gdy domownicy wychodzili do pracy i do szkół. Misiek nie sprawdził się w roli stróża, ale za to stał się pupilem całej rodziny. Popędził teraz schodami w dół i czekał na nią przed drzwiami prowadzącymi na podwórze. Drapał w nie niecierpliwie i skamlał, ale nic nie wskórał, bo Mirosława Suwak nadal stała na podeście schodów na pierwszym piętrze. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i poczuła coś jeszcze poza zwykłym zapachem lekkiej stęchlizny.

- Dym – stwierdziła zaniepokojona. – Chyba wydostaje się z mieszkania Danuty.

Zapukała do sąsiadki najpierw cicho, a gdy ta nie otwierała, głośniejsze. Za drzwiami panowała cisza. Zapach dymu nie był intensywny, ale panią Suwak zaniepokoił nagły mętlik, jaki poczuła w głowie, a następnie lekki ból.

- Kaziu! – wrzasnęła w stronę drzwi swojego mieszkania.

Jej mąż w kapciach i domowym stroju wyrzwał przez uchylone drzwi.

- Ludzi pobudzisz – upomniał ją. - Późno jest.

- Czad! – krzyczała kobieta, nie zważając na uwagi męża. – Od Danuty wydobywa się czad. Trzeba zaalarmować sąsiadów! Wezwać pogotowie!

Kazimierz Suwak natychmiast wyskoczył na korytarz, złapał żonę za rękę, sprowadził na dół, wyprowadził na zewnątrz a drzwi wyjściowe do budynku podparł klockiem drewna, żeby się nie zamykały. Sąsiedzi usłyszeli krzyki i hałas dobiegające z klatki schodowej. Otwierały się drzwi na parterze i na piętrze.

- Wychodzić! – wołał Suwak, który należał swego czasu do ochotniczej straży pożarnej. – Wychodzić. W domu jest czad! Zatrujecie się!

Mieszkańcy, jeden po drugim, powoli, jakby z niedowierzaniem, że naprawdę im coś może grozić, wychodzili na podwórze. Kulili się z zimna. Wciągali chwycone naprędce zwierzchnie okrycia lub otulali złapanymi szybko kocami. Wszyscy byli zdezorientowani i rozpytywali co też się takiego stało.

- Czad, czad – powtarzali ci, którzy zdołali się już czegoś dowiedzieć od byłego strażaka.

Między gromadzącymi się na podwórzu lokatorami biegał, skakał i głośno szczekał z radości Misiek, zadowolony z nieoczekiwanego towarzystwa znanych sobie ludzi. W oknach sąsiednich budynków zapalały się światła.

- Co się dzieje? – pytały zaspane głosy.

- Trzeba dzwonić po straż i pogotowie. Czad się ulatnia u Danki Kamiennej – wołali uciekinierzy.

- Nie trzeba – krzyczeli inni. - Witek Grzywacz już pobiegł do telefonu do dyrektora gospodarstwa rybnego.

Kazimierz Suwak tymczasem zarzucił na głowę wyrwaną komuś kurtkę i pobiegł pod drzwi Danuty. Próbował je wywarzyć barkiem, ale trzymały się mocno. Zbiegł na dół.

- Kto mi pomoże?! – krzyczał. – Danka nie odpowiada! Trzeba nakryć głowę i jak najdłużej w środku nie oddychać. Walniemy w drzwi dwa razy i uciekamy na zewnątrz.

- Dobra – powiedział młody sąsiad z parteru, choć żona powstrzymywała go zawzięcie. – Ale jak nie puszczą za drugim razem, uciekam.

Drzwi ustąpiły. Mężczyźni wpadli do środka. Suwak błyskawicznie dopadł do okna i je otworzył. Potem odetchnął głęboko kilka razy świeżym powietrzem i przywołał do okna sąsiada, który stał i bezradnie patrzył na leżącą bez ruchu na łóżku Danę Kamienną.

- Oddychaj! – wrzasnął Suwak.

Kiedy wynieśli Danę na zewnątrz, wszyscy lokatorzy i sąsiedzi zgromadzili się wokół.

- Nie żyje – powiedział dawny strażak.

Wszyscy zgromadzeni odwrócili się w stronę ulicy, bo usłyszeli warkot motoru. Przyjechali komendant Szelc i posterunkowy Janczewski. Na ich widok gapie rozstąpili się, robiąc przejście do leżącego na czymś płaszczy ciała.

- Nie żyje – powiedział Szelc, wstając z ziemi. – Co tu się stało?

- Zaczadziła się! Nas też o mało nie wytruła! – krzyczano.

- Można już wejść? – zwrócił się Szelc do Suwaka, pokazując głową budynek.

- Chyba można. Drzwi są już dość długo otwarte, okno u niej też. Ale lepiej poczekać. Czad jest lżejszy od powietrza i gromadzi się na górze.

- Ktoś jeszcze ucierpiał? Ktoś tam został? - dopytywał komendant.

- W porządku. Wszyscy w porę wyszli – uspokoił go Suwak.

Przyjechała karetka pogotowia, ale lekarz nie miał nic do roboty. Wezwano prokuratora i kryminalnych z Koszalina, bo wygląd denatki - jej porządne ubranie i pozycja, w której leżała na łóżku, raczej wykluczały przypadkowe zatrucie.

- Popęłiła samobójstwo – pomyślał komendant. – Co też ją skłoniło do tak desperackiego czynu. Nigdy bym się tego nie spodziewał po tej spokojnej i miłej kobiecie.

- Ludzie – poprosił zebranych. – Poczekaście jeszcze trochę na zewnątrz. Powiemy wam, kiedy możecie wrócić do waszych mieszkań. Kiedy będzie już bezpiecznie, przewietrzcie dobrze mieszkania i idźcie spać. A teraz, jeśli ktoś się źle czuje, niech jedzie karetką do szpitala. Pan doktor się wami zajmie.

- Ty stój przy zwłokach i czekaj na prokuratora – polecił Witkowi Janczewskiemu.

Na podwórzu zapanował spokój. Ludzie odzywali się do siebie ściszonymi głosami. Żal im było sąsiadki, ale nie mogli pogodzić się z tym, że ich także naraziła na zatrucie czadem.

Szelc z lekką obawą wszedł na pierwsze piętro budynku, a potem do mieszkania Danuty Kamiennej. Spojrzał na piecyk z uchylonymi teraz szeroko drzwiczkami i otwartym szybrem. Węgiel już się w nim dopalał. Łóżko po akcji ratunkowej było w nieładzie. Na podłodze leżał zabrudzony ręcznik. Drugi ręcznik poniewierał się pod drzwiami wejściowymi.

- Chciała uchronić mieszkańców – pomyślał ze smutkiem. – Ale przecież zatkanie szpary ręcznikiem niewiele dało. Czad wydostaje się wszystkimi szparami.

Nie rozumiał powodów, dla których ktoś zdobywał się na samobójstwo. Przejrzał leżące na stole papiery, z nadzieją, że znajdzie typowy w wypadku dobrze zaplanowanych samobójstw list pożegnalny. Listu nie było ani w pokoju, ani w kuchni. Otworzył szafę i sięgnął w głąb. Wiedział, że nie powinien niczego dotykać przed przyjazdem śledczych i prokuratora, ale jakiś wewnętrzny przymus skłaniał go do dalszych poszukiwań.

2. Oficer. 10 lat wcześniej



Major SB Władysław Porębkiewicz zamierzał aktywnie spędzić resztę życia, która przypadała na czas zasłużonego odpoczynku. I tak pracował zbyt długo. Od pewnego „młode wilki” zaczęły pilnie patrzeć mu na ręce. Młodzi koledzy szukali pretekstów do zakamuflowanego wypominania mu wieku, spadku wydolności i refleksu. Zwykła rzecz. On też nie cierpiał za młodu gadatliwych i marudzących starych przyków, którzy zawsze wszystko wiedzieli najlepiej.

Emerytura nie przerażała go. Przeciwnie upatrywał w wolnym od obowiązku czasie okazji do korzystania z nowych życiowych okazji. Zawsze był człowiekiem niezmiennie z siebie zadowolonym. Los obdarzył go zdrowym rozsądkiem i licznymi umiejętnościami. Nie tylko potrafił korzystać z nadarzających się okazji, ale potrafił pomyślnie dla siebie okazje sam stwarzać. Przedtem i aktualnie robił to, co chciał i zdobywał to, na czym mu zależało. W pracy zawsze wiedział jak wybrnąć obronną ręką z każdej nieprzyjemnej i groźnej sytuacji. Uchowal się przez lata w wymagającej sprytu i inteligencji robocie, podczas gdy inni z niej wylatywali, albo sami rezygnowali. Jako jeden z nielicznych przetrwał czystkę w urzędach bezpieczeństwa po 56-tym roku. On po prostu wiedział co robić. Wiedział do kogo się zwrócić o pomoc, z kim pogadać, komu przypomnieć dawne grzeszki, a komu dać w łapę. Jak nikt inny znał się na ludziach. Przenikał ich charaktery i każdego potrafił użyć do własnych celów. Był po prostu zwyczajnie lepszy od innych. Rzetelnie zatem zasłużył na wszystkie resortowe odznaczenia, które otrzymał. Nie zależało mu na odznaczeniach i uznaniu tak bardzo jak na pieniądzach i dobrach materialnych, ale przyjemnie było popatrzeć na dyplomy i medale takie jak ten starszy „W Służbie Narodu” czy ten ostatni, przyznany za „Zasługi w Ochronie Porządku Publicznego”,

W życiu prywatnym też nieźle sobie radził. Żona urodziła mu syna, wychowała na porządnego człowieka, a on zapewnił jej i dziecku dostatnie życie. Pozwolił żonie na to, aby się rozwijała zawodowo i, kiedy przestała go interesować jako kobieta, dał jej całkowitą wolność. Oczywiście w granicach, które musiała znać i które musiała także respektować. O romansowych skandalach z jej strony nie mogło być mowy. Nie pozwoliłby na przyprawienie sobie rogów. On natomiast do woli korzystał z tego, że los obdarzył go słusznym wzrostem, dobrą figurą i męską urodą. Był przystojny i kobiety za nim szalały. Wybierał tylko te najlepsze: piękne, seksowne i zgrabne. Umiał je uwieść, bo zachowywał się tak, jak tego oczekiwały. Wyczuwał ich słabości, potrzeby i skryte marzenia.

- Kocham cię. Jesteś jedyna i wyjątkowa. Potrzebuję cię. Bez ciebie mój świat szybko by się zawalił – powtarzał każdej. – Ale musimy uważać. Jestem w trudnej życiowej sytuacji. Nie możesz zająć w ciążę, a przynajmniej ja nie chcę o tym słyszeć. Musimy być dorosłymi odpowiedzialnymi ludźmi. O dziecku pomyślimy później, jeśli ty będziesz tego chciała.

Łykały jego wywody bez protestu. Raz czy dwa wpadł, ale sprawa została szybko załatwiona w prywatnym gabinecie. Jedynie ta gąska z Będzina, ładna młoda sklepikarka, uparła się, że urodzi dziecko i je urodziła. Wszystkie jego romanse trwały dłużej lub krócej w zależności od

tęgo, jak długo kobiety spełniały jego oczekiwania. Tę upartą i głupią dziwaczkę zostawił jej marnemu losowi natychmiast, gdy powiedziała mu o ciąży i nie chciała zgodzić się na zabieg.

- Sama tego chciałaś. Ja nawet nie wiem z kim masz to dziecko. Przecież cię nie pilnuję. Zrobisz co zechcesz – powiedział płaczącej dziewczynie, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Kilka razy spotkali się potem przypadkiem. Raz nawet zobaczył tę małą dziewczynkę, która prawdopodobnie była jego córką. Dał Annie, matce dziewczynki i swej dawnej kochance, trochę pieniędzy, choć mocno się opierała. Wokół jednak byli inni ludzie, więc nie mogła przeciągać niezręcznej sytuacji i w końcu je wzięła. Ciekawiło go, jak teraz wygląda to niechciane dziecko. Powinno już być dorosłą kobietą.

- Czy jest ładna jak jej matka? – przychodziły mu od czasu do czasu do głowy ulatujące szybko pytania. - Czy jest w niej coś ze mnie?

Na emeryturze miał wreszcie czas na realizowanie swoich różnych swobodnych i chimerycznych pomysłów. Na przykład pewnego dnia postanowił odnaleźć w starych papierach nazwisko Anny, a następnie sprawdzić, gdzie teraz przebywa. Spełnienie pierwszego postanowienia okazało się łatwe. Przerzucił dokumenty, które trzymał pod kluczem w swoim pokoju - przypomniał sobie przy okazji kilka innych osób i zdarzeń z przeszłości – i znalazł zapiski z 48-mego roku.

- Cholera, ale czas zasuwa. Jak szalony – powiedział sam do siebie, przerzucając kartki. - To było ponad dwadzieścia lat temu. Byłem młody, miałem zaledwie trzydzieści lat.

Anna Mędrak – przeczytał na jednej z kartek. – Tak, przypominam sobie, nazywała się Anna Mędrak.

Spełnienie drugiego postanowienia wymagało więcej trudu, więc odsunął je na potem. Przecież się nie paliło. Najdzie go ochota, to zajmie się i tym tematem. Na razie wciągnęło go wytwarzanie nalewek, a do tego potrzebował skupienia i, oczywiście, najlepszego spirytusu. Lubił alkohol i miał mocną głowę. Był przecież fachowcem. Umiał upić każdego i z każdego wyciągnąć potrzebne informacje. Teraz, kiedy miał czas dla siebie, mógł przyrządzać na własny użytek wyśmienite i zdrowe trunki. Nie chciał truć się żadnym sklepowym świństwem. Zebrał od znajomych przepisy. Z różnych źródeł dostawał owoce, miód, cytryny i przyprawy. Delektował się precyzją wykonywanych w kolejnych etapach czynności. Nastawiał, dolewał, przelewał, filtrował i obserwował z lubością jak cenne płyny stopniowo zmieniają kolory, zapachy i moc. Dobrej jakości czysty spirytus do nalewek był już zgromadzony, bo przypadek

sprawił, że przed trzema laty spotkał na ulicy dawnego znajomego. Facet, który, jak się później okazało, nazywał się Baczkowski, nadal pracował w fiskusie i kontrolował gorzelnie.

- Spadłeś mi z nieba – wykrzyknął na jego widok, choć nie pamiętał czy kiedykolwiek przeszli na „ty”, a nawet nie przypominał sobie jego nazwiska. – Co słychać?

Tamten skrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu i przyjął wyciągniętą ku niemu dłoń.

- Dzień dobry – powiedział mocno zmieszany. – Stara bieda.

- Niewiele się zmieniłeś – urabiał go. – Od razu cię poznałem, choć minęło sporo lat.

- Trzyńście – stwierdził tamten. – Widzieliśmy się ostatni raz w 56-tym.

- Pamiętam, pamiętam. Może wznowimy naszą znajomość. Wódeczka z twojego źródelka wychodziła świetna. Łeb po niej nie bolał. Źródło pewnie jeszcze bije?

- Nie bardzo – odpowiedział Baczkowski. – Inne czasy.

- Czasy są zawsze dobre kolego! – wesoło wykrzyknął. – A dziś lepsze niż kiedyś. Wznawiamy kontrakt! Gdzie mieszkasz? Wpadnę do ciebie, to pogadamy. Wiesz przecież, że i tak cię znajdę.

Okazało się, że Baczkowski mieszka w Mielnie. Dopóki pracował przejmował ciężki prezent w Koszalinie. Będąc na emeryturze wołał wpadać do Mielna. Szedł na długi spacer plażą w kierunku Mielenka, aż do miejsca, gdzie czekał na niego Baczkowski, który przekazywał towar i szybko znikał w nadmorskim lesie.

- Ale ma pietra – cieszył się. – Bardzo dobrze. Będzie robił, co mu każe.

Czas mijał. Sprawy dostawy spirytusu układały się dobrze. Kilka razy wstąpił nawet do domu, w którym mieszkał Baczkowski, bo zachciało mu się z kimś pogadać przy wódeczce i zakąsce. Żona Baczkowskiego dobrze gotowała i nie była wścibska. Podawała do stołu w pokoju na parterze i znikwała. Mogli spokojnie rozmawiać. Dom Baczkowskich stał w głębi podwórza a po podwórzu biegała biało-czarna kudłata suczka gospodarzy, na którą wołali Pelka. Była czujna i hałaśliwa. Reagowała szczekaniem na każdy ruch w pobliżu posesji. Nie znosił wprawdzie jazgotu psów i z chęcią zastrzeliłby sukę, gdyby nie jej przydatność w sytuacji wymagającej ostrzegania przed pojawieniem się niepożądanych osób.

Pewnego słonecznego dnia na początku września 1972-go roku Porębkiewicz stał przy kiosku Ruchu w centrum Mielna. Właśnie przed chwilą kupił papierosy „Caro”, które palił namiętnie

od wielu lat. Rozpakował paczkę, wyjął z niej papierosa i właśnie go zapalał, gdy do kiosku podeszła delikatna i przez tę delikatność - dającą się zauważyć nie tylko w wyglądzie, ale także w ruchach - jakby nierzeczywista młoda blondynka. Gdyby był młodszy z pewnością zagiąłby na nią parol. Kupiła coś, zamieniła dwa grzeczne zdania z kioskarką i odeszła. Tak mu się spodobała, że nie mógł powstrzymać ciekawości i zapytał kioskarkę:

- Kim jest ta eteryczna panienka?

- To nauczycielka. Pani Mędrak. Uczy śpiewu w naszej szkole.

Oniemiał, choć rzadko zdarzało mu się tracić rezon. Następnego dnia czekał na tę delikatną osóbkę dwie godziny na ulicy przed szkołą. Czas mu się dłużył, ale cierpliwość opłaciła się. Wyszła ze szkolnego boiska na ulicę. Prowadziła rower. Jasne włosy, związane z tyłu głowy w kucyk, rozsypały się wokół miłej twarzy o łagodnym wyrazie. Zbliżyła się do niego i minęła z pogodnym uśmiechem, który zapewne ofiarowywała wszystkim napotkanym po drodze ludziom. Ale ten uśmiech bardzo go ujął. Podeszedł za nią i zagadnął w momencie, gdy wsiadała na rower.

- Jest pani nauczycielką muzyki – powiedział, żeby sprawić wrażenie, że ma do niej sprawę związaną z jej zawodem.

- Tak – odpowiedziała i zrezygnowała z wsiadania.

- Czy mogę zająć pani trochę czasu? Na pewno jest pani zmęczona, ale postaram się nie zmęczyć pani jeszcze bardziej – kokietował ją.

Zgodziła się, aby ją odprowadził do domu. Mieszkała w Unieściu, więc trasa, która ich czekała pozwalała na dłuższą rozmowę. Młoda nauczycielka była prostolinijna, szczerza i zupełnie niepodobna ani do matki, ani do niego.

- Skąd się biorą takie nieziemskie istoty? – myślał Porębkiewicz, gdy szli ulicą Lechitów i zbliżali się do centrum Mielna.

Zadawał jej mnóstwo pytań, choć starał się, żeby nie stać się zbyt natarczywym. Ona jednak i tak szybko spłoszyła się jego nadmiernym zainteresowaniem. Zauważył to, przestraszył się, że mu się wymknie i zdecydował, że czas powiedzieć, kim dla niej jest.

- Jestem pani ojcem – powiedział najcieplej jak umiał. – Pani mama nazywa się Anna Mędrak. Prawda?

Gdyby wiedział, że informacja zrobi na młodej kobiecie tak piorunujące wrażenie, chyba by się powstrzymał. Ale przecież nie mógł ryzykować, że straci z nią kontakt. Nic o nim nie wiedząc, mogła nie chcieć spotkać się raz jeszcze ze starszym panem zadającym za dużo pytań. A tak, pomimo szoku, w jaki wprowadziła ją nagła wiadomość, zgodziła się spotkać z nim w najbliższą sobotę.

Przyszła na sobotnie spotkanie punktualnie i major od razu pomyślał, że punktualność i słowność musi mieć po nim, bo kobiety na ogół każą na siebie czekać i często zmieniają zdanie. Bogumiła, jak zaczął nazywać ją w myślach, udawała, że jest zupełnie spokojna i starała się rozmawiać bardzo rzeczowo. Zadawała konkretne pytania. Ale przecież jego nie mogła oszukać. Nikt nie mógł go oszukać. Był dobrym psychologiem i nie można było ukryć przed nim wewnętrznego rozdygotania i braku pewności siebie. A właśnie w takim stanie wewnętrznym spotkała się z nim Bogumiła w sobotnie popołudnie.

Stali na skraju łąk przy mało uczęszczanej ścieżce, pod czerwieniejącymi bukami, po których śmigały wiewiórki zbierające dojrzałą buczynę. Na ścieżkę wchodziło się z ulicy 1-go Maja, którą było widać przez częściowo огоłocone z liści przydrożne krzaki. Bogumiła nie chciała iść dalej ścieżką prowadzącą w stronę Mielenka. Najwyraźniej nie chciała oddalać się od ulicy, po której od czasu do czasu ktoś przechodził. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna się go boi.

- Czyżby dowiedziała się kim jestem, to znaczy kim byłem? Wydawało mi się przedtem, że nie ma o tym pojęcia i najlepiej by było, gdyby tak zostało – pomyślał Porębkiewicz. – Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed tymi, którzy niczego nie rozumieją, a tacy są prawie wszyscy. Nie orientują się, w jakiej żyją rzeczywistości, że najważniejsze rzeczy dzieją się i muszą się dziać ponad ich głowami. Ktoś zawsze pociąga za niewidoczne sznurki.

On, w swoim czasie, należał do tych, którzy to właśnie umieli robić i robili. Naiwne dziewczątko nie było jednak przygotowane na tę oczywistą prawdę.

Rozmowa toczyła się na pozór spokojnie. Bogumiła, pogodzona już z faktem niespodziewanego pojawienia się nieznanego jej dotąd ojca, opowiedziała mu o studiach i pracy. Unikała natomiast odpowiadania na pytania o szczegóły dotyczące życia, choroby i śmierci matki. On słuchał z częściowo udawanym zainteresowaniem i przerywał jej obietnicami pomocy w przyszłości. Rozstali się, umawiając się na systematyczne kontakty.

Spotykali się co jakiś czas we wrześniu i w październiku. Ona powoli oswajała się z myślą, że ma ojca, który chce uczestniczyć w jej życiu oraz pomagać w rozwiązywaniu pojawiających

się przed nią trudności. Takie zapewnienia składał jej często i taki też miał zamiar. Poczuł bowiem nieznaną do tej pory miękkość serca. Ta zwiewna i delikatna młoda kobieta przedstawiała sobą świat, który zawsze uważał za fikcyjny. Przecież jego robota polegała na brutalnym wyrywaniu ludzi z ich głupiego, wymyślonego świata, świata bezinteresownej miłości, poświęcania się szczytnym ideałom i wszystkim innym bzdurom, którymi żyją naiwniacy nie potrafiący pogodzić się z brutalną rzeczywistością. Ale gdy tylko dobrze nad nimi popracować, zawsze pękają i uderzają swymi pełnymi ideałów łepetynami w ścianę. Tylko nieliczni, najbardziej zawzięci, obstawali przy swoim, gdy on wkraczał do akcji. Większość prędzej czy później musiała pogodzić się ze stratą złudzeń i przyznać, że ich poczucie sprawczości zawsze było ułudą, że marzyli o stwarzaniu lepszego świata, a świat zmieniają tylko ci, którzy mają pieniądze i władzę. A tu nagle pojawia się obok niego osóbką, jego własną córką, która cała jest zanurzona w tym fikcyjnym świecie i najwyraźniej ma zamiar w nim pozostać do końca życia, a on nie czuje do niej pogardy. Przeciwnie, rozczula go jej naiwność.

Kontakt z Bogumiłą miał jednakże dla Porębkiewicza tę nieprzyjemną konsekwencję, że przypominał mu o ludziach najbardziej odpornych na perswazję, zacięcie trzymających się swoich zasad, uparciuchów, broniących się przed napierającymi na nich brutalnymi zasadami. Powracało nieprzyjemne wspomnienie wydarzenia z lat pięćdziesiątych, lat jego nieograniczonej władzy nad prostytutkami. Od poznania córki, zawsze kiedy jechał do Mielna swoim białym Peugeotem 504, wbrew samemu sobie zwalniał w Strzeżenicach i patrzył w stronę miejsca, gdzie ulokował największego z upartych głupców na wieczny odpoczynek.

- No cóż. Za głupotę trzeba płacić – myślał, odwracał głowę i dodawał gazu, a przyjemny szum silnika i uległość sprawnej maszyny odwracały jego uwagę od wspomnień sprzed dziewiętnastu lat.

- Może działałem zbyt gwałtownie, ale byłem młody i porywczy a ona była taka piękna – tłumaczył sam sobie. – Zakochałem się wtedy chyba po raz pierwszy w życiu. A tam zakochałem! Raczej oszalałem dla niej. Adorowałem ją i uwielbiałem. Może właśnie dlatego, że się opierała i mówiła, że kocha męża i nigdy go nie zdradzi. Takie są najgorsze. Idealistki nie znające prawdziwego życia. Doprowadzała mnie do szału.

Pewnego dnia, a była to druga połowa października, mijając to miejsce w drodze powrotnej z Mielna do Koszalina, majorowi przyszło do głowy, że Bogusia ma w sobie coś, co przypomina mu tamtą kobietę. Ta myśl poruszyła go bardziej niż mógł się po sobie spodziewać.

- Starość, cholera jasna – przeklął w duchu. – Staję się sentymentalny.

Po powrocie do domu - a właściwie do swojego pokoju, bo z żoną od dawna już nie tworzyli czegoś, co można by nazywać domem – znów opadły go niechciane wspomnienia. Znów poczuł tę samą wściekłość, która go ogarnęła, kiedy kobieta, za którą szalał, kolejny raz powiedziała – cicho i spokojnie jak prawdziwa męczennica – że kocha męża, a potem dodała, że postanowili wyjechać.

- Uciekasz ode mnie – wrzeszczał. – Tchórzysz, bo wiesz, że prędzej czy później mi ulegniesz! Przecież to ja ci się naprawdę podobam, a nie ten pozał się Boże twój mężuś, cherlawy tchórz! To on namawia cię do ucieczki, bo zdaje sobie sprawę, że nie zatrzyma cię przy sobie, że go zostawisz! Wie tak samo dobrze jak ty, że ze mną czeka cię lepsze życie!

Po tych słowach, jak dobrze zapamiętał, ona odwróciła się w stronę okna i długi czas milczała.

- Nienawidzę cię z całego serca – powiedziała po kilku minutach głośno i wyraźnie.

Zza okna dobiegały wtedy śmiechy i pokrzykiwania dzieci bawiących się na podwórzu.

Kiedy wreszcie odwróciła się i spojrzała na niego, w jej oczach zobaczył strach połączony z pogardą i ani okruszyny uczucia. I właśnie wtedy postanowił zemścić się na niej za tę nieskrywaną pogardę. Brak miłości z jej strony nie przeszkadzał mu, bo nie wierzył w miłość. Wierzył w namiętność i chwilowe zatracenie. Pogardy nie mógł jednak wybaczyć.

- To ona wtedy wydała wyrok na swojego męża – powiedział do siebie.

Podniósł się ciężko z fotela, w którym usiadł zaraz po wejściu do swego pokoju i poszedł do kuchni zrobić sobie herbatę.

- Dobry wieczór – przywitał się z żoną. – Nie na dyżurze?

- Nie. Dziś mam wolne – odpowiedziała krótko i wyszła z kuchni.

- Nawet „dobry wieczór” nie odpowie – burknął za nią, ale albo nie usłyszała, albo zignorowała uwagę, bo nawet nie odwróciła głowy.

Wrócił do siebie ze szklanką wypełnioną do połowy mocną herbatą. Dopełnił szklankę nalewką malinową. Nalewka malinowa była najmocniejsza i najbardziej aromatyczna. Sprawiając sobie małą przyjemność, chciał opanować wewnętrzne drżenie i zagłuszyć nieprzyjemne myśli. Pił powoli gorący rozgrzewający napój, delektując się jego wyrazistym smakiem.

- Tamtej nocy było zimno – uderzyło go niechciane wspomnienie. – On trząsł się nie tylko z zimna, ale też ze strachu. Robiłem z nim, co mi się podobało, taki był przestraszony, gdy wycelowałem w niego pistolet. Wiedział, że nie żartuję. Bez oporu wsiadł do samochodu, a potem z niego wysiadł. Nie protestował nawet wtedy, gdy rzuciłem mu szpadel i kazałem kopać. Może miał nadzieję, że go postraszę i wypuszczę. Coś mamrotał pod nosem. Pewnie modlił się. Żaloszny dureń. Jego Bóg mu nie pomógł. Nie chciałem krzyków i prośb, więc zastrzeliłem go, gdy nie patrzył, gdy się nie spodziewał. Zabłociłem buty i ubranie zakopując dół, ale myślałem tylko o tym, jak ona będzie cierpiała. I cierpiała. Dostała to, o co się prosiła.

Wypity alkohol wreszcie rozluźnił mięśnie i przygłuszył myśli. Rozpływające się po całym ciele ciepło wywołało błogą sennosć. Położył się na łóżku i przysnął. Ocknął się, słysząc pukanie do drzwi pokoju.

- Proszę! – krzyknął ostro w stronę drzwi.

- Spałeś? - zapytała Maria jak zawsze dla czystej formalności. – Przepraszam. Nie wiedziałam. Przyszedł list do ciebie. Zawieruszył się w mojej korespondencji.

Żona położyła na stole niebieską kopertę i wyszła.

- Zawieruszył się – zamruczał zły, że wyrwała go z przyjemnej drzemki. – Nie można było poczekać z tym do rana?

Porębkiewicz otworzył list dopiero rano, pijąc swoją poranną kawę. Najpierw jednak dobrze obejrzał kopertę. Datownik postawiono na poczcie w Koszalinie przed dwoma dniami. Z tyłu koperty nie było adresu nadawcy. Spojrzał pod światło. W środku była niewielka karteczka. Gdy ją wyjął i rozłożył przeczytał:

„Zabiłeś niewinnego człowieka, unieszczęśliwiłeś jego żonę a dzieci uczyniłeś sierotami. Czeką cię niebawem zasłużona kara, bo sprawiedliwość trzeba wymierzać tu na ziemi. Czas umierać”.

Podpisu nie było.

- Ki czort! – zawołał i z odrazą rzucił kartkę na stół.

– Ktoś ośmiela się mi grozić. Cholera jasna! Akurat dziś, akurat teraz, gdy zacząłem wracać myślami do tej szalonej miłości i idiotycznej śmierci – przeleciało mu przez głowę.

Wstał od stołu, zostawiając na nim niedojedzone śniadanie, i przez pół godziny krążył najpierw po kuchni a potem po swoim pokoju. Wyszedł na taras. Zimne powietrze orzeźwiło go. Uspokoił się trochę, wrócił do kuchni i przyrządził sobie świeżą, gorącą kawę. Tę, która wystygła wylał do zlewu. Usiadł przy stole. Dojadł nadgryzioną kanapkę z jajkiem na twardo i majonezem. Emocje opadły. Umiał zachować zimną krew i radzić sobie w trudnych sytuacjach.

- Jeśli ktoś próbuje mnie przestraszyć – myślał, dopijając kawę – to źle trafił. Chyba nie wie, kim jestem i z kim zaczyna swoją głupią wojenkę.

- Może to Maria? – przyszło mu do głowy, ale zaraz odrzucił tę myśl. – Po co miałyby to robić? Co by zyskała?

Znał żonę na tyle dobrze, że wiedział, iż nie uciekałaby się do anonimów, nie wspominała naiwnie o sprawiedliwości, nie wypisywała podobnych bzdur. Znał też charakter jej pisma. Nie ona napisała anonim. Gdyby chciała się go pozbyć, zrobiłaby to po cichu i po swojemu. W końcu była lekarzem.

- Ktoś mnie wtedy widział w Strzeżenicach – stwierdził. - Teraz, gdy jestem na emeryturze, nabrał odwagi i próbuje mnie zaszantażować. Pożałuje tego skur...syn.

Przeszedł z kuchni do pokoju, zabierając karteluszek z anonimem oraz kopertę. Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Chwila odprężenia przywróciła mu jasność myślenia. Przyszło mu do głowy, że czasowa zbieżność wspomniania przez niego wydarzeń z lat pięćdziesiątych i nadejścia anonimu może być po prostu przypadkowa. Wstał i wziął z biurka położoną tam wcześniej kartkę. Przeczytał raz jeszcze krótki tekst i stwierdził, że nie musi on dotyczyć Miszkiewiczów, że prawdopodobnie pod wpływem chwilowych wspomnień uległ sugestii i źle zinterpretował treść anonimu. Piszący go szaleniec mógł przypisywać mu śmierć jakiejś innej osoby. Osób, które inwigilował, demaskował i oddawał w ręce sprawiedliwości było wiele. W latach pięćdziesiątych niektóre z nich sąd skazał na karę śmierci. Tak było na przykład z kozłem ofiarnym przemian końca lat czterdziestych Władysławem Czarneckim. Uciekł katowi spod szubienicy, ale niewiele brakowało, aby stracił życie. Ktoś taki jak na przykład Czarnecki mógł po prostu obudzić się po wielu latach od tamtych wydarzeń i nagle zapłonąć chęcią zemsty, albo chęcią zarobienia paru groszy przez szantażowanie go.

- Nie ma się czym przejmować – postanowił. – W naszym fachu coś takiego każdemu może się zdarzyć.

Stał się jednak bardziej ostrożny i uważniej przyglądał ludziom wokół. Broń zawsze nosił przy sobie. Rzadziej jeździł do Mielna, a jeśli już się tam wybrał, korzystał z pekaesu, bo wołał unikać sprawdzania, czy auto nie zostało uszkodzone. Dobrze znał różne sposoby cichego pozbywania się ludzi. Potrzeba widywania Bogumiły prawie w nim zanikła. Cóż mogła go teraz obchodzić prawie obca i nazbyt egzaltowana dziewczyna?

Porębkiewicz wściekał się sam na siebie, że anonim wywarł wpływ na jego zachowanie, że nie zdołał zapomnieć o nim i dalej swobodnie cieszyć się życiem, kierując się jedynie własnymi potrzebami. Następne anonimy na szczęście nie przychodziły. Obiecał sobie, że jeśli dostanie choć jeden, powiadomi dawnych kolegów i będą zmuszeni zająć się wykryciem autora. Wołałby jednak nie nagłaśniać sprawy. Grzebanie w jego przeszłości przez esbecką młodzież nie za bardzo mu odpowiadało.

W piątek 17-tego listopada, po powrocie do mieszkania z obiadu w restauracji, major zastał karteczkę wetkniętą w szparę drzwi wejściowych. Wściekł się, myśląc, że to następny anonim i jednak będzie musiał zaangażować kolegów. Kiedy przeczytał treść wiadomości, uspokoił się i ucieszył. Napisała ją bowiem Bogumiła. Wiedziała, gdzie mieszka. Pokazał jej dom, w którym znajdowało się mieszkanie, gdy spotkali się w październiku w Koszalinie. Wtedy, pomimo jego nalegań, nie chciała wejść do środka. Teraz, o dziwo, postanowiła go odwiedzić, lecz nikogo nie zastała. On jadł obiad w restauracji, żona była w pracy.

- Chyba poczuła się przeze mnie zaniedbywana – pomyślał i poczuł lekki wyrzut sumienia, że od dłuższego czasu nie widział się z nią.

Bogumiła napisała: „Proszę pana, przyjechałam, żeby o czymś ważnym powiedzieć. Nie uprzedziłam o wizycie, więc słusznie spotkała mnie przykra niespodzianka. Spotkaj się proszę ze mną jutro. Będę czekała od szesnastej do skutku na pętli pekaesu w Unieściu. Bogumiła Mędrak”.

- Coś ją nieźle przypiliło – pomyślał Porębkiewicz, zgniatając karteczkę. – Nie wie jak się do mnie zwracać, na pan, czy na ty.

Otworzył drzwi, wszedł do mieszkania, potem do pokoju. Wyjął z zamykanej na klucz szuflady anonim i porównał charakter pisma z tym, na karteczce Bogumiły. Z ulgą stwierdził, że się od siebie znacząco różnią. Poszedł do kuchni i spalił nad gazem obie kartki. Zawodowe doświadczenie podpowiadało, żeby nie zostawić śladów.

W sobotę wyruszył do Mielna. Autobus stanął na ostatnim przystanku przy pętli w Unieściu piętnaście minut po czwartej. Bogumiły nie było. Przechadzał się główną ulicą w tę i z powrotem. Minęła prawie godzina, a ona nie nadchodziła. Zły, zziębnięty i lekko zaniepokojony jej nieobecnością, ruszył w kierunku domu, w którym wynajmowała pokój. Obszedł dom dookoła i zobaczył ją przez jedno z oświetlonych okien. Siedziała przy stole, coś czytała, a od czasu do czasu zapisała. Wydawała się zupełnie spokojna. Z pewnością nie zamierzała wychodzić. Złość przeszła we wściekłość.

- Durna dziwka – wydusił przez zaciśnięte zęby major. – Zapomniała, albo robi ze mnie durnia. Popamiętasz mnie idiotko.

Nie zamierzał wchodzić i robić jej wyrzutów. Nie miał jej nic do powiedzenia. Wiedział, że ukarze ją niechybnie za kilka dni. Jeszcze nie wiedział jak. Na razie musiał się trochę uspokoić, więc poszedł nad morze. Stał nad brzegiem ciemnej, poruszającej się jak żywa materia wody i pustą plażą ruszył w stronę centrum Mielna. Na wysokości ulicy Pionierów przyszło mu do głowy, że wstąpi do Baczkowskiego i napije się z nim wódki. Towarzystwo i alkohol były mu potrzebne jak nigdy dotąd.

Wyszedł od Baczkowskich dopiero nad ranem. Upił się. Stracił poczucie czasu. Baczkowski zasnął w ubraniu na złożonej wersalce. On, łapiąc resztki świadomości, postanowił przewietrzyć się, wsiąść do pierwszego porannego autobusu i wrócić do siebie. Nie mógł jednak pokazać się publicznie w stanie upojenia alkoholowego. Trudno mu było utrzymać równowagę i dobrą orientację w terenie. Na szczęście było jeszcze całkiem ciemno. W pewnym momencie uświadomił sobie, że stoi oparty o kiosk Ruchu w centrum Mielna, a po drugiej stronie ulicy jakaś ciemna postać kiwa na niego ręką. Kiedy odkleił się od kiosku i chwiejnym krokiem zaczął iść w jej stronę, postać oddaliła się. Podążył za nią. Postać stawiała, odwracała się do niego i kiwała, aby szedł za nią. Zniecierpliwił się i sięgnął pod marynarkę do kabury. Była pusta.

- Kur...a mać – wybełkotał.

Szedł dalej, a poły jego rozpiętego płaszcza powiewały na wietrze. W głowie miał mętlik, chwiał się i nie wiedział, gdzie się znajduje, więc stanął i rozejrzał się dokoła.

- Aha, jestem na krzyżówce – stwierdził i popatrzył w głąb ulicy prowadzącej w prawo. – Jest ta cholera. Macha. Czego ode mnie chce? Zaduszę gadzinę.

Ciemna postać szła przed siebie równym miarowym krokiem. Już nie odwracała się, nie czekała na niego i nie przyzywała go dłonią, jakby wiedziała, że z pewnością za nią podąży. Wreszcie zatrzymała się, otworzyła furtkę i zniknęła, zostawiając furtkę otwartą. Wszedł.

- Cmentarz – uświadomił sobie.

Widział teraz wyraźniej. Postać stała nieopodal, znów kiwnęła na niego ręką i nagle zniknęła mu z oczu. Potykając się poszedł w tamtą stronę wąską błotnistą ścieżką, aż natknął się na blaszany pojemnik. Poczł silne uderzenie w tył głowy. Zdołał się odwrócić.

- Czas umierać – usłyszał i ktoś popchnął go w pierś. Upadł na wznak, a życie powoli zaczęło z niego uchodzić.

3. Madejski. 9 lat wcześniej



Kapitan Jan Madejski przeżywał trudne chwile. Jego ambicja ucierpiała na skutek serii niepowodzeń, które mogły zahamować jego zawodową karierę, a na niczym nie zależało mu tak bardzo jak na nagrodach, odznaczeniach i awansach. Miał już dość harówki, z której korzyści mieli przede wszystkim jego przełożeni. Za wszelką cenę chciał przedrzeć się na sam szczyt milicyjnej hierarchii. Nie miał jeszcze czterdziestu lat i od roku działał w stopniu kapitana, ale wiedział, że w jego fachu wskazany jest pośpiech. Jedynie szybkie awansowanie pozwala wyrwać się z milicyjnych dołów i zostać tym, który żyje z pracy innych. Nie miał niestety nikogo, kto holowałby go w górę, więc mogły mu pomóc jedynie spektakularne sukcesy odnoszone w powierzonych mu sprawach kryminalnych.

Zespół, którym kierował był dobry. Wiele jednak zależało od szczęścia, a to przestało mu ostatnio dopisywać. Najbardziej mogła mu zaszkodzić sprawa Porębkiewicza. Wszystkim

wprawdzie zależało na tym, aby ją wyciszyć, bo czas przed dożynkami, na które przyjeżdżał sam Pierwszy, nie sprzyjał przedłużaniu i intensyfikowaniu śledztwa, ale jednocześnie wszyscy uznawali jej zamknięcie bez wykrycia sprawcy zabójstwa wysokiego funkcjonariusza SB za porażkę, za jego porażkę niestety. Mobilizacja wszystkich służb na czas przed Centralnymi Dożynkami odsunęła na czas jakiś złą atmosferę wokół niego, ale można było być pewnym, że puszczący się i zarozumiały Dudło postara się, aby w odpowiedniej chwili wrócić do sprawy i zatruć mu życie.

Niepowodzenie zawodowe, a właściwie zaburzenie powodujące rozchwianie się jego ambitnych zawodowych planów, wprawiło go w stan nie dającej się przezwyciężyć frustracji. Wściekał się na pracowników i na siebie samego. W domu, gdzie bywał rzadko i niechętnie, najbardziej wkurzała go zawsze jęcząca żona i niezdolnie marudne, rozpieszczone przez żonę dzieci. Aplikował sobie na uspokojenie coraz większe dawki alkoholu, które nie na długo pomagały, więc musiał je systematycznie powtarzać. Przysiękł sam sobie, że skończy z alkoholem, a przynajmniej z nadmiernym jego spożyciem, gdy tylko minie dożynkowe szaleństwo. Miał dla siebie i dla alkoholu jeszcze całe dwa lata. Ale szaleństwo dopiero się rozkręcało, więc musiał się mocniej niż zwykle znieczulać, bo niczego nie nienawidził tak bardzo, jak wykonywania bezsensownej roboty po to, aby kilkudziesięciu dupków mogło pokazać się publicznie, wygłaszać drętwe mowy i upajać się oklaskami, jakby oklaski mogły zagłuszyć ich wyrzuty sumienia.

- Mają przecież chyba jakieś wyrzuty sumienia – myślał rozzłoszczony. – Widzą, że to, co im się pokazuje, to pic na wodę, fotomontaż; że normalność to w pustki sklepach, bida w domach i szare ulice. Wiedzą chyba, że przeciętny obywatel ma głęboko w d...ie puste hasła i cały ten sojusz robotniczo-chłopski.

Od początku sierpnia Madejski bardzo rzadko sypiał w domu. Najczęściej tam wpadał w ciągu dnia na kilka godzin, aby zjeść coś solidnego i smacznego, zmienić bieliznę i ubranie. Żona o nic go nie pytała, ale typowe dla niej ciągłe utyskiwania ustawały dopiero wtedy, gdy kładł na stole plik pieniędzy. W sumie była dobrą kobietą, ale niezmiernie męczącą. Robiła co do niej należało – prała, prasowała, podawała jedzenie i wychowywała dzieci a on niczego więcej od niej nie chciał – ale za dużo gadała i zawsze narzekała. Jego natomiast niewiele obchodziły domowe kłopoty, szkolne historie dzieci czy rewelacje o sąsiadach. Jeśli chodzi o niego, to mógłby z żoną w ogóle nie rozmawiać. Przecież po ponad dziesięciu latach małżeństwa rozumieli się bez słów, choć nie było to wynikiem ich bliskiej więzi, lecz rutyny. Ale ona jakby tylko czekała na jego powrót do domu z tym swoim nieustającym potokiem słów. Najczęściej

były to irytujące gderanie i wciąż te same pouczenia: „nigdy nie ma cię w domu”, „dzieci potrzebują ojca”, „wszystkim muszę zajmować się sama”, „za dużo pijesz”, „wykończysz się”, „częściej zmieniaj skarpetki”. Wprawdzie nauczył się nie słuchać jej głędzenia, ale i tak zawsze wychodził z domu poirytowany.

- Będziemy harować więcej niż zwykle – powiedział do żony po tym, gdy w komendzie usłyszeli o dożynkowych planach. – W Koszalinie odbędą się za dwa lata Centralne Dożynki. Wszyscy oszaleli. Zapowiadają się duże zmiany.

- No to już dzieci w ogóle cię nie będą widziały – skomentowała Bożena. – Niedługo własnego ojca nie poznają. Ja już się przyzwyczaiłam, że ze wszystkim muszę rodzić sobie sama. Ale dzieci potrzebują ręki ojca. Ja już nie daję rady – rozplakała się i wyszła z pokoju.

Madejski zjadał ze smakiem podane przez żonę pierwsze danie. Uwielbiał jej zupy – najbardziej pomidorową z makaronem – i pyszną wołowinę z suszonymi grzybami i cebulą w sosie śmietanowym.

- Marudna, ale wspaniale gotuje – pomyślał i przewrócił stronę leżącą przed nim na stole gazety.

- Wielki plebiscyt „Przyjaciółki”. Czy pijacy powinni być leczeni przymusowo? – przeczytał i zaklął siarczyście. – Co ona za bzdury czyta!?

- Bożena! – krzyknął w stronę kuchni. – Dawaj drugie, bo zaraz wychodzę. Już jestem spóźniony.

Bożena weszła do pokoju naburmuszona, z cierpiętniczym wyrazem twarzy, który znał aż nadto dobrze. Niosła parujący talerz. Kiedy talerz dynamicznie został przed nim postawiony z zadowoleniem zobaczył na nim solidny kawałek wieprzowej pieczeni, ziemniaki grubo posypane koperkiem i górę bigosu z młodej kapusty.

- Nie gniewaj się – powiedział. – Co robić? Taka praca. A jak się dzieci sprawują?

- Dobrze – odburknęła i wyszła, nadal obrażona.

Madejski wiedział, że żona marzy o tym, aby dołączyć do dzieci przebywających u jej rodziców na wakacjach, ale jest przekonana, że pod jej nieobecność on zaniedba się paskudnie. Nie będzie zdrowo jadł, lecz tylko byle czym zakąsał pity w nadmiarze alkoholu, będzie chodził w przepoconej koszuli i wymiętych spodniach. Powtarzała mu wielokrotnie, że bez niej szybko by sam siebie wykończył, ale ona jako dobra i znająca swe obowiązki żona milicjanta, nigdy

do tego nie dopuści ze względu na dobro dzieci. W pewnym stopniu zgadzał się z jej diagnozą, a jeszcze bardziej odpowiadało mu to, że nie musi wracać do pustego domu. Dziwił się niekiedy, że Bożena tak łatwo wierzy w to, że on często pracuje w nocy. Sądził, że chce w to wierzyć, bo tak jest jej łatwiej.

Noce, o ile miał wolne, spędzał najczęściej u Mai. Spał u niej nawet wtedy, gdy miała w sanatorium nocny dyżur. Lubił, gdy Maja wracała rano i zastawała go śpiącego w jej łóżku, rozbierała się i naga wchodziła pod kołdrę. Budził go zimny dotyk jej ciała i natychmiast był gotowy. Kochali się długo i tradycyjnie. Na eksperymenty był czas wieczorami. W maju tego roku zabrał ją - wbrew zasadzie niepokazywania się razem na zewnątrz - do kina na film zatytułowany „Ostatnie tango w Paryżu”, żeby nabrała chęci na niekonwencjonalne zachowania podczas miłosnych pieszczot. Film był mocny i podniecający. Podzielał. Ale nadal miał wrażenie, że ona najbardziej lubi właśnie te zwykłe, powolne poranne stosunki, gdy on jest ciepły i senny, a ona chłodna i aktywna. Po wszystkim zasypiała zaspokojona, a on, zadowolony z niej i z siebie, zbierał się do roboty. Ubierając się, patrzył na śpiącą kochankę i miał wrażenie, że mógłby z nią spędzić resztę życia. Ale wrażenie znikało równie szybko jak się pojawiło. Wychodził z jej mieszkania i rozpoczynał następny zwykły dzień służby.

Roboty było więcej niż kiedykolwiek. Ludzie w Koszalinie jakby lekko powariowali z powodu zapowiadających się rewolucyjnych zmian w mieście. Przed dożynkami miasto zamierzano gruntownie przebudować. Planowano wyburzyć część miasta i stworzyć nowe, szerokie arterie komunikacyjne. Wszystkich więc ogarnęło nienormalne podniecenie. Jednych radosne z powodu tego, że miasto się zmieni na lepsze, a drugich pełne złości z tej przyczyny, że zrujnuje się im ich dotychczasowe życie. Tak czy inaczej dla kryminalnych znaczyło to tylko jedno, a mianowicie, że będą mieli więcej roboty niż zazwyczaj. Do tego wszystkiego do Koszalina zjechały chóry polonijne, co wymagało szczególnej obstawy głównie złożonej z kolegów ze służb specjalnych. Kryminalni jednak także musieli być w nadzwyczajnej gotowości. Na szczęście kończył się letni sezon i przynajmniej w nadmorskich miejscowościach powinien zapanować względny spokój.

Lato w nadmorskich letniskach mijało bez większych niespodzianek. Jak co roku zdarzyło się kilka utonięć. Poza utonięciami trafiło się też to, co zwykle – dwa pobicia ze skutkiem śmiertelnym - sprawcy znani i pijani - oraz samobójstwo. A więc sprawy jasne i bez powikłań. Wisiało jedynie śledztwo w sprawie zabójstwa Alojzego Zydrewicza, ale kapitan nie zamierzał w tym przypadku robić więcej niż to konieczne.

- Należało się draniowi – myślał za każdym razem, gdy przypominał sobie ślimaczące się dochodzenie. – Niedługo wniesiemy o zamknięcie.

- Co tam śmierć jakiegoś starego dziada, który męczył niewinnych ludzi, własnych rodaków. Prawdziwe nieszczęście przytrafiło się tym, którzy niedawno zginęli pod Radkowicami. Dobrze, że dzieci są bezpieczne i jeszcze zostały u teściów. Wracają w sobotę, czyli jutro. Zdążą przygotować się do szkoły, bo lekcje zaczną się w poniedziałek – rozmyślał, siedząc za biurkiem i popijając mocną kawę z alkoholową wkładką. - Dziś jest piątek. Wrócę do domu i trochę odpocznę. Teściowa z dziećmi przyjeżdża jutro po południu i wyjeżdża w niedzielę. Jakoś wytrzymam dobę. Muszę się trochę zmobilizować i pomieszkać w domu, żeby nie słuchać gderania Bożeny przez następne dwa tygodnie.

Madejski poczuł nagle, że stęsknił się za dziećmi. Nigdy nie miał dla nich czasu, ale kochał je po swojemu. Przed kilkoma dniami w katastrofie kolejowej zginęło kilkanaście osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Jego dzieciom też mogło się przydarzyć takie nieszczęście. Przecież zginęli ludzie wracający z wakacji z Zakopanego. Wprawdzie teściowie mieszkali przy innej trasie kolejowej niż ta, na której zdarzył się wypadek, ale przecież wiadomo było od dawna, że stan taboru kolejowego, torowisk i całej infrastruktury jest bardziej niż marny. I jeszcze to niesamowite niedbalstwo pracowników. Strach korzystać z pociągów, a jego dzieci będą jutro tłuc się w tłoku i smrodzie z Inowrocławia do Koszalina. Kapitana ogarnął cikliwy nastrój, spowodowany prawdopodobnie podniesieniem się stężenia alkoholu we krwi. Ogarnęła go nagła potrzeba ulżenia losowi, który czeka jutro jego pociechy, a że zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma na to żadnych sposobów, rozczulił się jeszcze bardziej i dolał do kawy następną porcję wódki.

O katastrofie pociągu jadącego z Zakopanego do Warszawy mówili teraz wszyscy. W nocy z 26-tego na 27-siódmy sierpnia niedaleko Kielc pośpieszny pociąg osobowy najechał na wagony, które wcześniej oderwały się od pociągu towarowego. Maszynista nie miał szans na zatrzymanie składu jadącego z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, bo zauważył przeszkodę, gdy odległość od niej wynosiła około sto metrów. Przeszkodę stanowiło właśnie te dwadzieścia nieoświetlonych wagonów towarowych, które odczepiły się od składu i nikt tego, o zgrozo, nie zauważył. Maszyniście pociągu osobowego i jego pomocnikowi życie uratowała szybka ucieczka korytarzem elektrowozu na jego tył. Śpiący pasażerowie pierwszych wagonów nie mieli szans. Był środek nocy. Już następnego dnia powołano specjalną komisję rządową, której przewodniczył sam wicepremier Kazimierz Olszewski. Gazety rozpisywały się o sprawnej akcji ratowniczej i troskliwej opiece, jaką otrzymali wszyscy poszkodowani.

Zapowiadano także surowe ukaranie winnych, czyli maszynisty pociągu towarowego, jego dziewiętnastoletniego pomocnika, dwóch dyżurnych ruchu z Wolicy i tak zwanego blokowego z Radkowic. Maszynista nie dopilnował właściwego oświetlenia ostatniego wagonu a po samoczynnym zatrzymaniu się pociągu – co wskazywało na awarię – wysłał pomocnika na koniec składu. Pomocnik, niedoświadczony młody chłopak, nawet nie zauważył zerwanego sprzęgu i odczepienia się dwudziestu wagonów, więc pociąg ruszył w dalszą drogę z połową składu, zostawiając na torach śmiertelną przeszkodę. Dyżurni ruchu, choć zobowiązani do odnotowania końcowych sygnałów świetlnych każdego składu, zaniedbali ten obowiązek, podobnie jak blokowy z Radkowic.

Na komendzie w Koszalinie pojawiały się codziennie nowe nieoficjalne doniesienia pochodzące od kieleckich funkcjonariuszy. Mówiło się, że ofiar jest dużo więcej niż podają w gazetach, że dzieci umierały na rękach rodziców, że pomoc dotarła z dużym opóźnieniem, bo teren w miejscu zdarzenia jest podmokły, że pierwszej pomocy udzielali mieszkańcy pobliskich domów, że maszynista pociągu towarowego i jego pomocnik nie powinni prowadzić składu, bo pracowali już piętnastą godzinę z rzędu i że brak sygnalizacji świetlnej ostatniego wagonu nie był niczym wyjątkowym, bo sygnały pobierane przez maszynistów do umieszczenia na końcu składu często giną, a maszyniści płacą za ukradziony sprzęt z własnej kieszeni. Podziwiano natomiast trzeźwe zachowanie konduktora pociągu osobowego, który natychmiast po uderzeniu, pomimo szoku i dochodzących zewsząd wołań o ratunek, pobiegł torami kilkaset metrów i za pomocą splotek alarmowych oraz sygnałów świetlnych zatrzymał nadjeżdżający tym samym torem następny pociąg. Uratował życie kilkudziesięciu osobom.

- Znów karę poniosą ci z najniższej półki – komentowano z goryczą wydarzenie. – A ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za ogólny bałagan na kolei, za wymuszanie oszczędności kosztem bezpieczeństwa i przepracowanie maszynistów mogą spać spokojnie.

Madejski spojrzał przez okno biura i stwierdził, że zapada sierpniowy zmierzch i powinien zbierać się czym prędzej, aby o sensownej porze wrócić do domu. Nie miał jednak na powrót do żony najmniejszej ochoty. Przeciwnie, chciał się jeszcze napić, a potem pobaraszkować z kobietą. Żona nie nadawała się do zabaw, które przychodziły mu do głowy.

- A niech tam – machnął ręką na wcześniejsze postanowienie. – Wysłuchałem już tylu narzekania, że jest mi wszystko jedno. Idę do Majewskiej. Po drodze kupię wódkę dla siebie, a dla niej wino.

Lubił trasę, którą pokonywał, idąc z komendy na osiedle przy ulicy Fałata. Zakupy zrobił w delikatesach przy Zwycięstwa, a potem zszedł schodami do parku i szedł pustawymi alejkami, mijając po drodze nowy amfiteatr i budynek biblioteki. Z lubością wciągał w płuca świeże powietrze i zapachy późnego lata. Usiadł na ławce, żeby w spokoju zaspokoić pragnienie zakupioną wcześniej coca-colą i zapalić papierosa.

- Dobrze to zagraniczne świństwo – stwierdził, wyrzucając do kosza na śmieci pustą butelkę po coca-coli. – Mocno gazowane. Nie wiem dlaczego Bożena zabrania pić dzieciom i poi je swoimi mdłymi kompotami.

Ociągał się trochę z pójściem do Majewskiej, bo ostatnio nie traktował kochanki zbyt dobrze, więc miała powody, aby przyjąć go niechętnie. A on przecież nie miał ochoty patrzeć na naburmuszone twarze i inne kobiece grymasy. Miał ochotę na seks, chciał się odprężyć, pośmiać i napić w miłym kobiecym towarzystwie. Wiedział, gdzie mógłby skorzystać z płatnej usługi bez żadnych zobowiązań, ale nie miał zamiaru płacić za rzeczy, które należały mu się za darmo.

- Jeśli się będzie nadmiernie stawiała, znów dostanie po gębie – wymamrotał sam do siebie i podniósł się z ławki.

Maja otworzyła drzwi uśmiechnięta, co od razu poprawiło mu humor.

- Nie wiem dlaczego list do ciebie przyszedł na mój adres – powiedziała, gdy tylko zamknęła za nim drzwi.

Sięgnęła po leżącą na szafce w przedpokoju niebieską kopertę, na której, co natychmiast zauważył, nie było znaczka. Zdziwił się chyba bardziej od niej.

- Do mnie? Na twój adres? Gdzie go znalazłaś? – zapytał.

- Normalnie. Wyjęłam ze skrzynki.

Uważnie obejrzał kopertę. „Kapitan Jan Madejski” napisano z przodu nieznanym mu charakterem pisma. Żadnego adresu nie było. Nie było też z tyłu koperty nazwiska nadawcy i oczywiście także jego adresu.

- Widziałaś kto to wrzucił do twojej skrzynki? – zapytał nierozsądnie, wiedząc, że pyta o rzecz niemożliwą.

Maja nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami. Wzięła przyniesione przez niego pakunki i poszła w głąb mieszkania.

Madejski rozerwał kopertę, wyjął niewielką złożoną na pół kartkę w kratkę – była wyrwana ze szkolnego zeszytu – rozpostarł ją i przeczytał nie rozumiejąc treści:

„Nadszedł czas płacenia długów. Za śmierć niewinnych trzeba zapłacić. Czas umierać”.

- Jakiś głupi żart – przyszło mu natychmiast do głowy. – Zemsta Mai?

Rzeczywiście Maja mogła chcieć mu dogryźć, bo poturbował ją kilka razy. Kilkakrotnie zdenerwowała go głupimi uwagami i niepotrzebnym oporem. A przecież dobrze wiedziała, że nie powinna wyprowadzać go z równowagi, ponieważ kończy się to nieprzyjemnie dla nich obojga.

- Co to za głupi pomysł z tym listem? – zapytał ją, wchodząc do małej kuchni, gdzie przygotowywała dla nich kolację.

Podniosła głowę znad deski do krojenia szczerze zaskoczona.

- Z listem? To nie jest list ode mnie.

- No to od kogo i co robił w twojej skrzynce?

- Jasiu – powiedziała drżącym głosem. – Nie wiem co jest w tym liście i nie chcę wiedzieć. Ja go nie napisałam. Nie wiem dlaczego leżał w mojej skrzynce, przysięgam.

Madejski nagle zrozumiał, że kobieta boi się go i nie ośmieliłaby się prowokować go dziwnymi pomysłami z pisanem listów. Wrócił do przedpokoju i bez słowa wyszedł. Stracił ochotę na alkohol i łóżkowe igraszki. Postanowił wrócić na komendę, zrobić sobie mocną kawę, żeby otrzeźwieć i zastanowić się spokojnie, bez świadków, nad dziwną treścią, którą można było uznać za pogrózkę.

- Ki diabeł? – zastanawiał się, znów siedząc za swoim biurkiem i popijając kawę. – O co chodzi? Kto mógł wiedzieć, że spotykam się z Mają i znał miejsce jej zamieszkania? O czyjej śmierci mowa? Czyżby koledzy z SB zamierzali mnie ukarać za śmierć Porębkiewicza? Ale dlaczego?

Nie manifestował się ze swoim romansem z Majewską, ale kilku najbliższych kolegów o nim wiedziało. Poznanie adresu Majki także nie stanowiło trudności. Jednak pomysł podrzucenia przez kolegów z SB anonimu do jego kochanki, a nie do domu, wyglądał na dość karkołomny.

- Z esbekami nigdy nic nie wiadomo - rozmyślał. - Może tylko straszą, może robią mi kawał, ale może chcą mnie boleśnie ukarać za porażkę, za niewyjaśnienie tego, kto zabił majora.

- Tak, tak. To oni – przekonywał sam siebie. - Chcą się po prostu odegrać za to, że nie wyjaśniliśmy śmierci ich starszego kolegi. Esbecy zawsze trzymają ze sobą i bronią swoich. Ale wybrali nietypowy sposób dogryzienia mi. Przecież i ich ludzie zajmowali się sprawą. Czyżby Dudło chciał mi dopiec? Trochę niepoważny pomysł, jak na niego.

Nie znajdował jednak innego wyjaśnienia i przestraszył się nie na żarty. Zemsta esbeków zawsze kończyła się źle dla tych, którzy im podpadli.

Kawa, wypita tym razem bez alkoholowej wkładki, otrzeźwiła go. Postanowił wrócić do domu.

- Przynajmniej Bożena będzie zadowolona. Żeby tylko nie wkurzyła mnie jeszcze bardziej swoją paplaniną – myślał po drodze.

Paplanina żony nie denerwowała go jednak tym razem, lecz przeciwnie, pozwoliła zapomnieć o nieprzyjemnym i trudnym do wyjaśnienia wydarzeniu z anonimem. Położyli się razem wcześniej niż zwykle do łóżka. Madejski spokojnie zasnął, a nad ranem z przyjemnością przypominał sobie, jak delikatnie a jednocześnie namiętnie Bożena kochała się z nim tej nocy, kiedy, po nagłym wybudzeniu, dotknął delikatnie jej piersi i ud. Spojrzał na nią z czułością. Jeszcze spała, wtulona w poduszkę, a na włosach zakręconych na wałki miała siateczkę podtrzymującą skomplikowaną konstrukcję.

- Maja nigdy nie pokazałaby mi się w wałkach – pomyślał.

Nie czuł w tej chwili do Bożeny niechęci, lecz czułość. Pocałował ją delikatnie w policzek i już zamierzał wstać, gdy wpadł mu do głowy pomysł tak mocny, że opadł z powrotem na poduszkę.

- K...wa mać! – wykrzyknął w duchu. – Czyżby odezwał się czkawką wypadek sprzed lat. Kiedy to było? Kiedy to było? – zastanawiał się, niecierpliwie kręcąc się w pościeli.

Wstał, skorzystał z łazienki i poszedł do kuchni.

- Jasiu! – usłyszał głos żony. – Wychodzisz?

- Śpij spokojnie – odpowiedział. – Dziś jestem w domu. Przecież dzieci wracają.

Sam przygotował sobie śniadanie. Bożena ucichła, więc prawdopodobnie ponownie zasnęła. Usiadł przy stole. Jadł i patrzył w rozjaśniające się dziennym światłem okno.

- W liście napisane jest o śmierci niewinnych, a więc chodzi raczej o śmierć przynajmniej dwóch osób – zastanawiał się.

Z trudem przypominał sobie szczegóły zdarzenia sprzed wielu lat.

- Cholera, minęło chyba z dziesięć lat i prawie zapomniałem o wypadku w Mścicach. Czyżby o ten wypadek chodziło? Nie, niemożliwe! Kto chciałby się mścić po tylu latach!

Madejski dobrze jednak wiedział, że na świecie nie brakuje wariatów, którym przychodzą do głowy różne dziwne rzeczy. Ktoś mógł się nagle obudzić i wyskoczyć ze starą, dawno zapomnianą sprawą. Wstał od stołu i podszedł do okna. Było już zupełnie widno. Zapowiadał się ładny sierpniowy dzień.

- Wówczas też było lato – pomyślał. – Sam początek lata, czerwiec. Obstawialiśmy Dni Morza. Czort wie po co ktoś wymyślił, żeby odbyły się tym razem w Mielnie. Zawracanie głowy, ale wiadomo, że dla tak zwanych włodarzy miasta liczy się feta i nowości. Chcą zabłysnąć przed przełożonymi.

Pamiętał, że atmosfera na imprezie była luźna, dzień ciepły i słoneczny, morze szumiało, orkiestra grała i żał było nie uraczyć się wódeczką. Mocno wstawieni wracali po zakończonej służbie radiowozem z Mielna do Koszalina. Jechali szybko, z fasonem. On prowadził. Nie zauważył idących skrajem jezdni ludzi. Dopiero później dowiedział się, że była to rodzina. Matka, ojciec i ich kilkuletni synek. Ojciec i dziecko zginęli. Podobno też wracali z Mielna. Ale on wtedy nie chciał o nich słyszeć. Odjechał z piskiem opon. Koledzy trochę pokrzyczeli, ale ostatecznie skończyło się na tym, że po drodze wezwali przez radiostację karetkę pogotowia. Świadców nie było. W śledztwie ustalono, że odjechał z miejsca wypadku, aby wezwać pomoc, że piesi poruszali się po jezdni nieprawidłowo i przez własną nieostrożność doprowadzili do zdarzenia. W organizmie mężczyzny wykryto alkohol, co jeszcze bardziej uwiarygodniło wersję milicjantów. Nikt nie został ukarany, bo winowajca zginął, ponosząc karę za nieprzestrzeganie zasad bezpieczeństwa na drodze. Innymi słowy, sprawie szybko ukręcono łeb.

- Jak oni się nazywali? – Madejski nie mógł przypomnieć sobie nazwiska poszkodowanej rodziny. – Sprawdzę w poniedziałek w archiwum – postanowił i zaklął paskudnie, bo równie nagle jak to poprzednie wspomnienie uderzyło go wspomnienie z lata minionego roku.

- Przekłète państwowe uroczystości – wycedził przez zęby. – Władze wysadzają się i puszą przed społeczeństwem a my musimy potem maskować wpadki takie jak na przykład ten, który

zdarzył się zeszłego lata w Szczecinie. Wypadek w Mścicach także byłby się w ogóle nie wydarzył, gdyby nie głupi pomysł organizatorów, żeby chłodnicowiec „Koszalin” podpłynął jak najbliżej miasta, które miał rozślawić, w ich mniemaniu, na całym świecie.

Jak najszybciej wygonił z głowy wspomnienie zdarzenia w Szczecinie, bo wtedy, podczas parady ciężkiego wojskowego sprzętu, zorganizowanej w ramach centralnych obchodów Dnia Morza, czołg zmiażdżył kilkoro dzieci. Myśl, że jego dzieci mogłyby być narażone na podobne nieszczęście, pogarszała i tak fatalny nastrój.

Znalezienie papierów dotyczących wypadku w Mścicach zajęło sporo czasu. Milicyjny archiwista robił co mógł, ale i tak dostarczył mu teczkę dopiero po tygodniu.

- Znalezienie dokumentów sprzed dziesięciu lat i dotyczących wypadków drogowych z udziałem milicjantów graniczy z cudem – powiedział, rzucając na biurko cienką tekturową teczkę. – Nie ma tu zbyt wiele – skomentował wychodząc.

- Dobra, dobra, spadaj na drzewo – rzucił cicho za nim kapitan Madejski.

Znalazł w teczce to, czego szukał, a mianowicie nazwisko ofiary.

- Jan Kamienny – przeczytał. – I druga ofiara też Jan Kamienny. Ojciec i syn.

Nazwisko nic mu nie mówiło, ale kazał sekretarce zatelefonować na posterunek milicji w Mścicach. Dowiedziała się, że nikt o tym nazwisku w Mścicach aktualnie nie mieszka. Kazał więc szukać wszędzie, gdzie się da, w koszalińskim urzędzie cywilnym, w biurze meldunkowym i w milicyjnych kartotekach. Po kilku godzinach sekretarka znalazła tylko jedną osobę o tym nazwisku. Była to ta sama kobieta, która uczestniczyła w wypadku, czyli Danuta Kamienna, żona Jana Kamiennego i matka dziecka, zamieszkała obecnie w Mielnie.

- Zły trop – stwierdził, gdy otrzymał tę informację. – Pudło.

Nie sądził, aby mocno dojrzała kobieta – Danuta Kamienna miała teraz 43 lata, bo urodziła się w 1930 roku – po dziewięciu latach szukała zemsty, wypisywała i podrzucała anonimy. Najbardziej prawdopodobne było to, że kilka lat po wypadku ułożyła sobie życie z innym mężczyzną, że ma z nim dzieci i prowadzi w Mielnie spokojne rodzinne życie. Na wszelki wypadek polecił sekretarce zebranie danych o Danucie Kamiennej. Dowiedziała się, że Kamienna jest samotna i że pracuje w sanatorium „Rusałka” jako sprzątaczką.

- Strata czasu – zdecydował. – Porozmawiam z Dudło, bo coś mi mówi, że to on wymyślił facecję z listem. Nie sądziłem, że może być tak głupio złośliwy.

Rozmowę z Dudło musiał jednak odłożyć na inną okazję, bo kapitan SB stał się nagle dla niego nieuchwytny, co utwierdziło Madejskiego w przekonaniu, że to właśnie on był pomysłodawcą głupiego żartu. Uspokoił się i postanowił znów odwiedzić Maję. Nie widział jej od dwóch tygodni, bo więcej czasu zaczął spędzać z rodziną. Ale naszła go ochota na ostry seks, więc późnym wieczorem w sobotę wybrał się do kochanki z typowymi wizytowymi zakupami, na które składały się wędliny na wspólną kolację, butelka wódki i butelka czerwonego wina.

Maja była dla niego nadzwyczaj miła, co uznał za znak stęsknienia się za nim po długiej nieobecności. Wszystko potoczyłoby się bez perturbacji, gdyby w nocy nie przyszło jej do głowy, aby wypytywać o list. Pijany, nieopatrznie przytoczył jej treść anonimu, a wtedy ona ośmieliła się zasugerować, że ktoś może słusznie sam szuka sprawiedliwości, bo milicja jest nie tylko bezradna, ale także zupełnie bezkarna. Źle trafiła. Zawsze, kiedy poziom alkoholu w jego krwi zaczynał się obniżać, stawał się niezwykle drażliwy. Powinna o tym wiedzieć. A tak, to wściekł się na nią, walnął ją kilka razy w twarz, ubrał się i wyszedł. Chłód nocy przyjemnie go otrzeźwił. Usiadł na chwilę na ławce nieopodal amfiteatru, palił papierosa i zastanawiał się, kiedy zamontują wreszcie dach na tym nowo wybudowanym obiekcie.

- Te żalosne wyjce z chórów polonijnych nieźle zmokły w tym roku – zachichotał i wyrzucił peta.

Za plecami usłyszał szmer i odwrócił głowę.

- Czas umierać – usłyszał tuż nad uchem. Poczuł krótki silny ból skroni wzmagany rozsadzającym głowę hukiem i ogarnęła go ciemność.

4. Kapo. 9 lat wcześniej



Alojzy Zydrewicz wrócił z więzienia w złym stanie psychicznym i fizycznym. Dużą część kary spędził w więziennym szpitalu, bo często skarżył się na dolegliwości sercowe. Gdyby nie pobyty w szpitalu, chyba w ogóle by nie przeżył kary. Więźniowie kryminaliści znęcali się nad nim, nie zważając na jego wiek. Wszak już podczas aresztowania miał prawie sześćdziesiąt lat. Odsiedział swoje pięć lat i chciał zapomnieć o wszystkim, ale nie pozwalały mu na to zaburzenia nerwicowe, których nabawił się w więzieniu.

Prawdę mówiąc miał dużo szczęścia. Gdyby złapano go zaraz po wojnie, mógłby, jak wielu w jego sytuacji, dostać nawet karę śmierci. Sądy kierowały się wtedy żądzą odwetu, a nie zasadą sprawiedliwości. Zawisło wielu takich, którzy tak jak on wykonywali obowiązki obozowego nadzorcy. A cóż oni byli winni, że znali język niemiecki? On także znał i dlatego wyznaczono go na kapo zaraz potem, gdy trafił do obozu. Chciał przeżyć. Wszyscy chcieli. Ale nie każdy dostał szansę na przeżycie. On dostał i z niej skorzystał. Nie on ustanowił obozowe prawa. Wszyscy, którzy trafiali do Auschwitz i którzy nie szli od razu na śmierć, szybko się orientowali, że nie wyjdą z obozu żywi, jeśli nie zrozumieją panujących w nim reguł i nie zaczną postępować zgodnie z nimi. A reguły były proste. Więźniowie byli niczym - tak, nawet nie nikim, lecz niczym - a nadzorcy wszystkim. SS-mani byli bogami. Okrutnymi bogami. Panami życia i śmierci. Jeśli jesteś niczym i żądasz tobą bogowie, masz tylko jeden ratunek – słuchać bogów i robić co ci każą. I on tak właśnie postępował. Stał się posłusznym narzędziem w rękach bogów i przez to dla więźniów stał się bosko-ludzką hybrydą, której nienawidzili bardziej niż prawdziwych sprawców swych nieszczęść. A przecież, sprawiedliwie rzecz osądzając, to nie on dobijał tych, którzy miast pracować padali z wycieńczenia na ziemię, nie

on okładał kijem ociągających się czy łamiących zasady, nie on wymierzał surowe kary za najmniejsze uchybienia. Czynili to ci, którzy zmusili go do bycia katem. On robił to wszystko, aby ocalić własne życie. Nie zawinił zatem, bo w gruncie rzeczy zabijali, dobijali, bili i głodzili ci, którzy mieli nad nim pełnię władzy. Przeżył i to było najlepszym potwierdzeniem, że postępował słusznie w warunkach, w których każdy musiał ratować siebie tak, jak umiał i jak los mu pozwolił. Zginęli ci, którzy nie potrafili wykorzystać okazji, lub ci, o których natychmiastowej śmierci zdecydowali bogowie. Jemu się udało. Innym nie. Decyzje zapadały wysoko, a z decyzjami bogów i z losem nie można wygrać.

Zydrewicz nie miał poczucia winy, ale nie miał też pretensji do tych, którzy go oskarżyli i wsadzili do więzienia. Dawni obozowi więźniowie mieli prawo do zemsty. Wyegzekwowali ją nie na tych, którzy rzeczywiście stali się sprawcami ich upodlenia, lecz na nim, prostym narzędziu. Takie jest życie. Mocni zawsze wygrywają, a za ich winy płacą słabi. Przetrwał obóz, a gdy armia niemiecka zaczęła się wycofywać ze zdobytych terenów i ewakuowano większość więźniów w głąb Trzeciej Rzeszy, nie harował jak inni w zakładach przemysłowych, lecz pilnował wyładunków przywożonego z obozu pożydowskiego mienia. Został wywieziony do Rzeszy z pierwszym transportem w sierpniu 1944-go roku, więc nie musiał uczestniczyć w likwidacji Żydów z Sonderkommado, paleniu wykazów ludzi kierowanych wprost z transportów do komór gazowych i, co najważniejsze, w styczniowym marszu, którego nie przeżyły tysiące więźniów. W maszerujących na zachód kolumnach osłabionych i zziębniętych ludzi nie liczyła się obozowa hierarchia. Z zimna i głodu ginęli wszyscy więźniowie nie nadążający za najsilniejszymi, niezależnie od funkcji. Marsz był także okazją do cichej zemsty na tych, którzy do niedawna musieli być brutalnymi oprawcami pod ochroną niemieckiej załogi.

Szczęście było przy Zydrewiczu także później, gdy na tereny Rzeszy wkroczyły wojska alianckie. Znalazł się w strefie zajętej przez Amerykanów i pozostającej pod ich nadzorem. Nikt go nie znał. Uchodził za jednego z szeregowych więźniów. Wrócił do kraju, do żony Leokadii i starych rodziców, w 1946-tym roku. Nie opowiadał nikomu o swej obozowej przeszłości, a bliscy nie dopytywali. Cieszyli się, że przeżył. Rodzice zostali na wsi pod Lublinem, a on i żona jesienią 46-tego pojechali na Ziemię Odzyskane. Osiedli w Mielnie, bo tu właśnie znaleźli mały, ale wygodny domek oddzielony od ulicy żywopłotem, z ogrodem i dużym warzywnikiem.

Urządzili swój pierwszy własny dom troskliwie i ze smakiem. On z zapalem kupował w Koszalinie dobrej jakości meble i piękne drobiazgi od Niemców, które nie zdążyły uciec przed

Armią Czerwoną. Sporo ładnych rzeczy dostać też można było u dyskretnych miejscowych szabrowników. Leokadia natomiast potrafiła przywracać świeżość starym przedmiotom i eksponować je jak prawdziwe dzieła sztuki. Nie zawierali bliskich znajomości. Tłumaczył żonie, że po obozowych przejściach potrzebuje spokoju, a bliskość ludzi jest dla niego męczarnią. Bez oporu zgodziła się prowadzić prawie pustelnicze życie, bo sama także łaknęła ciszy i bezpieczeństwa po wojennych przejściach.

Pracował jako księgowy w fabryce mebli w Koszalinie. Wstawał wcześniej rano i pierwszym autobusem jechał do biura. Pasażerowie pierwszego kursu pekaesu – najwięcej było pracowników fizycznych - znali się z widzenia, ale do rozmów nikt nie był chętny. Ludzie przysypiali, lub bezmyślnie patrzyli przez zaparowane okna. Bardzo mu to odpowiadało. W drodze powrotnej autobus był zawsze tak zatłoczony, że o brataniu się z kimkolwiek nie było mowy. Wymieniało się tylko grzecznościowe „dzień dobry”. W biurze miał zawsze dużo pracy, jak to w księgowości. Jako kierownik działu, w którym pracowały jeszcze trzy kobiety, dysponował osobnym pomieszczeniem. Do swoich pracowników mówił konkretnie i krótko. Głównie wydawał polecenia, ale starał się być miły, więc od czasu do czasu, szczególnie w Dzień Kobiet lub przed świętami, pozwalał sobie na prywatne pogawędki. Dyrekcja ceniła go, bo był kompetentny, obowiązkowy i uległy. W drodze z biura na dworzec autobusowy robił zakupy według listy przygotowanej przez żonę poprzedniego dnia i oczywiście także według możliwości, czyli zależnie od aktualnego zaopatrzenia sklepów. Kiedy szedł z przystanku do domu zawsze z przyjemnością myślał o czekającym na niego obiedzie. Leokadia była doskonałą kucharką i w ogóle świetną gospodynią. Na ogół cicha, spokojna i niegadatliwa tylko od czasu do czasu skarżyła się na samotność, namawiała go na wyjście do kina, lub proponowała zaproszenie gości, na przykład kogoś z jego pracy.

- Zaprośmy na obiad twojego dyrektora z żoną. Przecież go lubisz – proponowała, myśląc, że i jemu brakuje towarzystwa. – Myślę, że chętnie przyjechaliby nad morze do Mielna w którąś słoneczną niedzielę.

- Za wysokie progi – ucinał rozmowę Zydrewicz. – Dyrektor ma swoje towarzystwo. Lepsze od naszego.

- No to kadrową z mężem – nie poddawała się Leokadia.

- Kobieto! – denerwował się, gdy była zbyt uparta. – Czy ja nie mam prawa odpocząć od ludzi, których codziennie widzę w pracy, jeden dzień w tygodniu? Pojedziemy do sanatorium, to nacieszysz się towarzystwem.

Wyjazdy do sanatoriów – jako były więzień obozu koncentracyjnego raz w roku otrzymywał od lekarza skierowanie - w górach i w centralnej Polsce stanowiły ich jedyną towarzyską rozrywkę, a właściwie rozrywkę dla Leokadii. On nie uczestniczył w wieczorkach zapoznawczych i wspólnych wycieczkach kuracjuszy. Korzystał z zabiegów, posiłków a wolny czas, w zależności od pogody, spędzał na balkonie lub w pokoju. Żonie nie zabraniał kontaktów z poznanymi kuracjuszkami, prosząc jedynie, aby nie zapraszała poznanych kobiet do pokoju.

- Czegoż nam więcej trzeba – przekonywał żonę, gdy po dłuższej domowej monotonii wpadała w ponury nastrój. – Prowadzimy spokojne i dostatnie życie. Nie ma powodu, aby psuć to, co z takim trudem osiągnęliśmy.

Kiedy miała napady płaczu i użalała się nad sobą, wpadał w złość i upominał:

- Nie histeryzuj. Zajmij się jakąś robotą i zacznij doceniać to, co masz. Pamiętaj, że wziąłem cię bez niczego. Wyciągnąłem z biedy. Żyjesz teraz na wysokiej stopie. Ludzie ci zazdroszczą wygodnego życia. Czego jeszcze chcesz? Chcesz plotkować pod sklepem jak te głupie mieleńskie kumoszki? Tego ci brakuje? Lepiej byś książkę poczytała, muzyki z radia posłuchała.

Leokadia musiała przyznać mężowi rację. Kiedy pobierali się dwa lata przed wojną nie marzyła nawet o zamieszkaniu we własnym, pięknie urządzonym domu, o życiu bez ciężkiej fizycznej pracy, o dostatnim jedzeniu, czytaniu książek i słuchaniu muzyki. Teraz prowadziła takie życie, którego wcześniej zazdrościła ludziom z wyższych sfer. Czegoś istotnego w tym wygodnym życiu jednak jej ciągle brakowało. Brakowało jej spotkań z ludźmi, uczestniczenia w publicznych wydarzeniach i uroczystościach, po prostu brakowało radości, jaką daje czas spędzany z innymi. Pragnęła na przykład pójścia od czasu do czasu na mszę do kościoła. Alojzy niestety nigdy się na pójście do kościoła nie zgadzał. Na mieleńskiego proboszcza narzekał i wypominał mu wszystkie domniemane grzechy, o których paplało się w Mielnie od czasu do czasu. Na mszę do Koszalina też nie chciał jechać w niedzielę - jedyny dzień, w którym nie musiał wsiadać do pekaesu. I tak czas mijał, a Leokadia powoli przyzwyczajała się do samotniczego życia i myśl o wpuszczeniu do domu obcych ludzi wkrótce i dla niej stała się nieznośna. Znała kilka kobiet z sąsiedztwa. Zamieniała z nimi kilka słów, gdy stawały przy żywopłocie, a ona pracowała w ogrodzie, lub kiedy musiała wyjść do sklepu – zdarzało się to bardzo rzadko – i spotykała je po drodze.

Na dwudziestą piątą rocznicę ślubu Alojzy zrobił jej, a właściwie im obojgu, wspianiały prezent. Kupił ślicznego rudego szczeniaka rasy bokser. Nazwali go Zorro, bo był rudy,

energiczny, wesoły, opiekuńczy, skłonny do śmiesznej psiej pomocy i, co najbardziej upodobało go do fikcyjnego bohatera, po którym odziedziczył imię, miał wokół oczu dwie czarne łaty, przypominające maskę. Bardzo przywiązał się do Leokadii. Reagował na podniesiony na nią głos a o nagłym zbliżeniu się do niej nie mogło być nawet mowy. Przed Alojzym czuł respekt, bo ten wytresował go i nauczył posłuszeństwa. Alojzy jednak także czuł przed nim respekt. Wolał nie krzyczeć na żonę w jego obecności i nie podchodzić do niej znienacka.

W ciągu dnia Zorro szalał po przeznaczonej dla niego części ogrodu. Po obiedzie natomiast regularnie wychodził z panem na spacer. Wypuszczali się na drugą stronę jeziora Jamno, gdzie z rzadka kogoś można było spotykać. Alojzy zdejmował psu smycz i kaganiec: wychodząc zawsze je zakładał, bo ludzie reagowali nerwowo na groźny pysk i muskularną sylwetkę rudzielca. Zorro swobodnie biegał po łąkach, gonił za spłoszonymi, krzyczącymi głośno ptakami i aportował rzucony kij, którego jednak nie można mu było później wydrzeć z zaciśniętych szczęk. Trzymał kurczowo zdobycz, a gdy złapało się kij z obu stron pyska i zakręciło, odrywał się od ziemi i latał w powietrzu tak długo, aż jego panu opadły ręce zemdlone od ciężaru psiego ciała.

Pies wniósł do ich domu rozrywkę i wesołość. Alojzego skłonił do częstych spacerów a Leokadii osłodził samotność. Słuchał uważnie, gdy do niego mówiła. Twierdziła więc, że pies wszystko rozumie, choć nie potrafi odpowiedzieć. Rozweselał ją swoją niespożytą energią i nachalną przyjaźnią, więc z cierpliwością likwidowała liczne ślady śliny, które zostawiał w całym domu.

Spokojne i harmonijne życie skończyło się nagle i na zawsze latem 1968-go roku. Alojzy, korzystając z urlopu, dużo pracował w ogrodzie. Oboje lubili kwiaty i dbali o to, aby w ogrodzie od strony ulicy hodować różne gatunki kwitnące na zmianę przez cały wiosenny, letni i jesienny sezon. Z przyjemnością patrzyli przez okno w salonie jak przechodnie zatrzymują się przed ich domem i spoglądając ponad wysokim, zawsze równo przystrzyżonym żywopłotem, podziwiają kolorowe kompozycje. Za domem mieli dobrze utrzymany trawnik, na którym opalali się lub odpoczywali w cieniu jabłonki oraz duży warzywnik, w którym Alojzy, stroniąc od ludzkich oczu, ubrany w roboczy strój, pracował w wolnym czasie. Lubił tę pracę. Podwiązywał pomidory, zbierał do koszyka ogórki, które Leokadia tego samego dnia wkładała do słoików, przerywał przejrzałą salatek lub zbyt gęsto posianą marchew, zrywał strąki zielonego groszku i łamał przerośnięty szczypior, aby wyrosła dorodna cebula. Delektował się zapachem czarnej, dobrze nawożonej ziemi i dojrzewających warzyw.

Feralnego lipcowego dnia 1968-go roku Zydrewicz pracował w ogrodzie kwiatowym, a więc był widoczny z ulicy Chrobrego. Obcinał przekwitłe róże a nowe pączki spryskiwał przyrządzonym przez Leokadię płynem z pokrzyw, który świetnie, czyli odstraszająco, działał na mszyce. Miniony tydzień był gorący i suchy, więc szkodniki zaatakowały młode różane pędy ze zdwojoną siłą. Rozkoszował się zapachem róż, goździków i piwonii. Podlał ogród wieczorem dnia poprzedniego a on odpłacał się teraz niebiańskimi woniami. Schylony nad grządką usłyszał męski głos. Wyprostował się, odwrócił i zobaczył szczupłego wysokiego mężczyznę w średnim wieku. Mężczyzna pochwalił zadbane ogród, a potem nagle odszedł i stanął nieopodal, opierając się o przydrożną lipę, jakby nagle stracił siły. Mężczyzna stał przy drzewie chwilę, ocierał pot z czoła, odrzucił propozycję pomocy a po chwili z trudem oderwał się od lipy i odszedł chwiejnym krokiem w kierunku Unieścia.

Zydrewicz zaniepokoił się. Oddalał od siebie nachalną myśl, że widział przed laty tego człowieka i co gorsza, że zna go z obozowych czasów. Miał wyraźne męczące przeczucie, że człowiek ten rozpoznał w nim obozowego kapo i przysporzy mu niezłych kłopotów.

- Niemożliwe – uspokajał sam siebie. – Minęło tyle lat. Zmieniłem się, zestarzałem i utylłem.

Przez kilka następnych dni zanim wyszedł z domu na ulicę – pomimo urlopu musiał wyprowadzać psa na spacer i robić zakupy - uważnie rozglądał się zza żywopłotu, sprawdzając czy ktoś nie obserwuje domu. Nie zauważył niczego podejrzanego, ale niepokój go nie opuszczał i Leokadia szybko zauważyła u niego zmianę nastroju.

- Coś się stało? Źle się czujesz? – dopytywała. – Może pójdziesz do Pruszkowskiego, żeby ci zmierzył ciśnienie? Upał ci szkodzi.

- Nic mi nie jest – odpowiadał burkliwie, ale wiedział, że ta odpowiedź jej nie przekonuje.

Źłe przeczucie go nie myliło. Kilka dni po tym, jak zamienił kilka zdań z podejrzanym znajomym mężczyzną, został aresztowany. Kilkuosobowa ekipa wkroczyła do ich domu wczesnym rankiem, kiedy oboje jeszcze spali. Leokadia, bardzo przestraszona i zdezorientowana, płakała, ale musiała skupić się na powstrzymaniu psa, który warczał na intruzów i wrywał się do ataku.

- Zabierzcie psa obywatelko, bo go zastrzelę – zagroził umundurowany milicjant, więc Leokadia zaciągnęła opierającego się psa do kuchni i tam go zamknęła. Wróciła do pokoju, na środku którego, z rękami opuszczonymi wzdłuż pasiastych spodni od piżamy, stał on. Pies

ujadał, skakał na kuchenne drzwi, a czyniony przez pas hałas podbijał i tak bardzo napiętą atmosferę.

- Alojzy Zydrewicz? – zapytał funkcjonariusz w cywilu.

Zydrewicz skinął głową. Cały czas uparczywie patrzył w podłogę. Nie chciał widzieć milicjantów, a już na pewno nie chciał widzieć przerażonej twarzy Leokadii. Nie dlatego, że jej współczuł, lecz dlatego, że drażnił go jej brak orientacji co do prawdziwych powodów rozgrywającej się w tej chwili sceny.

- Odpowiadać! – wykrzyknął funkcjonariusz.

- Tak – z trudem wydusił z siebie potwierdzenie.

- Jesteście aresztowani – oświadczył tamten.

Znów tylko skinął głową i nadal stał na środku pokoju zapatrzony we wzory widniejące na dywanie. Umundurowany funkcjonariusz założył mu kajdanki. Nie podniósł głowy i nie spojrzał na żonę. Z pewnością miała w głowie mętlik i zupełnie nie wiedziała co robić. Zawsze on musiał o wszystkim decydować.

- Niech obywatelka przygotuje mężowi zmianę bielizny, jakieś ubranie i spakuje środki czystości: mydło, ręcznik, szczoteczkę do zębów – poradził mundurowy.

Leokadia wreszcie zebrała się w sobie i ruszyła do szafy.

- Ktoś musiał jej powiedzieć, co ma zrobić – pomyślał Zydrewicz zniechęcony jej bezradnością.

Kiedy wreszcie skończyła pakowanie, wzięto od niej torbę z rzeczami i cała ekipa wyszła z domu. On był nadal w piżamie, bo nie poprosił nawet o to, aby pozwolono mu się ubrać. Chciał jak najszybciej opuścić dom, roztrzęsioną Leokadię i szalejącego w kuchni psa.

Czas, kiedy Alojzy przebywał w areszcie, a potem proces, ogłoszenie wyroku, a następnie lata spędzane przez męża w więzieniu, Leokadia przeżyła jak koszmar sen. Na początku nie wiedziała za co mąż został aresztowany, ale straszne plotki szybko zaczęły krążyć po Mielnie. Zamknęła się w domu. Nie uwierzyła w to, co przekazała jej jedna z sąsiadek, która jakiś czas po zabraniu Alojzego wywołała ją z domu okrzykami. Kobieta, zażenowana obecnością w tym zakazanym miejscu, nie chciała wejść nawet na posesję, jakby obawiała się zarażenia jakąś groźną chorobą.

- Czy to prawda – zapytała Zydrewiczową, gdy ta podeszła do żywopłotu– że pani mąż był kapo w Oświęcimiu?

Nie odpowiedziała, bo krew uderzyła jej do głowy i zachwiała się.

- Ludzie tak mówią – wyjaśniła sąsiadka, patrząc na nią chłodno. – Niech pani uważa, bo ludzie są okrutni i złośliwi. Mogą mścić się na pani.

- Alojzy jest dobrym człowiekiem – powiedziała wtedy do sąsiadki z trudem łapiąc oddech. – Ludzie go niesłusznie oczerniają.

- Oby tak było, ale i tak niech pani na siebie uważa – zakończyła rozmowę kobieta i odeszła.

Oskarżenia, w które nie chciała uwierzyć, usłyszała niestety także z ust prokuratora, kiedy stawiała się na przesłuchanie jako świadek. Po powrocie do domu z przesłuchania nie wiedziała, co ma zrobić z uzyskaną wiedzą i jak ma z tą wiedzą dalej żyć. Chyba tylko liżący ją po rękach Zorro sprawił, że przez kilkanaście następnych dni wstawała rano, poruszała się po domu, karmiła go i sama coś jadła. Później zaczęła z konieczności wychodzić od czasu do czasu po zakupy do mieleńskiego pawilonu, ale nie odzywała się do ludzi i nie patrzyła im w oczy. Poruszała się jak niewidząca i nic nie czująca maszyna. Całe dnie leżała pod kocem na tapczanie a wieczorami włączała telewizor „Belweder” kupiony przez Alojzego przed dwoma laty. Gapiła się bezmyślnie w ekran. Z letargu, który ją ogarnął, wyrzywały ją czasami nocne wulgarne okrzyki i kamienie wybijające szyby w oknach. Po takich incydentach wpadała w rozpacz.

Sytuacja poprawiła się trochę dopiero po wydaniu wyroku. Wszyscy się uspokoiili, ona, sąsiedzi, napastnicy, a także Alojzy, którego wreszcie zobaczyła na widzeniu. Widzenia bardzo ją rozczarowały. Rozmawiali podczas nich wyłącznie o sprawach praktycznych. Tematu obozu i winy Alojzy unikał. Nie przepraszał jej za długoletnie przemilczenie swojej przeszłości i w ogóle się z niczego nie tłumaczył. Nie zauważyła w jego zachowaniu i wypowiedziach żadnych oznak, które świadczyłyby o dręczących go wyrzutach sumienia czy chęci usprawiedliwiania swych czynów. Narzekał natomiast na okrucieństwo współwięźniów i opowiadał, jak sprytnie organizuje sobie pobyty w więziennym szpitalu. Na początku trochę mu nawet współczuła, ale z czasem coraz częściej czuła do niego niechęć. Przyszło jej do głowy, że zawsze potrzebował jej jako osoby jemu służącej. Siedząc w więzieniu potrzebował jej, bo dostarczała paczki, ułatwiała przetrwanie kary w jak najlepszych warunkach i wysłuchiwała jego utyskiwań. Jej przeżycia i jej problemy w ogóle go nie interesowały. Przecież, jak kilka razy powiedział, ona jest w komfortowej sytuacji: we własnym domu, bezpieczna i spokojna. A on cierpi. Nawet nie

zapytał, jak radzi sobie finansowo, a raczej upominał, żeby oszczędzała i nie wydała wszystkich zgromadzonych na koncie PKO pieniędzy. Ucieszył się, gdy poinformowała go, że od pewnego czasu pracuje na dwa etaty w ośrodku kempingowym, położonym na parceli w pobliżu ich domu. Przez cały rok stróżuje i sprząta ośrodek, a w sezonie dorabia jako pomoc kuchenna.

Alojzy Zydrewicz odsiedział pięcioletni wyrok z zaliczeniem aresztu i wrócił do domu na święta Bożego Narodzenia 1972-go roku. Zydrewiczowie nie rozmawiali ze sobą o wierze w Boga i nie chodzili do kościoła, ale zawsze przygotowywali święta według obowiązującej tradycji. Na jego powrót Leokadia z wyjątkową skrupulatnością przygotowała świąteczne potrawy. W wigilijny poranek Alojzy ściął w ogrodzie choinkę, która pięknie urosła w czasie jego nieobecności. Mocował się trochę z jej ustawieniem w pokoju jadalnym, a gdy już stała prosto i pewnie, ustroił ją ozdobami wydobytymi z pudeł. Zapachniało świętami w całym domu. Odświętnie ubrani usiedli do wigilijnego stołu przykrytego nieskazitelnie białym i gładkim obrusem. Podzielili się opłatkiem a on pocałował żonę w rękę. Było to jedyne ich cielesne zbliżenie od kilku lat. Jedli w milczeniu.

- Tęskniłem za twoim barszczem – odezwał się Alojzy, zabierając się do smażonego karpia.

- Mogłeś powiedzieć – zareagowała natychmiast. – Byłabym ci przywiozła.

Znów zapadła cisza.

Wstała od stołu i włączyła telewizor.

- Posłuchamy kolęd? – zapytała *pro forma* i dodała:

- Kiedy cię nie było chodziłam w niedzielę do kościoła. Pójdę dziś na pasterkę.

Nie zaprotestował, ale nie ukrywał zdenerwowania. Złościło go, że żona oznajmia mu co ma zamiar zrobić, miast jak wcześniej zapytać o zgodę. Uświadomił sobie, że stracił nad nią kontrolę i ta świadomość wywołała w nim ogromny psychiczny dyskomfort. Poczuł się stary, zmęczony i bezsilny. Zniknął świat, o powrocie do którego marzył w więzieniu. Nie dopuszczał wtedy do siebie myśli, że w jego domu coś się może zmienić. Przeciwnie, planował, że jego życie będzie lepsze, bo pozbawione podskórnego strachu przed ujawnieniem przeszłości. Odcierpiał swoje, zmarnował zdrowie, a po powrocie dowiaduje się, że nic już nie będzie tak, jak dawniej.

- Jestem zmęczony – oznajmił zbolalym głosem. – Położę się. Jutro wstajemy wcześniej. Prawda? – zwrócił się żony.

- Ja pośpię dłużej. Pasterka zaczyna się o dwunastej i trwa dwie godziny. Wrócę przed trzecią nad ranem.

Wkrótce okazało się, że wcześniej poukładany świat Zydrewiczów przewrócił się do góry nogami. Zydrewiczowa codziennie rano brała na smycz psa i szła zrobić poranny obchód ośrodka kempingowego. Potem wracała i przygotowywała śniadanie, na które on czekał z nieukrywany rozdrażnieniem. Co drugi dzień robiła zakupy w mieleńskich sklepach i nie pytała męża, co ma ochotę zjeść na obiad. Obiady robiła skromne i nie tak smaczne jak wcześniej.

- W więzieniu lepiej gotowali – kwaśno zauważył, gdy pewnego dnia podała mu ziemniaki usmażone z cebulą, a do tego jedynie kiszzone ogórki.

- Jemy to, co uda się kupić i na co nas stać – odpowiedziała. – Jeśli ci nie smakuje, sam rób zakupy i gotuj.

Zerwał się od stołu i zamachnął. Byłby ją uderzył, gdyby nie groźne warknięcie Zorro.

Z nadejściem wiosny życie stało się przyjemniejsze. Zydrewicz zaczął porządkować zaniedbany ogród i praca poprawiła mu samopoczucie. Leokadia wychodziła rano i wracała zmęczona późnym popołudniem, bo razem z innymi pracownikami intensywnie przygotowywała ośrodek kempingowy do zbliżającego się sezonu. Widywali się głównie przy posiłkach i przed telewizorem. Nie dzielili już łóża, bo ona wyniosła się do małego pokoju, który wcześniej nazywali pokojem gościnnym. Jemu wprowadzona przez nią izolacja nie służyła. Czuł się niesprawiedliwie skrzywdzony i perfidnie oszukany. Cierpiał tak bardzo, że poprosił Pruszkowskiego o przepisanie tabletek na uspokojenie. Pojechał po nie do Koszalina.

Nie pierwszy raz po powrocie z więzienia wybrał się do miasta. Wcześniej też jeździł autobusem do Koszalina, żeby załatwiać swoje sprawy. Wybierał kursy w środku dnia, bo niewiele osób z nich korzystało, a idąc przez Mielno na przystanek udawał, że nie widzi spojrzeń mieleńskich plotkarek wiecznie wystających pod sklepami. Tabletki brał sporadycznie. Pozwalały mu spokojnie zasnąć i powstrzymać narastający gniew.

Pod koniec maja listonosz, który codziennie mijał ich dom, ale rzadko doń wchodził, wywołał Zydrewicza na zewnątrz – bał się wejść na podwórze, bo Zorro zawsze go atakował – i wręczył niebieską kopertę. Była zaadresowana tylko do niego. Alojzy zdziwił się, bo znajomi zwykle

kierowali listy do obojga małżonków. Na odwrocie nie było adresu nadawcy. Zdziwiony nietypową korespondencją – nie dostawali zbyt wielu listów, więc po charakterze pisma lub pieczętkach zwykle rozpoznawał ich pochodzenie – rozerwał kopertę, rozłożył kartkę wyrwaną z zeszytu w kratkę i przeczytał co następuje:

„Skrzywdziłeś wielu ludzi i poniosłeś karę. Nie odkupiła ona jednak wszystkich twoich win. Zginął przez ciebie niewinny człowiek, bo wydałeś go esbekom. Nadszedł czas zapłaty. Czas umierać”.

Podpisu nie było. Charakteru pisma nie znał.

- Niech się wreszcie skończy ten koszmar! – okrzyk wyrwał mu się mimowolnie.

Od razu po przeczytaniu anonimu wiedział, o czym pisze jego autor.

– Znów się mnie czepiają. – lamentował w samotności. - I za co? Za to, że powiedziałem władzom o tym prostaku z Mścic, niejakiem Edku? To był mój obywatelski obowiązek. Każdy by tak zrobił, będąc na moim miejscu.

O powojennej wrogiej działalności Edwarda Zajączkowskiego pseudonim „Zajac” Zydrewicz dowiedział się przypadkiem. W 1953-cim lub 54-tym spotkał w Koszalinie Zdzisława Podkowińskiego, kolegę z gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego w Lublinie. Przyjaźnili się w szkole i pozostawali w kontakcie po zdaniu matury. Zdzisław schronił się na wsi u rodziców Alojzego w czasie bombardowań Lublina we wrześniu 39-tego roku. Później wciągnął go do Związku Walki Zbrojnej i tym samym wpędził w niekończący się ciąg nieszczęść. Zaczęło się od opuszczenia rodzinnej wsi i zamieszkania w podnajętej klitce w Lublinie. Potem dał się wplątać w konspiracyjną robotę, której nie wykonywał zbyt długo, bo złapali go w łapance już po kilku miesiącach działalności. Na szczęście nie miał przy sobie broni. Przesiedział na Zamku w Lublinie kilka tygodni, a potem z innymi więźniami trafił do KL Auschwitz, gdzie, z tego prostego powodu, że dobrze znał język niemiecki, został kapo.

Zdzisław, w przeciwieństwie do niego, bardzo ucieszył się, gdy niespodziewanie wpadli na siebie, idąc w przeciwnych kierunkach ulicą Zwycięstwa w Koszalinie. On zauważył kolegę pierwszy i najchętniej skryłby się przed nim, ale nie miał gdzie. Zdzisław zobaczył go sekundę później.

- Alojzy! Alojzy! Żyjesz! – wykrzykiwał, potrząsając jego dłonią. – Słyszałem, że siedziałeś w obozie. Chłopie! Góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem zawsze.

- Siedziałem – przytaknął i, chcąc zakończyć niewygodny temat, zażądał:

- Ale opowiadaj o sobie. U mnie nic się ciekawego nie zdarzyło. Wyszedłem z obozu i przyjechałem tutaj. A ty jak przetrwałeś wojnę? Gdzie mieszkasz? Co robisz w Koszalinie?

Weszli do pobliskiej kawiarni i usiedli przy stoliku. Zamówili herbatę. Zydrewicz milczał, uważnie słuchał, a na pytania odpowiadał krótko, zasłaniając się niechęcią do przywoływania złych wspomnień z obozu. Podkowiński mówił ściszym głosem. Jego historia pełna była bohaterskich czynów: walka partyzancka w lasach w czasie wojny, wyjście z podziemia po wkroczeniu Armii Czerwonej, skierowanie przez nowe władze na posterunek MO, dezercja po zorientowaniu się, na czym polega wyzwolenie w wydaniu sowietów, wstąpienie do antykomunistycznego oddziału Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, ujawnienie się po ogłoszeniu amnestii w 47-mym i zakamuflowanie się w Szczecinie na podrzędnym stanowisku w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym aż do czasu jego zlikwidowania w 51-szym. Potem skok na południe Polski, w Bieszczady, do Ustrzyk Dolnych, gdzie pracuje do dziś w charakterze nauczyciela dojeżdżającego do wiejskich szkół.

- Stary – rozkleił się Zdzisław. – Bieszczady to oaza wolności. Mieszanina ludzi. Po prostu nieokiełznany kocioł. Czy wiesz – wyszeptał, sprawdzając, czy nikt go nie usłyszy – że pomnik Stalina, który stoi w Ustrzykach już kilkakrotnie przebierano za stracha na wróble albo robotnika. Nałożyli mu kufajkę i pryczepili kartkę z wierszykiem - „Masz kufajku, weź maszynę, spieprzaj stąd, ty skurwysynu”.

Obaj parsknęli śmiechem, ale Alojzy już wiedział, że nie chce znać dawnego kolegi.

- I przyjechałeś taki kawał drogi z Ustrzyk do Koszalina? – zdziwił się nieszczerze. - Masz tu kogoś bliskiego?

- Nie – spowaźniał natychmiast Zdzisław. – Nie mam nikogo bliskiego, ale mam, jak to się mówi, kolegę z wojska. Ty chyba też go znałeś. Nazywa się Edmund Zajączkowski. Pamiętasz go?

Coraz bardziej zaniepokojony informacjami otrzymywanymi od Podkowińskiego przecząco pokręcił głową.

- No tak – zrozumiał brak wiedzy Zdzisław. – Chyba przystał do nas później, gdy ciebie już zwinęli – ściszył jeszcze bardziej głos i dopowiedział:

- Edek po wojnie nie ujawnił się i nie ukrywał. Po prostu poszedł do lasu. Zawsze był strasznie zawzięty na komuchów. Zniszczyli i zabili mu całą rodzinę, więc walczył z nimi dalej u „Garbatego”. Działali na terenie południowej Lubelszczyzny i zabili tam kilku ormowców, milicjantów i ubeków. Komuniści ścigali ich jak dziką zwierzynę, ale dopiero latem 50-tego roku ktoś ich wsypał. W sierpniu UB urządziło obławę w Lasach Janowskich. Zginęli prawie wszyscy. Edkowi udało się wymknąć. Żyje, pracuje w Mścicach, ale wiem, że jest z nim źle. Spotkałem się z nim. Wygląda jak stary dziad. Zaniedbany, małowówny i prawie zdziczały. Szkoda człowieka. To naprawdę inteligentny facet, ale zniszczony psychicznie. Wegetuje. Wracam do siebie i gdy tylko zorganizuję mu jakieś ludzkie warunki, zabieram go w Bieszczady. Tam zapomni o wszystkim i odżyje.

Zydwicz z coraz większymi obawami słuchał zwierzeń kolegi. Przypominał sobie Edwarda Zajczkowskiego. Poznał go w czasie wojny jeszcze przed wywózką do obozu. Nie zdradził się z tym przed Podkowińskim, a kiedy wreszcie rozstali się, nie miał wątpliwości, że powinien poinformować władze i o spotkaniu i o treści prowadzonej rozmowy. Nie mógł ryzykować, że ktoś, kto ich zauważył i podsłuchał, doniesie na niego wcześniej niż on doniesie na kolegów. Następnego dnia zwolnił się pod byle pretekstem na dwie godziny z pracy i poszedł do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Koszalinie. Powiedział to, co należało powiedzieć, podpisał podsunęty protokół i wyszedł. Nie interesował się potem losem Zajczkowskiego. Nie chciał także wiedzieć co spotkało Podkowińskiego. Szybko nadeszły zmiany i wypuszczono więźniów politycznych, więc pewnie i ci dwaj wyszli na wolność.

Znów sięgnął po anonim.

- Jeden z nich, prawdopodobnie Zajczkowski - pomyślał - mógł nie przeżyć więzienia, a ten drugi, prawdopodobnie Podkowiński, przeżył i chce się na mnie zemścić. Innego wyjaśnienia nie ma.

Wymyślone przez niego wyjaśnienie nie miało w sobie żadnej dobrej strony. Stary Podkowiński z pewnością był tak samo groźny jak w czasach swej młodości.

- Dlaczego odzywa się dopiero teraz, kiedy obaj jesteśmy starzy? – pytał Zydwicz sam siebie i zastanawiał się:

– Przecież mógł mnie znaleźć kilkanaście lat temu. Może dopiero teraz nabrał odwagi. Z listu wynika, że dowiedział się o moim uwięzieniu. Wie zatem, że jestem wykończony i dlatego mnie atakuje. Chce mnie przestraszyć. Udało mu się. Nie mam już sił. Moje życie legło w gruzach.

Kilka następnych dni żył jak w malignie. Leokadia, zajęta sprawami ośrodka, rzadko bywała w domu. Machinalnie wykonywał te same czynności co zawsze. W nocy źle spał. W dzień

ogarniał go lęk, jakiego nigdy wcześniej nie znał. Aby go zagłuszyć łykał tabletki na uspokojenie. Nie zważał na to, ile ich zażywa. Wczesnie rano wstawał i wychodził z domu. Psa nie zabierał. Zorro odwykł od niego i wszędzie towarzyszył Leokadii. Oszołomiony i półprzytomny włóczył się po nadjamneńskich łąkach bez celu. Unikał ludzi.

W niedzielę 3-ciego czerwca wyszedł na swój nie przynoszący ukojenia spacer wcześniej niż zwykle. Nie chciał spotkać się z Leokadią. Wiedział, że zaraz po śniadaniu żona pójdzie do kościoła. Nie denerwowało go to już tak bardzo jak wcześniej, ale nie miał ochoty patrzeć, jak milcząc uparcie szykuje się i wychodzi bez słowa. Pogoda, jak na ironię, była piękna. Wilgotne po nocy powietrze pachniało świeżością. Nad łąkami unosiły się i śpiewały skowronki. W ostrym słonecznym świetle nie widziało się ich drobnych ciał, ale niebo rozbrzmiewało nieustanną melodią. On jednak czuł się tak, jakby otaczał go szczelny szklany klosz. Na zewnątrz klosza życie toczyło się normalnie. Świeciło słońce, pachniało powietrze, śpiewały ptaki i rosła trawa. Życie nie dostawało się jednak do wnętrza klosza. W nim panowała niepokojąca pustka i nieprzenikniona, równie niepokojąca cisza.

Uderzenie przyszło właśnie z tego zewnątrz, które nie miało do niego dostępu. Najpierw, w oślepiającym go świetle słońca – siedł na wschód - zobaczył przed sobą ciemną sylwetkę. Stała na wale przeciwpowodziowym, którym się poruszał, na wysokości ceglanej wieży hydrotechnicznej. Miał wrażenie, że czeka na niego i że patrzy mu prosto w twarz. On jej twarzy nie widział. Raziło go słońce. Zbliżając się do niej, czuł wewnętrzny spokój, a jednocześnie nieznośny ból, który osłabł dopiero wówczas, gdy poczuł silny cios w brzuch. Potem padły następne. A potem leżał twarzą do ziemi i czuł jej silny zapach. Lubił zapach mokrej ziemi, ale jakaś siła odwróciła go na plecy. Silny ból rozdarł mu klatkę piersiową. „Czas umierać” usłyszał nad głową cichy głos zmieszany ze śpiewem skowronków, który teraz słyszał bardzo wyraźnie.

5. Konfident. 1982



Pseudonim, który podał oficerowi prowadzącemu zaraz po podjęciu współpracy ze służbą bezpieczeństwa nie był przypadkowy. Nazwa „Gracz” pasowała do niego jak ulał. Z jednej strony odsyłała do jego wielkiej pasji, którą były gry hazardowe, a z drugiej do niezwykłych umiejętności, którymi obdarzyła go natura, a mianowicie zdolności zjednywania sobie ludzi i ich swobodnego rozgrywania dla własnej korzyści. Obie gry wprawiały go w euforię. W odróżnieniu od większości ludzi, wśród których pracował, nigdy nie był oszołomem, lecz człowiekiem trzeźwo patrzącym na rzeczywistość. Z oficerem prowadzącym szybko nawiązał relacje przyjacielskie. Na wywoływanych spotkaniach rozmawiali o wszystkim, poczynając od spraw prywatnych po polityczne priorytety i techniki operacyjne. Strona techniczna działalności zawsze interesowała go najbardziej, bo politykę także uważał za grę, pozwalającą wygrywać tylko najlepszym, czyli najsprytniejszym realistom. W dzisiejszych czasach reguły gry politycznej ustalali ludzie ze służb specjalnych i partyjniacy, więc kto stawiał sam siebie poza uprzywilejowanym środowiskiem, sam siebie także wykluczał z gry i sam siebie skazywał na bycie nieświadomym pionkiem. On zdobył tę wiedzę stosunkowo późno, bo dopiero po roku 70-tym, gdy miał już trzydzieści lat, a za sobą nieudane, ale na szczęście bezdzietne, małżeństwo. Wtedy właśnie, jeszcze przed rozruchami w Trójmieście, został zwerbowany na tajnego współpracownika i od razu poczuł się wolny, świadomy i sprawczy. Jego pozycja społeczna i zawodowa, z której nigdy wcześniej nie był zadowolony, przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo i tak w swoim drugim życiu decydował o losach tych, którzy mieli się za lepszych od niego.

W Zakładach Przemysłu Elektronicznego „Kazel” pracował niemal od momentu ich powstania. Produkowali izolatory dla przemysłu elektronicznego. Najpierw sposobem prawie chałupniczym, ale później ruszyły taśmy produkcyjne zakupione za dewizy na Zachodzie. Zaczynał w dziale, gdzie tłuczono szkło na granulata, a praca była ciężka i szkodliwa, tak że

pracowało się cztery godziny zamiast ośmiu. Potem został monterem izolatorów, a kiedy skończył wieczorowe Technikum Mechaniczno-Elektroniczne w Białogardzie trafił do prototypowni i nabrał pewności siebie. Wtedy właśnie nabrał też rozumu i nie zawahał się, gdy zaproszono go na kameralne spotkanie i zaproponowano przekazywanie informacji o pracownikach Zakładów. Stwierdził, że tego właśnie wymaga sytuacja – pomagania władzy w utrzymaniu porządku społecznego, ale nie jak jakiś zideologizowany frajer, lecz za godziwe pieniądze. Z czasem okazało się, że nie są one aż tak duże, aby całkowicie zmienić jego sytuację finansową, ale pozwoliły na uprawianie hobby, które szybko stało się pasją - na grę w salonach gier zwanych ładnie klubami. Kluby z automatami do gier w latach siedemdziesiątych wyrastały jak grzyby po deszczu.

Od razu zaczął od gry na jednoręcznych bandytach. Uwielbiał po pracy wchodzić do zaciemnionego pomieszczenia, w którym migotały kolorowe światła flipperów. Tłoczyła się przy nich młodzież obojga płci, tworząc atmosferę magicznego sztucznego świata. On siadał przy automatach dla dorosłych. Grał, wygrywał i przegrywał, ale zawsze liczył na dobrą passę.

Dorabiał sobie nie tylko jako tajny współpracownik, TW, ale nieźle pieniądze zarabiał także wynosząc po kryjomu z klubów żetony do automatów. Żetony sprzedawało się na tak zwanym wolnym rynku z niezłą przebitką. W klubach kosztowały dużo taniej. Na wolnym rynku skupowali je najczęściej marynarze. Wywozili na przykład do Szwecji i też nieźle zarabiali. Za zachodnią granicą, w tamtejszych salonach, ich wartość była wielokrotnością tego, co płacili w kraju. W polskich klubach grało się bowiem żetonami sponsorowanymi przez państwo, prawowitego właściciela automatów.

Jego potrzeby finansowe rosły, bo nawet duża przegrana nie skłaniała go do zaniechania gry. Przeciwnie, był tak grą zaabsorbowany, że już w pracy analizował strategię z dnia poprzedniego, planował zachowania na wieczór i poszukiwał w myślach nowych sposobów zdobycia pieniędzy. Pieniądze były mu zawsze koniecznie potrzebne. Musiał grać, musiał wygrywać, albo musiał odrobić straty. Gra uspokajała go i odrywała od codzienności, dawała poczucie sprawczości i kontroli nad rzeczywistością. Przegranymi nie zaprzętał sobie zbyt długo głowy, a jeśli już o nich myślał, to raczej jako o dobrej szkole wygrywania. Z przegranych należało zawsze wyprowadzać wnioski co do dalszego postępowania, więc przegrane były potrzebne jako nauka rzemiosła.

- Bogdan – ostrzegał go oficer prowadzący. – Przystopuj, bo popłyniesz. Jesteś świetnym facetem i świetnie się z tobą współpracuje, ale z grą przesadzasz. Czy ty masz jakieś swoje prywatne życie?

- Czesiek! Czy nie dostarczam ci dobrze przygotowanych raportów? – zbijał przestrogi porucznika Pędzieszczaka. – Sam mówiłeś, że moje informacje są konkretne i zawsze się potwierdzają.

Temat gry na automatach skończył się po sierpniu 80-tego roku. Sytuacja polityczna zmieniła się gwałtownie i od wszystkich – pracowników i współpracowników SB – zaczęto więcej wymagać. Dostał zadanie przeniknięcia, najwyżej jak się da, do struktur związkowych. Musiał stać się i stał się, zaangażowanym i zdecydowanym działaczem najpierw komitetu strajkowego w „Kazelu” – z zapalem malował transparenty, na których deklarowano solidarność ze strajkującymi w Gdańsku i Szczecinie oraz kontaktował się z najbardziej aktywnymi działaczami z „Unimy” – a potem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Poparcie dla żądań, które władzom partyjnym i rządowym stawiały strajkujące załogi wszystkich większych zakładów pracy, było masowe, więc sprawy toczyły się szybko i raczej w kierunku niepożądanym przez rządzących. Należało zewrzeć szyki i jak najszybciej zapanować nad sytuacją w kraju. Jego misja, bo tak teraz widział swą współpracę ze służbami, nabrała większego znaczenia. Aby mógł się uwiarygodnić w środowisku, które rozpracowywał, zawieszono jego spotkania z oficerem prowadzącym i pozostawiono mu wolną rękę. Dostał oczywiście instrukcje, które chętnie wykorzystywał. Dyskretnie rozpowszechniał informacje deprecjonujące organizatorów i inicjatorów strajków, zachęcał do radykalizowania żądań i podrzucał podczas akcji strajkowych niepokojące wieści o planowanych atakach milicji i wojska. Skrupulatnie notował nazwiska, słowa i ruchy kolegów, aby w niedalekiej przyszłości móc sporządzić wyczerpujący raport.

W połowie września uczestniczył w tajnym spotkaniu zorganizowanym w prywatnym mieszkaniu w Koszalinie. Podczas tego nocnego spotkania powstał właśnie Międzyzakładowy Komitet Założycielski Niezależnych Związków Zawodowych w Koszalinie, którego został dobrowolnym, czyli na razie nieopłacanym, pracownikiem. Już po kilku dniach MKZ zarejestrowano w Wojewódzkiej Radzie Narodowej jako stowarzyszenie, ponieważ tylko jako stowarzyszenie mogli otrzymać lokal od koszalińskiego wojewody. Lokal został przydzielony i własnym sumptem go wyremontowali. Jego kariera jako koszalińskiego działacza MKZ- etu, którym się nagle stał, ruszyła z kopyta.

W MKZ-ecie wszyscy tyrali społecznie po godzinach pracy, więc i on musiał poddać się ogólnemu entuzjazmowi i nielimitowanemu społecznictwu. Z trudem znajdował czas, aby wyrwać się do salonu i trochę pograć. Brak gry doskwierał mu coraz bardziej i zaczął myśleć o wycofaniu się z powierzonej mu przez służby misji, ale niestety na krok wstecz było już za późno. Za dużo osiągnął i stał się zbyt przydatny, aby pozwolono mu odejść ze środowiska wolnych związków zawodowych. Tymczasem napięcie w kraju ciągle rosło. Generowanie napięć w społeczeństwie ułatwiało władzom politycznym podjęcie decyzji o ostatecznym zahamowaniu procesu uniezależniania się społeczeństwa od przewodniej partii. Niecierpliwie na taką decyzję czekał.

Trochę rozrywki dostarczało mu obserwowanie kolegów i koleżanek z Komitetu, którzy z dziwną pewnością siebie, poddając się udzielającej się wszystkim gorączce, z pełnym poświęceniem pracowali dla idei. Miał ich wszystkim za szaleńców, a jednocześnie zazdrościł im naiwności i szczerości. Zazdrość szybko jednak ustępowała pewności, że wkrótce władze wyleją na te gorące głowy kubel zimnej wody.

W MKZ-cie poznał interesującą kobietę, która przyjeżdżała do nich z Mielna. Nazywała się Danuta Kamienna. Dużo rozmawiali. Dowiedział się, że z zapałem animuje ruch solidarnościowy w tej małej nadmorskiej miejscowości, gdzie nie ma żadnych większych zakładów pracy, więc jej wysiłki idą na marne. Ale nie zdawała się załamana nieskutecznością swych przedsięwzięć. Przeciwnie, emanowała spokojem i determinacją. Twierdziła, że robi to, co do niej należy, a czas pokaże, kto był po dobrej stronie barykady. Była od niego starsza, ale wyglądała dobrze - piękna jeszcze i wyrazista twarz, gęste ciemne włosy, silne, a jednocześnie szczupłe ciało, jasne, szczere spojrzenie niebieskich oczu i melancholijny uśmiech. Podobała mu się. Kiedy otrzymał polecenie, żeby wykorzystać tę znajomość i z pierwszej ręki zdobyć informacje o ewentualnym mieleńskim środowisku opozycyjnym i otoczeniu rzeczonyj kobiety, zaproponował jej spotkanie. Zgodziła się. Zaprosił ją na kawę do małej kawiarni w Koszalinie.

Podczas kolejnych spotkań we dwoje rzadko rozmawiali o sprawach prywatnych. Namiętnie natomiast dyskutowali o polityce i o swoich życiowych priorytetach. Ich poglądy różniły się, choć on oczywiście oficjalnie reprezentował stronę solidarnościową. Nie czuł się kłamcą. Wczuwał się w to, co mówił. Nie wiedział dlaczego tak się dzieje, ale gdy stopniowo zbliżali się do siebie, jej idealistyczne poglądy i jej zapał do ich realizacji, nabierały w jego oczach uroku i przestawały być wyznacznikiem życiowej naiwności i nieudacznictwa. Chyba rzuciła na niego urok. Po pierwszym prywatnym spotkaniu, żeby ochłonać i wrócić do swej normalnej

postawy, poszedł do salonu i grał całą noc. Urok osłabł, ale nie minął. Do następnego spotkania doszło niebawem. Trzecie odbyło się już w jej mieszkaniu. Przespali się wtedy ze sobą po raz pierwszy.

Przyjeżdżał do Mielna od czasu do czasu i z przyjemnością patrzył jak Danuta rozkwita. Zakochała się w nim na zabój. Czuł się usatysfakcjonowany i dowartościowany. Zawsze zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest typem mężczyzny, za którym uganiają się kobiety. Nie miał zbyt wielu dobrych doświadczeń z płcią przeciwną, a teraz trafiła mu się taka gratka. Zakochała się w nim bez pamięci kobieta, która podobała mu się i z którą lubił się spotykać. Pisał oczywiście o Danucie, jej działalności w Mielnie i otoczeniu w raportach. Był przecież zawodowcem i życie prywatne nie zwalniało go z przyjętych na siebie obowiązków.

Dwa tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego – wtedy jeszcze oczywiście nikt o planach wprowadzenia stanu wojennego nie wiedział, choć atmosfera od dawna zagęszczała się i straszono interwencją wojsk Układu Warszawskiego - ktoś go sypnął. Prawdopodobnie działacze MKZ-etu mieli w koszalińskiej SB kreta.

- Przejechali się moi wszechwiedzący koledzy funkcjonariusze. Sądzieli, że tylko oni wsadzają swoich tam, gdzie im się podoba – pomyślał i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy nazywa funkcjonariuszy „oni”.

W rozmowie z przewodniczącym MKZ-tu oczywiście zaprzeczył wszystkiemu, obraził się i wyszedł, aby wywołać spotkanie z oficerem prowadzącym i powiadomić go o przykrym i niespodziewanym incydencie.

Postanowił odpocząć, a przy okazji zniknąć z oczu „kolegom” z Solidarności. Nie miał zamiaru znosić ich pogardliwych spojrzeń, a jeszcze bardziej odpowiadać na głupie pytania, które będą mu z pewnością zadawać współczujące, fanatycznie zaangażowane, a jednocześnie dziecinnie naiwne „koleżanki”, po cichu nazywane przez wszystkich „ciotkami rewolucji”.

- Wyjedź, odpocznij i ochłoń – radził także Czesiek Pędzieszczak. – Przydasz nam się jeszcze.

Zgolił brodę i wąsy, które nosił zgodnie ze strajkową modą i pojechał do Zakopanego do ośrodka MSW. Miał zamiar uczyć się jazdy na nartach, ale skończyło się na spędzaniu długich godzin w zakopiańskich salonach gry. Gra przywróciła mu rozchwiany wewnętrzny spokój i wyeliminowała wspomnienia ostatnich kilkunastu miesięcy, w tym przykrą myśl o reakcji Danuty na wieść o oskarżeniu go o współpracę z SB. Znał dobrze jej rygorystyczne podejście do wierności wyznawanym ideałom.

Pogoda w górach sprzyjała nie myśleniu o coraz bardziej napiętej sytuacji w kraju. Padał śnieg, świeciło słońce a po Krupówkach przechadzały się tłumy roześmianych młodych ludzi. Sielankowy nastrój prysł w niedzielę 13-tego grudnia. Już wcześniej można było zauważyć puste miejsca w stołówce, ale jego nie obchodziło to w najmniejszym nawet stopniu. Teraz jednak dostrzegł, że ośrodek opuścili towarzyszący rodzinom mężczyźni w sile wieku.

- A więc mobilizacja – przyszło mu do głowy.

Postanowił przeczekać gorący czas w Zakopanem. Nie miał właściwie innej możliwości, bo z dnia na dzień wstrzymano połączenia kolejowe, wyłączono telefony, wprowadzono godzinę milicyjną a na przemieszczanie się po kraju należało mieć stosowne pozwolenie wystawiane przez urzędy zarządzane teraz przez komisarzy wojskowych. Oglądał telewizję i w milczeniu słuchał rozmów toczących się przy stole. Ci, którzy odważyli się głośno wyrażać swe poglądy, chwalili działania władzy.

- Anarchia zaszła za daleko. Należało uspokoić wreszcie politycznych awanturników – perorował emerytowany wojskowy. – Internowanie fanatycznych działaczy jest konieczne, bo tylko w ten sposób zaprowadzi się w kraju porządek i zapobiegnie rozlewowi krwi.

Słuchający kiwali ze zrozumieniem głowami i dorzucali swoje argumenty.

- Mój tatuś słyszał – użalała się pani w średnim wieku, dobrze ubrana i z fryzurą tak precyzyjnie ułożoną, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera – jak dzieci krzyczały na podwórku „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”. Bardzo się tym przejął, bo jest członkiem partii i zawsze pracował tylko dla dobra kraju. Solidarność zafundowała nam chaos, biedę i, co najgorsze, wzajemną nienawiść.

Przy stole zapadało milczenie, a on wyobraził sobie niedawnych „kolegów” z MKZ-etu tłuczonych pałami i wpychanych do milicyjnych suk. Nie czuł się z tym najlepiej, ale jednocześnie doznawał satysfakcji, że to on miał rację.

Salony gry zamknięto, więc włóczył się po zaśnieżonych uliczkach Zakopanego, obserwował nerwowe zachowania zaniepokojonych smutnych ludzi i patrzył z daleka na młodych żołnierzy patrolujących miasto z bronią gotową do strzału i nie patrzących w oczy przechodniom, z których większość i tak starała się omijać ich z daleka. Do domu wrócił tuż przed świętami Bożego Narodzenia – których nie miał w zwyczaju celebrować – i natychmiast wywołał spotkanie z Pędzieszczakiem.

Zakopane w porównaniu z Koszalinem było oazą spokoju. W mieście pozornie także panował spokój, ale był to spokój podszyty ogromnym napięciem. Po ulicach pokrytych rozjeżdżonym śniegiem jeździły czołgi i pojazdy opancerzone. Mury oblepione były obwieszczeniem przewodniczącego Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego i konsekwencjach łamania wojennego prawa. W sklepach brakowało żywności. Ustawiały się przed nimi gigantyczne kolejki poirytowanych ludzi, którzy byli wobec siebie nieufni. Milczeli i obrzucali się nawzajem niechętnymi i podejrzliwymi spojrzeniami.

- Zostaniesz internowany – oznajmił mu porucznik Pędzieszczak na drugim spotkaniu. – Wypuścimy cię po miesiącu i zatrudnisz się w Zakładach Podzespołów Elektronicznych „Unitra-Unitech” w Białogardzie. Do „Kazelu” nie masz po co wracać. W Białogardzie spacyfikowano strajki i zamknięto prowodyrów, którzy je zorganizowali po wprowadzeniu stanu wojennego, ale nadal potrzebujemy tam zaufanych ludzi. Internowanie uwiarygodni cię i będziesz miał lepszy dostęp do informacji. Legenda, na wypadek, gdyby ktoś cię rozpoznał z MKZ-et, będzie taka: zostałeś niesłusznie oskarżony o współpracę i odszedłeś z MKZ-et, bo poczułeś się niesprawiedliwie potraktowany; ktoś ostrzegł cię, że grozi ci aresztowanie, więc schroniłeś się u rodziny na wsi; tydzień po ogłoszeniu stanu wojennego wróciłeś do Koszalina, żeby pomagać zaaresztowanym kolegom i ich rodzinom, ale natychmiast cię złapano i zostałeś internowany; po miesiącu cię wypuszczono i nie masz pojęcia dlaczego, bo oczywiście odmówiłeś podpisania lojalki. W internacie nie wychodź na pierwszy plan. Działaj ostrożnie. Zbieraj informacje o współwięźniach. Wiesz o co chodzi. Głównie o informacje kompromitujące tych ponoć nieskazitelnych typków – związki pozamażeńskie, homoseksualizm, alkohol, przekręty, chciwość i tak dalej. Poza tym powinienes delikatnie neutralizować zdecydowane postawy, podrzucać myśli o korzyściach płynących z wyjścia z internatu po podpisaniu lojalki, podkreślać tęsknotę za rodziną i tym podobne.

Przesiedział w tak zwanym internacie, czyli w ośrodku internowania działaczy Solidarności w Darłównie, miesiąc i dwa tygodnie. Wybrano miejsce, w którym nie było członków koszalińskiego MKZ-et. Zgodnie z poleceniem oficera prowadzącego zachowywał się powściągliwie. Nie brał aktywnego udziału w gorących dyskusjach, ale z ciekawością słuchał opowieści o brutalnych pacyfikacjach zakładów, stoczni i kopalń, o ofiarach śmiertelnych, „ścieżkach zdrowia” oraz o sposobach mylenia milicji i organizowaniu się solidarnościowego podziemia. Starał się skrupulatnie realizować zadania, które powierzył mu Pędzieszczak.

Kiedy go wypuszczono, zatrudnił się, znów zgodnie z poleceniem, w białogardzkim zakładzie „Unitra-Unitech” i systematycznie składał raporty nowemu oficerowi prowadzącemu o

nastrojach panujących wśród pracowników niższego szczebla. Nie wymagano już od niego aktywnego angażowania się w działania podziemnej opozycji, z czego był bardzo zadowolony, bo choć spadły jego dochody, to mógł bez przeszkód spędzać czas w salonach gry.

We wtorek 31-ego sierpnia, w drugą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych, w godzinach popołudniowych, udał się na Plac Bojowników PPR w Koszalinie, aby poobserwować, z własnej i nieprzymuszonej woli, uczestników nielegalnej manifestacji zorganizowanej przez zwolenników Solidarności i przeciwników władzy. Nie należało to do jego zadań, ale ciekaw był niezmiernie, ile osób przyjdzie na demonstrację i jak zareagują siły porządkowe. Niejedno słyszało się na temat zapowiadanej manifestacji w prywatnych rozmowach i czytało w rozprowadzanych w zakładzie pracy ulotkach. Duża ilość uczestników zaskoczyła go niezmiernie. Równie zaskakująca była ilość sprowadzonych funkcjonariuszy. Manifestację obstawiało kilkuset zomowców, milicjantów i żołnierzy.

Przed ratuszem i katedrą zebrało się kilka tysięcy ludzi - kobiety, mężczyźni, młodzież, starsi, a nawet dzieci. Rozwinięto transparenty z napisami „Solidarność”. Jeden z nich zawisł na pomniku, umieszczony tam przez śmiałego młodego chłopaka, który, podtrzymywany przez kolegów, wspiał się na Pomnik Wyzwolenia i otrzymał burzę oklasków. Zaintonowano patriotyczną pieśń i rozcapierzone w literę V palce poszły w górę. Wycofał się na tyły zgromadzonego tłumu, bo interwencja sił porządkowych była nieunikniona..

Można było przewidzieć, że większa część spanikowanych ludzi ruszy podczas ataku zomowców w stronę katedry, gdzie w tym samym czasie proboszcz, ksiądz Jan Borzyszkowski, odprawiał mszę za ojczyznę. Ludzie byli przekonani, że unikną pałowania, chroniąc się w kościele, terytorium nienaruszalnym. Ruszył w stronę przeciwną, czyli w górę ulicy Młyńskiej. Kiedy oddalił się od placu przed ratuszem, usłyszał najpierw śpiewy, potem głos wzywający przez megafony tłum do rozejścia się, a następnie rozległ się przeciągły okrzyk wielu gardeł i ostry pisk kobiet. Domyślił się, że rozpoczęto akcję i rzucono petardy z gazem łzawiącym.

- Nieźle dostaną – przyszło mu do głowy, a dochodzące z oddali krzyki potwierdzały fakt, że już ruszyła pogoń z pałami za rozbiegającymi się manifestantami. - Ciekawe czy oberwą też ci, którzy schronią się w katedrze – pomyślał, skręcając z Młyńskiej w pierwszą parkową aleję.

Usiadł na najbliższej ławce i zapalił papierosa. Zawsze, gdy był podekscytowany, wzbierała w nim chęć odprężenia się i zapomnienia w grze. Ale czas i miejsce nie sprzyjały udaniu się do salonu. Spojrzał w jasne jeszcze niebo przysłonięte liśćmi parkowych drzew. Nie znał się na

przyrodzie, ale panująca wokół cisza, przez którą przedzierały się odgłosy starć tłumu ze służbami porządkowymi, sprawiała mu nieznana dotąd przyjemność.

- Chyba widziałem w tłumie Danutę – przypomniał sobie.

Nie był pewien czy kobieta, która stała przed kordonem złożonym z zomowców i ze spokojem na twarzy rozmawiała z jednym z funkcjonariuszy, to rzeczywiście była ona, czy tylko ktoś o podobnej twarzy i figurze.

O Danucie od dawna już nie myślał. Nie miał także ochoty na spotkanie z nią. Wspomnienia wspólnie spędzonych chwil były miłe, ale teraz należały do innego obcego świata. On znajdował się po stronie tych, którzy mają za sobą siłę, a tym samym mają też rację. Miał nieodparte przeczucie, że nadchodzą dla niego naprawdę dobre czasy. Gdy tylko rozluźnią się restrykcje stanu wojennego, zacznie żyć tylko i wyłącznie według własnych zasad. Za najważniejsze uważał teraz to, aby na zbliżający się czas osobistej dobrej passy wymyślić skuteczny sposób szybkiego i łatwego zarabiania dużych pieniędzy. Praca zawodowa coraz mniej go interesowała, w przeciwieństwie do przedsięwzięcia, które mogło przynosić nie tylko pieniądze, ale także przyjemność. W salonach gier mówiło się dużo o kompocie, narkotyku wymyślonym przez dwóch gdańskich studentów. Przyrządzało się go prostym domowym sposobem. Wystarczyło znaleźć na wsi źródło słomy makowej, w sklepie zakupić ocet, sól, amoniak i kilka dostępnych odczynników chemicznych, żeby zacząć domową produkcję. Nie znał jeszcze szczegółów wyrabiania specyfiku, ale przepis na „polską heroinę” można było łatwo kupić i to za niewielkie pieniądze. Jeśli dojdzie do wprawy, będzie sprzedawał gotowy produkt z dużym zyskiem. Młodych ludzi uciekających od szarej rzeczywistości w beztroski świat iluzji było coraz więcej i nigdy ich nie zabraknie. On także, zachowując oczywiście ostrożność, zamierzał doznać nowych, łatwo dostępnych wrażeń.

- Po co mam tkwić w monotonnej robocie i zarabiać grosze? – przekonywał sam siebie. – Powoli rozkręcę kompotowy interes i może nawet otrzymam błogosławieństwo od esbeków, bo przecież im też powinno zależeć na penetracji młodzieżowego środowiska. Szczególnie teraz, gdy wreszcie dotarło do władz, że duża część młodzieży żyje własnym życiem, tworzy różne subkultury, gra ostrą muzykę i ma w d...ie socjalizm. Nawet ten z ludzką twarzą – roześmiał głośno.

Rzucił peta na ziemię, wstał i ruszył brukowaną aleją biegnącą między starymi murami obronnymi a rzeką Dzierżeńcinką. Zamierał dotrzeć nią do ulicy Zwycięstwa na wysokości Wojewódzkiego Domu Kultury. Zgłodniał i miał nadzieję, że dzięki trwającej wciąż gonitwie

za manifestantami kolejki w delikatesach nie będzie, albo przynajmniej okaże się ona znacznie krótsza niż zazwyczaj. W połowie drogi poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Zanim zdążył się odruchowo obrócić, poczuł silne uderzenie w tył głowy.

Leżącego w parkowej alejce w kałuży krwi wokół głowy Bogdana Pakosika znalazł młodzieniec uciekający przed pościgiem zomowców. Właśnie udało mu się oderwać od pościgu. Zdyszany i mokry od potu rozglądał się za bezpieczną kryjówką, aby usiąść w niej i odpocząć, gdy zauważył nieprzytomnego i zakrwawionego mężczyznę.

- Cholera! – wrzasnął. – Zabili go! Mordercy! – krzyknął w stronę ulicy, którą przed chwilą gonili go funkcjonariusze, a która teraz była pusta.

- Na pomoc! – wołał, stojąc bezradnie nad nieruchomym ciałem. – Na pomoc! Człowieka zabili!

Chłopak zauważył, że mężczyzna oddycha, więc pomimo zmęczenia pobiegł w stronę ulicy Zwycięstwa. Wyskakując na jezdnię, zatrzymał przejeżdżający samochód osobowy i, nie zważając na oburzenie kierowcy, poinformował go o wypadku. Starszy pan siedzący za kierownicą dużego fiata nie był zadowolony. Mamrocąc pod nosem wymówki pod adresem niesfornej młodzieży, wszedł jednak za młodzieńcem do parku i pomógł mu przeciągnąć rannego do zaparkowanego na chodniku auta. Z trudem, wspólnym wysiłkiem, umieścili go na tylnym siedzeniu. Wokół samochodu zgromadzili się ludzie. Niektórzy przeklinali zomowców, zakładając, że mają do czynienia z ich ofiarą.

- Gestapo! Gestapo! – rozległy się okrzyki, więc starszy pan w popłochu wskoczył za kierownicę i odjechał.

- Jeszcze tego brakowało, żeby i nas zomo zaatakowało – rzucił w stronę młodego pasażera. – Jedziemy do szpitala – dodał, gdy z tylnego siedzenia doszedł go cichy jęk.

Bogdan Pakosik nie odzyskał przytomności. Obrzęku mózgu nie zatrzymały ani podane leki przeciwobrzękowe, ani wykonana przez chirurga kraniektomia odbarczająca. Pacjent zmarł po dwóch dniach. Prokurator, zapoznając się z wynikami sekcji zwłok, stwierdził, że obrażenia powstały nie od uderzenia milicyjnej pałki, ale jakiegoś innego ciężkiego narzędzia. Być może mężczyznę trafił kamień rzucony na oślep przez niemożliwego do zidentyfikowania nielegalnego manifestanta. Jak ciężko zraniona w głowę ofiara zdołała dostać się spod ratusza do odległego o kilkaset metrów parku nikt nie dociekał.

6. Tajemnice



Pogrzeb Danuty Kamiennej na cmentarzu komunalnym w Mścicach był bardzo skromny i cichy, bez księdza i z niewieloma żałobnikami. Pochowano ją we wspólnym grobie z mężem i synkiem, a zatem, mimo wszystko, w poświęconej ziemi. Ponieważ Kamienna rodziny już nie miała - mąż zginął w wypadku przed wieloma laty a jej rodzice umarli stosunkowo niedawno jedno po drugim – trzeba by było pochować ją na koszt gminy, gdyby pogrzebem nie zajął się kierownik POHZ-tu z Dobrego Wirgiliusz Paszko z poparciem – przede wszystkim finansowym – dyrektora z Mścic.

Z Mielna przyjechało na pogrzeb małżeństwo Suwaków. Pozostali sąsiedzi nie chcieli uczestniczyć w pogrzebie, gdyż nie mogli wybaczyć Kamiennej, że ich naraziła na zatrucie czadem. Przybyła też skromna trzyosobowa delegacja z sanatorium „Rusałka” złożona z koleżanek sprzątaczek. Z Dobrego przyjechał Wirgiliusz Paszko oraz pani Malinowska, która przyjaźniła się z rodzicami zmarłej, Heleną i Wacławem Pietrzakami. Dwie pozostałe osoby uczestniczące w pogrzebie, to starsi ludzie, zamieszkujący w tym samym bloku w Mścicach, w którym mieszkali Pietrzakowie. Zнали Danutę głównie z widzenia i z opowieści.

Był 4-ty grudnia, sobota. Od śmierci Danuty Kamiennej minął tydzień. Uroczystości pogrzebowej przewodniczył urzędnik stanu cywilnego. Obyło się bez śpiewów. Nikt nie płakał. Grudniowa pogoda wzmagala ponury nastrój. Szczelny pułap szarych chmur niemal dotykał głów żałobników. Przenikliwe wilgotne zimno skutecznie pośpieszało urzędnika prowadzącego ceremonię. Żałobnicy podnosili kołnierze płaszczy i lekko przytupywali.

Kiedy ceremonia pogrzebowa zbliżała się do końca, grabarze zaczęli zasypywać trumnę a zgromadzeni przy grobie ludzie z niecierpliwością czekali na moment, kiedy będą mogli położyć przyniesione ze sobą skromne wiązanki, nadeszły jeszcze dwie osoby. Zerkano na nie

dyskretnie, ale z ciekawością. Jedną z nich był były milicjant Tadeusz Pawlik ze Strzeżenic, a drugą Maja Majewska. Spóźnieni stanęli za plecami wcześniej przybyłych. Pawlika rozpoznali miejscowi, a Majewską sprzątaczkę z sanatorium. Miejscowi zastanawiali się, co mogło łączyć Pawlika z Danutą Kamienną tak mocno, że przyszedł na jej pogrzeb. Pracownicy sanatorium dziwiły się, że Majewska, pielęgniarka, wybrała się aż z Lęborka na pogrzeb skromnej sprzątaczkę.

Grób został uformowany, wiązanki położone i zaczęto szybko się rozchodzić. Po chwili przy grobie pozostały tylko trzy osoby, Wirgiliusz Paszko. Tadeusz Pawlik i Maja Majewska. Panowie przywitali się ze sobą, a następnie zwrócili do nieznajomej, dość młodej jeszcze i, jak ocenili, eleganckiej kobiety.

- Znała pani Danutę? – zapytał Paszko, żeby przerwać krępującą ciszę.

- Tak, znałam – odpowiedziała kobieta i podała dłoń najpierw Paszce, a potem Pawlikowi. – Nazywam się Maja Majewska. Pracowałyśmy razem w sanatorium w Mielnie. Danką tam sprzątała, a ja byłam pielęgniarką. Ale znałyśmy się dobrze i bardzo się polubiłyśmy. Można powiedzieć, że trochę mi matkowała, bo była ode mnie starsza.

- Wirgiliusz Paszko, a to jest pan Tadeusz Pawlik. – Paszko przedstawił siebie i znajomego. – Ja prawie nie znałem pani Danuty, ale dobrze znałem jej rodziców. Prości, porządni i pracowici ludzie. Ona z pewnością była do nich podobna.

- Tak – potwierdziła Majewska. – Danuta była najprzystojniejszą osobą, jaką znałam. Interesowała się innymi ludźmi. Była dyskretna. Nigdy nie plotkowała. Pomagała, radziła i pocieszała. O wszystkim można było z nią porozmawiać.

- A sama nie miała łatwego życia – wtrącił się do rozmowy Pawlik. – Słyszała pani, że szybko straciła męża i synka?

- Nie, nigdy mi się nie zwierzała. Teraz sobie uświadomiłam, że ona słuchała innych, a o swoim życiu nie opowiadała. Jeśli już coś mówiła, to raczej ogólnie o tym, co się dzieje, o tym, że trzeba być przyzwoitym pomimo wszystko, że trzeba się wzajemnie wspierać. Słyszałam, że ostatnio bardzo mocno zaangażowała się w Solidarność. To do niej podobne.

- Szkoda kobiety – podsumował Paszko. – Porządni ludzie zawsze mają pod górkę. Mogę panią podwieźć - zaproponował. - Dokąd pani jedzie?

- Do Koszalina. Wracam do Lęborka. Ale nie chcę sprawiać kłopotu. Pojadę Jedyneką.

- Dla mnie to żaden kłopot. Właśnie też wybieram się do Koszalina, więc dobrze się składa. Zapraszam.

- Nie pracuję już w Mielnie – odezwała się Majewska, siedząc już w samochodzie Paszki. - O śmierci Danki poinformowały mnie koleżanki. Pracownicy sanatorium nie spodziewali się, że tak aktywna i miła osoba może targnąć się na swoje życie. Wszyscy byli w szoku. Ja nadal nie mogę w to uwierzyć

- Tak, tak – pokiwał głową Paszko. – Niewiele wiemy o ludziach i ich nieszczęściach.

Stojąc nad grobem Danuty Kamiennej Maja Majewska myślała o czymś, o czym nigdy nikomu nie powiedziała. Jakies dziesięć lat temu, na początku lat siedemdziesiątych, Danuta pierwszy i ostatni raz poprosiła ją o przysługę, nie wyjaśniając o co chodzi. Przysługa polegała na napisaniu krótkiego listu, a właściwie wiadomości, do jakiegoś mężczyzny. Ktoś - być może Danką - prosił mężczyznę o spotkanie w wyznaczonym miejscu i czasie. Szczegółów już nie pamiętała, ale miejscem spotkania miało chyba być Unieście. Prośba Danuty bardzo ją zdziwiła. Nie rozumiała, dlaczego Danuta sama nie napisała banalnego krótkiego tekstu. Przypomniła sobie tę dziwną prośbę kilka miesięcy później, a mianowicie wtedy, gdy w swojej skrzynce pocztowej znalazła list zaadresowany do Madejskiego, jej ówczesnego kochanka. Kartka, którą zobaczyła, gdy Jan otworzył niebieską kopertę, wyrwana była z zeszytu w kratkę. Zupełnie tak samo jak ta, na której ona, na prośbę Danki, napisała wiadomość do nieznanego mężczyzny. Oczywiście w pisaniu na kartkach wyrwanych z zeszytu nie było nic niezwykłego, ale wiadomość do Madejskiego okazała się być anonimem z pogrózkami. Tej samej nocy, której poznała treść anonimu, Madejski zginął. Podobno śmiercią samobójczą. Samobójstwo nie było jednak całkowicie potwierdzone, skoro jego brutalni koleżkowie porwali ją i długo przepytывali. Porwali także wtedy Bogumiłę, córkę majora SB, więc wyglądało na to, że wywęszyli jakiś związek między śmiercią Madejskiego a śmiercią tamtego oficera. Ona także miała powody, aby nie wierzyć w samobójstwo, bo przecież poznała treść anonimu. Ktoś groził Madejskiemu śmiercią. Nigdy jednak nikomu nie wspomniła ani o anonimie, ani o pogrózkach. Nie wyjawiała tej tajemnicy nawet tym oprawcom z SB, którzy ją uwięzili i poniżyli. Madejski także ich prawdopodobnie o nim nie poinformował, bo pytali ją o wiele rzeczy, a o anonim nie pytali, czyli o nim nie wiedzieli.

- Ciekawe gdzie się podziała kartka? Czyżby jej nie znaleźli? Czyżby Madejski ją zniszczył? – dziwiła się i cieszyła jednocześnie, gdyż odnalezienie anonimu mogło jedynie być przyczyną jeszcze większych kłopotów.

- Wszystkie te moje skojarzenia są niejasne i poplątane – pomyślała, siedząc już w pociągu. – Łączę Dankę z anonimem i z samobójstwem Madejskiego tylko dlatego, że raz poprosiła mnie o napisanie kilku słów na kartce w kratkę i że na takiej samej kartce Madejski otrzymał pogróżki, no i jeszcze dlatego, że Danką jako jedyną wiedziała o moim związku z Madejskim oraz o tym, jak okrutnie mnie traktował. Od początku radziła mi, żeby z nim zerwać i szybko wyprowadzić się z Koszalina. Ostrzegła, że postawienie się funkcjonariuszowi MO może skończyć się dla mnie wielkimi nieprzyjemnościami.

- Oni są bezkarni – twierdziła. – Jesteś za słaba, aby uchronić się przed nim. Ma nad tobą władzę. Musisz wyrwać się z matni, w której cię trzyma. Możesz przecież zamieszkać u ciotki, zanim nie sprzedasz, albo nie zamienisz mieszkania. Pracę w Lęborku znajdziesz bez problemu.

- Danką miała rację – pomyślała teraz Maja. – Niepotrzebnie straciłam dwa lata życia i naraziłam się na wszystkie nieprzyjemności, które mnie spotkały.

Zapatrzyła się w obrazy migające za oknem pociągu. Puste ciemne pola, огоłocone z liści drzewa, wąskie drogi prowadzące w dal, w której tu i ówdzie zapalały się światełka. Ludzie wrócili do swoich domów i korzystali z sobotniego wieczoru. Jutro dzień wolny od pracy. Niedziela.

- Wracam do Lęborka – pomyślała z ulgą. – Do męża i do dzieci. A w poniedziałek także do pracy.

Kartka w kratkę, na której napisany był dziwny tekst i niepokojące stwierdzenie „czas umierać”, od dawna nie istniała. Bożena Madejska znalazła ją w papierach męża i zniszczyła, zanim papiery zabezpieczyła milicja. Była kobietą rozsądną, przewidującą i zapobiegliwą. Liczyły się dla niej tylko dzieci. Nie chciała, aby dowiedziały się o podwójnym życiu ojca, o tajemniczych listach z pogróżkami i niechlubnej śmierci; nieważne, czy śmierci samobójczej, czy z obcej ręki. Ojciec miał pozostać dla dzieci wzorem człowieka odważnego o nieskazitelnym życiorysie. Powinny go wspominać jako pełnego poświęcenia milicjanta, który zginął na służbie. Sama zdusiła w sobie przykrą wiedzę o jego kochankach i krzywdach, które

jej wyrządził. Treść nieszczęsnej kartki świadczyła o tym, że skrzywdził nie tylko ją. Po jego śmierci wołała o niczym nie wiedzieć. Nie chciała także, aby wiedzieli inni.

Z biegiem lat sama coraz mocniej wierzyła w wyidealizowany obraz zmarłego męża. Umacniały ten obraz także opowieści Wieśka. Wiesiek Bąk, najbliższy współpracownik Jana, bardzo jej pomógł przejść przez najcięższy czas po śmierci męża. Nadal, po prawie dziesięciu latach, pozostawali w dobrych relacjach, a jej dom stał się dla niego drugim domem. Wiesiek w pewnym stopniu zastępował ojca dzieciom. Dzieci nie były już jednak dziećmi. Dorosły i wyrosły. Udało się. Ojciec nadal był dla nich wzorem, a Wiesława uważały za najlepszego przyjaciela. Jakże Wiesiek był inny od Jana. Jan zawsze unikał domowych kłopotów i uciekał przed nimi w pracę i wiadomo, gdzie jeszcze. A Wieśkiem mogła prowadzić długie rozmowy, a właściwie długie monologi. Wiesiek niewiele mówił, lecz potrafił słuchać. Nie zamieszkali razem, bo wystarczyła im przyjaźń, bliskość i pomoc, której sobie wzajemnie udzielali.

Tadeusz Pawlik długo stał samotnie nad miejscem ostatniego spoczynku Danuty Kamiennej. Paszko zabrał elegancką piękną nieznajomą do swojego auta i odjechał. On miał jeszcze trochę czasu do najbliższej Jedyńki, którą chciał wrócić do Strzeżenic. Odczuwał głęboki smutek, dręczyły wyrzuty sumienia i opanowało nieznane dotąd przygnębienie. Był prostym człowiekiem przyzwyczajonym do ciężkiej pracy, mężczyzną silnym psychicznie i nie rozczulającym się nad sobą. Teraz jednak, nad grobem Danuty, dopadły go przykre wspomnienia z przeszłości i ciążyły jak nigdy dotąd. Wolałby o nich zapomnieć, ale nagła samobójcza śmierć Danki poruszyła go głęboko i przywołała zdarzenia, o których przez minione od nich lata starał się nie myśleć.

Od dawna nie był już milicjantem, a właśnie ta jego milicyjna przeszłość uderzała w niego teraz z podwójną, niszczącą spokój siłą. Wiedział, że upłynie dużo czasu zanim wróci do równowagi. Był poniekąd przyzwyczajony do samodzielnego borykania się z przeszłością. Nosił w sobie trudne tajemnice. Jedną z nich była oczywiście wiedza o zabójstwie Miszkiewicza przez wysokiego rangą funkcjonariusza SB. Późniejsza śmierć funkcjonariusza stanowiła, według niego, sprawiedliwą karę za tę nieukaraną zbrodnię. Wstydział się, że on, który wiedział o wszystkim od dawna, nie miał odwagi, żeby albo ujawnić sprawcę, albo go samemu ukarać. Ktoś musiał zrobić to za niego.

Miał także na sumieniu swoją godną pożałowania beczynność po wypadku, w którym zginęli mąż i mały synek Danuty. Nigdy nie byli blisko z Danutą, ale znali się przez wspólną

przyjaciółkę jego i jej rodziców, panią Malinowską. Uczestniczył w pogrzebie męża i synka Danuty razem z całym tłumem ludzi poruszonych jej nieszczęściem, znajomych i nieznajomych. Słuchał bolejącego nad jej stratą księdza, który wyrażał uczucia żywione przez wszystkich uczestników smutnej uroczystości. Nie ośmielił się jednak podejść do sztywnej od środków uspokajających wdowy, żeby złożyć kondolencje. Czuł się współwinnny, bo doskonale wiedział, że bliskich Danuty zabił milicyjny radiowóz, a właściwie kierujący radiowozem milicjant. Na komendzie w Koszalinie tajemnicą poliszynela było to, że kierujący miał we krwi sporo alkoholu. Gdyby wypadek spowodował pijany cywil, trafiłby na kilka dobrych lat do więzienia, gdzie za spowodowanie śmierci dziecka zostałby nieźle przewalkowany przez przestrzegających bajery git-ludzi, którzy nienawidzili krzywdzicieli dzieci.

- Pijany milicjant nie poniesie kary – myślał z przykrością i wstydem podczas pogrzebu ofiar nieszczęśliwego wypadku. – Chyba, że za karę uznać kilka przykrych momentów niepewności, czy koledzy na pewno szybko wyciągną go z opresji.

Po kilku tygodniach od wypadku kolega, także milicjant, który wiedział, że Pawlik zna żonę i matkę zabitych, podał mu nazwisko funkcjonariusza prowadzącego radiowóz – Jan Madejski. Nie kojarzył człowieka. Pracowali w innych wydziałach. Po krótkim czasie zaczął go jednak rozpoznawać. Od wypadku minęło niewiele czasu, sprawa jeszcze była w toku, ale nigdy nie zauważył na twarzy winnego śmierci dwóch ludzi śladu smutku, zmartwienia, z troskania czy przygnębienia. Przeciwnie, dostrzegał butę i pewność siebie. Śledził jak z czasem Madejski, milicjant z Wydziału Kryminalnego, robi szybką karierę i wyrabia sobie opinię doskonałego śledczego. Nie dziwił się więc, gdy jego nazwisko pojawiało się coraz częściej w gazetach, piszących o skutecznym tropieniu przestępców. Pojawiło się także, ale już bez medialnego rozgłosu, przy sprawie Porębkiewicza, a potem Zydrewicza.

Śmierć obu typów spod ciemnej gwiazdy nie martwiła go. Nie zmartwiła go także wieść o śmierci Madejskiego, który podobno popełnił samobójstwo w tym samym roku, w którym zginął Zydrewicz. Teraz jednak patrzył zupełnie inaczej na tamte wydarzenia sprzed prawie dziesięciu lat, ponieważ wiedział o nich to, czego nie wiedzieli inni. Wiedza, którą posiadał od niedawna, ciążyła mu niezmiernie. Nie mógł sobie ulżyć, dzieląc się nią z kimkolwiek. Uważał, że poza nim i jeszcze jedną osobą nikt nie powinien jej znać. Postanowił, że nie dopuści do tego, aby kiedykolwiek ujrzała ona światło dzienne i pojawiała się, okrojona z tego, co najistotniejsze, na pierwszych stronach gazet.

Ciążącą mu i niesamowicie przykrą wiedzę zawierał notatnik znaleziony przez Cześka Szelca, mieleńskiego komendanta i dawnego kolegi z roboty. Nie utrzymywali nigdy bliższych kontaktów, a po jego odejściu ze służby widywali się rzadko i zawsze przypadkowo. Zamieniali w czasie tych przypadkowych spotkań kilka zdań i szybko rozstawali. Nie mieli już wspólnych tematów. Problemy służbowe Szelca nigdy go nie interesowały.

Naturalny brak wzajemnych kontaktów sprawił, że był niezmiernie zaskoczony, gdy w niedzielę 28-mego listopada wieczorem, czyli, teraz to wiedział, dzień po śmierci Danuty, Szelc zapukał do drzwi jego domu w Strzeżenicach. Drzwi otworzyła najmłodsza córka, niechętnie odrywając się od telewizora, przed którym siedziała cała rodzina i oglądała serial „Dom”.

- Tato – powiedziała dziesięciolatka, wróciwszy do pokoju. – Pan do ciebie. To jest ten milicjant z Mielna, ale nie poznałam go od razu, bo nie ma munduru.

Zdziwił się. Nie spodziewali o tej dość późnej porze nikogo, a już z pewnością nie spodziewali się wizyty Czesława Szelca w cywilnym ubraniu. Wyszedł z pokoju na korytarz. Córka wpuściła tam gościa, ale nie zapaliła światła, więc w ciemności widział jedynie jego niewyraźną sylwetkę. Zapalił światło.

- Coś się stało? – zapytał, przysłaniającego dłonią oczy gościa, zamiast się z nim przywitać.

- Czy możemy gdzieś dyskretnie porozmawiać? – odpowiedział gość pytaniem na jego pytanie i wyciągnął do niego na powitanie dłoń, którą jeszcze przed sekundą osłaniał oczy przed ostrym światłem stuwatowej żarówki.

Pawlik zorientował się natychmiast po skupionym wyrazie twarzy mieleńskiego komendanta, że sprawa, z którą przyszedł jest poważna. Nie wrócił do pokoju, żeby uprzedzić rodzinę, że wychodzi. Założył kurtkę i wyprowadził Szelca na podwórze. Pies przy budzie szczekał jak oszalały.

- Wyjdźmy na drogę – zaproponował gość. – Tu będę musiał krzyczeć.

Opuścili obejście i wyszli na ciemną pustą drogę. Szli w milczeniu.

- Mów co się stało, bo jestem coraz bardziej zaniepokojony – zażądał Pawlik, nie mogąc doczekać się informacji, z którą przyszedł komendant. – Któreś z moich dzieci nabroilo? Dlatego nie chciałeś mówić przy reszcie rodziny?

- Nie o to chodzi – odpowiedział tamten z ociąganiem, jakby jeszcze zastanawiał się, od czego zacząć wyjaśnienie swojej nagłej wizyty. – Nie o to chodzi – powtórzył.

- Czesiek! – wrzasnął Pawlik i zatrzymał się. – Mów do jasnej cholery!
 - Dobrze – zgodził się Szalc. – Przysięgnij jednak najpierw, że to, co powiem zostanie między nami. Nikt się o tym nie może dowiedzieć. Przysięgnij! – zażądał niecierpliwie.
 - Zwariowałeś! – zdziwił się. – Na co ja mam przysięgać!
 - Jeśli nie wierzysz w Boga, przysięgnij na rodzinę – ściszym głosem powiedział Szalc.
 - Na nic i na nikogo nie będę przysięgał. Jeśli mi nie ufasz, to po co zawracasz mi głowę. Mogę tylko dać ci słowo honoru, że skoro zależy ci na dyskrecji, to nikt się o niczym ode mnie nie dowie.
 - Zgoda. To mi wystarczy. Posłuchaj – rozpoczął dłuższą opowieść Szalc. – Wczoraj w nocy Danką Kamienna popełniła samobójstwo.
 - Boże! – zmartwił się szczerze. – Biedna kobieta. Tyle wycierpiała.
- Szalc opowiedział, co się dokładnie stało i dodał:
- Byłem pierwszy na miejscu wypadku i jako jeden z pierwszych obejrzałem jej mieszkanie. Może nie powinienem ruszać niczego przed przyjazdem ekipy z Koszalina, ale coś mi nie dawało spokoju. Kazałem wszystkim opuścić pomieszczenie pod pozorem ewentualnego zatrucia czadem. Zostałem sam i stałem przy otwartym oknie. Nagle coś mnie tknęło i zajrzałem do szafy. Na dnie dolnej szuflady znalazłem to.
- Szalc sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął z niej szkolny zeszyt, z tych grubszych ze sztywnymi tekturowymi okładkami, i podał Pawlikowi. Ten wziął zeszyt i obracał w rękach, jakby nie wiedział co ma z nim zrobić: zatrzymać, oddać czy otworzyć. Zdecydował się otworzyć. Spojrzał na pierwszą stronę. Strona wypełniona była drobnym pismem, którego nie można było jednak odczytać, gdyż w ciemności nocy litery odcinały się od bieli kartki, ale zlewały w jedną czarną linię.
- Co jest w tym zeszycie? – zwrócił się z pytaniem do kolegi.
 - To są wyznania Danuty. Ja przeczytałem tylko dwie pierwsze strony i stwierdziłem, że dalej nie przeczytam, bo musiałbym poinformować przełożonych. A tego nie chcę robić. Dlatego proszę ciebie jako dawnego kolegę i byłego milicjanta, żebyś przeczytał i zapomniał, albo od razu zniszczył zeszyt. Sam zdecydujesz.
 - Dlaczego sam go nie zniszczyłeś? – zapytał Pawlik, choć dobrze znał powód.

Powód mógł być tylko jeden. Szelc, będąc milicjantem na służbie, nie mógł sam siebie zmusić do zniszczenia dowodu w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Pawlik nie miał pojęcia, o jakiej konkretnej sprawie informuje treść zeszytu, ale sprawa ta z pewnością musiała mieć coś wspólnego z osobą Danuty Kamiennej. Gdy sobie to uświadomił, zadrżał.

- Czyżby ktoś zmusił ją do samobójstwa? – zapytał, bo właśnie szantaż i przymus przyszły mu natychmiast do głowy.

Czesław Szelc milczał. Najwyraźniej nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania. Patrzył w otaczającą ich ciemność, jakby wypatrywał jasnych punktów oświetlonych okien. Może zapragnął zobaczyć już okna własnego domu, skryć się w nim jak w bezpiecznej ciepłej przystani, gdzie można zapomnieć o pozostającym na zewnątrz złu świata.

- Cześć – powiedział nagle. – Muszę już iść.

- Może cię podrzucić? - krzyknął za nim Pawlik, ale tamten tylko machnął ręką. – Daleko nie ma – pomyślał były milicjant i wrócił do domu.

Zeszyt schował w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Cóż, będę musiał przeczytać to co Danka napisała. Przynajmniej tyle jej się ode mnie należy – westchnął ciężko.

Wszedł do korytarza i powiesił płaszcz tak, aby nie można było zauważyć zawartości wewnętrznej kieszeni.

– Ale gdzie ja mam czytać, żeby nikt nie zauważył? – zastanawiał się bezgłośnie, ale na razie żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy.

- Może jednak spalę zeszyt i zamówię za Dankę mszę – rozmyślał w nocy, kręcąc się niemilościwie we własnym łóżku, aż żona zaczęła się skarżyć, że ją budzi. – Przecież chodziła do kościoła przed wypadkiem. Jej rodzice byli bardzo wierzący.

Następnego dnia rano porzucił myśl o spaleniu zapisków i uznał, że jest tylko jeden sposób ukrycia się przed oczami żony i rodziców – dzieci miały swoje sprawy i nie interesowały się zbytnio tym, co robi – a mianowicie udawanie choroby i leżenie w łóżku. Pomysł nie przypadł mu za bardzo do gustu, ale nic lepszego nie wymyślił. Leżenie w łóżku było dużo lepsze niż schowanie się gdzieś poza domem.

- Przecież nie będę siedział jak głupi w stodole, albo krążył po polach – tłumaczył sobie i kombinował:

- Pracy w gospodarstwie nie ma teraz wiele, więc poradzą sobie beze mnie. Powiem, że znów rozboleły mnie korzonki, to nie każą mi jechać do lekarza.

Tak, jak przewidywał, jego bolącymi korzonkami nikt się zbytnio nie zmartwił. Żona przygotowała mu termofor z gorącą wodą do grzania bolących pleców i zajęła się robotą. Zabrał po cichu zeszyt z kieszeni płaszcza i ulokował się pod kocem na wąskim twardym tapczanie w małym bocznym pokoju, do którego rzadko ktoś zaglądał.

7. Zeszyt: 31 października 1982, niedziela



Niedziela, 31. 10. 82

Straciłam wszystko i nie mogę już żyć. Od śmierci Bogdana włada mną już tylko lęk. Najgorsze są nocne przebudzenia, kiedy po sekundzie, w czasie której leżę w stanie sennego zapomnienia, wspomnienia nagle wracają i uderzają z potworną siłą. Nie panuję wtedy nad myślami a moje ciało zamienia się w ściśnięty lękiem i bólem bezwolny tłumok. Nie jestem w stanie wstać, choć leżenie jest psychiczną i fizyczną torturą. Wiem, że zasłużyłam na te męczarnie. Domaga się tego sprawiedliwość, o którą przecież sama przez lata walczyłam. Ale sama już nie wiem czy śmierć Bogdana wpisuje się w tę walkę. Może zginął nie za to, co zrobił innym, nie za to, kim był, ale z powodu odrzuconej miłości?

W jego przypadku wszystko bowiem odbyło się inaczej niż wcześniej. Nie było planu i precyzyjnych przygotowań. Nie było kontroli i zimnego podejścia. Była gorycz, wstyd i

cierpienie opuszczonej kochanki. I właśnie dlatego, już po wszystkim, pozostały wyrzuty sumienia, że moje intencje nie były czyste. To prawda, że Bogdan zasłużył na śmierć, bo tylko śmierć jest sprawiedliwą karą za zdradę. A on zdradził wszystko i wszystkich: przyjaciół, ideały i miłość. Był zwykłym przebiegłym kapusiem i zdrajcą, który sprzeda każdego za marnych trzydzieści srebrników.

Judasz sam zrozumiał swój upadek i powiesił się, a Bogdan, kiedy zobaczyłam go niespodziewanie przed dwoma miesiącami na manifestacji solidarnościowej, wydawał się z siebie bardzo zadowolony. Obserwowałam go przez dłuższy czas tak, aby nie mógł mnie widzieć. Stał trochę na uboczu i z cynicznym uśmiechem patrzył na rozemocjonowany tłum. Czuł się lepszy. Nawet nie starał się udawać, że coś go łączy z ludźmi rozgoryczonymi odebraniem im wolności we wszystkich obszarach życia i żądających przywrócenia im nadziei na lepszą przyszłość. Nie skandował haseł i nie podnosił ręki z palcami rozsuniętymi w kształcie litery V. Trzymał ręce w kieszeniach jasnych spodni a ciemne okulary zsunął niedbale na tył głowy. Wyglądał na zrelaksowanego. Znów poczułam dreszcz w całym ciele, jak zawsze wtedy, gdy patrzyłam na niego w Mielnie, idącego na spotkanie ze mną. Wtedy uważałam go za jednego z nas, za osobę tak samo tęskniącą za wolnością i demokracją jak miliony zwykłych członków i sympatyków solidarnościowego ruchu.

- Po co tu w ogóle przyszedł – pomyślałam i ogarnęła mnie ogromna do niego nienawiść. – Dostał rozkaz od swoich przełożonych? Już kombinuje co napisać w raporcie i ile dostanie za to kasy?.

Kolejny raz uświadomiłam sobie, że z takim samym cynizmem, z jakim patrzy na manifestantów, bawił się także moją szczerą miłością. A ja, stara idiotka, otworzyłam się przed nim, jak przed nikim wcześniej. Oczywiście pomijając Jana.

Teraz wiem, że nic nie tłumaczy mojej głupoty, ale wówczas potrzebowałam bliskości i zapomnienia po tym wszystkim, co mnie spotkało, a o czym od prawie dziesięciu lat starałam się nie myśleć. Wydawało mi się, że wreszcie los się do mnie uśmiechnął, że stare rany zagoiły się, że pomimo wieku wracam do normalnego życia. Wybuch Solidarności potwierdzał moje nadzieje na całkowitą przemianę wewnętrzną i zewnętrzną, na spełnienie się mojej tęsknoty za królestwem sprawiedliwości. Odsłoniłam się. Poprzednie lata nie nauczyły mnie niczego. Zdjęłam pancerz, który był dobrze dopasowany do mojego wewnętrznego życia. Nic nie wydostawało się z niego na zewnątrz. Dusił mnie trochę, bo był ciężki i ciasny, ale zapewniał bezpieczeństwo i chronił przez ciosami ze świata. Gdy tylko go z siebie zdjęłam, natychmiast

zostałam ukazana. Całkowicie bezbronna, nie spodziewałam się podwójnego ciosu. Jeden zadała mi bliska osoba, drugi wojskowa hunta. W ciągu dwóch tygodni straciłam wszystko na czym mi zależało, na czym chciałam od nowa budować swoje życie. Jakżeż się wtedy myliłam! Zapomniałam, że za naiwność, głupotę i płonne nadzieje trzeba na tym świecie słono zapłacić.

Co nas czeka na tamtym świecie, o ile on istnieje, nie wiem. Mnie prawdopodobnie czeka coś gorszego niż tutaj. W cichości i samotności pojednałam się z Bogiem, w którego kiedyś wierzyłam. Niech zrobi ze mną co musi. Poddaję się jego decyzji i liczę jedynie na jego wszechwiedzę i miłosierdzie. Tylko on wie, czym się zawsze w życiu kierowałam i jakie były moje intencje, bo nawet ja już tego nie wiem. Może w jego oczach zasługuję na przebaczenie, bo w oczach ludzi pozostanę głupią przegraną kobietą i samobójczynią. A ja jestem przekonana, że jedynie śmierć może mnie uwolnić od piekielnych mąk, które mnie teraz dręczą i tylko śmierć może być ekspiacją za moje złe czyny.

Im dłużej patrzyłam na Bogdana obserwującego manifestację, tym większa stawała się moja nienawiść do niego. Widziałam w nim nie tylko oszusta, który zwiódł mnie, głupio zakochaną starą kobietę, ale także wszystkich ludzi, którzy mu zaufali.

- Ile osób straciło przez niego pracę, rodzinę i dobre imię? – zastanawiałam się. – Komu zmarnował karierę, a kogo przyprawił o rozpacz?

Od znajomych wiedziałam, że także został internowany. Nie miałam wątpliwości, że bezpieka wsadziła go do internatu po to, żeby znów zwiódł przyzwoitych ludzi i żeby na nich donosił.

- Jak mogłam nie zauważyć jego obłudy? – pytałam sama siebie, nie mogąc zapomnieć poniżenia i śmieszności, na które sama się skazałam.

Długo stałam w miejscu, gdzie nie byłam dla niego widoczna i obserwowałam go. Walczyły we mnie dwie wypierające się wzajemnie siły, siła nienawiści i siła miłości. Tak, niestety, siła miłości. Jest przecież możliwe nienawidzić i kochać jednocześnie. Pragnęłam zatem jego śmierci podwójnie. Chciałam, aby umarł z miłości do mnie i chciałam, aby umarł, bo moja do niego nienawiść odbierała życie także mnie.

Stan wewnętrznego rozdwojenia trwałby we mnie dalej, gdyby on nie wykonał ruchu, który ponownie odebrał mu godność w moich oczach. Zauważyłam, że sprytnie ewakuuje się, przewidując, że zaraz ruszy atak zomowców. Poszłam za nim. Nie zauważył mnie i nie mógł zauważyć. Wróciły bowiem te umiejętności, których nabyłam przed laty, a które nie były mi przez ostatnie lata potrzebne.

Pewnych rzeczy po prostu się nie zapomina. Nie zdradzałam się przed nikim z wieloma przedsięwzięciami, które podejmowałam w wolnym czasie, od kiedy przed wieloma laty zostałam zupełnie sama. Nikt na przykład nie domyślał się, że dużo czytam i że od dawna nie jestem tylko jedną z tych wielu prostych kobiet, które mówią niewyszukanym językiem o codziennych troskach, kłopotach i rozsiewają ploteczki. Nikt nie pomyślał, że sprzątanie cudzych brudów nie wyklucza wewnętrznego doskonalenia siebie.

Tak, przyznaję: sama jestem prostą kobietą i wśród takich samych prostych kobiet przebywałam na co dzień. Zawsze szanowałam prostych ludzi i ich problemy, bo zawsze do nich należałam i nadal należę. Proste jest moje pochodzenie, brakuje mi formalnego wykształcenia i całe życie wykonywałam zawód, który nie cieszył się społecznym poważaniem.

Tak, przyznaję: przebywałam wśród prostych ludzi i z prostymi ludźmi rozmawiałam o prostych rzeczach. Muszę też jednak przyznać, że w gruncie rzeczy ja ich przeważnie tylko słuchałam. Nie było to trudne, bo ludzie lubią mówić o sobie i niewiele obchodzi ich osobiste historie innych. Każdy tylko szuka ucha do słuchania, a sam uchem być nie chce. Ja chciałam nim być i byłam. Nie z pogardy dla codziennych spraw. Przeciwnie, dlatego, że je szanuję, rozumiem i cenię. Ale ja nie miałam spraw codziennych. Moją codziennością byłaby jedynie praca, gdybym nie wypełniała czasu czytaniem.

Czytałam nie tylko literaturę piękną, ale także podręczniki psychologii, pedagogiki, prawa i kryminalistyki. Interesowała mnie bowiem ludzka psychika i jej zawilości, a szczególnie możliwość jej formowania, sposoby przekształcania kogoś, kto wyrządza innym zło, w porządnego człowieka. Interesowało mnie to, czy sprawiedliwa kara działa uzdrawiająco na sprawcę, czy może potrzebują jej ci, którzy doznali krzywdy, a może służy ona po prostu rządzącym do utrzymywania społeczeństwa w ryzach. Czymże zatem jest poczucie sprawiedliwości? – pytałam i poszukiwałam na to pytanie odpowiedzi w książkach napisanych przez ludzi wykształconych i mądrzejszych ode mnie. Tych odpowiedzi było tyle, ile piszących. Postanowiłam zatem wierzyć sobie.

Teoria oczywiście bardzo się przydaje. Wypływamy na jej rozległe wody i trenujemy utrzymywanie się na powierzchni. Kiedy już doskonale umiemy pływać, po prostu wracamy na swój brzeg. Wychodzimy z oceanu wiedzy i mierzymy się z tym, co na nas na naszym brzegu czeka. Na brzegu nie potrzebujemy sprawności w pływaniu, lecz w skutecznym działaniu. A działamy, aby osiągnąć to, na czym nam najbardziej zależy. Wiedza wskazuje nam sposoby skutecznego działania. Cele działania są w nas.

W tamtych odległych latach, o których teraz piszę, znałam swój główny cel a zdobyta wiedza, myślałam, pomoże mi ten cel osiągnąć. Nie myliłam się. Przydała się szczególnie ta, z zakresu kryminalistyki. Poznałam możliwości, którymi dysponują śledczy. Stwierdziłam, że nie są one zbyt wielkie, więc w gruncie rzeczy wykrycie sprawcy przestępstwa zależy głównie od ich inteligencji, doświadczenia i pomysłowości. Zdałam sobie sprawę z tego, że milicyjne działania podlegają tym samym czynnikom co działania zwykłych obywateli. Bałagan rodzi bałagan, a brak fachowości i determinacji powoduje fatalne dla prowadzonego śledztwa zaniedbania. Szukając literatury fachowej skupiałam się także na anatomii. Chciałam szczegółowo poznać ludzkie ciało tylko po to, aby znać lokalizację miejsc podatnych na śmiertelne urazy.

Osiągnięcie mojego celu wymagało także fizycznej sprawności. Nie brakuje książek traktujących o ćwiczeniach fizycznych i tych wyrabiających koncentrację i psychiczną wytrzymałość. Cierpliwe i systematyczne praktykowanie ćwiczeń naprawdę przynosi dobre rezultaty. Reszta zależy od nas samych. Trzeba być zdyscyplinowanym i nieustępliwym.

Rozpisałam się. Wspomnienie tego czasu, kiedy to dobrze wiedziałam, czego chcę i jak to osiągnąć, przynosi mi ulgę. „To były dobre czasy” mogłabym napisać, gdybym nie znała późniejszych wydarzeń i ich konsekwencji. W każdym razie stare umiejętności odżyły i byłam dobrze przygotowana do działania wtedy, gdy szłam za Bogdanem feralnego 31-szego sierpnia tego roku.

Bogdan długo siedział na ławce w parku. Palił papierosa i nasłuchiwał odgłosów walki, którą zomowcy zafundowali manifestantom. Nie interesowało mnie już to, o czym myśli, co zamierza zrobić i kim jest. Skupiłam się na obserwowaniu jego ruchów, rozpoznaniu terenu i planowaniu akcji. Uderzenie znienacka było jak najbardziej możliwe. Po prawej miałam stare mury obronne z ich zagłębieniami i załomami, a po lewej rzekę Dzierżęcinkę. Założyłam, że Bogdan nie wróci już na ulicę Młyńską, ale pójdzie w kierunku ulicy Zwycięstwa, bo na wysokości parku na ulicy Zwycięstwa panował spokój. Gardziłam teraz jego tchórzostwem. Uciekał jak szczur z tonącego okrętu.

- Tylko tchórz staje się zdrajcą – pomyślałam z satysfakcją.

Oddaliłam się od miejsca, w którym siedział i czekałam na niego dalej, ukryta za załomem muru. W ręce trzymałam znaleziony wcześniej solidny kamień. Zajmowało mnie już tylko to, jak ustawić swoje ciało, aby celnie i mocno trafić w głowę z najlepszym skutkiem.

- Silne uderzenie w potylicę, w tak zwany punkt vitalny, powinno uszkodzić mózg tak z tyłu, jak i z przodu, bo czaszka po uderzeniu przesuwają się szybciej niż mózg – powtarzałam w głowie. - Nie jest dużo wyższy ode mnie, więc odpowiednie ułożenie ręki powinno wystarczyć.

Kiedy minął miejsce, w którym na niego czekałam, ruszyłam za nim, starając się bezgłośnie stawiać kolejne kroki. Wcześniej sprawdziłam czy alejka jest pusta. Nie szedł szybko, więc dopadłam go po kilku sekundach, oparłam lewą rękę na jego ramieniu, aby mieć dobre podparcie, a prawą uderzyłam. Nie zdążył się odwrócić. Padł na twarz. Nie przyglądałam się i nie sprawdziłam, czy jeszcze żyje, bo dotyk jego ciała - moja dłoń położona na jego ramieniu – przeszył mnie boleśnie. Dotychczasowe skupienie się na działaniu, które aż dotąd pozwalało mi zachować zimną krew, ulotniło się, a powrócił żal i poczucie nieszczęścia. Od tamtej chwili przestałam nad sobą panować. Pamiętam tylko, że wrzuciłam kamień do Dzierżęcinki i przeszłam na drugą stronę muru. Schowałam się za starą zamkową kaplicą i szlochałam. Kiedy ochłonęłam, wróciłam ulicą Mickiewicza, a potem Asnyka na Młyńską i wkrótce znów znalazłam się na placu przed ratuszem. Walka jeszcze trwała, choć zomowcom udało się rozproszyc manifestantów i łapali teraz poszczególne osoby, aby je wypalować. Stałam i patrzyłam na to, co się dzieje, a w głowie miałam tylko jedno. Chciałam, żeby i mnie dopadli i zapalowali na śmierć. Nie miałam jednak siły, aby biec, a właśnie biegnące osoby rozjuszały zomowców najbardziej. Stałam i dusiłam się gazem łzawiącym tak bardzo, że moje płuca zmusiły mnie, prawie bez mojej zgody, do szukania tlenu za budynkiem ratusza. Stały tam milicyjne suki zapakowane aresztowanymi.

- Odejść stąd! – wrzasnął na mnie kierowca jednej z nich. – Odejdź stąd kobieto! – powtórzył.

Odeszłam w stronę ulicy Kazimierza Wielkiego, aby nie zbliżać się do parku, w którym zostawiłam Bogdana. Szłam długo okrężną drogą w stronę dworca PKP, aby dotrzeć do przystanku Jedyński.

Od tamtego wydarzenia nie zaznałam już spokoju i myślę tylko o tym, aby odejść z tego świata. Nie mam już na nim nikogo bliskiego, ani życzliwego. Jestem zupełnie sama. Zanim odejdę, chcę przyjrzeć się swoim poprzednim czynkom i sprawdzić, czy były one tak samo obiektywnie nieusprawiedliwione jak ten ostatni. Czy także wynikały z mojego osobistego poczucia krzywdy? A przecież zawsze starałam się powstrzymywać uczucia i postępować według obiektywnej, jak wierzyłam, zasady. Teraz już nie potrafię siebie ocenić. Straciłam wszelką pewność co do słuszności mojego postępowania, tak w odległej przeszłości, jak i ostatnio.

Pisząc, mam jednak nadzieję, że ktoś, kto być może przeczyta kiedyś moje zwierzenia, zrozumie, lepiej niż ja jestem teraz w stanie pojąć, że we wcześniejszych przypadkach rzeczywiście kierowałam się tylko i wyłącznie wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości, które będąc moim, było jednakże poczuciem danym każdemu człowiekowi, a więc obiektywnym. Tak więc moje osobiste uczucia nie miały na moje decyzje i działania istotnego wpływu.

Może się wydawać, że ostatni przypadek, ten sprzed dziewięciu lat, gdy kara dosięgła winnego śmierci Jana i Jasia, wydarzył się, bo kierowałam się chęcią osobistej zemsty. Nie jest to jednakże prawdą. W gruncie rzeczy bowiem śmierć mojego męża i mojego dziecka nie była wtedy głównym powodem działania. I tym razem zależało mi jedynie na ukaraniu kogoś, kto był winien śmierci niewinnych, ofiar. Na niczym więcej. To, że ofiarami były osoby, które kiedyś kochałam, wówczas już się nie liczyło. Nigdy nie byłam fantastką. Nie chciałam naprawiać całego świata. Wyroki sądów też nie to mają przecież na celu. Wiem jednak, a przynajmniej wtedy wiedziałam, że słuszną śmierć winowajcy przywraca zachwianą harmonię świata. Przywraca ją tylko na krótki czas, być może tylko na chwilę, ale wytrwałe przywracanie harmonii w świecie, nawet na krótko, pozwala wszystkim ludziom zachowywać wiarę w ziemską sprawiedliwość i tym samym w sens ludzkiego życia w ogóle.

8. Zeszyt – 1 listopada 82, poniedziałek



Poniedziałek, 1.11.82

Dziś dzień Wszystkich Świętych, ale nie odwiedzę grobu rodziców, męża i Janeczka i nie zapalę im świeczek. Wkrótce do nich dołączę, choć pewności mieć nie mogę, bo przecież oni wszyscy byli bez winy, a ja wzięłam na siebie ciężar nie do udźwignięcia i czyny, za które być może nigdzie, nigdy i od nikogo nie otrzymam przebaczenia.

Wczoraj zaczęłam zapępniać kartki tego zeszytu i to sprawiło, że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Przywoływałam w myśli wydarzenia bardzo mnie poruszające i prawdopodobnie dlatego bardzo wyraziste oraz dokładne. Pojawiły się też takie, których szczegóły zatarły się w mojej pamięci z biegiem lat. Te odtworzyłam na tyle, na ile było to możliwe. Jestem zmęczona całonocną bezsennością, ale ta sama bezsenność miała tę dobrą stronę, że nie przeżywałam dziś nad ranem tego potwornie bolesnego nagłego przebudzenia, po którym atakują mnie pomieszane bezładnie obrazy i ogarnia przytłaczający lęk. Wstałam, mając wreszcie spokojny umysł i zasiadłam do dalszego pisanie.

Nie piszę ani pamiętnika, ani dzienników. Pisząc, przyglądam się swoim własnym czynom, aby raz jeszcze rozważyć ich słusność i ocenić rozmiar mojej ewentualnej winy. Oceniam samą siebie z mojego punktu widzenia. Mój punkt widzenia wypracowałam dwa lata po śmierci najbliższych i najbardziej ukochanych osób, męża i syna. Zginęli w 1964-tym roku, a w 1966-tym na tyle odzyskałam psychiczną równowagę po ich stracie, że mogłam zacząć trzeźwo myśleć. Tak właśnie, tylko myśleć, bo uczucia we mnie całkowicie zamarły. Opuściłam bez

najmniejszego żalu rodziców, wiedząc przecież, że starzeją się i w starości zdani będą tylko na siebie. Chyba mi to już dawno, a może nawet natychmiast wtedy, wybaczylim.

Winą za wypadek spowodowany przez pijanego milicjanta obarczono nas, a właściwie Jana. Podobno szliśmy po niewłaściwej stronie drogi a Jan, który niósł na ramionach zmęczonego wyprawą do Mielna Jasia, zatoczył się i wpadł pod prawidłowo jadący radiowóz. Podobno Jan miał we krwi alkohol i dlatego nie utrzymał równowagi. A przecież w Mielnie Jan wypił tylko jedno piwo. Wszystkie ówczesne ustalenia milicji, to były same kłamstwa, których wtedy nie mogłam obalić, a tym bardziej ich pojąć, czy się z nimi pogodzić. niesprawiedliwe oskarżenia i jeszcze bardziej niesprawiedliwa decyzja o zakończeniu dochodzenia i złożeniu winy na mojego męża, złamały moją wiarę w sądy i wymierzaną przez sądy sprawiedliwość. Czułam się bezradna i zrozpaczona. Znajomi kiwali z troską i współczuciem głowami, ale nikt nie doradził mi co powinnam zrobić.

- Takie jest życie – słyszałam. – Silniejszy zawsze jest górą. Z milicją nie wygrasz. Nic nie poradzisz. Ból po stracie przeminie. Jesteś jeszcze młoda. Spotkasz kogoś. Zapomnisz.

Nawet znajomy milicjant udawał, że mnie nie poznaje, a przecież kto jak kto, ale on mógłby wtedy wyciągnąć do mnie rękę, podpowiedzieć, gdzie i u kogo szukać sprawiedliwości. Ale cóż, bardziej dbał o swą nędzną milicyjną posadkę niż o naprawienie dziejącej się niesprawiedliwości.

Kiedy minął ostry ból i znów zaczęłam myśleć, wiedziałam już z całą pewnością, że prości porządni ludzie zawsze przegrywają z trzymającymi się razem draniami, a już z pewnością z draniami, którzy dorwali się do władzy i uważają się za stojących ponad wszelkim prawem, nie tylko ludzkim, ale i boskim. Wiedziałam także, że sprawiedliwość może na nich spaść jedynie znienacka i z ręki kogoś, kto ma odwagę, aby dla przywrócenia sprawiedliwości w świecie narażać własne życie. A ja bardzo chciałam narażać swoje. Moje życie nie było już nic warte, ale mogło jeszcze odzyskać trochę sensu przez działania przywracające choć na chwilę podstawową harmonię świata. Gdy to zrozumiałam, zrozumiałam także, że nie mogę nic robić bez wcześniejszego przygotowania i, co najważniejsze, nie mogę angażować się emocjonalnie. Potrzebna była mi wiedza praktyczna, zimna krew, całkowita dyskrecja i, przede wszystkim, cierpliwość. Cierpliwość była najważniejsza. Cierpliwości wymagało czekanie na odpowiedni przypadek.

Przygotowanie zajęło mi kilka lat, a odpowiedni przypadek trafił się latem 1972-giego roku. Jeszcze raz powiadam, że nie byłam i nie jestem szalona. Nie chciałam zbawiać świata. Nie

zamierzałam sprawić, żeby świat stał się sprawiedliwy. Pragnęłam jedynie wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy staną na mojej drodze z bagażem krzywd wyrządzonych niewinnym i bezradnym ludziom, krzywd, za które nigdy nie zapłacili i nigdy nie zamierzali zapłacić. O tych krzywdach, rzecz jasna, musiałam najpierw wiedzieć. Musiałam także być pewna, że nie ma już żadnych szans, aby za dokonane krzywdy zapłacili w inny sposób niż ten, w który ja chciałam im zapłacić. Było dla mnie jasne, że muszą ponieść sprawiedliwą karę za to co zrobili, nie na jakimś innym świecie - w którego istnienie zwątpiłam - ale tu i teraz, w tym samym świecie, w którym popełnili swoje występki.

Pierwszym, którego los postawił na mojej drodze wtedy, gdy już czułam się gotowa do działania, był niejaki Władysław Porębkiewicz. Był odpowiednim przypadkiem. Znałam go dużo wcześniej, bo w latach pięćdziesiątych rządził jako ubek w mścickim pegeerze. Takie było wówczas jego paskudne zadanie, ale on wykonywał je ze szczególną radością i bezwzględnością. Był babiarzem i myślał, że może mieć każdą kobietę, która mu się spodoba. Trafiło na piękną, młodą i bardzo porządną panią Miszkiewiczową. Kiedy mu odmówiła intymnych kontaktów, zemścił się na jej mężu. Po prostu go zabił. Dowiedziałam się o tym od moich rodziców, a oni od pani Malinowskiej, która była zaprzyjaźniona z Pawlikami. Syn Pawlików, Tadeusz, ten sam milicjant, który później mi nie pomógł, wiedział skądś o zabójstwie, ale nic z tą wiedzą nie zrobił. Bał się ubeka. No cóż, wiedział, że ubeków się nie tyka bez przykrych konsekwencji. Tchórzostwo to najbardziej rozpowszechniona wśród ludzi wada.

Znałam Władysława Porębkiewicza jako młodego, jurnego i zadufanego w sobie funkcjonariusza, który wykorzystywał bez żadnego skrupowania swoje stanowisko, swoją władzę i strach zależnych od niego ludzi. A przecież zależał od niego los prawie wszystkich, z którymi się stykał. Można powiedzieć, że znałam Porębkiewicza dość dobrze, bo jako młodszy kolega z pracy, odwiedzał funkcjonariusza, u którego wówczas sprzątałam. Wpadał po prostu po fachową radę, po instruktaż, albo po to, aby poznać opinię bardziej doświadczonego kolegi w jakiejś kłopotliwej sprawie. Bardzo się wtedy bałam, że zapuka kiedyś do drzwi pod nieobecność gospodarzy i zacznie się do mnie dobierać. Nigdy nie byłam piękną, ale niczego, mówiąc nieskromnie, jako młodej kobiecie mi nie brakowało. Nie był aż tak bezczelny, żeby atakować mnie przy gospodarzach, ale jego wulgarne uwagi i gesty nie pozostawiały wątpliwości, że powstrzymuje się tylko ze względu na nich. Na szczęście dla mnie nigdy nie przyszedł, gdy byłam zupełnie sama. Zapamiętałam jednak dobrze jego bezczelną gębę i śliski uśmiezek.

Latem 1972-giego roku wpadłam na niego przypadkowo na ulicy Piastowskiej w Mielnie, gdy na chwilę wyszłam z sanatorium, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Szedł wolno w stronę plaży. Minął mnie, ale oczywiście nie poznał i nawet nie zwrócił na mnie uwagi. No cóż, kiedy widział mnie ostatnio miałam dwadzieścia lat. Zresztą czy zapamiętałby zwykłą dziewczynę do sprzątania? On, wielki pan, wyniesiony ponad innych przez nową i, o ironio, robotniczą władzę?

Zestarzał się, ale wyglądał nieźle. Pamiętałam, że lubił się dobrze ubrać. Kiedy go zobaczyłam, w ten ciepły letni dzień wypełniony plażową atmosferą, miał na sobie eleganckie jasne spodnie, koszulkę polo dobrej jakości i wygodne skórzane mokasyny założone na gołe stopy. Patrzyłam za nim długo. Kroczył dostojnym krokiem na plażę, opalony, spokojny i pewny siebie. Od razu poczułam, że wreszcie nadszedł dla mnie czas działania. Morderca pana Miszkiewicza, - tak, nawet nie zabójca, lecz właśnie morderca - zadowolony z siebie i wystrojony, beczelnie przechadzał się po świecie. Z pewnością nadal gardził głupkami, którzy utknęli na pierwszym stopniu społecznej drabiny, bo nie potrafili, tak jak on, złapać szansy i zrobić kariery przy boku komunistycznej władzy. Puszył się i korzystał z życia, jakby właśnie on najbardziej ze wszystkich ludzi zasłużył na dostatnią spokojną starość. A przecież był nie tylko mordercą, ale także rozpustnikiem! Skrzywdził wiele kobiet. Nie wiedziałam, ilu niewinnych ludzi ma na sumieniu, ale przecież już tylko za śmierć Miszkiewicza należała mu się sprawiedliwa kara.

Zaczęły się dla mnie dni wypełnione z jednej strony pracą, a z drugiej rozpoznaniem zwyczajów Porębkiewicza. Nie mogłam systematycznie go obserwować, bo o wzięciu urlopu nie mogło być mowy. W sezonie letnim było dużo roboty. Udało mi się jednak z czasem ustalić, gdzie mieszka – pojechałam za nim do Koszalina w jedną z wolnych niedziel, bo na szczęście zdarzały się takie od czasu do czasu. Poza tym los mi sprzyjał. Porębkiewicz często udawał się na plażę oraz wracał z niej, ulicą Piastowską, co znacznie ułatwiało śledzenie jego poczynąń, bez dłuższego urywania się z pracy. Odkryłam, że zagląda czasami do Baczkowskich, którzy zajmowali dom posadowiony na posesji trochę tylko oddalonej od Piastowskiej, a mianowicie przy ulicy Pionierów.

Nie znałam dobrze tych ludzi. Baczkowski pracował w Koszalinie i pomyślałam, że swój odwiedza swego, czyli że Baczkowski także jest byłym, albo jeszcze czynnym, funkcjonariuszem SB. Po kilku dniach porzuciłam tę myśl. Nie dlatego, że wypytałam o niego mieszkańców Mielna. Nie mogłam przecież ujawnić, że się nim interesuję. Po prostu porozmawiałam luźno z jego żoną, ot tak, przy jakiejś okazji. Miła i szczerą kobieta. Założyłam

więc, znając butę esbeckich rodzin, że Baczkowski także jest w porządku. Poza tym Baczkowscy całą rodziną chodzili w niedziele do kościoła, więc stwierdziłam, że chyba nie po to, żeby donosić służbom, co ksiądz Bieliński mówi podczas kazania. Pozostało jednak pytanie, po co Porębkiewicz zagląda do Baczkowskich. Odpowiedź znalazłam dość szybko, cierpliwie czekając pewnego letniego wieczoru, aż były esbek od nich wyjdzie. Wyszedł nieźle wstawiony.

- A więc chodzi o popijawy – pomyślałam i instynktownie zaczęłam obserwować także Baczkowskiego.

Opląciło się. Po pierwsze przyłapałam go na spotkaniach z Porębkiewiczem poza domem, a mianowicie na plaży pod Mielenkiem. Zauważyłam, że kiedy szedł na spotkanie, nie był zadowolony. Przeciwnie, wyglądał na wściekłego i przestraszonego. Spotkania były bardzo krótkie – widziałam je tylko dwa razy. Panowie ze sobą nie rozmawiali. Baczkowski wręczał Porębkiewiczowi jakiś pakunek i szybko odchodził. Ciekawiło mnie bardzo, co znajduje się w pakunkach. Tego dotyczy punkt drugi.

Po drugie odkryłam co Baczkowski przekazywał esbekowi. Pewnej nocy przyłapałam Baczkowskiego jak zakopywał coś we własnym ogródku, a potem poszedł ulicą Cichą nad morze – rozglądał się całą drogę, czy nikt go nie widzi – i zakopał coś pod sosną na wydmach. Poczekalam aż odejdzie i sprawdziłam. Znalazłam dużą butelkę szczelnie owiniętą w szmatę. Wyjęłam z butelki korek i uderzył mnie ostry zapach alkoholu.

- Spirytus – stwierdziłam i zakopałam znalezisko w tym samym miejscu.

– A więc Baczkowski ma dostęp do nielegalnego spirytusu i dzieli się nim, z własnej lub przymuszonej woli, z Porębkiewiczem – ustaliłam.

Na początku września, gdy skończył się sezon letni i miałam więcej wolnego czasu, odkryłam coś jeszcze, a mianowicie to, że Porębkiewicz spotyka się z młodą kobietą, nową nauczycielką z mieleńskiej szkoły podstawowej.

- A to bydlę – powiedziałam sama do siebie. – Jeszcze nie skończył, stary łajdak, z wykorzystywaniem młodych kobiet.

Nie miałam oczywiście pojęcia, dlaczego Bogumiła Mędrak – tak nazywała się ta młoda osoba, której już nie ma w Mielenie – zgodziła się na spotkania z dużo starszym od siebie facetem.

- Nie robi tego dobrowolnie – myślałam. – On ją zmusza. Przeklęty świntuch i drań!

Zanim dokładnie zaplanowałam akcję, zrobiłam jeszcze jedno odkrycie. Spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Przypomniałam sobie nagle pewnego dnia, że w ekipie, która przyjechała po pana Edka w latach pięćdziesiątych był Porębkiewicz. Edek, sterany życiem smutny samotnik, zniknął z pegeerowskiego placu w Mścicach i nikt go więcej nie widział. Mówiło się, że zamknęli go, a może i uśmiercili - nie pojawił się po amnestii w 56-tym roku - za udział w akowskim podziemiu po wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski. Nie miał biedak szczęścia. Nie doczekał tak zwanej odwilży. Widziałam jego aresztowanie przypadkiem. Stałam w oknie budynku biurowego mścickiego pegeeru i czekałam na spotkanie z matką. Ubeków, którzy przyjechali po byłego akowca widziałam z daleka, ale głowę dałabym sobie uciąć, że jednym z nich był właśnie Porębkiewicz.

Wyrok zapadł. Porebkiewicz spełniał wszystkie kryteria, które stawiałam typowanym do ukarania zbrodniarzom. Po pierwsze nie skrzywdził bezpośrednio mnie, więc z mojej strony nie było mowy o kierowaniu się pragnieniem zemsty. Po drugie winien był śmierci przynajmniej jednego niewinnego człowieka, Miszkiewicza, a odpowiedzieć także powinien za śmierć pana Edka. Po trzecie nigdy nie został ukarany za swe czyny. Po czwarte nigdy nie okazał skruchy i nadal chodził w glorii zasłużonego oficera, bezczeszcząc w ten sposób pamięć swoich ofiar i śmiejąc się w nos porządnym ludziom.

Ułożyłam dokładny plan, według którego zamierzałam działać. Termin rozpoczęcia akcji wyznaczyłam na drugą połowę listopada, dając sobie jeszcze trochę czasu na niezbędne przygotowania i odciążenie od zawodowych obowiązków. Wzięłam urlop wypoczynkowy zaraz po Wszystkich Świętych. Zamierzałam najpierw podręczyć zbrodniarza, aby zasmakował tego, co zgotował swoim ofiarom. Pierwszym krokiem było wysłanie anonimu. Musiał wiedzieć, że śmiercią zapłaci za śmierć niewinnego człowieka, którego nazwiska w anonimie nie podałam, żeby miał powód do domysłów i przypomnienia sobie wszystkich swoich zbrodni. To wtedy wymyśliłam hasło-zawołanie, którym miałam zamiar posługiwać się także w kolejnych przypadkach. Brzmiało ono „czas umierać”. Miałam znać je tylko ja i skazany. Postanowiłam podawać je w anonimach zapowiadających wymierzenie kary, a potem, w miarę możliwości, wygłaszać tuż przed wykonaniem wyroku.

Porębkiewicz był pierwszym skazanym przeze mnie bandytą. Nie mogłam postępować spontanicznie. Każdy mój krok musiał być dokładnie przemyślany, dopracowany i precyzyjnie wykonany. Chodziło przecież nie tylko o to, aby zbrodniarz przeżywał okres niepewności i

grzebania w swej przeszłości, lecz także i o to, abym uchroniła siebie przed aresztowaniem. Przecież to nie ja miałam zostać w ukarana. Ja miałam pozostać wolna, abym mogła nadal wymierzać sprawiedliwość.

Wtedy jeszcze nie chciałam przyjąć do wiadomości tej oczywistej zdawałoby się prawdy, że zabijając, stanę się podobna do tych, których słusznie ukarzę śmiercią. Teraz wiem, że zbrodnia zawsze pozostaje zbrodnią i obciąża sumienie sprawcy niezależnie od tego, czy jest słuszną zapłatą za zły czyn, czy też nie. Wolny od wyrzutów sumienia może być chyba jedynie urzędowy kat, który zabija nie z własnej woli i nie według własnego planu, ale wykonuje wyrok w imieniu prawa i to prawa społecznie usankcjonowanego. Moje prawo takim nie było. Sama je ustanowiłam i sama egzekwowałam.

To, że i ja stałam się winna i zasługuję na sprawiedliwy wyrok zrozumiałam na długo przed śmiercią Bogdana. A gdy już zrozumiałam, to po zaledwie trzech przypadkach, przestałam działać. Dopiero podłość Bogdana sprawiła, że po dziewięciu latach znów obudziło się we mnie pieczołowicie przeze mnie wcześniej zgłuszone pragnienie wymierzania sprawiedliwości.

Nie zamierzałam dziesięć lat temu, kiedy zaczęłam swą działalność, ani nie zamierzam teraz, gdy czuję ciężar swych win, oddawać się w ręce kulawego, niesprawiedliwego i sterowanego z zewnątrz sądu.

Wyrzekając się przed laty karania winnych uznałam, że potrafię żyć z wyrzutami sumienia, bo mam wiele argumentów na swoje usprawiedliwienie. Wykonałam przecież w gruncie rzeczy dobrą robotę. Ukaralam zabójców a całą ewentualną winę wzięłam na siebie. Nie miałam zamiaru pozbywać się przytłaczającego mnie ciężaru. Wiedziałam, że będę z nim żyć i z nim odejdę z tego świata. Pocieszałam się, że moje sumienie obciążają wprowadzić trzy przypadki, ale przecież każdy z nich stanowił chwilowe przywrócenie w świecie jego podstawowej harmonii i te metafizyczne fakty usprawiedliwiają moje czyny. Zdawałam sobie doskonale sprawę z własnych ograniczeń i dlatego właśnie definitywnie skończyłam z indywidualnym przywracaniem harmonii w świecie.

- Niech świat radzi sobie od teraz beze mnie - powiedziałam.

Dopiero ukaranie Bogdana uświadomiło mi w pełni to, że wpadłam w pułapkę, którą sama na siebie zastawiłam. Dokonane wcześniej czyny nie przemijają. Te, które ja popełniłam, wciąż we mnie trwały i skłoniły mnie po latach do popełnienia kolejnego czynu, do którego nie skłoniły mnie już czyste i obiektywne intencje. Nie mam teraz innego wyjścia jak tylko samej

sobie wymierzyć sprawiedliwość, aby harmonia znów na chwilę została w świecie przywrócona.

Ale dość dygresji. Wracam do przypadku Porębkiewicza.

Anonim wysłałam pocztą z Koszalina. Napisałam go własnoręcznie, bo prawdopodobieństwo, że ktoś rozpozna mój charakter pisma było prawie zerowe. Potem podrzuciłam Porębkiewiczowi do mieszkania list, który rzekomo napisała panienka, z którą spotykał się w Mielnie. Wyznaczała mu w nim spotkanie na końcowym przystanku pekaesu w Unieściu. O napisanie listu poprosiłam koleżankę z sanatorium. Byłyśmy, rzecz można, zaprzyjaźnione. Ona opowiadała mi o swoim niełatwym życiu prywatnym – uwikłała się w związek z milicjantem z wydziału śledczego, brutalem i seksualnym wykołajeńcem, i nie potrafiła się z niego wypłatać – a ja tylko słuchałam, bo wszelkie moje rady odrzucała. Była zdziwiona moją prośbą o napisanie krótkiej wiadomości, ale nie dopytywała o co chodzi. Coś tam jej chyba wyjaśniałam, ale wyjaśnienia już nie pamiętam. Tak czy inaczej facet stawiał się na spotkanie, wkurzył się próżnym czekaniem, a następnie, zgodnie z moim przewidywaniem, poszedł pocieszyć się wódeczką do Baczkowskiego. Długo musiałam czekać aż wyjdzie. Pili, jak to się mówi, do białego rana, choć w rzeczywistości, kiedy Porębkiewicz wyszedł od Baczkowskich w tamten listopadowy poranek, było jeszcze ciemno. Ku mojej uciechu spał jak świnia, więc pozwoliłam sobie na małe przedstawienie. Byłam ubrana w wojskową pelerynę z kapiszonem i w walonki. Dobry strój, żeby ochronić się przed wilgocią i zimnem, a przy okazji nie dać się rozpoznać. Wabiłam go gestami, a on, chwiejąc się, przeklinając i przystając, podążał za mną aż na cmentarz pod Mielenkiem. Ulice były całkowicie opustoszałe. Cmentarz oczywiście także. Kiedy wtoczył się przez cmentarną furtkę, wezwałam go gestem ku sobie i skryłam za pojemnikiem na śmieci. Gdy zbliżył się, z satysfakcją zauważyłam, że jest co prawda wściekły, ale jest także przestraszony. Zaszłam go od tyłu i powiedziałam „czas umierać”. Odwrócił się, zachwiał, a ja walnęłam go z całej siły w skroń wojskową saperką, którą niosłam ukrytą pod peleryną. Kiedy upadał na mnie, pchnęłam go w pierś tak, aby upadł na plecy. Potem podniosłam z ziemi kapelusz, wsadziłam mu na głowę i podniosłam połę płaszcza, żeby zabrać pistolet. Niestety znalazłam tylko pustą kaburę i to nie pod płaszczem, ale pod marynarkę.

- Pistolet musiał gdzieś zostawić – pomyślałam. – Może u Baczkowskich?

Kiedy opuszczałam cmentarz, nie czułam ani zmęczenia, ani strachu. Nie miałam także żadnych wyrzutów sumienia. Przeciwnie, czułam zadowolenie ze sprawnego i

bezproblemowego wykonania pierwszego zadania.. Postanowiłam nie kończyć akcji bez ustalenia tego co się stało z bronią Paszkiewicza. Mogła mi się przydać w przyszłości. Wróciłam pod dom Baczkowskich, ale nic się tam nie działo, a zaczęło powoli się rozjaśniać. Odłożyłam obserwacje na inną okazję. Zdjęłam pelerynę i walonki w pobliskich krzakach, przesłam za dom Baczkowskich, gdzie były piaszczyste wzgórza i wykopałam w piachu saperką głęboki dół, do którego wrzuciłam zdjęte rzeczy i oczywiście także saperkę. Zasypałam dół nogami, zamiotłam ślady gałęzią i wróciłam do siebie.

Wstawał szary listopadowy dzień. Dopiero gdy zamknęłam za sobą drzwi mieszkania ogarnęło mnie zmęczenie. Padłam na łóżko i przespałam prawie całą niedzielę. Tak, wtedy była niedziela 18-tego listopada 1972-go roku. A więc od tamtej pory minęło równo dziesięć lat.

Nie porzuciłam myśli o odnalezieniu pistoletu Porebkiewicza. Postawiłam na Baczkowskiego i trafiłam w dziesiątkę. Znałam tajny schowek Baczkowskiego na wydmach i sprawdziłam go po kilku dniach, kiedy afera ze znalezieniem ciała esbeka na mieleńskim cmentarzu trochę przycichła. W skrytce znalazłam blaszane pudełko a w nim pistolet owinięty w szmatę. Najpierw chciałam zabrać broń, ale po zastanowieniu się uznałam, że bezpieczniej będzie ją zostawić w skrytce. Gdyby bowiem Baczkowski miał zamiar zanieść pistolet na milicję, dawno by to zrobił. Z jakiegoś powodu jednak jej nie przekazał. A to znaczyło tyle, że już jej prawdopodobnie w ogóle nie odda.

- Coś ma do ukrycia? – zastanawiałam się.

Nie domyśliłam się co to by mogło być. Zakopałam pudełko i postanowiłam, że w razie potrzeby zabiorę broń prosto ze skrytki Baczkowskiego.

Milicja i esbecy węszyli w Mielnie jak wściekłe psy, ale trwało to stosunkowo niedługo. Niczego nie wywęszyli, bo trafiali wyłącznie na fałszywe tropy. Mój trop był nie do odnalezienia, bo go po prostu nie było. Nie zostawiłam po sobie żadnych śladów.

Spędziłam dwa ostatnie dni urlopu u rodziców w Mścicach. Posłuchałam co ludzie gadają o Porębkiewiczu, bo wielu pamiętało go z dawnych czasów. Nikt go nie żałował, więc czułam satysfakcję, która pozwoliła mi ze spokojem czekać na następny przypadek.

9. Zeszyt – 2 listopada 82, wtorek



Wtorek, 2.11.82

Przespałam w miarę spokojnie całą noc, ale nad ranem znów zawładnął mną lęk. Wstałam i zabrałam się do pisania. Tylko ono mnie uspokaja. Mój los jest przesądzony, ale muszę skończyć to, co zaczęłam. Nie wiem czy chcę, aby ktokolwiek dowiedział się o tym, co zrobiłam. Chyba tak, skoro nie zamierzam, po spisaniu tego wszystkiego, wrzucić zeszytu do pieca. Nie, tego nie zrobię. Niech ślepy los zdecyduje o tym, kto znajdzie zeszyt i co z nim zrobi. Może będzie to prokurator, a może sąsiad przeszukujący moje rzeczy w poszukiwaniu pieniędzy albo kosztowności, których nie mam. Ten drugi wariant najmniej mi odpowiada. Wieści o mnie rozniosą się po całym Mielnie, Unieściu i Bóg wie gdzie jeszcze. Mogę nawet trafić na pierwsze strony gazet. Nikt nie będzie chciał wiedzieć, jakie motywy mną kierowały. Będzie się mówić jedynie o moich czynach. Masy potrzebują smacznego zera i go dostaną w postaci dobrze przyprawionej gazetowej papki.

A może jednak los okaże się dla mnie łaskawy i zeszyt trafi w ręce jakiegoś porządnego człowieka. Mógłby nim być na przykład mieleński komendant. Nie znam go dobrze, ale wszyscy go lubią i szanują, choć na ogół milicjantów nikt nie lubi, a tym bardziej nie szanuje. Jest na to jakaś szansa, bo Szelc zwykle pierwszy pojawia się na miejscu zdarzenia w Mielnie. Nie wiadomo oczywiście, co Szelc zrobi z zeszytem. Mam jednak przeczucie, że raczej zachowa dla siebie to co w nim znajdzie, a zeszyt po przeczytaniu zniszczy. Pociesza mnie ta myśl, że jakiś przyzwoity człowiek dowie się co i dlaczego zrobiłam, i jeśli nawet uzna mnie za potwora, to będzie musiał zastanowić się nad motywami moich czynów. Tym samym choć trochę mnie zrozumie. Każdy człowiek pragnie być zrozumiany. Ja także. Nieznośna jest dla

mnie myśl, że pozostanę w ludzkiej pamięci jedynie jako nieszczęsna sprzątaczką, która nie wytrzymała swojego marnego życia i popełniła samobójstwa. Ale wracam do tematu.

Szum wokół śmierci Porębkiewicza stopniowo cichł, a przy okazji wyjaśniła się sprawa młodej kobiety, z którą major SB spotykał się w Mielnie. Okazało się bowiem, że Bogumiła Mędrak to jego nieślubna córka. Jej matkę bydlak porzucił zanim się urodziła. Ludzie gadali, że jej nie uznał, alimentów nie płacił i nigdy się jej losem nie interesował. Natknął się na nią przypadkiem, kiedy, będąc już na emeryturze, często przyjeżdżał do Mielna. Los zrządził, że ona w tym samym czasie zatrudniła się w mieleńskiej szkole. Mówili także, że spotkanie z ojcem, którego nigdy wcześniej nie poznała, było dla niej ciężkim szokiem. Coś tam jednak zaczęło się między nimi układać, skoro spotykali się coraz częściej. Świadomość tego, że zabrałam Bogumile świeżo odzyskanego ojca była dla mnie przykra. Pocieszałam się, że gdyby poznała lepiej jego charakter i fach, nie byłaby szczęśliwa. Wyglądała bowiem na delikatną i wrażliwą osobę. Zniknęła z Mielna po śmierci Porębkiewicza, nie czekając nawet na koniec roku szkolnego. Nie wiem co się z nią później stało.

Muszę przyznać, że pierwszeństwo Porebkiewicza było trochę przypadkowe. Zanim go spotkałam w Mielnie miałam już bowiem na oku inną paskudną postać, a mianowicie Alojzego Zydrewicza. W ogóle nie znałam wcześniej tego człowieka, ale los sprawił, że latem 1968-mego roku, kiedy Mielno żyło jeszcze najazdem hipisów i tajemniczym wypadkiem utonięcia jednej z należących do nich dziewczyn, zdarzyło się coś nie tak głośnego, ale jednak równie szokującego. Milicja aresztowała Alojzego Zydrewicza. Traf chciał, że wczasowicz, który rozpoznał Zydrewicza jako okrutnego kapo z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, mieszkał z rodziną w budynku FWP, w którym wtedy pracowałam. Była to szczególnie miła rodzina i dużo rozmawialiśmy, to znaczy oni dużo o sobie opowiadali, a ja, jak zwykle, tylko słuchałam. Polubiliśmy się na tyle, że gdy Janusz Wiśniewski – nazywali się Wiśniewscy – pierwszy raz zobaczył Zydrewicza i dostał szoku nerwowego, zwierzył się najpierw mnie, bo nie chciał denerwować żony.

Nadawałam się na powierniczkę doskonale. Byliśmy właściwie sobie obcy, więc Janusz mógł rozładować złe emocje, nie przelewając ich na słuchacza, czyli na mnie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że to, co mi opowiedział o postępowaniu Zydrewicza w obozie i w ogóle o tym, co spotkało tam jego samego i innych więźniów, wstrząsnęło mną do głębi. Oczywiście nie myślałam jeszcze wówczas o karaniu okrutnika na własną rękę. Wiśniewski postanowił bowiem zgłosić milicji swoje odkrycie i Zydrewicza aresztowano. Czekał go proces. Wierzyliśmy – Wiśniewscy, pozostali przy życiu nieliczni więźniowie obozu, których

odnaleziono i wezwano na świadków, a także ja – że zostanie osądzony surowo i sprawiedliwie. Tak się poniekąd stało. Sądy były zdecydowanie nieugięte w kwestii karania wojennych oprawców. Wyrok pięcioletniego więzienia nie wydawał się jednak zbyt surowy i Januszowi trudno się było z nim pogodzić.

Uczestniczyłam w rozprawach, o ile tylko czas mi na to pozwalał i o ile wpuszczano widownię na salę rozpraw. Wiedziałam jednak na bieżąco o wszystkim, co się działo. Janusz zaglądał bowiem do mnie do Mielnia, aby odreagować stres związany z przesłuchaniami i zeznaniami, a nawet kilka razy u mnie zanocował. Rozmawialiśmy głównie o przesłuchaniach, bo nie były one dla byłych więźniów miłym przeżyciem. Obozowe wspomnienia, domaganie się przez przesłuchujących precyzji, pytania obrońcy i prokuratora, sprawiały im wielką przykrość. Bardzo współczułam Januszowi i bardzo chciałam mu pomóc. Słuchanie jego wynurzeń i goszczenie go u siebie musiały jednak póki co wystarczyć i jemu i mnie.

Los Zydrewicza został przesądzony w pewną grudniową noc. Rozprawa miała się ku końcowi. Zbliżało się Boże Narodzenie: Wiśniewscy byli, i pewnie są nadal, bardzo pobożni i pieczołowicie celebrowali wszystkie katolickie święta, czego im trochę zazdrościłam. Janusz z ulgą myślał o tym, że będzie mógł wkrótce znów powoli wyzwalać się od wspomnień o obozowym horrorze. Siedzieliśmy przy stole popijając dla rozgrzewki dobrze osłodzoną gorącą herbatę z odrobiną wódki. Za oknem panowała ciemność rozświetlana bielą śniegu i wygwieżdżonym niebem. W mieszkaniu było ciepło i przytulnie. Ponieważ znów wyłączyli prąd, siedzieliśmy przy zapalonej świecy a w mroku pokoju czerwieniała rozgrzana rura od piecyka. W tej sielankowej scenerii Janusz opowiedział mi o jeszcze jednym haniebnym zachowaniu Zydrewicza, o którym dowiedział się od przesłuchującego go prokuratora.

Prokurator, jakby chciał obudzić w Wiśniewskim całą możliwą niechęć do oskarżonego i w ten sposób pobudzić jego pamięć, poinformował go mimochodem o asekuracyjnych działaniach Zydrewicza w latach pięćdziesiątych.

- Wie pan – powiedział prokurator – tacy ludzie jak Zydrewicz zawsze myślą tylko o sobie. Los innych jest im całkowicie obojętny. Zydrewicz, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia i zwrócić uwagę funkcjonariuszy UB na kogoś innego, wydał dwóch swoich dawnych kolegów z AK. Nie musiał tego robić. Sam zgłosił się z doniesieniem do Urzędu Bezpieczeństwa w Koszalinie. Taki z niego gorliwiec. Do nas trafił jeden z tych kolegów. Wymęczony starszy człowiek z Mścic. zapamiętałam jego imię Edward, bo tak samo ma na imię mój ojciec. Byłem wówczas początkującym pracownikiem wymiaru sprawiedliwości i powiem panu, że żał mi

było tego Edka. Wyglądało na to, że został tak bardzo przeczołgany przez życie i nie tylko przez życie – wie pan, co mam na myśli – że jego dalszy los był mu już obojętny. Oj nie miał on szczęścia. Nie miał. A Zydrewicz całe lata żył sobie spokojnie i miał się jak pączek w maśle.

Słuchałam Janusza powtarzającego słowa prokuratora i wstrzymywałam oddech, aby nie wybuchnąć. I to nie wybuch płaczu powstrzymywałam, lecz erupcję oburzenia, z którym nie mogłam się zdradzić przed Januszem. Nie chciałam wikłać go w moje sprawy. Ten człowiek przeżył zbyt wiele, aby obciążać go jakimkolwiek dodatkowym kłopotem. Ale los Zydrewicza został wtedy przesądzony, bo to on wydał na tortury i męczeńską śmierć pana Edzia i nigdy nie zapłacił za swój ohydny czyn. Musiał umrzeć.

Zydrewicz, jak już wspomniałam, wykił się pięcioma latami więzienia., a że zaliczono mu na poczet kary czas spędzony w areszcie, wrócił do domu na Boże Narodzenie 1972-go roku. Trenowanie cierpliwości i wytrwałości bardzo przydało mi się w jego przypadku. Czekałam na niego długo, mając już wymyślony scenariusz przyszłych wydarzeń.

Kiedy Zydrewicz wrócił do Mielna, Porębkiewicz już nie żył od miesiąca, a ja zdążyłam nabrać pewności siebie niezbędnej do podjęcia kolejnego działania. I tym razem szczęście się do mnie uśmiechnęło. Wiosną 1973-go roku Zydrewicz wrócił do wcześniejszego zwyczaju spacerowania po wale przeciwpowodziowym nad jeziorem Jamno i to w dodatku sam, a nie, jak przed aresztowaniem, w towarzystwie swojego buldoga. Niezmiernie ułatwiało mi to wykonanie szczegółowo obmyślnego zadania, bo duże psy zawsze budziły we mnie strach, a pies Zydrewiczów wyglądał naprawdę groźnie. Mógł zniweczyć mój plan.

Obserwowałam drania, to znaczy Zydrewicza, uważnie. Musiałam wziąć kilkudniowy urlop, bo Zydrewicz odbywał swoje spacerunki wczesnym rankiem. Prawdopodobnie nie miał ochoty spotykać ludzi, choć przecież na wałach rzadko kto się pojawia. Maszerują nim głównie wędkarze. Tak więc obserwowałam go uważnie i stwierdziłam, że dobrze byłoby napędzić mu stracha.

- Niech drań jeszcze trochę pocierpi, zanim zginie – zdecydowałam.

Wykorzystałam wypróbowany sposób zasiania zamętu w głowie sprawcy przez wysłanie anonimu z przywołaniem winy i zapowiedzią rychłej śmierci. Na Zydrewicza anonim zadziałał nadzwyczaj mocno, bo, jak wtedy sądziłam, jego system nerwowy nieźle został w więzieniu osłabiony. Nie myliłam się. Na kolejnym spacerze był – jak wnioskowałam z jego chwiejnego chodu i nieprzytomnego wyrazu twarzy - pod wpływem silnych środków uspokajających.

Szedł przed siebie jak ślepiec. Przeobraził się w starca z trudem szukającego drogi. Gdybym nie wzbudzała w sobie wspomnień o panu Edziu, może poczułabym litość i pozwoliła mu nadal wieść jego marny żywot. Ale on i jemu podobni nie mieli litości dla nikogo, kto im choćby potencjalnie zagrażał, więc i ja musiałam być twarda.

Za najwłaściwszy sposób wykonania wyroku na Zydrewiczu uznałam okładanie go grubym kijem, bo Janusz właśnie o kiju używanym w obozie przez kapo wspominał najczęściej i ze zgrozą.

- Niech drań poczuje to samo, co czuły jego ofiary – mówiłam sama do siebie.

O tym co pan Edek przeżył w ubeckich katowniach nie chciałam nawet myśleć.

Poranek 3-ciego czerwca 1973-ciego roku był słoneczny i rześki. Pachniało mokrą ziemią, jeziorową wodą i młodą trawą. Na wałach, jak zawsze w niedzielę wczesnym rankiem, nie było nikogo. Nawet najbardziej zacięci wędkarze odsiadali obowiązkowe godziny ze swymi rodzinami, aby móc z czystym sumieniem wymknąć się później na ryby.

Czekałam na Zydrewicza już od piątej rano schowana za ceglana budowlą wodną, którą jeszcze za czasów niemieckich postawiono na wałach, chyba jako przepompownię. Nie mogłam dopuścić do tego, aby mnie wyprzedził, a był z niego ranny ptaszek. Miałam przy sobie gruby mocny kij o takiej długości, która pozwalała mi wygodnie uderzać w wybrane miejsca. Nie czekałam zbyt długo. Patrzyłam cierpliwie i spokojnie jak zbliża się do mnie tym swoim chwiejnym krokiem. Widziałam go bardzo wyraźnie w porannym słońcu, które jemu świeciło prosto w oczy. Miał na oczach ciemne okulary, ale niewiele mu to pomagało. Stopy stawiał ostrożnie i często przystawał. Swój ostatni przystanek w życiu miał koło ceglanej budowli. „Czas umierać” powiedziałam bardzo głośno, aby dobrze usłyszał i uderzyłam po raz pierwszy. Upadł i zaczął rzeźić.

- Chyba zdycha – pomyślałam i uderzyłam jeszcze kilka razy, żeby zdążył poczuć raz zanim wyzionie ducha.

Zeszłam z wału i odeszłam stamtąd na przełaj przez łąkę, kierując się w stronę wysypiska śmieci. Na wysypisku wyrzuciłam kij. Stamtąd polna rozjeżdżona droga prowadziła prosto do przedłużenia ulicy Lechitów, łącząc się z nią w połowie odległości między Strzeżenicami a Mielnem. Nie chciałam pokazywać się w Mielnie o tak wczesnej porze, więc poszłam w stronę Strzeżenic, weszłam miedzą głęboko w czyjeś pole, usiadłam i grzałam się w porannym słońcu.

Musiałam zasnąć, bo nagle ocknęłam się z głową opuszczoną na piersi a z szosy dobiegał mnie odgłos milicyjnej syreny.

- Znaleźli Zydrewicza – mruknęłam sama do siebie i zdziwiłam się, że ta konstatacja nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Moje ciało błagało o sen. Przyjrzałam się krytycznie swojej garderobie, otrzepałam z niej trawę, poprawiłam włosy, wróciłam na szosę i poszłam jej skrajem do Mielna. Nie chcąc iść główną ulicą Chrobrego skręciłam w ulicę 1-go Maja i, idąc pustymi o tej porze uliczkami biegnącymi równolegle do plaży, dotarłam wreszcie do domu. Na podwórzu sąsiad palił papierosa.

- Ranny z ciebie ptaszek – zagadnął.

- Z ciebie też. Co głód nikotynowy nie daje ci spać? – odrzekłam i dodałam:

- Ja przynajmniej skorzystałam nad morzem ze świeżego powietrza., a ty niby stoisz na świeżym powietrzu, ale trujesz się papierosowym dymem. Mnie z kolei , jak na złość, zawsze w niedzielę dopada bezsenność.

- Tak to bywa – stwierdził lakonicznie z filozoficzną zadumą sąsiad.

Zastanawiam się dopiero teraz, dlaczego sprzyjało mi szczęście. Czyżbym wykonywała wyroki, których chciał los? Na przykład nigdy się nie dowiedziałam co stało się z anonimami, które wysłałam Porębkiewiczowi, Zydrewiczowi, a potem także Madejskiemu. Czyżby gdzieś przepadły i nikt się o nich nigdy nie dowiedział? A przecież były jedynym materialnym śladem, który po sobie zostawiałam.

10. Zeszyt – 7 listopada 82, niedziela



Niedziela, 7.11.82

Od wtorku prawie nie wstawałam z łóżka. Przytłoczyły mnie złe myśli i sparaliżował lęk. Wczoraj zmusiłam się do doprowadzenia się do jako takiego stanu, zrobienia zakupów, posprzątania mieszkania i napalenia w piecu. Potem byłam tak zmęczona, że usiadłam w fotelu przy oknie i patrzyłam na jezioro. Odeszły ode mnie wszystkie myśli. Pozbierałam je dopiero dziś, po nieźle przespanej nocy, po której wstąpiła we mnie nadzieja, że zdołam skończyć wyznania i pogodzona sama z sobą w spokoju odejdę z tego świata.

Śledztwo w sprawie śmierci Zydrewicza oczywiście musiało jakiś czas trwać, ale ja byłam poza wszelkimi podejrzeniami. Miałam nadzieję, że milicja nie umęczyła zbytnio Janusza, jego rodziny i innych byłych więźniów. Przykro mi było, że naraziłam ich wszystkich na podejrzenia, ale przecież nie mogłam przekazać im żadnego ostrzeżenia czy zalecenia, żeby zapewnili sobie na taki a taki dzień solidne alibi. Prawdopodobnie wszyscy je na szczęście mieli, bo w gazetach nie pisano o przypadku zemsty więźnia na kapo. Pismaki nie przepuściłyby przecież takiej gratki.

Pozostało mi jeszcze jedno wyznanie. Muszę opowiedzieć o śmierci Jana Madejskiego. Ostatniego z tych, których ukarałam bez żądy zemsty. Pisałam już o tym, że trudno uwierzyć, że nie kierowałam się w tym przypadku osobistym motywem, skoro to właśnie pijany Madejski zabił radiowozem Jana i Jasia. Ale tak nie było! Ja go specjalnie nie szukałam! Nie zakładałam nawet, że kiedykolwiek spadnie na mnie przywilej wymierzenia mu sprawiedliwości! Madejski

wpadł, jeśli tak mogę powiedzieć, w moje łapy na tych samych zasadach, co pozostali, Porebkiewicz i Zydrewicz, czyli poniekąd przypadkowo, a poniekąd zrzędzeniem losu. Los go do mnie przyprowadził po wielu latach, kiedy byłam już gotowa wyrzekać się własnych uczuć i działać w imię podstawowej zasady, zasady przywracania w świecie harmonii zniszczonej nieukaranym złem.

Jana Madejskiego – w randze kapitana – zobaczyłam po raz pierwszy na własne oczy w Mielnie po śmierci Porębkiewicza. Prowadził śledztwo w sprawie tego zabójstwa i ludzie z Mielna zaczęli go identyfikować. Niektórzy zresztą – nie ja – pamiętali go jeszcze sprzed sześciu lat. Wtedy także przepytывał mieszkańców Mielna, ale oczywiście chodziło wówczas o dziewczyny, które utopiły się, albo zostały utopione, latem 68-mego roku. Niektórych mieszkańców Madejski wezwał wtedy na przesłuchanie do Koszalina.

Znałam oczywiście to nazwisko, Jan Madejski. Nie dlatego, że powiedziano mi wprost, że człowiek, który je nosi zabił moich bliskich, ale dlatego, że wymieniano je szeptem w kularowych rozmowach. Zapamiętałam je bardzo dobrze, choć wiele innych szczegółów z tamtego czasu wyleciało z mojej pamięci. Do rozprawy sądowej w ogóle nie doszło, bo, jak już pisałam, twierdzono, że winowajca, czyli Jan, zginął. Tak więc wtedy nie było mi dane spojrzeć w twarz zabójcy mojego męża i synka. Ujrzałam ją dopiero latem 1973-ciego roku dwa tygodnie po śmierci Zydrewicza.

Kończyło się lato. Mielno powoli pustoszało a ja z utęsknieniem czekałam na wrzesień i urlop, którego resztę – wykorzystałam część w czerwcu na Zydrewicza - zaplanowałam od połowy września. Tęskniłam, intensywniej niż normalnie, za rodzicami i właśnie u nich i z nimi miałam zamiar posiedzieć w wolnym czasie. Może moja tęsknota za nimi miała związek z niejasną jeszcze, ale już dojrzewającą we mnie świadomością, że karząc zbrodniarzy sama staję się zbrodniarką. Chciałam stłumić w sobie tę świadomość, zanurzając się w dobrze mi znanej codzienność.

Pamiętnego dnia, w którym zobaczyłam twarz Madejskiego i natychmiast zrezygnowałam z rodzinnych planów, wyposażona w sprzęt do sprzątania szłam sanatoryjnym korytarzem. Kiedy mijalam pokój pielęgniarek usłyszałam podniesiony głos Mai Majewskiej i odpowiadający jej ściszony, ale syczący głos jakiegoś mężczyzny. Przystanęłam zaniepokojona. Zamierzałam wkroczyć do pokoju, jeśli tylko usłyszę odgłos uderzenia. Podejrzywałam bowiem, że Maja rozmawia ze swoim kochankiem. Żaden kuracjusz nie ośmieliłby się mówić do pielęgniarki takim wściekłym tonem.

Nie musiałam interweniować, bo drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i wyszedł z nich nieznany mi, niezbyt przystojny i trochę ociężały, mężczyzna. Trzasnął za sobą drzwiami i rozwścieczony odszedł w stronę wyjścia, nie zwracając na mnie najmniejszej nawet uwagi. Zza drzwi dobiegał cichy szloch. Weszłam. Maja stała w oknie. Nie odwróciła się, więc podeszłam do niej i zapytałam:

- To był on?

- Tak, to był on, kapitan Jan Madejski. Pan życia i śmierci. Mojego życia i mojej śmierci – odpowiedziała z goryczą.

Jej plecy jeszcze drżały, ale po chwili uspokoiła się i wytarła oczy i nos. Ja natomiast stałam oniemiała.

- To nie może być przypadek! – krzyczał we mnie wewnętrzny głos.

Maja Majewska, jak już wspomniałam, wiele mi opowiadała o swoim brutalnym kochanku, ale nigdy nie wymieniła jego nazwiska, a ja oczywiście o jego nazwisko nigdy nie zapytałam. Kiedy tylko minęło moje osłupienie, wyskoczyłam na korytarz i podbiegłam do okna, z którego widać było wyjście z sanatorium. Przyjrzałam mu się dokładnie, bo jeszcze nie opuścił terenu sanatorium. Stał przed głównym wejściem, palił papierosa i rozglądał się dokoła. Od czasu do czasu spoglądał w okna sanatorium, jakby spodziewał się kogoś – prawdopodobnie Maję – w jednym z nich zobaczyć. Nie cofnęłam się, choć jego uważny wzrok zatrzymał się na mnie przez chwilę. Miał złe oczy.

I znów klamka zapadła i od razu wiedziałam co należy zrobić. Tego samego dnia po powrocie do swojego mieszkania napisałam bardzo lakoniczny anonim, którego treść nie powinna była naprowadzić Madejskiego wprost na wypadek sprzed zaledwie ośmiu lat, bo tyle lat minęło od śmierci moich chłopców do momentu, gdy zobaczyłam Madejskiego.

- Nie powinien zbyt łatwo powiązać treści anonimu z moją osobą - myślałam. – Niech się zastanawia, niech przypomni sobie wszystkich, których skrzywdził, niech zacznie się bać.

Jak zwykle włożyłam zapisaną kartkę do skromniej niebieskiej koperty, jakich wszyscy wszędzie używają, i zaadresowałam po prostu „Kapitan Jan Madejski”. Wiedziałam, gdzie mieszka Maja, więc następnego dnia po pracy pojechałam do Koszalina, sprawdziłam listę lokatorów i wrzuciłam kopertę do skrzynki z numerem jej mieszkania.

Zrobiłam coś jeszcze, a mianowicie pierwszej nocy po ujrzeniu Madejskiego wyjęłam ze skrytki na wydmach pistolet Porębkiewicza. Z ulgą stwierdziłam, że jest w dobrym stanie, wyczyszczony i naładowany. Nie miałam żadnej wprawy w posługiwaniu się bronią, ale dobrze teoretycznie poznałam budowę pistoletu i przygotowanie do oddania strzału. Kiedy już pistolet znalazł się u mnie, każdego dnia brałam go do ręki, przyglądałam się mu, odbezpieczałam i celowałam w wybrany przedmiot. Moim zadaniem było oddanie tylko jednego strzału z przyłożenia. Nie było ryzyka spudłowania.

W kolejne dni uważnie przyglądałam się Mai w pracy. Wyglądała na spokojną i odprężoną.

- Odwiedza cię jeszcze twój kłopotliwy ukochany? – zapytałam ją w przelocie i niby żartobliwie po trzech dniach od zawitania Madejskiego w sanatorium

- Ukochany? – zaśmiała się niewesoło. – Wygląda na to, że mnie porzucił i jakoś nie za bardzo za nim tęsknię.

Zmartwiłam się wtedy niezmiernie. Ułożony przeze mnie plan przewidywał, że zaczekam na odpowiedni moment właśnie pod blokiem, w którym mieszkała Majewska. Wielokrotnie zwierzała mi się, że kochanek odwiedza ją często i zwykle wieczorami. Zazwyczaj po kilku godzinach wychodzi, ale niekiedy zostaje u niej do rana. Przed pójściem do łóżka piją alkohol, a ponieważ przychodzi do niej już po tak zwanym spożyciu, późnym wieczorem ma nieźle w czubie. Liczyłam więc na to, że załatwię go pijanego, albo na potężnym kacu, w drodze od Majewskiej do pracy albo do domu. W obu przypadkach droga prowadziła przez koszaliński park, w którym późnymi wieczorami i wcześniej rano trudno jest kogoś spotkać. Tymczasem wychodziło na to, że muszę ustalić jego adres domowy, albo czekać na niego w pobliżu budynku komendy, co mi bardzo nie odpowiadało. Czas płynął szybko, roboty w sanatorium było dużo, więc nagła zmiana planów stanowiła niemały problem.

- Tym razem zdam się na los szczęścia – postanowiłam po rozważeniu innych wersji przyszłego zdarzenia i uznaniu, że żadna z nich nie jest bezpieczna. – Jeśli mi się nie uda teraz, znajdę dogodny termin później. Nie zamierzam ryzykować.

Jedno myślałam, a drugie robiłam. W głębi duszy liczyłam, prawdę mówiąc, na to, że i tym razem szczęście mi dopisze i wykonam wszystko zgodnie z pierwszym i najlepszym planem. Tak naprawdę nie chciałam odkładać akcji na późniejszy termin. Nie miałam w tym przypadku tej cierpliwości, która pozwoliła mi długo obserwować Porębkiewicza i spokojnie czekać na powrót Zydewicza z więzienia. Wewnętrzny przymus przynaglał mnie do natychmiastowego

działania. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i przyjętym wcześniej zasadom wkrótce zaczęłam postępować chaotycznie.

Zaczął się wrzesień a ja wybierałam na chybił trafił wieczory i noce, które spędzałam pod blokiem Majewskiej. Największym problemem było to, aby nie rzucać się w oczy mieszkańcom osiedla. Krążąca po osiedlu nieznana kobieta na pewno szybko zwróciłaby na siebie ich uwagę. Wybrałam sposób męczący dla mnie i trudny do wykonania. Późnym wieczorem, gdy było zupełnie ciemno, instalowałam się na najmniej widocznej z osiedlowej alejki ławce i siedziałam na niej godzinami. Z ławki widać było wszystkie osoby idące alejką ku drzwiom wejściowym prowadzącym na klatkę schodową Majewskiej. Obok ławki rosły gęste krzaki, za którymi łatwo można było się skryć, gdyby ktoś zdecydował się, pomimo panujących tam ciemności, zbliżyć się do ławki lub na niej usiąść.

Do Koszalina jechałam ostatnim kursem Jedynki, wsiadając na przystanku pośrednim między Mielnem a Unieściem. Ubierałam się zwyczajnie, tak, jakbym jechała na spotkanie, albo z jakąś codzienną sprawą do załatwienia. Ryzykowałam własnym zdrowiem. Wrześniowe wieczory i noce były zimne, a ja nie mogłam ubierać się tak grubo, jak to było potrzebne. Dbałam tylko o to, aby zawsze wkładać buty na miękkiej kauczukowej podeszwie i zabierać ze sobą rękawiczki. Pistolet trzymałam w torebce, do której wpychałam także gruby sweter i wełniany szal.

Podczas ostatniego kursu autobus na ogół był pusty. Z jednej strony cieszyłam się z tego, ale z drugiej zdawałam sobie sprawę, że łatwo zapamiętają mnie kierowcy. Nie pozostało mi nic innego niż gawędzić z nimi i użalać się, że muszę jeździć na noce do koszalińskiego szpitala, aby czuwać przy ciężko chorym ojcu. Tę samą bajeczkę opowiedziałam dwóm czy trzem znajomym, na których natknęłam się na przystanku i w autobusie. Czasami bowiem lepiej ukryć się można zapadając komuś w pamięć niż unikając ludzkich oczu. Znów ryzykowałam, ale wewnętrzny przymus był silniejszy od wymogów zdrowego rozsądku i ostrożności.

Po czterech wyprawach do Koszalina, i tym samym po czterech nieprzespanych i potwornie zimnych nocach, zaczęłam wątpić, czy Madejski odwiedzi jeszcze kiedykolwiek Maję Majewską. Mój upór, aby przyłapać go właśnie po wyjściu od niej, zaczął wydawać mi się nierozsądny. Wyznaczyłam sobie ostatni nocny dyżur pod jej blokiem na sobotę 15-tego września. W poniedziałek zaczynał się mój urlop. Prawdę mówiąc nie wyobrażałam już sobie tego, że zdołam spokojnie spędzić urlop u rodziców w Mścicach. W ogóle nie wyobrażałam sobie tego, co będę robiła, gdy uda mi się dopaść Madejskiego, ani tego, co zrobię, jeśli go nie

dopadnę. Wciąż oddalałam od siebie nieuchronnie narzucającą się myśl, że tym razem straciłam zimną krew i niesie mnie nieopanowana wewnętrzna siła, nad którą nie do końca panuję.

W sobotę 15-tego września czułam się wyjątkowo źle. Dopadło mnie przeziębienie. Bolała mnie głowa i miałam w niej mętlik. Musiałam jednak zrealizować swój plan do tego końca, który sobie właśnie wyznaczyłam. Noc była chłodna, ale pogodna. Księżyc z małym ubytkiem tarczy stał wysoko, gdy szłam przez park w Koszalinie, mijając po drodze najpierw nowy amfiteatr, a potem budynek Biblioteki Wojewódzkiej, z której zbiorów tak lubiałam korzystać. Ulokowałam się w znanym sobie miejscu i bez zapalu obserwowałam drzwi bloku zamieszkiwanego przez Majewską. W oknie jej mieszkania długo paliło się światło. Coś mnie podkusiło i ostrożnie weszłam na klatkę schodową nie zapalając światła. Podeszłam pod drzwi mieszkania i usłyszałam odgłosy rozmowy. Jeden z głosów był głosem męskim. Na dół zeszałam ostrożnie, ale jakby niesiona na skrzydłach ptaka.

- Jest, jest, jest – powtarzałam gorączkowo.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że los będzie mi sprzyjał bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy zgasło światło w oknie mieszkania Majewskiej, nastawiłam się na długie nocne czuwanie. A tu nagle, po niedługim czasie, z budynku wytoczył się Madejski we własnej osobie. Dziś jeszcze grają we mnie te same emocje, które ośwładnęły mną w tamtej nieoczekiwanej chwili. Nie dość, że nie kazał na siebie długo czekać, to na dodatek był kompletnie pijany! Reszta roboty była już dziecinnie prosta. Pijany Madejski, po mozolnej wędrówce alejkami parku, w czasie której od czasu do czasu przystawał, rzucał przekleństwami i zapalał papierosa, usiadł na ławce nieopodal amfiteatru. Podeszłam do niego z tyłu, a on usłyszał szelest moich kroków i odwrócił głowę. „Czas umierać” powiedziałam, patrząc w jego nic nie rozumiejące oczy i strzeliłam mu prosto w skroń. Potem włożyłam mu pistolet do ręki i odeszłam.

Do porannego odjazdu Jedyнки zostało kilka godzin. Nie chciałam i nie mogłam spędzić ich na parkowej ławce. Park jawił się teraz przede mną jako miejsce ciemne, złe i ponure. Najkrótszą drogą dotarłam do opustoszałej ulicy Zwycięstwa. Kręciłam się w tę i z powrotem, nie wiedząc, w którą iść stronę. Bezwiednie czytałam neonowe napisy: „Księgarnia naukowa”, „Totalizator sportowy buduje obiekty sportowe”, „PKO twoją kasą”.

- To już nie jest mój świat – pomyślałam wtedy chyba po raz pierwszy od czasu śmierci moich bliskich.

W duszy czułam zamęt zamiast spodziewanej satysfakcji.

- Ukarłam zabójcę Jana i Jasia – powtarzałam, ale wypowiedane słowa nie przynosiły ani spokoju, ani pociechy.

Pamiętam, że dotarłam do placu przed ratuszem i szłam jakiś czas ulicą Młyńską, a potem ulicą Podgrodzie, gdzie zajaśniały przede mną okna nocnego lokalu. Z kilku uchylonych jasnych okien sączyła się cikliwa muzyka, wypływał papierosowy dym, wydostawała się na ulicę woń alkoholu i odgrzewanego marnego bigosu.

- Coś dla mnie. Nocny lokal z danciem, wódą i dziwkami. Ponury nocny półświatek – stwierdziłam nagle i weszłam do środka.

- Nie mamy już miejsc, a pani nie jest odpowiednio ubrana – zakwestionował moje wejście szatniarz.

Wręczyłam mu banknot o sporym nominale i stał się tak bardzo uprzejmy, że zaprowadził mnie na salę i przekazał kelnerowi o wyglądzie mocno zmarnowanym, a więc podobnym do mojego.

- Proszę o osobny stolik – poprosiłam kelnera, wręczając mu drugi banknot o równie wysokim nominale.

Natychmiast znalazł się dla mnie mały stolik z dala od podestu dla orkiestry. Kelner zostawił przy nim tylko jedno krzesło.

- Dziękuję – powiedziałam. - Dwie setki i jakąś świeżą zakąskę.

Nie patrzyłam na tańczące i przytulające się w tańcu pary i nie odzywałam się do zaczepiających mnie pijanych facetów. Wypiłam dwie setki wódki i nie poczułam żadnego ich skutku. Ryzykując, że znienacka wpadnę pod stół, albo przynajmniej upadnę twarzą w talerz z zakąską, której nie tknęłam, zamówiłam jeszcze dwie setki. Trzecią setkę piłam powoli, drobnymi łykami, żeby alkohol stopniowo rozchodził się po ciele. Pomogło. Gdy sięgałam po czwartą, moje myśli były jasne, a widzenie ostre. Spodziewałam się alkoholowego upojenia i ewentualnie upodlenia, a doznałam uspokojenia i niezwyklej sprawności umysłu.

Tam w knajpie, kiedy uporczywie patrzyłam na trzy puste literatki, a czwartą podnosiłam do ust, postanowiłam skończyć z indywidualnym wymierzaniem sprawiedliwości i wrócić do normalnego życia. Tam właśnie nazwałam sama siebie zabójczynią i poczułam ciężar popełnionych czynów.

- A więc o to ostatecznie mi chodziło? – zapytałam samą siebie. - O ukaranie winnego śmierci Jana i Jasia? Dlaczego dopiero teraz widzę jasno, że zabijając tamtych, wciąż od nowa zabijałam tak naprawdę Madejskiego?

Jak już wiesz ty, który czytasz moje wyznania, żyłam spokojnie przez następne lata i dopiero zdrada Bogdana sprowokowała mnie do zrobienia kolejnego kroku, który sprawił, że śmierć upomniła się wreszcie i o mnie.

Epilog

Tadeusz Pawlik skończył czytać, schował zeszyt pod koc i zamknął oczy. Czytanie zajęło mu cały dzień, bo co jakiś czas ktoś z rodziny zaglądał do pokoju i pytał czy czegoś nie potrzebuje, albo siadał przy nim na kanapie i zamieniał kilka słów. Poza tym wstał także na godzinę, aby zjeść z rodziną obiad. Kiedy wracał do lektury nawet po krótkiej przerwie zaczynał czytać dwie strony wcześniej od tej, na której skończył. Rozpraszał się bowiem coraz bardziej. Skupienie się na tekście stawało się z biegiem godzin bardzo trudne. Czytanie nie należało do czynności, w których miałby szczególną wprawę, a napisane przez Danutę Kamienną wyznania ujęte były niekiedy w zdania wyrafinowane, których po części nie rozumiał. Już po kilku stronach wiedział jednak, że to co dalej przeczyta przyniesie coraz bardziej przygnębiające i nieoczekiwane informacje o życiu osoby, którą trochę jednak znał. Poczuł się wtedy bardzo zmęczony, a zmęczenie narastało wraz z ilością przeczytanego tekstu. Wolałby cały dzień pracować fizycznie w polu, niż leżeć i czytać treści, które niszczyły jego dobre samopoczucie i wewnętrzny spokój.

- Jak dobrze, że jej rodzice już pomarli – pomyślał zamykając zeszyt.

Skończył czytać i teraz czuł w piersi przygniatający ciężar. Leżał bez ruchu i patrzył w sufit. Rozwahał od nowa wszystko to, czego się dowiedział, a w pierwszej kolejności fragmenty, w których Danuta wspomniała o nim i zarzucała mu tchórzostwo i asekuranctwo.

- Ma świętą rację – zgodził się z zarzutami. – Nie byłem i nie jestem tak odważny jak ona. Wolałem wtedy chronić siebie i swoją pracę. Nie chciałem mieć kłopotów.

Wstydił się teraz słabości charakteru, ale jednocześnie poszukiwał usprawiedliwienia dla dawnych zaniechań oraz argumentów za tym, że nie tylko on przyczynił się do nieszczęść, które spotkały Danutę i wywołały wszystko to, co się później wydarzyło.

- Gdybym jej wtedy pomógł i gdybym doprowadził do ukarania Madejskiego, czy jej życie potoczyłoby się inaczej? – zastanawiał się.

– Chyba jednak tak – wyprowadził smutny dla siebie wniosek. – Ale przecież władza mogłaby z łatwością zniszczyć i ją i mnie. Ona miała odwagę przeciwstawić się złu. Ale jej odwaga wzięła się z desperacji. Normalnie to każdy człowiek myśli głównie o sobie i swoich najbliższych. Nie decyduje się na ryzykowne i szalone kroki.

Im dłużej rozmyślał, tym bardziej gubił się w możliwych scenariuszach. Wpadł w jeszcze bardziej ponury nastrój. Stwierdził, że w ogóle nie chciałby wiedzieć tego, o czym się dowiedział. Było już jednak za późno.

- Po co mi ta cholerna wiedza – zdenerwował się.

Szarpały nim nieprzyjemne uczucia. Wstyd za swoje wcześniejsze zaniechania zmieniał się w złość na Danutę, a ta złość zamieniała się natychmiast we współczucie dla niej oraz smutek z powodu niesprawiedliwości, która ją spotkała i zmarnowała jej całe życie. Następnie znów owładnęło nim wielkie poczucie winy.

- Mój Boże – lamentował. – Gdybym zrobił coś po tym, jak dowiedziałem się o zastrzeleniu Miszkiewicza, gdybym pomógł Dance po wypadku, nigdy by się to wszystko nie wydarzyło. Nie wybaczę sobie do końca życia, że nie zaryzykowałem wywalenia z roboty. Cóż więcej mogli mi wtedy zrobić? Byłem kawalerem. Rodzice mieli gospodarstwo. Jakoś bym przecież przeżył. Teraz jest już za późno. Niczego nie da się naprawić.

Kiedy się trochę uspokoił, zaczął się zastanawiać, co zrobić z uzyskaną wiedzą i z zeszytem

- Danką przewidziała, że zeszyt znajdzie Szelc. Chciała tego. Nie myślała o mnie. Czy rzeczywiście Szelc przeczytał tylko dwie strony? Może przeczytał całość i wie, o co Danką mnie oskarżyła. Dlatego przyniósł zeszyt do mnie? Pewnie chciał, żebym się wreszcie dowiedział, że stchórzyłem. Ale co on mi może wyrzucać? Sam na pewno ma wiele do ukrycia. Od lat siedzi w milicji. Niejedno widział i słyszał. O wielu sprawach też wolałby zapomnieć.

Do pokoju zajrzała żona,

- Gdzie będziesz spał? – zapytała zmęczonym głosem.

- Zostanę tutaj, Jutro wstanę. Już mi lepiej. Rano wezmę pyralinę – pocieszył ją, bo w jej zmęczonym tonie usłyszał nutę wyrzutu za to, że zwałił na nią całą robotę.

- Poleż jeszcze jeden dzień – zaproponowała.

- Chyba nie będzie trzeba – odpowiedział i uśmiechnął się do niej.

Rozchmurzyła się trochę.

- No to dobranoc – powiedziała. – Jutro zobaczymy co z tobą zrobić.

Niewiele spał tej nocy. Zasypiał, budził się i znów zasypiał. Nad ranem zapalił lampkę stojącą przy kanapie i sięgnął po zeszyt. Przeczytał wszystko raz jeszcze od początku do końca i postanowił, że musi spotkać się z Szelcem. Szelc powinien poznać treść zeszytu, jeśli jeszcze jej nie zna, i też pomyśleć czy sprawa Danuty Kamiennej powinna być upubliczniona, czy zatajona raz na zawsze przed całym światem. On nie może brać wszystkiego na siebie.

- Gdybym zniszczył zeszyt od razu – myślał – wyszedłbym sam przed sobą, a może też przed Szelcem, na tchórza, który chce za wszelką cenę ukryć prawdę o swoim tchórzostwie. Tak być nie może.

Zdrzemnął się trochę i wstał. Zajął się robotą. Wieczorem powiedział żonie, że idzie się przejść.

- Idziesz do Szelca? – natychmiast domyśliła się żona. – Czego on od ciebie chciał przedwczoraj?

Nie lubił jej oszukiwać, ale nie mógł powiedzieć wszystkiego, więc odrzekł:

- Tak, idę do Szelca. Muszę mu coś powiedzieć, ale to w żadnym stopniu nie dotyczy ciebie i w naszej rodziny. Chodzi o dawne sprawy, jeszcze z czasów mojej służby. Nie zajmuj sobie tym głowy.

Mruknęła coś pod nosem z dezaprobatą.

- Ubierz się ciepło! – krzyknęła za nim. – Co to? Nagle jesteś zdrowy? Wróć przed godziną milicyjną!

Na dwóch kilometrach szosy, które pokonał idąc do mieleńskiego komendanta, nie spotkał nikogo. Nie przejechał żaden patrol. Zapowiadało się poluzowanie restrykcji stanu wojennego.

Szelc spokojnie wysłuchał przedstawionych przez niego argumentów i powiedział:

- Nie wiedziałem, że masz coś sobie do wyrzucenia i że Danuta Kamienna miała do ciebie jakieś pretensje. Naprawdę przeczytałem tylko dwie strony. Jeśli pozwolisz, zostanę przy swoim. Nie chcę wiedzieć więcej niż wiem teraz. Spalmy ten zeszyt razem, teraz.

Pawlik najpierw skinął głową na znak, że zgadza się na propozycję kolegi. Rozmawiali w kuchni. Szelc zdjął fajerkę z westfalki i już miał wrzucić zeszyt do ognia, gdy dawny milicjant przypomniał sobie słowa napisane przez Danutę.

- Czekaj! – krzyknął. – Ona bardzo chciała, żebyś to ty przeczytał jej wyznania. Uznała, że ją dobrze zrozumiesz.

- Ja miałbym ją zrozumieć? – zdziwił się komendant. – Ja jej prawie w ogóle nie znałem.

- Nie wiem dlaczego, ale jej zależało żebyś wszystko wiedział. Napisała, że ma nadzieję, że to ty znajdziesz zeszyt, przeczytasz i zrozumiesz. I ty go znalazłeś, więc teraz musisz przeczytać. Nie odmawia się osobie zmarłej.

Szelc wahał się, trzymając zeszyt nad ogniem, ale po chwili zasunął fajerkę pogrzebaczem a zeszyt podał gościowi.

- Gdzie ona to napisała? No to o mnie. Pokaż mi, bo nie wierzę – powiedział.

Pawlik przejrzał zeszyt, znalazł odpowiednie miejsce i podał zeszyt Szelcowi. Ten przeczytał wskazany fragment, zamknął zeszyt i włożył do szuflady w kredensie.

- Halina znajdzie – zaniepokoił się gość.

- Nie obawiaj się. Zaraz go stąd dyskretnie zabiorę.

Przez długi czas Pawlik nie wiedział czy Szelc przeczytał wyznania Danuty Kamiennej i co zrobił z zeszytem. Komendant nie przyszedł na jej pogrzeb, w czym nie było nic dziwnego, bo przecież prawie jej nie znał. A on na pogrzebie wiedział już wszystko i ta wiedza męczyła go niezmiennie, kiedy stał nad jej grobem.

Z Szelcem spotkali się przypadkiem w Mścicach w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Okazji do dłuższej rozmowy nie mieli, bo towarzyszyły im rodziny. Życzyli sobie gromadnie „wesołych świąt” i „szczęśliwego nowego roku” oraz tego, aby jak najszybciej zniesiono stan wojenny.

- Przeczytałem i spaliłem – szepnął Szelc na boku. – Ale musimy pomyśleć o Miszkiewiczowej. Powinniśmy ją odnaleźć i doprowadzić do ekshumacji szczątków jej męża. Tyle chyba możemy zrobić?

Pawlik skinął głową.

- Tak – powiedział. – Tylko tyle mogę dla niej teraz zrobić. Zajmę się tym.

- Panowie! – zawołała Halina Szelc. – Co tam tak spiskujecie? Czekamy na was.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

Po przeczytaniu wyznań Danuty Kamiennej Czesław Szelc próbował przez jakiś czas spełnić jej oczekiwania, czyli ją zrozumieć. Nie było to jednak łatwe. Jej rozważania o wspólnym wszystkim ludziom poczuciu sprawiedliwości trafiały mu do przekonania. Przecież on także przyczyniał się na swój sposób do tego, aby ci, którzy wyrządzają innym ludziom zło, zostali ukarani. Kierował się w pracy nie tylko posłuszeństwem i poczuciem obowiązku, ale także poczuciem sprawiedliwości. Służył niestety pod władzą ludzi, których przekonań politycznych w pełni nie podzielał i wielokrotnie był zmuszony ustępować ze słusznego, według niego, stanowiska pod presją przełożonych, a jeszcze częściej zachować milczenie w sprawach, które powinny ujrzeć światło dzienne. Tak, wielokrotnie szedł na kompromis i nie raz milczał, kiedy należało coś powiedzieć. Danuta Kamienna nie знаła kompromisu i to budziło w nim szacunek i podziw dla jej osoby. Pierwszy raz w swojej zawodowej karierze czuł szacunek i podziw dla kogoś, kto był wielokrotnym zabójcą. Każda z jej ofiar powinna była stanąć przed sądem i zostać skazana. Wymiar sprawiedliwości nie spełnił w ich przypadku swojego zadania. Tak się często zdarza. Nie tylko w PRL-u. Nie wszystkie złe czyny są ujawniane i nie wszystkie przestępstwa są karane. Czy zatem odpowiedzialność za ukaranie sprawcy spada na tego, kto dowiaduje się o zbrodni, ale nie może postawić zbrodniarza przed sądem? Danuta taką właśnie odpowiedzialność wzięła na siebie, a ciężar tej odpowiedzialności w końcu i ją przygniótł, a następnie zabił.

- Być może odwaga i odpowiedzialność tej niezwyklej kobiety powinna ujrzeć światło dzienne, aby posłużyć innym za przykład - myślał. - Ale przecież nie można stawiać za przykład kogoś, kto zabijał. Ona sama nie była pewna czy słusznie postąpiła i czy nie kierowała się tak naprawdę pragnieniem zemsty. Ale z drugiej strony zasada „oko za oko, ząb za ząb”, a więc także „śmierć za śmierć” jest znana i uznawana. Jeśli nie działa instytucja powołana do jej pilnowania, to

może obywatel powinien mieć prawo do wyegzekwowania tego, co się każdemu słusznie należy.

Po długich rozmyślaniach mieleński komendant mógł już odpowiedzieć sobie na pytanie, czy rozumie Danutę Kamienną tak, jak ona tego od niego oczekiwała. Odpowiedź był twierdząca. Po ludzku myśląc, rozumiał ją i rozumiał powody, które ją skłoniły do wyrównania rachunków nie zapłaconych przez jej ofiary. Ale po ludzku czując, nie mógł pochwalać tego, co zrobiła. Pocieszał się tym, że ona sama także siebie rozumiała, ale nie pochwalała swoich czynów.

Spalił zeszyt i postanowił zapomnieć o strasznych tajemnicach Danuty Kamiennej, ale nie o niej samej. Postanowił pamiętać o niej tak samo, jak pamiętał o Marianie Baczkowskim.

Marian Baczkowski miał dużo sporo grzechów na sumieniu i on, gdyby był służbistą, powinien był go zadenuncjować. A przecież chronił go. Nie powiadomił przełożonych o trefnym spirytusie. Nic zameldował, że Marian znał Porębkiewicza i że ten go szantażował. Uratował go przed aresztowaniem i przed skazaniem za zabójstwo majora, choć sam nie był do końca pewny czy Baczkowski go nie załatwił. Ale uwierzył mu, bo sądził, że Marian jest z nim całkowicie szczery. Po przeczytaniu wyznań Danuty dowiedział się, że Marian szczery z nim nie był. Ukrywał przed nim najważniejsze informacje. Nie powiedział mu ani o popijawie z Porębkiewiczem tej nocy, po której major zginął, ani o pistolecie. Czego się obawiał? Nie ufał mu? Przecież łączyły ich prawie przyjacielskie relacje. Dużo o sobie nawzajem wiedzieli. Sprawdzili swoją lojalność we wspólnej akcji, dzięki której uratowali niejedną młodą dziewczynę przed śmiercią z ręki szaleńca.

Marian Baczkowski zaginął w 1975-tym roku. Do tej pory nikt nie wie co się z nim stało. Zniknął nagle. Sąsiadka, która go widziała jako ostatnia, twierdziła, że spotkała go na przystanku autobusowym w Koszalinie i rozmawiała z nim czekając na pekaes, a także podczas jazdy do Mielna oraz w drodze z przystanku w centrum Mielna do domu. Rozstali się pod bramą posesji, na której stoi dom Baczkowskich. Pożegnali się jak zawsze. Nic nie wskazywało na to, żeby Marian był niespokojny, albo zdenerwowany. Ale tego dnia Baczkowski nie wszedł już do swojego domu.

Marianna Baczkowska nie była zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością męża, a nawet tym, że nie wrócił na noc do domu. Często mu się to przecież zdarzało. Zgłosiła się na posterunek dopiero wtedy, gdy przyjechał do niej ktoś z pracy Mariana i zapytał, co się z mężem dzieje, dlaczego od trzech dni nie przychodzi do pracy. Szelc przepytął ją wówczas dokładnie,

ale nie powiedziała mu o żadnym niepokojącym zachowaniu męża przed zniknięciem. Poszukiwano przez krótki czas zaginionego mieszkańca Mielna. Bezskutecznie.

Po przeczytaniu zeszytu Danuty Kamiennej Szalc miał jednak wątpliwości co do tego, czy Baczkowska mówiła prawdę. Jeśli Marian zabrał pistolet Porębkiewicza, a potem z tego właśnie pistoletu zastrzelił się, a właściwie został zastrzelony Madejski, to ktoś, na przykład kolega Madejskiego, Wiesław Bąk, mógł przypomnieć sobie o Baczkowskim i o tym że Madejski namawiał Mariana do współpracy i groził sankcjami za posiadanie nielegalnego alkoholu. Bąk z pewnością nie pogodził się ze śmiercią kolegi. Gdy tylko po Centralnych Dożynkach skończyła się dodatkowa robota, mógł wrócić do sprawy i po swojemu, prywatnie, pocisnąć wszystkich, którym na krótko przed śmiercią naraził się Madejski. Bąka z pewnością męczyło to, że nie udało się wykryć winnych śmierci dwóch funkcjonariuszy, Madejskiego i Porębkiewicza. Nie zapomina się łatwo o śmierci kolegów i o tych, którzy ich zabili. Marian nadawał się na podejrzanego. Jeśli Bąk zajął się nim nieformalnie, wszystko mogło się wydarzyć.

- Marian przepadł – myślał Szalc – i nigdy się nie odnajdzie. Szkoda rodziny. Wieść o śmierci jest lepsza od niepewności, która przez długie lata będzie męczyć bliskich. Ale milicja i SB nie zostawiają śladów, więc szans na wyjaśnienie zniknięcia niestety nie ma. A swoją drogą to niesamowite, że Danuta Kamienna także nie zostawiała śladów. Precyzyjnie i wytrwale przygotowywała się do działania! Załatwiła Porębkiewicza i nikt nawet nie pomyślał, że ona go zabiła. Sprawa Zydrewicza też zakończyła się fiaskiem. Nie znaleziono winnego śmierci obozowego kapo. A już załatwienie tego donosiciela Romana, który był jej kochankiem, to prawdziwy majstersztyk – pomyślał z podziwem.

Zreflektował się jednak natychmiast i upomniał sam siebie. Jemu, przedstawicielowi władzy, nie wolno było podziwiać przebiegłości i kunsztu mordercy. Nawet tego, który zabijał w imię sprawiedliwości.